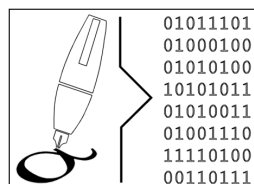


MERCEDES LACKEY

LOT STRZAŁY

Drugi tom z cyklu
„Trylogia Heroldów Valdemaru”

Tłumaczył: Leszek Ryś



Tytuł oryginału:

ARROW'S FLIGHT

Data wydania polskiego: 1994 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1987 r.

*Dla Carolyn,
która wie dlaczego...*

PROLOG

Dawno temu — tak dawno, że szczegóły zatargu utonęły w mroku dziejów, a ocalały zaledwie odpryski legend — świat Velgarthu zniszczyły doszczętnie wojny prowadzone przez magów. Ludność została zdziesiątkowana, ziemie szybko zamieniły się w dzikie ugory. Wkrótce porosły je puszcze i opanowały czarodziejskie stworzenia, którymi posługiwano się w bojach. Kto żyw uciekł na wschodnie wybrzeża, by tam na nowo odbudować z gruzów swe życie. Jednakże ludzkość to prężna rasa — po niezbyt długim czasie ponownie zaczęła się mnożyć i ludy znów rozpoczęły wędrówkę na zachód, by zakładać nowe królestwa tam, gdzie dotąd rozciągały się tylko dzikie pustkowia.

Jednym z owych nowych królestw był Valdemar, założony przez barona Valdemara i tych spośród jego wasali, którzy woleli wybrać wygnanie, niż stanąć w obliczu gniewu samolubnego i okrutnego monarchy; domena ta objęła wysunięty najdalej na północny zachód skrawek cywilizowanego świata. To właśnie po części przez pamięć na założycieli swego kraju władcy Valdemaru chętnie udzielali serdecznej gościny wszelkim uciekinierom i banitom. Z biegiem lat spowodowało to, że zwyczaje i obrzędy mieszkańców ich królestwa ułożyły się w prawdziwą, wielojęzyczną mozaikę. Trzeba jednakże nadmienić, że jedyna, niepodważalna reguła, jaką królowie Valdemaru kierowali się, rządząc swymi poddanymi, brzmiała: „Nie ma jednej, jedynie słusznej drogi”.

Rządy nad tak przypadkowo przez los dobranymi obywatelami mogłyby okazać się niemożliwe, gdyby nie Heroldowie z Valdemaru.

Wiele obowiązków spadało na barki Heroldów: nadzorowali działalność administracji, ogłaszali prawa, zbierali informacje, a nawet doraźnie wcielali się w rolę wojskowych doradców; za swe czyny odpowiadali jedynie przed Monarchą i przed równymi sobie Heroldami, którzy zbierali się w Kręgu. Taki system stwarzałyby idealne warunki do nadużyć władzy, gdyby nie Towarzysze.

W oczach postronnego obserwatora Towarzysz wydawał się niczym więcej, jak tylko wyjątkowo zgrabnym, białym koniem. Były to jednak istoty znacznie doskonalsze, zesłane przez nieznaną moc — czy też moce — na prośbę samego Króla Valdemara. To właśnie Towarzysze rozpoznawały Heroldów — zadzierzgniętą między nimi a ich Wybranymi myślową więź zerwać mogła jedynie śmierć. Choć

nikt nie mógł dokładnie ocenić ich inteligencji, to jednak panowało powszechne mniemanie, iż nie ustępują swym ludzkim partnerom. Towarzysze mogły (i robiły to) wybierać, nie kierując się ani wiekiem, ani płcią — choć skłonne były raczej wybierać młodzież u progu dojrzałości i częściej Wybrańcami zostawali chłopcy niż dziewczęta. Jeśli nie liczyć specyficznego typu osobowości, na którą składała się cierpliwość, wyzbycie się egoizmu, poczucie odpowiedzialności i zdolność do heroicznych poświęceń w imię obowiązku, to Wybranych łączyło jeszcze jedno: u wszystkich można było wykryć przynajmniej cień zdolności paranormalnych. Przystawanie z Towarzyszem, ciągle pogłębianie łączących więzi rozwijało zdolności, które dotąd drzemały ukryte w każdym z Wybranych. Z czasem — w miarę jak naturę owych zdolności zaczęto rozumieć coraz lepiej — rozwinięto metody wykorzystania ich w pełni przez tych, którzy byli nimi Obdarzeni. Stopniowo Dary nabrały wielkiego znaczenia, wypierając wiedzę o „prawdziwej magii”, która jeszcze tliła się w Valdemarze, aż zaginęły wszelkie przekazy, skąd wzięła się owa magia i jak się z niej korzystało.

I tak oto wykształcił się sposób, w jaki w Valdemarze sprawowano rządy: Władca, wspomagany przez Radę, ustanawiał prawa, które Heroldowie ogłaszali i baczyli, by ich przestrzegano. Heroldowie byli całkowicie niezdolni do nadużycia tymczasowo oddanej im w ręce władzy, przekupienie ich granoczyło z niemożliwością. Wybrani z natury swej zdolni byli do poświęceń, szkoła tylko umacniała w nich tę cechę. Szansę na to, że dla dobra służby nie złożą w ofierze swego życia, były nikłe — musiało tak być. Lecz mimo tego byli normalnymi, zazwyczaj młodymi, ludźmi żyjącymi za pan brat z niebezpieczeństwem. Trudno ich zatem było obwiniać, że w chwilach wolnych nie stronili od rozrywek, nie bacząc co to cnota. Herold z rzadka jedynie pozwalał sobie na nawiązanie związków wykraczających poza braterskie, które oznaczałyby coś więcej niż chwilową przyjemność. Być może na przeszkodzie zawieraniu stałych związków uczuciowych stało silne poczucie braterstwa między Heroldami i więź łącząca ich z Towarzyszami. Jakkolwiekby było, zazwyczaj niewielu spośród prostego ludu lub szlachty miało im to za złe, gdyż powszechnie wiedziano, iż, bez względu na to, jak rozwiązyły potrafi być w czasie wolnym, od chwili przywdziania swego śnieżnego uniformu Herold staje się całkowicie odmienną istotą; ponieważ Herold w Bieli był Heroldem na służbie, któremu wypełnianie obowiązków nie zostawia czasu na nic innego, a już najmniej na uleganie swym frywolnym przyjemnostkom. Mimo tego trafiali się i tacy, którzy byli odmiennego zdania. . . nawet w wysokich progach.

Uchwalone przez pierwszego Króla prawa nakazywały, by Monarcha także był Heroldem. Była to zatem gwarancja, iż władcą Valdemaru nie zostanie nigdy tyran podobny do tego, który zmusił założycieli królestwa do ucieczki i opuszczenia rodzinnych siedzib. Tuż po Monarsze najważniejszą w kolejności osobą w królestwie był Herold zwany Osobistym Heroldem Króla lub Królowej. Wybierany przez Towarzysza, który — jak się zdawało — nigdy się nie starzał (choć

można go było zabić), i który zawsze był ogierem, Osobisty Herold zajmował specjalną pozycję zausznika, najbardziej zaufanego przyjaciela i doradcy rządzącego. Monarchowie Valdemaru mogli być zatem pewni, że zawsze u swego boku znajdą przynajmniej jedną osobę godną najgłębszego zaufania, na której mogli przez cały czas całkowicie polegać. Przyczyniało się to do umacniania pozycji oraz pewności siebie władcy i, co za tym idzie, tworzenia mocnego i godnego zaufania rządu.

Przemijały pokolenia i na pozór wydawało się, że stworzony przez Króla Valdemara plan rządów jest doskonały. Tak to już jednak bywa, że nieuwaga lub też przypadek może przyczynić się do tego, iż nawet najlepiej nakreślone plany prędzej czy później spalą na panewce.

Za panowania Króla Sendara królestwo Karsu, z którym Valdemar dzielił południowo-wschodnią granicę, wynajęło cały naród najemników-nomadów do najazdu na Valdemar. W wojnie, która była tego wynikiem, Sendar został zabity, a osierocony przez niego tron objęła jego córka, Selenay, która dopiero co ukończyła nauki w Kolegium Heroldów. Osobistego Herolda Królowej, wiekowego Talamira, często peszyło i wprawiało w zakłopotanie doradzanie młodej, przystojnej, lecz upartej kobiecie. W wyniku tego Selenay popełniła błąd i wstąpiła w zły związek małżeński, co nieomalże kosztowało ją utratę tronu i życia.

Owoce tego małżeństwa, ewentualną przyszłą Następczynią tronu, była dziewczynka, którą Selenay nazwała Elspeth. Elspeth dostała się pod wpływ niańki, którą sprowadził z rodzinnego kraju mąż Selenay i wyrosła na niepoprawnego, rozpuszczonego bachora. Stało się jasnym, że o ile nic nie zmieni biegu rzeczy, dziewczynka nigdy nie zostanie Wybranką, a zatem nigdy nie będzie mogła dziedziczyć po matce. W takim wypadku Selenay miałyby do wyboru: ponownie wstąpić w związek małżeński (co oczywiście pociągało za sobą określone ryzyko) i jeszcze raz spróbować wydać na świat dziedzica, albo ogłosić następcą tronu kogoś, kto już był Wybranym, i w którego żyłach płynęła królewska krew; lub też w jakiś sposób ocalić swą domniemaną Następczynię. Talamir ułożył plan — wiele wskazywało, że mógł on zostać uwieńczony powodzeniem — który zakładał odesłanie dziecka na wychowanie na odległą prowincję, co wyzwoliłoby dziewczynkę spod wpływu niańki i Dworu, oddając ją w środowisko ludzi, do których można było mieć zaufanie, że nie ulegną żadnym jej kaprysom.

Wtedy Talamir padł ofiarą zabójstwa, co tylko powiększyło zamieszanie. Jego towarzysz, Rolan, Wybrał nowego Osobistego Królowej, lecz zamiast wyszukać kogoś dorosłego, kogoś, kto już był pasowanym Heroldem, wskazał na niedojrzałą dziewczynkę o imieniu Talia.

Talia wywodziła się z ludów osiadłych w Grodach, z przestrzegającego niezwykle surowych obyczajów plemienia znad Granicy, które dokładało wszelkich starań, by uniemożliwić postronnym dowiedzenie się o nich czegoś bliższego. W najmniejszym stopniu nie doceniła więc wagi tego, że Towarzysz Herolda za-

czepił ją po to, by następnie najwyraźniej uprowadzić. Jej lud wyznaczał kobietom bardzo podrzędną pozycję, za wszelkie odstępstwa groziła natychmiastowa, surowa kara. Talia zaś nie nadawała się zupełnie do zajęcia narzucanego, podrzędnego miejsca i dlatego wciąż kładziono jej w uszy, że wszystkie jej słowa lub uczynki są niewłaściwe w najlepszym, albo grzeszne w najgorszym przypadku. Zatem nie była przygotowana do wkroczenia w nowy dla niej świat Kolegium Heroldów. Jedyne, co potrafiła robić, w czym miała spore doświadczenie, to opiekować się i wychowywać młodsze dzieci, a to dlatego, że była nauczycielką młodszych członków swego ludu od chwili, gdy ukończyła dziewięć lat.

Mimo to udało jej się znaleźć dla siebie prawdziwy dom wśród Heroldów oraz ucywilizować Bachora. Teraz miała przed sobą półtora roku służby w Polu i próby, o jakich nie śniła nawet, że będzie musiała przejść.

PIERWSZY

Bęc! Płaz ćwiczebnego palcatu Albericha zabębnił o odsłonięty bok Talii. Nawet nie zauważyła zadawanego ciosu, naprawdę nie zauważyła. Zabolało i założyłaby się o pieniądze, że będzie miała sińca pomimo watowanego kubraka, który łagodził siłę ciosów. Palcat był wytoczony z drewna, lecz Alberich wydawał się z tego powodu władać nim z tym większą siłą.

— Pfuj! — Splunął z odrazą i natarł ponownie, zanim zdążyła wziąć się w garść po ostatnim ciosie, tym razem trafiając ją w uzbrojoną w sztylet rękę, tuż przy łokciu. Jęknęła i nóż wypadł jej z zupełnie zdrtwiałej dłoni.

Zalśniły jastrzębie oczy, próżno by było doszukiwać się w nich choć śladu współczucia. Pocięta bliznami twarz zamieniła się w demoniczny maskaron, gdy oceniał jej występ.

Dawno przekroczył czterdziestkę, o ile nie więcej, a jednak od pięciu lat, od kiedy Talia знаła Albericha, jego ruchy nie straciły nic ze swej zwinności i ostrości. Ona dyszała z wysiłku, on wyglądał tak, jakby wrócił ze spokojnego spacerku. Na jego znoszonych, czarnych skórkach — był on jedynym znanym Talii Heroldem, który nigdy nie przywdziewał Bieli — widać było zaledwie malutkie plamki potu. W zalewających wszystkich promieniach popołudniowego słońca jego postać rysowała się jak ulotna, niematerialna zjawia, i trafienie go kosztowało tyle samo trudu.

— Jak szkoda, że nie ma z nami Skifa, by mógł ciebie zobaczyć. Umarłby ze śmiechu, z całą pewnością! — burczał. — Masz osiemnaście lat, a można by pomyśleć, że osiem. Wolna, niezdarna i niemądra! Phi! Gdybym był prawdziwym zabójcą...

— Umarłabym ze strachu, zanim byś mnie dotknął.

— Co tam żarty! To jest bitewna praktyka, a nie komedia. Jeśli przyjdzie mi chęć na igraszki, znajdę trefnisia. Jeszcze raz, lecz tym razem tak jak należy!

Kiedy już padała na nos z wyczerpania, poświęcił uwagę Elspeth. Ponieważ obie trzeba było otoczyć szczególną kuratelą, Alberich zmienił porę ich zajęć tak, by nie dzielić ich z nikim, by móc poświęcić całą uwagę Osobistemu Heroldowi Królowej i przypuszczalnej Następczyni. I, zamiast na otwartych terenach ćwiczebnych na dworze, dziewczęta odbywały swe lekcje pod dachem, w sali szer-

mierzcej. Była to podobna do szopy budowla o gładkiej, drewnianej podłodze, ścianach wyłożonych lustrami i z rzędem wysokich okien poniżej dachu, by jak najwięcej światła mogło dostać się do wnętrza. To tutaj odbywały się lekcje podczas niepogody, jednak sala była zbyt ciasna, by pomieścić w trakcie wspólnych ćwiczeń połączone Kolegia Heroldów, Bardów i Uzdrowicieli. Jedynie „uprzywi-lejowanym” Alberich udzielał prywatnych lekcji w sali.

Teraz, gdy Alberich przestał się nią interesować, Talia stwierdziła, że jej myśli ponownie zaczynają obracać się wokół niespodzianki, jaka spotkała ją po południu.

Talia przyjmowała najrozmaitsze pozy i wierciła się niecierpliwie, dopóki nie udało jej się wciągnąć przez głowę sprężystej, miękkiej, skórzanej tuniki, na wierzch białej koszuli i skórzanych bryczesów. Na koniec odwróciła się, by podziwiać wynik w wypolerowanym metalowym zwierciadle, które wisiało przed nią.

— Niebiosa! — zaśmiała się w niemałym stopniu zaskoczona. — Dlaczego Szarości nigdy tak nie wyglądają?

— Ponieważ... — z izby obok rozległ się ostry głos kogoś z wolna cedzącego słowa — wy młokosy myślelibyście o wszystkim tylko nie o nauce.

Talia roześmiała się, stanęła plecami do lustra i zaczęła się wdzięczyć. Na ten dzień przypadała rocznica pierwszych zajęć, jakie odbyła w Kolegium Heroldów. Nie pamiętała o tym, dopóki nie przypomniały jej o tym Keren i Sherrill — obie były Heroldami-seniorami, nauczycielami w Kolegium i jej przyjaciółkami od lat — zjawiwszy się w izbie z naręczem białych mundurów, uśmiechając się od ucha do ucha.

Heroldom skupionym w Kręgu nie zajęło dużo czasu rozważenie, głosowanie i nadanie Talii — wraz ze wszystkimi jej kolegami i koleżankami z roku — rangi pasowanego Herolda. Nikogo w Kolegium to nie zaskoczyło, jednak zgodnie z tradycją nikt z uczniów nie dowiadywał się o tym, póki ocena nie została zakończona, a kandydaci pasowani.

Keren i Sherrill oświadczyły, że im przede wszystkim należy się prawo ogłoszenia dobrej nowiny. Ani nie zostawiły jej czasu na zebranie myśli. Ot, stanęły na progu, chwyciły ją pod boki — każda ze swojej strony — i wyprowadziły przez podwójne drzwi na końcu długiego, mrocznego korytarza o wyłożonych boazerią ścianach wprost do kancelarii Seneszala, by tam zażądać w jej imieniu nowej kwatery. Teraz stała w sypialni swojego apartamentu, który sama dla siebie wybrała, z zachwytem wpatrując się we własne odbicie w zwierciadle.

— Teraz wyglądam jak naprawdę dojrzała osoba!

— Na tym to właśnie polega — roześmiała się radośnie Sherrill.

Przekrzywiwszy głowę na bok, przyglądała się drobnej, szczupłej postaci

w zwierciadle. Niesforne, brązowe, jak zwykle potargane loki wyglądały teraz jakby celowo rozsypywały się tak, a nie inaczej. W ogromnych, ciemnobrązowych oczach, patrzących dotąd na świat szczerze i otwarcie, pojawił się wyraz jakby większej rozwagi; twarz w kształcie serca nie była już tak dziecięca. I wszystkie te zmiany dokonały się za sprawą magicznego kostiumu!

— Talio, głowa ci napęcznieje jak łeb gąbkowej ropuchy w porze deszczowej, jeśli zapomnisz o ostrożności! — Keren po raz drugi przerwała tok jej myśli.

Wyciągając szyję, Talia wystawiła głowę za futrynę, by ujrzeć swą nauczycielkę konnej jazdy, która uśmiechała się kpiąco, rozparłszy się wygodnie na czerwonych poduchach stojącej w drugiej komnacie kanapy z drewnianym oparciem.

— Nie wiesz, co napisano w Pierwszej Księdze? — dorzuciła Sherrill z powagą spoza pleców przyjaciółki. — „Wielką pychą sprowadzisz na się wielkie poniżenie”.

Talia opuściła sypialnię, by przyłączyć się do nich. Sherrill i Keren usadowiły się wygodnie na jedynej kanapie w skromnie zastawionej sprzętami, zewnętrznej komnacie.

— Przypuszczam, że zamierzacie utrzymywać, iż nigdy nie strawiłyście przed zwierciadłem więcej czasu niż mgnienie oka, gdy po raz pierwszy przywdziałyście waszą Biel — droczyła się z nimi Talia, dumnym krokiem, z założonymi do tyłu rękami kierując się w ich stronę.

— Kto? Ja? — zapytała Sherrill z niewinną miną, podnosząc omdlewająco dłoń, by poprawić gęste, czarne rzęsy, chroniące duże, orzechowe oczy. — I oddałam się na pastwę własnej próżności? No cóż, może odrobinę.

— Tak się składa, że wiem, iż zeszło ci na tym pół dnia. Powiadają, że wykręcając na wszelkie sposoby tę twoją czarną grzywę, próbowałam ułożyć fryzurę, która najlepiej pasowałaby do nowego stroju — oschle zareplikowała Keren, przeczesując palcami przystrzyżoną na jeża, siwiejącą, brązową czuprynę.

Sherrill tylko się uśmiechnęła i z elegancją założyła nogę na nogę, opierając się o poduchy.

— Ponieważ nie mogę chełpić się posiadaniem podobnych wiadomości o tym, co ty zrobiłaś w tak zaszczytnej chwili, trudno to uznać za uczciwy cios.

— Och, strawiłam dość czasu na gapienie się w zwierciadle — przyznała Keren z udanym ociąganiem. — Ktoś żyłasty jak lina i płaski jak męskie pachole ze zdumieniem przyjmuje, gdy coś naprawdę mu pochlebia. Przysięgam, nie mam pojęcia, jak im się to udaje; krój jest ten sam dla wszystkich, i na dodatek nie tak znów odmienny od uczniowskich Szarości. . .

— Ale, o Panie, co za różnica! — dokończyła za nią Sherrill. — Nie znam nikogo, komu nie byłoby do twarzy w Bieli; nawet w przypadku Dirka wydaje się podkreślać prezencję. Wygląda na lekko wymiętoszonego, mimo wszystko całkiem nieźle.

— Hm, a co sądzisz o mnie? — zapytała Talia, obracając się przed nimi na palcach, uśmiechając się szelmowsko.

— Co ja sądzę? Sądzę, że wyglądasz cudownie, młody demonie. Jednak jeśli będziesz dalej przymilać się i zabiegać o pochlebstwa, wrzucę cię do poidła w stajni. Powiedzieli już coś o twojej praktyce czeladniczej?

Talia potrząsnęła głową, ponownie składając dłonie za plecami.

— Nie. Powiedzieli jedynie, że Herold, któremu chcą mnie dodać do pary, jeszcze nie wrócił z wyprawy, a oni nie powiedzą mi, kto to jest.

— Tego należało się spodziewać. Nie chcą, byś miała czas na obmyślanie sposobów wywarcia na kimś największego wrażenia — odparła Sherrill. Nagle w jej oczach zapaliły się figlarne iskierki. — Och, jednak przyszło mi coś do głowy. Nerrissa dostałaby spazmów ze złości!

— Kto? — zapytała Talia, przechylając głowę.

— Kris i Dirk powinni powrócić za kilka tygodni. Ostatnio żółtodziobem opiekował się Dirk, o czym ty przecież powinnaś wiedzieć, bo był nim Skif. Kolej więc na Krisa! Nessa umarłaby!

— Sheri, to jest tylko czeladniczy przydział.

— Półtora roku spędzone na przemierzaniu wzdłuż i wszerz obwodu, większość czasu sam na sam, a ty mi mówisz, że to tylko czeladniczy przydział? Talio, masz chyba lód zamiast krwi w żyłach! Czy ty masz pojęcie, ile godzin strawiła Nessa — i połowa kobiet z Kręgu, jeśli już o tym mówimy — na kolanach, modląc się o taki przydział? Pewna jesteś, że nie masz jakiś naszych skłonności?

Talia zachichotała, marszcząc nos.

— Całkowicie, moje kochane. Właściwie, co jest w Krisie takiego, co pociąga Nessę? Przecież ścigają ją westchnienia większości mężczyzn z Kręgu.

— Powab nieosiągalnego, jak się domyślam — dorzuciła Keren. Spod jej półprzymkniętych powiek widać było tylko brązowy przebłysk tęczy. — Nie ślubował czystości; choć nigdy nic nie wiadomo, z taką roztropnością podchodzi do swych flirtów. To doprowadza Nessę do szaleństwa. Im bardziej ona jest nieustępliwa, tym on szybciej ucieka. Wpadła we własne sidła, nie może już tego przerwać, by nie stracić twarzy.

— Znakomicie, może to robić, ile dusza zapragnie. Mnie wcale nie imponuje piękne oblicze Krisa — dobitnie stwierdziła Talia.

— Ani jego cudowne ciało...? — wtrąciła Sherrill.

— Ani cudowne ciało. Nessa może sobie mieć wszystkie cudowne ciała, które zebrane są w Kręgu — nie dbam o to! Mężczyźni w Grodzie to ci dopiero byli przystojni osobnicy, a i tak mogę się bez nich obejść. W młodości mój ojciec śmiało mógłby iść z Krisem w zawody — a opowiadałam wam, co to był za pomniejszy tyran. Zaś mój zmarły brat Justus, nad którym kropli łzy uronić nie było warto, był, prawdę powiedziawszy, nawet przystojniejszy, jeśli ktoś woli

jasne włosy. Był za to najbardziej odrażającą osobą, jaką znałam. Nie, dla mnie ważniejsze jest dobre serce, bijące w mniej wyszukanej piersi.

— Tak, lecz Kris jest Heroldem. . . — zwróciła jej uwagę Sherrill, dla podkreślenia pukając się swym długim palcem po kolanie. — Można mieć zatem dobre serce bez godzenia się na nieładną powierzchowność. W naszych szeregach nie ma gładkich, uśmiechniętych drani. . .

— Sheri, to wszystko jest czystą spekulacją. Póki nie dowiem się, u kogo będę czeladniczyć, odmawiam zaprzątania sobie głowy tą sprawą — z naciskiem powiedziała Talia.

— Nie nadajesz się do zabawy.

— Nigdy tego nie twierdziłam.

— Hmm. Ten nicpoń Skif czeladniczy u Dirka. . . — rozległ się głos zatopionej w myślach Keren. — Przez jakiś czas byliście całkiem blisko. Prawdę powiedziawszy, jakaś plotka czy dwie krążyła nad twoją i jego głową. Czy to dlatego nie jesteś zainteresowana partnerem Dirka?

— Może — Talia uśmiechnęła się tajemniczo.

To, że nic nie wyniknęło z ich „romansu” było wspólnym sekretem Skifa i jej. Prawdziwa plaga pechowych wydarzeń i przypadków, która towarzyszyła ich schadzkom, nie odbiła się piętnem na ich przyjaźni, tyle że nie zdołali nigdy posunąć się dalej — na zawsze pozostali tylko przyjaciółmi. To dziwne, lecz poza krótkim okresem niepokoju, po dotarciu wieści o tym, że Skif został ranny w ciągu pierwszych trzech miesięcy w polu, Talia mniej myślała o Skifie, a więcej o jego doradcy. Ku własnemu zdziwieniu — bo nie przychodził jej do głowy ani logiczny powód, ani tym bardziej kaprys — kiedy jej błędzące myśli kierowały się w stronę byłego ulicznego złodziejaska a teraz czeladnika-Herolda, najczęściej zaczynały się obracać wokół Dirka. To było denerwujące: spotkała się z tym człowiekiem góra trzy razy, nie spędzili razem więcej niż godzinę czy dwie, a jednak jego pospolita twarz i wspaniałe, niebieskie oczy z uporem tkwiły jej w myślach. To nie miało sensu.

Potrząsnęła głową, by uwolnić się od tych dziwacznych obrazów. Miała zbyt mało czasu, by poświęcać cenne chwile na sny na jawie.

— Ha, twoja mała zmiana wyglądu powinna lekko zaskoczyć Elspeth — Sherrill zmieniła temat.

— O, Jasna Pani. . . — Talia klapnęła na jedną ze swoich poduch, dobry humor gdzieś się ulotnił. Miała niemal wrażenie, że wpadający przez okno jasny strumień słońca nagle ściemniał. — Biedna Elspeth. . .

— Coś nie tak? — zapytała Keren wyginając brew.

— Jak zwykle.

— Co jak zwykle? Wiesz przecież, że nie obracam się na Dworze.

— Intrygi wykraczają poza plotki. Ona prawie skończyła czternaście lat i wciąż jeszcze nie została Wybrana. Na dworze zaczynają przebąkiwać, że wciąż

pod jej skórą kryje się Bachor i nigdy nie zostanie Wybrana. Co rusz na zebraniach Rady jeden lub więcej z jej członków próbuje zmusić Selenay do wyznaczenia Następcy. . .

— Kto? — zapytała zaniepokojona Sherrill, siadając prosto. — Kto jest tym mąciwodą?

— Wiesz dobrze, że nie mogę tego powiedzieć! Tak czy siak, to nie chodzi o tego czy innego poślą, dotyczy to już ponad połowy dworu. Elspeth mówi niewiele, ale jest tym bardzo przygnębiona, biedaczka. Nie mogli wybrać gorszej chwili. I tak jest zmienna w nastrojach, co jest utrapieniem młodzieży w tym wieku, a to niemal co dnia doprowadza ją prawie do łez. O ile nie przemaka mi od nich ramię, wciąż odnajduję ją, jak błąka się po Łące Towarzyszy.

— W nadziei, że w każdej chwili zostanie Wybrana. O bogowie, nic dziwnego, że za każdym razem kiedy ją widzę, chodzi z nosem na kwintę. A co powiada na to Rolan?

— A niech mnie, jeśli wiem! — Talia nagrodziła Keren pełnym rezygnacji spojrzaniem. — Wiesz przecież, że nie myślę do mnie w słowach.

— Przepraszam — skrzywiła się Keren. — Wciąż wylatuje mi to z głowy.

— Jest zaniepokojony, być może bardziej jeszcze machinacjami i walką o władzę na Dworze. Teraz kandydatami są Jeri, Kemoc i wasz jakże ukochany Kris.

— Sami w sobie cudowni ludzie — zauważyła Keren. — Jednak w gestwinach drzew genealogicznych czają się ich już nie tak cudowni krewni. Można by pomyśleć, że wuj Krisa, lord Orthallen, ma pełne ręce roboty jako przewodniczący Rady i nie będzie miał ochoty zostać wujem Następcy Tronu. . .

— Ten człek nigdy nie nasyci głodu władzy — zgryźliwie wypaliła Talia.

Keren uniosła brwi na ten wybuch i ciągnęła:

— Horda leniwych kuzynów Kemoca rozpleniałaby się na Dworze w poszukiwaniu synekur i delikatny Kemoc musiałby się temu przeciwstawiać. I Jeri — Jasna Pani! Jej matka!

— Codziennie mielibyśmy królewską kłótnię pomiędzy Jeri a panią Indrą o to, jak Jeri powinna głosować na Radzie. Chciałabym, by jej mąż trzymał ją pod kluczem, albo kupił dla niej knebel.

— Koniec. Szkoda, że żadne z nich nie jest wolne od balastu. Nie tak sobie wyobrażam zabawną sytuację, a biedna owieczka miota się w samym środku.

Talia przytaknęła, wzdychając głośno.

— A wracając do tego, co nie jest zabawne: lepiej już pobiegnę. Alberich bez niedomówień oświadczył mi, że nawet moja nowa ranga nie zwalnia mnie spod jego osobistej kurateli. Przenika mnie przerażające przeczucie, że zamierza wybijać mi z głowy moje wybujałe mniemanie o sobie, tak że spadnie ono niżej jeszcze niż było, zanim rozpoczęłam naukę w Kolegium, i to wszystko pewnie płazem swojego palcata.

— Mogę to zobaczyć? — przewrotnie zapytała Keren.

— Dlaczegoż by nie? Elspeth zawsze tam jest Nic tak nie obniża własnego mniemania o sobie jak to, że jest coś, w czym się jest gorszym od trzynastoletniej dziewczynki. Ha, to ją powinno podbudować odrobinę. Co za szkoda, że ten cudowny, nowy strój zostanie wybrudzony i przepocony do cna.

Kiedy schodziły po krętych schodach mrocznej i chłodnej klatki, ręce idących przodem Keren i Sherrill były niedbale złączone. Uzmysłowiło to Talii, że zbliżenie ich do siebie było najpewniej jej najlepszym dotąd uczynkiem. Łącząca ich więź była tak mocna jak uczucie, które Keren dzieliła z Ylsą. Gdyby ona żyła, niewykluczone, że utworzyłyby raczej rzadko spotykany, trwały trójkąt. Nie było cienia wątpliwości, że były dla siebie bardzo dobre. Biedna Ylsa. . .

Talia wybrała dla siebie komnaty mieszkalne na samym szczycie wieży, na końcu skrzydła Heroldów. Komnaty w czterech wieżach rzadko były zamieszkiwane — być może uważano je za niewygodne, bo wchodzenie i schodzenie po mrocznych, kamiennych schodach zajmowało sporo czasu; jednakże Talia uznała, że nagrodą za to jest roztaczający się z tego zacisznego miejsca widok, choć konieczność mozolnej wspinaczki musiała doprowadzić do licznych sprzeciwów przyjaciół. Jako pierwsza z wielu zabrała głos Keren:

— Powiem ci jedno, mój śliczny, młody Heroldzie — zaczęła lekko burkliwie, gdy dotarły na parter. — Twój przyjaciele utrzymają krzepę, odwiedzając cię regularnie. Domyślenie się, dlaczego postanowiłaś dzielić grzędę z ptactwem, przekracza moje siły.

— Naprawdę chcesz wiedzieć, dlaczego wybrałam właśnie te komnaty? — zapytała Talia z szerokim uśmiechem.

— Mów śmiało.

— Pamiętaj, proszę, na czym polega mój Dar. Jestem empatą, a nie myślმówcą. Czy którakolwiek z was pamięta, kim była moja sąsiadka?

— Hmm, Destria, prawda? — odparła Sherrill po namyśle: — Okazała się dobrym Polowym Heroldem, pomimo że jest, eh. . .

— Trzpiotką — podsunęła Keren z cieniem uśmiechu na wargach. — Co za dziewczyna! Obojętnie czy w Szarości lub Bieli, byle tylko chłop! O bogowie, jak ona znajdowała czas na naukę?

— Zatem wiecie o jej zwyczaju oddawania się „igraszkom” bardzo często i z. . . hm, ogromnym zapałem. To, od czego udawało mi się odgrodzić swe myśli, dobitnie obijało mi się o uszy! Zapewniam was, iż dzięki nocnym działaniom jej i Rolana zdobyłam staranne wykształcenie! To wtedy poprzysięgłam sobie, że spokój wart jest wszelkiej niewygody. Nie mam ochoty ponownie podsłuchiwać odgłosów przyjemności innych, i nie ulega wątpliwości, że ani mi się śni, by ktoś obcy podsłuchiwał mnie!

— Talio, nie wierzę w ani jedno słowo! — zachichotała Sherrill. — Czego mogłabyś się obawiać ze strony podsłuchiвачy? W porównaniu z nami wszystkimi prowadzisz się jak dziewica ze świątyni!

— Powinniście w to wierzyć, bo to jest prawda. Ha, tutaj musimy się rozstać. Życzcie mi szczęścia, bo będę go potrzebować!

Szkoda, że nie życzyły jej szczęścia, może miałyby o kilka siniaków mniej.

Talia, wachlując się rącznikiem i spacerując tam i z powrotem, by uchronić mięśnie przed zeszywnieniem, z niekłamaną przyjemnością przyglądała się Elspeth. Widok dziewczęcia cieszył oko — poruszała się podczas walki z wdziękiem i zwinnością tancerza, jakby bez wysiłku, jakby to było rzeczą łatwą. Była o wiele lepsza nawet od Jeri, kiedy ta była w jej wieku, lecz przecież przez cztery lata korzystała z dobrodziejstw bezlitosnej nauki Albericha, a Jeri miała zaledwie najlepszych fehmistrzów, jakich można opłacić pieniędzmi. Doświadczenia Albericha nie można było kupić za żadną kwotę.

Elspeth wykonywała zadane ćwiczenie z niedbałą elegancją. Nagle, na końcu pojedynku, niespodziewanie przeprowadziła atak z obrotem dookoła własnej osi i przewrotem, który Alberich starał się wyćwiczyć z Talią, lecz którego jej nie uczył, i zadała mu „śmiertelny” cios. Mistrz długo nie spuszczał ze swej pupilki wzroku pełnego zdumienia i z niewielką domieszką niepokoju. Talia i Elspeth wstrzymały oddech, spodziewając się, że nieuchronnie grom nagany spadnie na ich głowy.

— Dobrze! — odezwał się w końcu, na co Elspeth aż otworzyła usta ze zdumienia. — Bardzo dobrze!

A potem, by nie śmiała stać się nieostrożna po tym komplemente, dodał:

— Ale następnym razem musi być to zrobione lepiej.

Pomimo tych nieoczekiwanych pochwał, Talia, przyniósłszy Elspeth wilgotny rącznik na zakończenie zajęć, stwierdziła, że dziewczynka jest milcząca i przygnębiona.

— Coś złego, kotku? — zapytała. Podziwiała ogromne podobieństwo Elspeth do matki, pomimo że Selenay miała włosy jasne i oczy błękitne, a włosy i oczy jej córki były brązowe. W tej chwili smutek na jej twarzy przypominał wyraz twarzy Królowej, gdy dręczyły ją zgryzoty. Talia już domyślała się, jaka była tego przyczyna, lecz omówienie tego z dziewczynką jeszcze raz mogłoby przynieść jej ulgę.

— Niczego nie potrafię zrobić jak należy — skarżyła się nieszczęśliwa Elspeth. — Nigdy nie będę tak dobra jak ty, choć nie wiem jakich dołożyłabym starań.

— Nie mówisz tego poważnie.

— Nie, naprawdę, popatrz na siebie! Przez połowę życia nie wychodziłaś z matecznika, jakim był pierwszy lepszy brudny przysiółek, a teraz nie można cię odróżnić od szlachetnie urodzonych Heroldów. Ty zdobywaś dobre stopnie w szkole, a moje są beznadziejne. Nie udaje mi się nawet zostać Wybraną.

— Podejrzewam, że to ostatnie doskwiera ci najbardziej.

Elspeth przytaknęła kiwnięciem głowy. Kąciki jej ust opadły i usta wygięły się w podkówkę.

— Koteczku, jesteśmy zupełnie różnymi osobami o różnych jak niebo i ziemia zdolnościach i zainteresowaniach. Przez całe pięć lat, jakie tutaj spędziłam, nigdy nie zasłużyłam sobie na „dobrze” u Albericha, nie mówiąc już o „bardzo dobrze”! Gdy tańczę, mówią o mnie, że trzymam miotłę — taka jestem wciąż sztywna.

— Ouwa, ja mam cudowną koordynację, mogę zabić wszystko, co porusza się na dwóch nogach. To ci dopiero kwalifikacja na Następczynię!

— Koteczku, ty masz wszelkie kwalifikacje. Zastanów się tylko: ja, gdybym żyła nawet dwieście lat, nigdy nie zrozumiałabym, na czym polega polityka. Pomyśl przez chwilę i przypomnij sobie. Na ostatnio zwołanej Radzie byłam w stanie wyczuć rozdrażnienie lorda Cariodoca, lecz to ty domyśliłaś się nie tylko tego, kto go drażni i dlaczego, ale nawet udobruchałaś starego jastrzębia, zanim zdołał rozpętać spory. Twój nauczyciele zapewnili mnie, że choć na lekcjach może nie należysz do najlepszych, to jednak nie można w żadnym razie powiedzieć, że znalazłaś się pośród najgorszych. Wracając zaś do ceremonii Wybrania, koteczku, trzynaście lat to wiek średni — pomyśl o Jadusie! On miał szesnaście i już od trzech lat uczył się w Bardicum! Albo o Terenie, na miłość Pani, toż to był mężczyzna już dzieciaty! Twój Towarzysz nie dorósł jeszcze na tyle, to zapewne dlatego. Wiesz przecież, że nie wybierają, póki nie ukończą co najmniej dziesięciu lat.

Wydawało się, że Elspeth zrobiło się jakby lżej na duchu.

— Chodźmy, moja kochana, głowa do góry, a odwiedzimy Rolana. Jeśli po przejażdżce na jego grzbiecie słońce ma rozpromienić twój dzień, to na pewno zezwoli ci na to.

Zatroskana twarz Elspeth wyraźnie się rozjaśniła. Uwielbiała jazdę konną tak samo jak taniec i walkę na miecze, a Towarzysz niezbyt często zgadzał się nosić kogokolwiek na grzbiecie poza swoim Wybranym. W przeszłości Rolan zezwalał na to i Elspeth przeżyła wtedy chwile, które oczywiście zaliczała do najpiękniejszych na świecie. To nie było to samo, co posiadanie własnego Towarzysza, ale przynajmniej dawało posmak.

Wspólnie opuściły salę szermierczą i skierowały się w stronę ogrodzonego, zalesionego terenu, który był domem dla Towarzyszy w Kolegium i gdzie znajdował się Gaj, to znaczy miejsce, w którym przed setkami lat Towarzysze ukazały się po raz pierwszy. Talia, choć starała się tego nie okazać, była poważnie zaniepokojona. W tej sytuacji, zważywszy pozycję Elspeth, trudno było przypuszczać, że tłące się zarzewie uda się tłumić jeszcze przez dłuższy czas. Napięcie dawało się we znaki Królowej, dziewczynce i zasiadającym w Kręgu Heroldom.

Niestety ani Talia, ani nikt inny nie widział rozwiązania.

Talię obudziły jakieś dziwne odgłosy w komnacie. Przestraszona nasłuchiwała. Było ciemno jak oko wykol. Nad jej głową coś chrobotalo... Nagle przypomniała sobie, gdzie jest, i że to chrobocze otwarta okiennica tuż nad wezgiem łóżka — co prawda przytwierdziła ją haczykiem na noc, ale teraz stuknęła szarpana porywistym wiatrem, który zerwał się, gdy spała.

Obróciła się, ukłękła na poduszce i wyjrzała przez okno, starając się przebić wzrokiem ciemności. Niewiele udało się jej dostrzec — czarne garby listowia, odcinające się na lekko jaśniejszym tle trawy. Światło odbijało się od nie wypełnionej nawet w połowie tarczy księżyca. We wszystkich budowlach zalegały ciemności; gnane wiatrem obłoki zaciemniały światło gwiazd i księżyca. Jednak wiatr niósł już zapach brzasku; czuć było, że wschód słońca jest już za pasem.

Smagnięta ostrym podmuchem wiatru Talia zadrżała, przejęta chłodem. Zamierzała ponownie wsunąć się pod ciepłe koce, gdy nagle zobaczyła coś w dole, pod sobą.

Za ogrodzeniem Łąki Towarzyszy zamajaczyła jakaś drobna postać, widac ją było tylko dzięki odzieniu w jakimś jasnym kolorze.

Nagle domyśliła się, wiedziała, że samotna postać na dole to Elspeth.

Zeskoczyła z łóżka i aż skrzywiła się, czując pod stopami zimne drewno. Nie tracąc czasu na zapalenie świecy, schwyciła naprędce ubranie. Miała zamęt w głowie, opadały ją co rusz to nowe myśli. Czy dziewczynka spaceruje we śnie? A może jest chora? Kiedy jednak niemal bezwiednie, nieśmiało dotknęła swą myślą jej umysłu, stwierdziła, iż Elspeth ani nie była pogrążona we śnie, ani nie czuła się zaniepokojona. Jakaś nagła potrzeba pchała ją do przodu i dziewczynka wyraźnie zmierzała do określonego celu. Gdzieś na dnie mózgu zaświtała Talii myśl, że to być może niepokojące, jednak niemal w tej samej chwili poczuła ten sam nakaz i nie mogąc się mu oprzeć, odbiegła od okna.

Jakby we śnie, na poły zataczając się, wyszła do środkowej komnaty, po omacku odnalazła drzwi i krętymi schodami ostrożnie zeszła na dół — jedną dłoń przesuwając po gładkiej metalowej poręczy, a drugą po szorstkich kamieniach ściany. Trzęsła się tak, że aż dzwoniła zębami. Gęste ciemności na klatce schodowej przyprowały jej serce o lekkie drżenie.

Jednak u stóp schodów było jasno od światła rzucanego przez wiszącą na ścianie latarnię. Ciemnawa, żółta światłość wypełniała wejście na korytarz wyłożony boazerią, tak dobrze oświetlony umieszczonymi na ścianach latarniami, że Talia odważyła się przebiec po kamiennych płytach posadzki, pokonując odległość do najbliższego wyjścia, jakie mogła znaleźć.

Wiatr uderzył w nią z furją; zadał jej cios tak mocny, że zaparło jej dech w piersi. Podmuchał niemal wyszarpnął jej drzwi z rąk i, chcąc nie chcąc, musiała stra-

wić chwilę, zmagając się z nim, by je za sobą zamknąć. Teraz uzmysłowiła sobie, że dotąd nie mogła w pełni posmakować jego siły, bo jej komnata była osłonięta przez gmach Pałacu.

Znalazła się na zewnątrz skrzydła Heroldów, tuż obok wznosiły się stajnie Towarzyszy. Elspeth nigdzie nie było widać.

Teraz, czując się pewniej na własnym terenie niż w nie znanym jej skrzydle pałacowym, Talia rzuciłaby się biegiem, gdyby nie wiatr, który na to nie pozwalał. Wichur obciążał na niej odzienie, ciskał w nią nieokreślonymi szczątkami z siłą bełtów wystrzelonych z kuszy. Ogłuszało ją wypełniające uszy wycie wiatru; wiedziała, że nikt by nie usłyszał jej nawoływań. Opanował ją nieokreślony niepokój — w tych ciemnościach i takiej wichurze Elspeth łatwo mogła postawić fałszywy krok i wylądować w rzece. . .

Wzywała myślą Rolana o pomoc i nie udało jej się go osiągnąć. . .

Albo raczej dosięgła go, lecz nie poświęcił jej ani odrobiny uwagi, skupiony na czymś całą swoją osobą. Co to było, tego nie potrafiłaby powiedzieć, lecz musiał być tym całkowicie pochłonięty, bo zatopiony głęboko w myślach odciął się od wszystkich i wszystkiego dookoła.

Zatem była zdana tylko na siebie. Okrążając stajnie, przebrnęła odległość dzielącą ją od mostu, który wiodł przez rzekę do głównej części Łąki Towarzyszy. Uczucie ulgi było niewiarygodne, gdy ujrzała przed sobą Elspeth, która już stanęła na przeciwległym brzegu i z uporem zmierzała w stronę. . .

Obierając tę drogę mogła kierować się tylko w jedno miejsce — do Gaju.

Talia przyspieszyła kroku, na ile mogła. Szła pochylona na wietrze, jednak dziewczynka zdobyła nad nią znaczną przewagę i zanim Talia przekroczyła most, już wchodziła do Gaju.

Straciła z oczu nikłą sylwetkę, gdy skryło ją listowie. Talia potknęła się na nierównym gruncie. Upadła nie raz, objając sobie ręce i kolana na ukrytych w trawie kamykach. Długie łodygi traw chłostały ją po butach, przy każdym kroku oplątując stopy. Była w połowie drogi do Gaju, kiedy uniósłszy wzrok przy kolejnym upadku, zobaczyła, że — o bogowie — on rozjarzył się słabutko od środka. Zamrugła i potrząsnęła głową, była pewna, że to oczy płatają jej figla. Lśnienie pozostało w tym samym miejscu.

Zaczęła się podnosić, kiedy wszystkim wstrząsnął jakby dobywający się z głębi ziemskich trzewi spazm. Oszołomiona wpiła palce w trawę — jedyną realną rzecz w świecie, który nagle stał się nierealny — słabo zdając sobie sprawę z bólu w poobijanych rękach. Wydawało się jej, że wszystko wiruje, tak jak wtedy, kiedy to jedyny raz w swoim życiu zemdląca. Była zagubiona w ciemnościach, pomiędzy nią a Gajem wyl i wirował wichur. Przez jedną, mdlącą chwilę — czy też może była to wieczność — nic nie było realne.

A potem świat się uspokoił i powróciła normalność przy wtórnie niemal słyszalnego trzaśnięcia; wichur zupełnie zamarł, znów słyszeć było odgłosy i dźwię-

ki, oszołomienie ustąpiło, i wszystko to między jednym a drugim uderzeniem serca.

Talia otworzyła oczy. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że tak zwiera szczęki i zaciska powieki, iż boli ją od tego twarz. Niecałe pięć kroków od niej stała Elspeth pomiędzy dwoma Towarzyszami podtrzymującymi ją między sobą. Rolan stał po jej lewej stronie — zajął już z powrotem swoje należne miejsce w świadomości Talii; był zmęczony, bardzo zmęczony, lecz dziwnie zadowolony.

Talia chwiejnie podniosła się z ziemi. W szarym blasku zachodzącego księżyca mogła rozróżnić rysy twarzy dziewczynki. Elspeth wyglądała, jakby kręciło się jej w głowie, krew uciekła z jej twarzy i była biała jak kreda.

Zataczając się, Talia posunęła się kilka stóp do przodu, złapała dziewczynkę za ramiona i potrząsnęła. Aż do tej pory wydawało się, że ta nic nie wiedziała o jej obecności.

— Elspeth! — Tylko tyle udało jej się z siebie wydusić, trzęsąc się wyczerpana do cna.

— Talia? — Dziewczynka mrugnęła jeden raz, a potem radośnie objęła ramiona swej opiekunki, wybudzona i całkowicie trzeźwa, wprawiając ją tym w prawdziwe osłupienie. — Talio... ja... — Jej śmiech zabrzmiał niemal histerycznie i przez mgnienie Talia obawiała się, że postradała zmysły. Potem puściła Herolda i zarzuciła obie ręce na szyję Towarzysza, który stał po prawej stronie.

— Talio, Talio, stało się! Gwena Wybrała mnie! Zawezwwała mnie, kiedy spałam. I ja przyszedłam do niej, a ona mnie Wybrała!

Gwena?

Talia znała każdego zamieszkującego tutaj Towarzysza, spędziwszy z nimi niemal tyle samo czasu co Keren; była akuszerką przy porodzie wielu źrebiąt, lecz żaden z nich nie miał tak na imię. To mogło oznaczać tylko jedno: Gwena — tak jak Rolan, a nie jak pozostali żyjący Towarzysze — zstąpiła na świat w Gaju. Ale dlaczego? Przez stulecia jedynie Towarzysz Osobistego Herolda Monarchy pojawiał się w ten sposób na świat, tak jak to działo się w starożytności.

Talia zaczęła coś mówić, lecz nagle poczuła obecność Rolana, który wywołał w jej myślach uczucie zakłopotania z lekką domieszką łagodnego wyrzutu.

Talia potrząsnęła głową. Zdumiało ją doznanie, że o czymś zapomniała, lecz otrząsnęła się z tego uczucia. Elspeth została wybrana, to się jedynie liczyło. Teraz jak przez mgłę przypomniawszy sobie klacz — Gwena zawsze była jednym z najbardziej płochliwych Towarzyszy i z daleka omijała wszelkich przybyszów. Widząc, jak z dumą posiadacza dotyka chrapami włosów Elspeth, można by sądzić, że wyzbyła się wszelkiej bojaźliwości. Rolan, który podpierał Elspeth z lewej strony, zrobił kilka kroków, by i Talia mogła oprzeć się o niego, ponieważ teraz ona poczuła miękkość w kolanach, jakby strawiła trzy marki na świecy, fechtując

się z Alberichem. Dookoła ptaki rozpoczynały poranne śpiewy, a na wschodzie pierwsze promienie brzasku wyrysowały na niebie między chmurami radosne, jasne wstęgi.

— Och, koteczku! — Talia wypuściła z rąk grzywę Rolana, by obydwoma rękami przytulić do siebie Elspeth. Z radości o mało co nie rozplynęła się we łzach.

Żadnej z nich nie przyszło na myśl dziwić się, dlaczego nikt inny nie został zerwany z łoża, przez rozkazujący zew, na który obie odpowiedziały, i dlaczego nawet teraz nikt nie spostrzegł, że dzieje się coś nadzwyczajnego.

Talia nie musiała przekonywać Elspeth, by nie wracała do łóżka — ponieważ to było niemożliwe — lecz udało się jej nakłonić ją, by została z Gweną w osłoniętym, niewielkim zagłębieniu, otulona kocem wyniesionym ze stajni. Miała nadzieję, że kiedy opadnie podniecenie, dziecko ponownie zapadnie w drzemkę; na bogów, wiadomo, że nic jej nie grozi na Łące pod opieką własnego Towarzysza trzymającego straż. Z całego serca pragnęła zrobić to samo, lecz musiała dopilnować mnóstwa spraw.

Pierwsze i najważniejsze było obwieszczenie o tym Królowej. Nawet o tak wczesnej porze można było już zastać Selenay przy pracy i niewykluczone, że w towarzystwie jednego czy dwóch spośród Rady. Trzeba było zatem liczyć się z koniecznością ogłoszenia wieści zgodnie z przyjętą na dworze etykietą, a nie wtargnąć do komnaty Selenay, wyśpiewując radosną nowinę, jak naprawdę Talia miała ochotę postąpić.

Choć sprawiłoby to Selenay przyjemność, tego rodzaju zachowanie w oczach członków Rady byłoby złym świadectwem dojrzałości Osobistego Herolda Królowej. Tak więc, owiewana podmuchami orzeźwiającego wietrzyku, który zerwał się wraz ze wschodem tego nieskazitelnego poranka, przy muzyce ptasich chórów, która jednakowoż brzmiała jak blade, odległe echo wypełniającej jej serce radości, Talia powłócząc nogami wróciła do swej komnaty, by się przebrać. Tym razem dołożyła wszelkich starań, by wyglądać schludnie i pedantycznie, załamując w duchu ręce na widok pozostawionych przez trawę plam na nogawce bryczesów, które z siebie ściągnęła. A potem poszła — poszła — dostojnie i ostrożnie stawiając kroki, przechodząc cichymi, pustymi korytarzami skrzydła Heroldów do skrzydła Nowego Pałacu, w którym mieściły się komnaty Królowej i Dwór.

Jak zazwyczaj dwóch gwardzistów w niebieskich mundurach trzymało straż przed drzwiami do królewskiej komnaty. Skinęła im głową na przywitanie — smągłemu Jonowi z prawej i pomarszczonemu, zasuszonemu Fessowi z lewej; byli jej dobrymi znajomymi, korciło ją, by i im szepnąć słówko, jednak to byłoby niegodne, etykieta zostałaby doszczętnie zniszczona. Osobisty Herold Królowej miał prawo wstępu do komnat Królowej o każdej porze dnia i nocy i dlatego bez

przeszkód wpuszczono ją przez ciężkie drzwi ze złocistego dębu.

Tak jak się tego spodziewała, ubrana w formalny, biały uniform Selenay pilnie już pracowała w wyłożonym ciemną boazerią gabinecie, siedząc za ogromnym, masywnym biurkiem, którego blat zasypany był dokumentami; za jej plecami stali lord Orthallen i Seneszał. Przestraszona, podniosła spojrzenie na wchodzącą Talię — jej oczy nawet o tak wczesnej porze wyglądały na znużone. To, co zmusiło członków Rady do odwiedzenia jej, nie wyglądało na sprawę przyjemną. . .

Może Talii uda się zmienić tę sytuację.

O wadze przyniesionej wieści dała Selenay do zrozumienia składając, zgodnie z etykietą, płytki ukłon przed wejściem, a że jest ona pomyślna — radosnym mruknięciem w starannie wybranej chwili, tak że tylko Królowa mogła je zauważyć. Etykieta nakazywała przejście ni mniej ni więcej tylko pięciu kroków po ciemnoniebieskim dywanie, co zaprowadziło Talię na odległość, z której można było już wygodnie rozmawiać. Tam przyklękła na jedno kolano, próbując opanować grymas bólu, gdy posiniaczonym miejscem dotknęła podłogi. Selenay, zawijając pasemko włosów za ucho i prostując się oczekująco, skinieniem głowy zezwoliła jej na zabranie głosu.

— Wasza Wysokość, przybyłam, by w imieniu ucznia prosić o prawo wstępu do Kolegium — powiedziała z powagą Talia, z dłońmi złożonymi na kolanie, wywracając oczami z powodu tak niedorzecznych formalności.

To zainteresowało nie tylko Selenay, ale i obydwóch członków Rady. Jedyne szlachetnie urodzeni musieli zwracać się o pozwolenie do Korony, ponieważ zostanie Heroldem często wiązało się ze zrzeczeniem się tytułów i ziemi — i to zarówno już posiadanych, jak i praw dziedzicznych.

Talia dostrzegła zaintrygowany wzrok członków Rady, i rosnącą w oczach Selenay nadzieję.

— Który Towarzysz dokonał Wyboru i jak brzmi imię kandydata oraz jaką zajmuje pozycję? — Selenay udzieliła odpowiedzi tak samo formalnym tonem, lecz zacisnęła dłoń na stojącym przed nią kielichu tak mocno, że aż zbieła jej knykcie.

— Wyboru dokonał Towarzysz Gwena. — Talia z trudem opanowała się, by nie wyśpiewać tych słów. — A jej Wybrany został przypuszczalna Następczyni Tronu, teraz Prawna Dziedziczka Tronu, lady Elspeth. Czy otrzymam zgodę Królowej, by ją wprowadzić w poczet uczniów Kolegium?

Nawet marka na świecy nie zdołała się upalić, gdy na Dworze i w Kolegium zawrzało od plotek. Talia tkwiła w nich po uszy, załatwiając formalności związane z przeniesieniem Elspeth spod opieki matki do Kolegium. Dziewczynka spędziła ten dzień w błogiej niewiedzy o całym zamieszaniu — i całe szczęście. Pierwsze razem spędzone chwile miały ogromną wagę dla tworzącej się pomiędzy Herol-

dem i jego Towarzyszem więzi i dlatego, o ile to możliwe, nic nie powinno ich zakłócać. Tak więc to na barki Talii spadło zadanie, by do powrotu rozmarzonej Elspeth z Łąki Towarzyszy wszystko — począwszy od załatwienia jej przydziału, do przeniesienia rzeczy do Kolegium — zostało załatwione w jej imieniu.

Pod koniec dnia Talii przyszło do głowy, że byłoby stosowniej, by Elspeth zasiadła do kolacji na Dworze, a nie w Kolegium. Królowa mogłaby wtedy wykorzystać okazję i formalnie ogłosić wybór Następcy Tronu.

Ukończyła układanie planu zajęć Elspeth z Dziekanem Elcarthem i biegiem popędziła po schodach do swych komnat, tak szybko, jak na to pozwalało jej obolałe kolano. Obmywszy się naprędce, wywróciła do góry nogami drewnianą szafę, przeklinając szpetnie, bo przy tej czynności uderzyła się głową w jedno ze skrzydeł drzwi. Kiedy uporała się z wyborem stroju stosownego na tę okazję, pośpiesznie przystroiła się w aksamitne odzienie; podskakując przy wsuwaniu stóp w miękkie, dopasowane do reszty ubioru pantofle, czesała się jedną ręką, by drugą wyłowić spomiędzy ksiąg na wiecznie zakurzonym biurku odpowiedni traktat o dworskim protokole. Wyginając ciało, by strój ułożył się na nim jak najpiękniej i gładząc włosy, tym razem już obydwoма rękami, przebiegła szybko wzrokiem po opisie ceremonii uczestniczenia w koronacji Następcy Tronu. Przelotnie rzuciła spojrzeniem w zwierciadło, sprawdzając prezencję, i udała się do Wielkiej Sieni.

Wsunęła się na rzadko zajmowane przez siebie krzesło, które stało pomiędzy Elspeth i Królową, i wyszeptała:

— No i jak?

— Zamierza dokonać tego, gdy tylko wszyscy się zjawią. — Elspeth stać było ledwie na westchnienie. — Coś mi się zdaje, że tego nie dożyję...

— Nic z tego — szepcząc jak spiskowiec, odparła Talia. — Ty zajmujesz się tym od wieków. To ja chyba umrę!

To, że teraz i Talia przeżywała tortury, przyniosło Elspeth ulgę.

Od pojawienia się w Kolegium Talia uczestniczyła w dworskich przyjęciach zaledwie kilka razy i Wielka Sień nie przestała wywierać na niej wielkiego wrażenia. Było to największe pomieszczenie w Pałacu, jego wysokie sklepienie, spoczywające na smukłych kolumnach z żelaznego dębu lśniło złociście w świetle płonących świec i latarni, zwieszały się z niego bitewne chorągwie i proporce Heroldów, pamiętające czasy założenia Valdemaru. Krzesło Talii stało na podium usytuowanym poprzecznie do reszty stołów w Sieni. Poprzez wąskie, wysokie okna na całej szerokości zachodniej ściany wpadały promienie zachodzącego słońca, a tymczasem te po wschodniej stronie zaczynały ciemnieć w nadchodzącym zmierzchu. Barwna ciżba dworzan zasiadających za stołami przypominała klomb dzikich kwiatów, tworzyli przyjemną dla oka plamę na tle złocistych blatów wykonanych z żelaznego dębu.

Kiedy zebrani wypełnili Wielką Sień, woźni nakazali ciszę i Królowa wstała

ze swego miejsca; gdy rozpoczynała przemowę, można by nawet usłyszeć spadające ptasie pióro. Oczy wszystkich w Sieni spoczęły na dumnej, odzianej w Biel postaci o jasnych włosach, spiętych wąskim diademem z czerwonego, królewskiego złota — jedynej oznace jej godności.

— Od śmierci mojego ojca czekaliśmy na Następcę Tronu. Rozumiem i współczuję tym spośród was, których sytuacja taka niepokoiła, a nawet budziła lęk. Teraz możecie się radować — nadszedł kres niepewności. Tego dnia moja córka Elspeth została Wybrana przez Towarzysza Gwena, co uczyniło z niej pełnoprawnego kandydata do objęcia Tronu. Wstań, córko.

Elspeth i Talia razem podniosły się ze swoich miejsc — Elspeth, by stanąć przed swą matką, a Talia, by odebrać srebrną koronę z rąk woźnego, który ją dotąd trzymał. Podała ją Królowej i zajęła właściwą dla Osobistego Herolda pozycję tuż za plecami, nieco po prawej stronie Selenay. Ucieszyło ją, że Elspeth słowa przyrzeczenia powtarzała głosem silnym i wyraźnym, choć trzęsły się jej ręce a wzrokiem uczepliła się spojrzenia Talii jakby liny ratunkowej.

Elspeth ledwo żyła ze strachu, pomimo że przez całe życie była przygotowywana na tę chwilę. Na szczęście bez przeszkód mogła widzieć twarz Talii i to podtrzymywało ją na duchu; obecność Osobistego Herolda uspokajała i dodawała jej odwagi. W połowie przysięgi przez jedną, pełną grozy chwilę zapomniała słów, które właśnie padły z ust matki. Zalało ją uczucie wdzięczności na widok poruszających się warg Talii — uzmysłowiła sobie, że ona podpowiada jej formułkę, która właśnie wyleciała jej z głowy. Było w tym coś więcej niż trwanie u boku przyjaciele. Po Wyborze zmysły Elspeth rozwinęły się i wyostrzyły, teraz znajdowała w Talii mocne, uspokajające oparcie, jak we wrośniętym głęboko w ziemię drzewie, pod którego gałęziami można zawsze znaleźć kryjówkę, gdy szaleją dzikie wiatry. Kiedy powtórzyła ostatnie słowa przyrzeczenia, nagle uświadomiła sobie, jak ważna może być taka ostoja dla władcy, który nieuchronnie musi stawić czoło wichurom i to najczęściej samotnie. Czowała również wyraźnie miłość, jaką darzyła ją Talia i uczucie prawdziwej przyjaźni. Już samo to wpływało kojąco. Kiedy wymówiła ostatnie słowo, a matka umieściła jej srebrny diadem na głowie, spróbowała zawrzeć całą wdzięczność odczuwaną do przyjaciółki w uśmiechu, który jej posłała.

Gdy Królowa ozdobiła koroną głowę córki, pierś Talii rozparła radość na dźwięk żywiołowych wiwatów. Być może teraz odejdzie w niepamięć Bachor.

Jednakże gdy wszyscy powrócili na swoje miejsca i zaczęto roznosić potrawy, nagle smakołyki z królewskiego stołu straciły cały swój urok dla Talii, która przypomniała sobie, że przyjdzie jej jeszcze przetrwać ceremonię, o której nie

ma zielonego pojęcia — uroczyste złożenie hołdu, w czym Osobisty Królowej odgrywał poważną rolę. Uroczystość miała się odbyć, gdy tylko zjadą do stolicy wszyscy możni Królestwa. Talia sięgnęła na oślep po kielich, by zwilżyć usta raptownie wyschnięte z przerażenia.

A potem wzięła się w karby. Kyril i Elcarth — Herold Seneszala i Dziekan Kolegium — na pewno wiedzą wszystko o takich uroczystościach i zapewne doskonale zdają sobie sprawę z tego, że Talia nie ma o tym najmniejszego pojęcia. Nie trzeba ulegać przerażeniu. A przynajmniej jeszcze na to nie czas.

Wydawało się, że uczta posuwa się do przodu powoli i jakby z namysłem. Po raz pierwszy w swym życiu Talia uczestniczyła w Wielkiej Biesiadzie i sprawiła ona na niej wrażenie niewiarygodnie nudnej. Jej westchnienie nie umknęło Królowej.

— Znudzona? — szepnęła kącikiem ust.

— Och, skądże! — odpowiedziała Talia, siląc się na uśmiech.

— Kłamczucha — z błyskiem rozbawienia w oczach skwitowała Selenay. — Chyba tylko dureń nie czułby się tym wszystkim znudzony. Nic tylko siedzisz i uśmiechasz się tak długo, aż zeszywnieje twarz i siedzenie. Po czym dalej siedzisz i uśmiechasz się.

— Jak udaje ci się to dzień w dzień? — zapytała Talia, próbując stłumić śmiech.

— Ojciec nauczył mnie gry, teraz gramy w nią z Elspeth. Co to tym razem jest, koteczku?

— Wróciliśmy do zwierząt — odparła Elspeth, podczas gdy jej matka skinęła głową podstarzałemu księciu, w odpowiedzi na jakąś uwagę, którą właśnie wymamrotał. — Zgadujemy na zmianę, jakie zwierzęta przypominają swym wyglądem dworzanie. Czasami są to kwiaty, drzewa, skały, elementy krajobrazu, nawet zjawiska atmosferyczne. Tym razem gramy w zwierzęta, a on jest borsukiem.

— Ha, jeśli on jest borsukiem, to jego żona jest psem podwórzowym. Spójrz, jak się za każdym razem jeży, uśmiechając do tej ślicznej służącej, która jej służy — powiedziała Talia.

— O, to mi nigdy nie przyszło do głowy! — wykrzyknęła Elspeth. — Dobra będziesz w tej grze!

Udało im się zachować powagę na twarzy, ale nie przyszło im to tak łatwo.

Talia odnalazła Kyrila następnego dnia, właśnie przed jednym z odbywających się trzy razy w tygodniu spotkań Rady, i dowiedziała się, że ma trzy tygodnie na przygotowanie Elspeth do formalnej inwestytury. Solennie obiecał jej, że wraz z Elcarthem codziennie będą ćwiczyć z nią wszystko, co powinna wiedzieć — od polityki po dworską etykietę.

Zebrania Rady same w sobie były ciężką próbą. Wraz z Elspeth zasiadały na

szarym końcu wygiętego w podkowę stołu, prawie naprzeciw Selenay i pustego krzesła, które stało obok niej. To miejsce było przeznaczone dla Osobistego Herolda Królowej, jednak zgodnie z prawem Talia nie mogła go zająć, póki pomyślnie nie ukończyła praktyki czeladniczej. Mogła zabierać głos, jednak nie mogła głosować. Prawo głosu Elspeth także było zawieszona, póki i ona nie ukończy okresu czeladniczego. Członkowie Rady zwykle lekceważyli je z powodu braku prawa do głosu, jednak nie tego dnia.

Tym razem przepytawali Talię i Elspeth z tak źle skrywaną skwapliwością, że trąciło to impertynencją. Kiedy Talia sądzi, że wyruszy w teren? Czy można by skrócić czas przebywania w polu do roku? Albo też, mając na względzie wagę zajmowanej przez nią pozycji i brak doświadczenia, czy nie powinno się go przedłużyć ponad zwyczajowe półtora roku? Czy nie można by przyśpieszyć nauki Elspeth? Czego powinna się uczyć poza zwykłymi przedmiotami wykładanymi w Kolegium Heroldów? Czy ona czuje się przygotowana do zajęcia nowej dla siebie pozycji Następcy Tronu? I tak dalej, i tak dalej. . .

U większości dostojników Talia wyczuła jedynie denerwujący zapach przyjscia z pomocą dzieciom — nie po raz pierwszy złorzeczyła w duchu na swą delikatną posturę, która powodowała, że wciąż wyglądała na niedojrzałą dziewczynkę. Lecz u innych. . .

Lord Orthallen, jeden z najbliższych doradców Selenay — tak jak i jej ojca — zmierzył obie chłodnym, niemal zimnym spojrzeniem. Talia poczuła się, jakby była dorodnym okazem jakiegoś niezwykle rzadkiego gatunku żuka, leżącym na stole i gotowym do pokrojenia. Nic nie mogła powiedzieć o odnoszonych przez niego wrażeniach — nigdy jej się nie udawało tego u niego wychwycić. Było to niezwykle niepokojące dla kogoś, kogo Darem była Empatia. Jeszcze bardziej niepokojące było wyczuwalne, słabe uczucie niezadowolenia z tego, że Elspeth została w końcu Wybrana.

U Barda Hyrona, wysłannika Kręgu Bardów, odebrała odległe uczucie, że wydarzenia toczą się o wiele za szybko; że niedostatecznie przestrzega się zasad ostrożności, i że on nie całkowicie jej ufa.

W emocjach lorda Garthesera odczuwała cień ogólnego niezadowolenia z całej sprawy, jednak nie mogła odkryć przyczyn. Był w nich i posmak leciutkiego rozczarowania — był on krewnym Kemoca, jednego z trzech jeszcze kandydatów do tronu. Czy to jednak wszystko? A może kierowały nim jakieś głębsze powody?

Przyczyn otwartego poirytowania lady Wyryst Talia także nie potrafiła zgłębić. Może obawiała się, że Talia będzie faworyzować swych krewnych z Grodu leżącego na terenach, których posłem była ona. Nie mogła wiedzieć, iż to było raczej wykluczone!

Orthallen zaniepokoił ją najbardziej, lecz wiedziała, iż po rozwiązaniu Rady nie powie o tym nikomu. Nie miała żadnych namacalnych dowodów, a wiadomo było, że patrzą na siebie krzywo z powodu traktowania przez lorda Orthallena

i nieomalże wydalenia z Kolegium Heroldów jej przyjaciela Skifa. Była zbyt przebiegła na to, by dawać mu do ręki tak potężny argument — jeśli on istotnie był wrogiem — że jakoby czuje do niego osobistą urazę. A więc tylko uśmiechnęła się słodko i podziękowała mu za serdeczne życzenia. Niech sobie myśli, że jest niewinna i głupiutka, a tymczasem ona nie spuści z niego czujnego oka. Lecz wkrótce jej tutaj nie będzie. Wielkimi krokami zbliżała się chwila, gdy wyruszy w pole na praktykę czeladniczą na całe półtora roku i wyjdzie z rwącego nurtu codziennych intryg na Dworze. Zajmowanie nimi stanie się dla niej niemożliwe.

Jeśli Gartheser, Orthallen, albo ktokolwiek inny knuł coś w najgłębszej tajemnicy, nie będzie u boku Elspeth nikogo, kto mógłby wyczuć cień tej intrygi.

Talia wyjedzie — kto zatem będzie ich pilnował?

DRUGI

Trzy tygodnie do inwestytury. Zaledwie trzy tygodnie, lecz wydawało się, że dłużej się one jak trzy lata — przynajmniej dla Talii.

Trzeba było nauczyć się na pamięć długiej ceremonii składania przysięgi i zobowiązania, ale nie to było najgorsze. Ten szczególny rytuał wymagał od Talii, by robiła to, czym najwyraźniej zajmowali się Heroldowie w czasach, zanim król Valdemar założył swoje królestwo: po kolei obwieszczała imię, tytuł i zajmowane stanowisko przybywających dygnitarzy i odprowadzała ich do stóp tronu.

Z podwójnej roli, jaką musiała spełnić, ta była oczywiście mniej istotna. W rzeczywistości ważniejszym było, by, wykorzystując swój Dar Empatii, ocenić — i usunąć — wszelkie niebezpieczeństwa, jakie mogłyby grozić Królowej i Następczyni Tronu ze strony ludzi, w których zasięgu miały się znaleźć. Ceremonialne kostiumy na Dworze Jej Królewskiej Mości obfitowały w ozdoby, którymi można by okaleczyć człowieka, a nawet zabić.

Z tym był niejaki kłopot. Talia pochodziła ze wsi, nie była szlachetnie urodzona i wyszukane, paradne kaftany, w których dobrze urodzone dziecko potrafiło się rozeznąć z taką łatwością jak w książkach, w jej oczach były zaledwie zawilumi wzorami złotych haftów, które wprowadzały zamęt w głowie. A tymczasem miała stanąć w obliczu przedstawicieli wielkich rodów, drażliwych w sprawach swoich tytułów i skorych przyjąć za afront pominięcie nawet najmniejszego i o najpóźniejszym znaczeniu.

A więc musiała godzinami samotnie wysiadywać w kancelarii Herolda Kyrila na jego ulubionym, twardym krześle, aż cierpły jej pośladki, wbijając sobie do głowy stronę za stroną z państwowej księgi herbowej, aż łzy jej z oczu płynęły. Zasnęła z widokiem kolorowych, wyimaginowanych zwierząt, ptaków i roślin wirujących w szalonym tańcu pod jej powiekami. Rano budziła się z echem głosu Kyrila w uszach, nawołującego ją do ćwiczeń.

Każdego dnia przynajmniej godzinę trwonila w dusznej komnacie Rady, gdzie jej członkowie spierali się po próżnicy nad jakimiś szczegółami protokołu zbliżającej się ceremonii, trawiając czas tak, że rozczarowanej Talii zbierało się na wrzask.

Przynajmniej Elspeth zostało to oszczędzone, i tak miała pełne ręce roboty, obciążona nowymi lekcjami i obowiązkami w Kolegium. Mniej więcej przez na-

stępne pięć lat, aż po ostatnią ceremonię, nie będzie ani mniej, ani bardziej ważna od żadnego innego ucznia, i oczywiście nikt nie będzie jej rozpieszczał — z pewnymi zastrzeżeniami. Gdy już zadomowi się na nowym miejscu, powróci na posiedzenia Rady i znów zajmie należne jej miejsce na Dworze Jej Królewskiej Mości. Lecz to były raczej obowiązki niż przyjemności, z których — jak podejrzewała Talia — Elspeth chętnie by zrezygnowała, jeśliby pozostawiono jej możliwość wyboru.

Kiedy Talia skorzystała z okazji, by ją odwiedzić i sprawdzić, jak jej się wiedzcie, dziewczynka wydawała się bardzo zadowolona. Na pewno cieszyła się z więzi, jaka nawiązała się między nią a jej Towarzyszem Gwena. Keren powiedziała Talii, że widuje, iż każdą wolną chwilę ta para spędza razem na Łące. I tak powinno być.

Jednak w zebraniach Rady była pewna burząca spokój osobliwość. Spędzała ona sen z powiek Talii, wprowadzała fałszywy ton niepokoju do świątecznego nastroju, który ogólnie zapanował na Dworze i w Kolegium.

Również członków Rady i dworzan Talia co rusz przyłapywała na rzucaniu w jej stronę nieomalże strachliwych spojrzeń, kiedy wydawało się im, że tego nie widzi. Gdyby nie trafiało się to tak często, pomyślałaby, że to wytwory bujnej wyobraźni, lecz niemal co dzień ktoś patrzył na nią tak, jak na jakieś niezwykle stworzenie, które może okazać się niebezpieczne. To ją trapiło, nieraz zatęskniła za Skifem i jego talentem w szpiegowaniu i wynajdywaniu pomysłowych forteli. Ale Skif w najlepszym razie był od niej odległy o wiele mil, wiedziała więc, że będzie musiała jakoś sobie radzić pod tym obstrzałem podejrzliwych spojrzeń w nadziei, że rozpuszczane o niej plotki — a nie miała wątpliwości, że one jej dotyczyły — zostaną zapomniane lub wypłyną tam, gdzie będzie mogła poddać je próbie.

Na dodatek każdego dnia sporo czasu poświęcała na pomaganiu w szkoleniu młodej Uzdrowicielki, Rynee, która miała ją zastąpić w czasie jej wyprawy czeladniczej. Rynee, podobnie jak Talia, była uzdrowicielem umysłów; nie będąc Heroldem, nie mogła całkowicie zastąpić Talii, jednak mogła uczulić swoje zmysły tak, by spostrzec przygnębionych i zrozpaczonych Heroldów.

Na koniec zaś czekała ją rzecz nie mniej ważna: wyczerpujące pojedynki z Alberichem, który starał się jak najszybciej przygotować Talię i Elspeth na wszelkie próby zabójców, z jakimi mogły się spotkać.

— Naprawdę nie potrafię zrozumieć, dlaczego ty to wszystko robisz — powiedziała pewnego dnia Elspeth, jakiś tydzień przed uroczystą datą. — Przede wszystkim to ja z nas dwojga jestem lepszym szermierzem. — Zajęła dogodne miejsce na ławce pod ścianą sali szermierczej, usiadła ze skrzyżowanymi nogami i patrzyła na zlaną potem i poobijaną w tyłu miejscach, że znudziło jej się liczyć,

Talię oraz — co było zdumiewające — Albericha, który wcale nie był w lepszej kondycji.

Alberich skinieniem pozwolił Talii na odpoczynek. Osunęła się na podłogę tam, gdzie stała.

— Po części — odparła — to dla pozorów. Nie chcę, by ktokolwiek poza Heroldami wiedział, jak jesteś zręczna. Pewnego dnia może to ocalić ci życie. A także, zgodnie z tradycją koronowane głowy nie bronią się własnoręcznie. Ten obowiązek spada na innych.

— Chyba że nie ma wyboru?

Alberich kiwnął głową.

Elsbeth westchnęła.

— Teraz zaczynam żałować, że zostałam Następczynią Tronu. Nie wygląda na to, by zezwolili mi na jakąkolwiek zabawę!

— Kociaku! — Talia ledwo mogła nabrać powietrza. — Jeśli takie jest twoje wyobrażenie o zabawie — serdecznie zapraszam!

Smętne spojrzenie, które Alberich zamienił z Elspeth, świadczyły dobitniej niż słowa: *ona nigdy nie zrozumie*, podkreślając to niemal identycznym wzruszeniem ramion, na co Talia z ledwością opanowała wybuch śmiechu.

W końcu nadszedł dzień długo oczekiwanego — i przerażającego Talię — rytuału oficjalnej inwestytury Elspeth jako Następczyni Tronu, Ceremonia hołdu miała odbyć się wieczorem, po czym miała rozpocząć się radosna biesiada. Talia, jak zwykle, nie mogła zdążyć z wszystkim na czas.

Opuściła w pośpiechu Kyrila i pobiegła do łaźni, potem, skacząc po dwa stopnie naraz — do komnat na wieży. Kiedy się tam znalazła, podziękowała bogom, że jeden ze służących okazał się przewidujący i przygotował jej odzienie, gdyby tego nie zrobił, byłaby jeszcze bardziej spóźniona.

Z drżeniem serca nałożyła na siebie wspaniałe szaty z jedwabiu i aksamitu. Nigdy nie nosiła ceremonialnego stroju, choć dość często pomagała ubierać się Elspeth.

Stała przed lustrem, starając się utrzymać równowagę przy zawiązywaniu tasiemki od pantofli dookoła kostek.

— A niech to licho — westchnęła. Wiedziała, jak powinien wyglądać dworzanin. Ona tak nie wyglądała. — Ha, to będzie musiało wystarczyć. Chciałabym tylko...

— Czego byś chciała?

Jeri i Keren wystawiły głowy spoza futryny i zastukały w skrzydło drzwi. Talia jęknęła. Jeri wyglądała tak, jak ona chciałaby wyglądać: w ślicznej szacie, pięknie uczesana; starannie zakręcone, brązowe włosy układały się we fryzurę, której każdy loczek był na swoim miejscu.

— Chciałabym wyglądać tak jak ty: oszałamiająco, a nie jak oszołomiona.

Jeri roześmiała się. Patrząc na nią, nikt by nie przypuścił, że prawie dorównywała Alberichowi w zręcznym szatkowaniu przeciwników niemal każdą bronią, jaka byłaby na podorędziu.

— To doświadczenie, kochanie. Potrzebujesz pomocy? — Z jej zielonych oczu trysnęły iskierki. — Zajmuję się tymi nonsensami, od kiedy nauczyłam się chodzić, a mama zwykle rozkazywała wszystkim służącym w domu, by to jej przyszli z pomocą, a więc musiałam się nauczyć, jak to się robi.

— Jeśli potrafisz sprawić, bym nie wyglądała jak parobek, będę ci wdzięczna do zgonnie!

— Myślę — odparła wesoło Jeri — że przynajmniej to nam się uda.

Na zapalonej świecy zniknęło kilka kolejnych marek, a Talia siedziała na swoim łożu jak na szpilkach, oczekując na wynik tajemniczych zabiegów, którym poddano jej fryzurę i twarz, podczas gdy Jeri z Keren wymieniały niezrozumiałe uwagi. W końcu Jeri wręczyła jej lustro.

— Czy to ja? — zapytała zdumiona Talia, patrząc na odbicie wyrafinowanego oblicza, wynurzającego się z ram lustra. Ślady działalności Jeri były ledwo widoczne, a jednak jakoś udało jej się uwypuklić doświadczenie i dostojeństwo, nie przydając lat, ani nic nie ujmując świeżości. Ułożyła jej zazwyczaj leżące w nieładzie loki w modną fryzurę, przeplecioną srebrną wstążką.

— Czy ja się odważę poruszyć? Czy to się nie rozpadnie?

— Na niebiosa, nigdy! — roześmiała się Jeri. — Po to jest wstążka, kochana. Tym razem to ci raczej nie grozi — dzięki ci, Panie — lecz doskonale znasz swe obowiązki w nagłych wypadkach. Osobisty Monarchy powinien być zdolny, obrotny i wrócić na ceremonię, która się właśnie odbywa. To dlatego twoja suknia sięga tylko do kostek, a nie do podłogi, jest pozbawiona trenu i rękawy odpadają, jeśli za nie szarpnąć — o tak, wierzaj mi! Powinnam to wiedzieć, osobiście nadzorowałam szycie tej sukni. Od dawna już nie mieliśmy Osobistego Monarchy, który byłby kobietą, i nikt nie wiedział, na czym właściwie powinna polegać przeróbka kostiumu na Dwór Jej Królewskiej Mości. W każdym razie, teraz mogłabyś poćwiczyć z Alberichem i nawet loczek by ci się przy tym nie rozluźnił, ani nie odpadłaby żadna część twojego kostiumu, której sama nie chciałabyś się pozbyć. Jednak lepiej nie przecieraj oczu, bo będziesz wyglądać jak pobita. — Zebrała swoje przybory i dorzuciła: — Lepiej chodźmy już, jeśli nie chcemy utknąć w tłumie.

— I nie zapomnij o najważniejszych częściach swego stroju, dzieciaku — ostrzegła Keren, gdy zaczynały schodzić po schodach.

Talii nie trzeba było o tym przypominać. Pozostałe przedmioty czekały już przygotowane, leżąc na podorędziu. Po pierwsze, przypasała pas z pochwą z długim sztyletem, który ułożył się jej na prawym udzie. Łatwo mogła po niego się

gnąć — poddała to starannej próbie — przez rozcięcie w sukni.

Następnie przyszła kolej na parę noży do rzucania, które można było szybko wyciągnąć z pochwy; Skif podarował je Talii dawno temu i nauczył ją, jak się nimi posługiwać. Nawet Alberich musiał przyznać, że Skif był niezrównany, jeśli chodziło o wybór tej broń. Na koniec ostrożnie ukryła w ułożonych przez Jeri włosach dwa niewielkie sztyleciki, zdobione ornamentem i migotliwymi kamieniami szlachetnymi.

Żaden Herold nigdy nie był bezbronny, zwłaszcza Osobisty Królowej, o czym przypominała jej Keren. Takiej przezorności niejednen Monarcha zawdzięcza życie.

Kiedy Talia zbierała się do wyjścia, rozległo się pukanie do drzwi. Otworzywszy je, ujrzała stojącego na progu Dziekana Elcartha. Po obu jego stronach, oświetleni wiszącą nad jej drzwiami latarnią, jakby żywe wcielenia Dnia i Nocy, ogromni w porównaniu z drobnutkim Elcarthem stali Dirk i Kris; dwie głowy obok siebie — jasnowłosa i o włosach czarnych jak skrzydło kruka. Talii nie obito się o uszy, by którykolwiek wrócił ze swojej wędrówki, i zaskoczona nie mogła wykrztusić ani słowa. Patrzyła tylko na niespodziewanych gości.

— Żaden z tych galantów nie wydaje się towarzyszyć damie — odezwał się Dziekan z figlarnym błyskiem w oku, — A ponieważ nie posiadasz eskorty, natychmiast przysłaś mi na myśl.

— Cóż za troskliwość — powiedziała oschle Talia, zebrawszy w końcu myśli wiedząc, że to nie wszystko. — Nie sądzę, byście kierowali się jeszcze czym innym, nieprawdaż?

— Ha, ponieważ jesteś czeladnikiem u Krisa, pomyślałem, że być może chciałabyś poznać go w spokojniejszych okolicznościach, niż podczas waszego ostatniego spotkania.

A więc to Kris był jej mentorem. Sherrill nie myliła się.

— Spokojniejszych? — pisnęła Talia. — To mają być spokojniejsze okoliczności?

— Stosunkowo.

— Elcarth! — zniecierpliwiał się Dirk. — Heroldzie Talio, on się z tobą droczy. Poprosił nas o pomoc, bo znamy większość obecnych tutaj ludzi, a więc możemy ci podpowiedzieć w razie, gdybyś się pogubiła.

— Wiemy również, kto skłonny byłby do intryg, choć nie spodziewamy się kłopotów — ciągnął Kris. Jego niebieskie jak niebo oczy śmiały się ciepło. — Czy jednak nie sądzisz, że dwa zwaliste, nieokrzesane, stojące za plecami Królowej pacholki nie podziałają odstraszaająco?

— O, błogosławieni! — z ulgą wyrwało się z piersi Talii. — Byłam panicznie przerażona, że powiem coś niewłaściwego, albo zaanonsuję niewłaściwą osobę

i śmiertelnie kogoś obrażę. — Ostrożnie nic nie wspomniała o zabójcach, choć wszyscy czworo zdawali sobie sprawę, jak w takim przypadku byłaby użyteczna ta para.

Kris uśmiechnął się szeroko, a Dirk oddał dworny ukłon, któremu niedorzeczności ujęło mrugnięcie oka, gdy podnosił wzrok na Talię.

— Jesteśmy twoimi sługami, o najczarowniejsza ze wszystkich Heroldów — zaintonował, czym upodobił się bardzo do aktora przesadnie grającego swoją rolę w jakimś okropnym dramacie miłosnym.

— Och, nie bądź śmieszny! — Talia zarumieniła się, osobliwie tym połączona, jednak czując się nieswojo. — Wiesz przecież, że przy Nessie i Sherri wyglądam jak wróbel. Kiedy widziałeś mnie ostatnio, płątałam ci się pod nogami jako dziecko i najpewniej wyglądałam jak resztki owsianki. Dla przyjaciół jestem Talia. Zwyczajnie — Talia.

Dziekan obrócił się na pięcie i truchtem zbiegł schodami na dół, wydając się bardzo z siebie zadowolony. Kris roześmiał się a Dirk błysnął zębami w uśmiechu; obaj podali jej ramię. Ujęła ich obu, czując się pomiędzy nimi jak karzełek. Na schodach ledwo pomieścili się we trójkę.

— Ha, ty łobuzie, znów dopiąłeś swego — rzekł Dirk do przyjaciela, ponad jej głową, mrużąc oczy, gdy wynurzyli się z półmroku klatki schodowej, wchodząc do jasno oświetlonego korytarza. — Do mnie przychodzi na czeladnika kościsty obwieś, były złodziejaszek o końskim apetycie, a tu patrzcie, co tobie się dostaje! To po prostu niesprawiedliwe! — Spojrzał w dół z wysokości swoich sześciu i pół stopy wzrostu i zwrócił się do niej:

— Przypuszczam, że po tym, jak spojrzę na owiane słuszną sławą oblicze mojego przyjaciela, reszta nas nie ma u ciebie żadnych szans.

— Na twoim miejscu o nic bym się nie zakładała — odparła z ostrzejszą nutką w głosie. — Ja widziałam go już poprzednio i nie widać, bym z uwielbienia padała mu teraz do stóp, prawda? Mój ojciec i brat byli tak samo przystojni. Nie chcę cię obrazić, Krisie, jednak mam poważne powody, by nie ufać przystojnym mężom. Wołałabym raczej, byś miał zęza, albo brodawki, czy coś podobnego. Czułabym się o wiele bezpieczniej w twojej obecności, gdybyś był mniej doskonały.

Dirk wybuchnął gromkim śmiechem na widok zmieszania na twarzy przyjaciela.

— Ten nowy czeladnik jest w sam raz dla ciebie, mój stary, jedyny druhu! Odrzucony przez kobietę! Jak się czujesz w mojej skórze?

— Dziwacznie — odparł z humorem Kris — zdecydowanie dziwacznie. Jednak muszę powiedzieć, że raczej czuję ulgę. Obawiałem się, że zdrowy rozsądek zawodzi Elcartha, skoro przydziela mi kobietę na czeladnika. Widziałem ciebie tylko raz lub dwa razy, pamiętasz, i wtedy niewiele mówiliśmy o sobie! Myślałem, że będziesz jak Nessa. Gdy ona jest w pobliżu, zaczynam czuć się jak ściągany jelen! — Nagle przybrał wyraz twarzy niewinnej owieczki. — Coś mi mówi, że

osobiście przyłożyłem do tego rękę; mam nadzieję, że nie masz mi za złe szczerości.

— Ani trochę. To jest i moja przywara.

— Doskonale, wydajesz się niespodziewanie rozsądna. Myślę, że będzie nam z sobą dobrze.

— Założywszy, że ja nie poczułam niechęci do ciebie. — Talię lekko rozdrażniło tak lekko poczynione założenie, że łatwo stanie się ofiarą, usidlona jego, w powszechnym mniemaniu, ujmującymi manierami. — Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że nie liczy się jajek, póki ich kura nie zniesie?

Sądząc z wyrazu twarzy Krisa, taka możliwość nie przyszła mu do głowy, i że raczej nie wie, co z takim fantem począć. Nie pomógł mu w tym krztuszący się ze śmiechu Dirk.

— A to ci przyłożyła, stary! — dusił się. — Chwała niech będzie Gwiazdom! Żyłem nadzieją, że nadejdzie dzień, kiedy to ciebie coś takiego spotka, a nie mnie!

— Na Jasne Niebiosa, nie trap się tym — powiedziała Talia, którą opanowało współczucie. — Oboje jesteśmy Heroldami, na miły bóg! Jakoś się z tym uporamy, to tylko półtora roku. Nikt przecież nie nalega, bym wzięła z tobą ślub pod przymusem!

Gdy Talia nawiązała do „ślubu pod przymusem” i to tonem, jakby mówiła o czymś bardzo przykrym, twarz Krisa nabrała niezwykle tajemniczego wyrazu.

— Jestem głęboko przekonany, że nie był to z twojej strony przytyk, jednak z całą pewnością nie zabrzmiało to jak pochlebstwo! — skarżył się żałośnie. — Zaczyna mi świtać, że jednak podejście Nessay bardziej mi odpowiada!

Musieli zatrzymać się w pół kroku, bo Dirk aż zgiął się w pół ze śmiechu. Strumyczki łez ściekały mu po policzkach. Musieli wspólnie zdzielić go przez plecy, by pomóc mu odzyskać oddech.

— Święta... Astero... — zachłysnął się. — W życiu nie spodziewałem się, że coś takiego zobaczę. Ani usłyszę! Ho, ho! — Udało mu się jakoś przybrać wygląd skruszonego i zarazem zadowolonego. — Przebac mi, przyjacielu. To na jedyny w swoim rodzaju widok: dla odmiany ty odtrącony! Powinieneś zobaczyć własne oblicze! Wyglądałeś jakbyś połknął żywą ropuchę!

— A to oznacza, że nic gorszego już w tym tygodniu nie może go spotkać. Słuchajcie, nic z tego nie zawiedzie nas na ceremonię — przypomniała im Talia — już jesteśmy spóźnieni.

— Ona znowu ma rację — powiedział Dirk, ujmując jej ramię.

— Co masz na myśli przez „znowu”? — zapytał podejrzliwie Kris, kiedy zwa-wo skierowali się do Wielkiej Sieni.

Na szczęście przekroczenie przez nich progu ogromnej komnaty przeszkodzi-

ło w udzieleniu odpowiedzi.

Dirk z niejakim trudem uporał się z określeniem osobliwych uczuć, które się w nim obudziły, gdy Talia otworzyła drzwi. Gdy po raz ostatni widział Osobistego Królowej, całkowicie wyczerpana zemdląła właściwie u jego stóp po przebytej próbie, która okazała się torturą zarówno dla jej umysłu, jak i uczuć. Dowiedział się potem, że była jakby bezpośrednio obecna na miejscu zabójstwa Herolda-Kuriera Ylsy oraz że wydobyła potem jej towarzyszkę życia, Keren, z otchłani, z której — wtrącona tam przez wstrząs spowodowany morderstwem — nie chciała dobrowolnie wyjść, pragnąc własnej śmierci. Następnie, nie tracąc czasu na odpoczynek, zaprowadziła myślą jego i Krisa do miejsca, gdzie Ylsa została zgładzona. Ta delikatna i krucha kobieta-dziecko budziła w nim opiekuńczy instykt i równocześnie podziw dla swej odwagi. Własnoręcznie odniósł ją do izby i troskliwie położył do łóża, nie zapomniawszy zostawić jej na podorędziu gotowych do zaparzenia ziół leczniczych od bólu głowy, który nieuchronnie miał nawiedzić ją po przebudzeniu. Wiedział, że wtedy rzuciła na szalę wszystkie swe siły. Kiedy później opowiedziano mu wszystkie szczegóły tej historii, oniemiał zdumiony męstwem i wytrzymałością dziewczyny.

A wyglądała tak krucho! Patrząc na nią, łatwo było ulec opiekuńczym instyktom, choć jej czyny zadawały kłam delikatnej postaci. Tym razem jednak widok Talii wydawał się obudzić w nim uczucia nieco bardziej zakłócone i Dirk nie był pewny, czy pragnął się do nich przyznać. Starał się uporać z tą sytuacją najlepiej, jak tylko potrafił — błaznując z Krisem. Mimo tego, nawet kiedy zgięty wpół zalewał się łzami ze śmiechu, w szarych zakamarkach jego umysłu czaił się niepokój, jakby jego mózg próbował go ostrzec, że przyznania się przed samym sobą nie da się nadmiernie odwlekać.

Talia starała się nie okazywać zdenerwowania, lecz pomimo wysiłków nie ulegało wątpliwości, że nerwy mają ją w swej władzy. Miała nadzieję — dało o sobie znać lekkie poczucie winy — że Kris rozumie, iż to częściowo na nim starała się wyładować podenerwowanie.

Wielka Sień, oświetlona świecami i latarniami, lśniła jak złote pudełko. Usunięto stoły, a ławy ustawiono wzdłuż ścian. Dworzanie i szlachetnie urodzeni przybrali się w swe najpiękniejsze szaty; Klejnoty, srebrne i złote ozdoby chwytaly światło i odbijały je tak, że całe zgromadzenie przypominało wnętrze wypełnionego biżuterią puzdra jakiejś wysoko urodzonej damy. Na tle odzianej w złoto szlachty, jaskrawo odcinały się szkarłatny Bardów, szmaragdowa zieleń Uzdrowicieli, jasnoniebieskie mundury wysokich rangą oficerów Gwardii i Armii oraz śnieżnobiała Biel Heroldów. Każdy z reprezentantów przyozdobił najlepsze swe

uniformy, wdziewając sztywne kaftany ciężkie od haftów ze znakami rodzinnymi lub też przynależności do Gildii. Mężczyźni i kobiety z Gwardii, stojący na straży pod ścianami, w swych prostych ciemnoniebieskich mundurach ze srebrnymi wylogami stanowili dla reszty ciemną ramę.

Osobisty Królowej i jej eskorta stanęli za tronem — Talia na swoim zwykłym miejscu, za plecami. Selenay po jej prawej stronie, a z kolei za nią, po prawej i lewej Kris z Dirkiem. Talii wydawało się, że wspólnie wywierali imponujące i budzące zaufanie wrażenie w oczach tych, którzy przybyli tu, obawiając się, że będą świadkami słabości.

Czuła jednak niepokój, ten sam, który nieustająco dręczył jej zmysły przez minione trzy tygodnie, a teraz przybrał na sile. I choćby zależało od tego jej życie, nie potrafiłaby zgłębić przyczyny.

Rozpoczęła się uroczystość. Talia postanowiła nie zwracać uwagi na to, czego nie mogła zmienić, i starać się wywrzeć wrażenie osoby nieszkodliwej, lecz rzetelnie znającej swoje rzemiosło. Nie była pewna, na ile jej się to udało, lecz po chwili ów ogólnie panujący podskórny nastrój niepokoju jakby nieco ustąpił.

Próbowała tchnąć nieco pewności siebie w młodą Następczynię Tronu, która zaczęła uginać się pod brzemieniem chwili. Starła się poszukać jej oczu i uśmiechnąć się, jednak w napiętej ze zdenerwowania twarzy Elspeth oczy zaczęły szklić się jakby trawione gorączką.

Elspeth nie było tak łatwo jak Talii. Ceremoniał wymagał, by do każdego ze swych nowych wasali adresowała krótką, indywidualną przemowę i przebrnąwszy mniej więcej przez połowę uroczystości, zaczynało jej brakować tematów.

Kris, którego muzyczne ucho bezbłędnie wyławiało potknięcia intonacyjne, pierwszy dostrzegł to, że się waha i jąka w wypowiedziach i gdy prowadzono przed jej oblicze następnego szlachcica wyszeptał:

— Jego syn właśnie obdarzył go pierwszym wnukiem.

Elspeth, przygotowując się do odebrania słowa, podziękowała mu spojrzeniem pełnym dozgonnej wdzięczności, a kiedy dręczony podagrą pan z trudem podnosił się z klęczek, pogratulowała mu błogosławionego wydarzenia. Na twarzy odchodzącego pod eskortą szlachetnego starca odmalowało się pełne przyjemności zaskoczenie, bo nie miał on pojęcia, iż ktokolwiek poza najbliższą rodziną może o tym wiedzieć.

W tym momencie Elspeth doszła do wniosku, że Kris zasługuje, by wynieść go do godności świętego, i przed pojawieniem się następnej znakomitości odwróciła promienną twarz do obu Heroldów.

Dirk w lot połapał się w sytuacji i szepnął jej słówko o następnym. Kris zareplikował, przedstawiając dane wywiadowcze o dwóch kolejnych i Elspeth aż pokraśniała na widok pełnych wdzięczności spojrzeń obu dworzan, odzyskując

werwę tak szybko, jak ją utraciła. A Kris i Dirk zaczęli zbierać punkty w tym konkursie, który wynikł tak nieoczekiwanie. Wydawało się, że Królową wiele kosztuje zachowanie niewzruszonej twarzy.

Nadeszła chwila złożenia hołdu przez ostatniego dygnitarza, a wtedy wszyscy troje przyłączyli do innych Heroldów, by razem z całym Kręgiem złożyć swą przysięgę gromadnie. Potem swe przyrzeczenia złożyły Kręgi Uzdrawicieli i Bardów, a za nimi różnorodni urzędnicy i kapłani przysięgali w imieniu swych zakonów i wiernych.

Długa uroczystość dobiegła kresu i wszystko przebiegło bez najmniejszego poślizgnięcia.

Grupa zebrana wokół Królowej opuściła podwyższenie, oddając je muzykom z Kręgu Bardów, którzy nie ociągając się, natychmiast uderzyli w ton melodii do tańca.

Talia przyłączyła się do Elspeth siedzącej w alkwie z oknem i wyściełanymi aksamitem ławami, która była zastrzeżona dla ludzi z najbliższego otoczenia Królowej.

— Co też wam trojgu chodzi po głowie? — zapytała zaciekawiona. — Byłam za daleko, by cokolwiek słyszeć, lecz nie ulega wątpliwości, że ty świetnie się bawiłaś!

— Heroldowie, którzy przyszli tu jako twoja eskorta, są cudowni! — żywiołowo zachwyciła się Elspeth. — Nie wiedziałam już, co mam mówić, i oni podpowiedzieli to, co mi trzeba było. Nic wielkiego, lecz to, co dla nich było najważniejsze — to znaczy dla lordów i innych. A potem urządzili sobie z tego zawody i to było takie zabawne. Rozwodzili się ustalając, ile punktów co jest „warte”. Matka ledwo powstrzymała się od śmiechu.

— Wyobrażam sobie — Talia uśmiechnęła się. — Kto wygrał?

— Ja. — Spoza jej pleców rozległ się głos Krisa.

— Nie udałoby ci się to, gdybym pierwszy pomyślał o owcy — zareplikował Dirk.

— O owcy? — dociekała Talia. — O owcy? Czy ja nie mogę się o tym dowiedzieć?

Dirk prychnął, a Kris zgromił go wzrokiem.

— To zupełnie nieszkodliwe — odparł lekko poirytowany Kris. — Kiedy umarł mąż pani Fiony, wraz ze zwierzchniczką Gildii, Arawell, rozpoczęły wspólne działania, które miały powiększyć fortunę jej rodziny i gałęzi Gildii Tkaczy. Sprowadziły owce o szczególnie miękkim i delikatnym runie, które było bardzo podobne do wełny jagniąt z ziem leżących poza granicami Królestwa — daleko na południu. Udało im się przyzwyczaić je do naszych, surowszych zim; gdy okciły się wiosną, ich stado powiększyło się ponad dwukrotnie. Wydawało się, że

powszechnie powstanie popyt na wełnę, albo na utkany z niej materiał.

— Nie potośmy tutaj przyszli — powiedział z mocą Dirk. — Owce i wykłady o hodowli zwierząt! Trzymaj swoje obłeśne myśli przy sobie, przyjacielu!...

— Moje obłeśne myśli? A któż zachłystywał się ze śmiechu jeszcze przed chwilką?

— ... podczas biesiady nie ma na to miejsca. Talio, wolno mi rościć sobie prawo do pierwszego tańca na mocy tego, iż mój przyjaciel zabierze cię tylko dla siebie na rok i dłużej.

— Skoro zostałem pozbawionym tancerki sierotą — dodał Kris — z ogromną przyjemnością zgłoszę podobne roszczenie wobec naszej nowo Wybranej, w tym samym celu.

— Matko? — Elspeth spojrzała błagalnie na Królową. Oszalamiający wygląd Krisa wywarł na niej nie byle jakie wrażenie i aż dreszcz przez nią przeszedł, gdy wyraził ochotę zatańczenia z nią.

— Moja droga, to jest twoje święto. Gdybyś nawet miała ochotę objechać dookoła Wielką Sień na Towarzyszu, mogłabyś zrobić nawet to — pod warunkiem jednak, że gotowa byłabyś stawić czoło Seneszalowi, rozwścieczonemu widokiem jego cennej drewnianej podłogi porysowanej kopytami.

Nie czekając na dalsze zezwolenia, Kris porwał dziewczynkę do tańca.

Dirk uniósł pytająco brew, patrząc na Talię.

— Och, nie — roześmiała się. — Nie wiesz, o co mnie prosisz. Tańczę jak parobek, nie mam wycucia rytmu, i depczę mojemu partnerowi po nogach.

— Co za niedorzeczność — odparł Dirk, strząsnawszy niesforny kosmyk sprzed oczu. — Nigdy nie miałeś odpowiedniego tancerza.

— Którym ty jesteś? A ja myślałam, że to Kris jest próżny!

— Moja droga Talio — zareplikował, wyciągnawszy ją na środek komnaty — trudno jest patrzeć na prawdę w tym samym, co na próżność światła. Nie lada autorytety mogą zaświadczyć, że taniec wynagradza mi mój wygląd.

Wkrótce Talia musiała przyznać, że miał zupełną rację. Po raz pierwszy taniec zaczął jej sprawiać przyjemność — wydawało się, że oboje poruszają się pod wpływem magii. Nie wyglądało, by Dirk był ze swojej tancerki niezadowolony, gdyż pozwolił ją sobie odebrać innym z wielkim ociąganiem.

Kris ze swej strony, pomimo tęsknych spojrzeń niemal wszystkich młodych dziewcząt, tańczył jedynie z kobietami dużo starszymi od siebie, albo z Talią i Elspeth.

— Mam nadzieję, że nie gniewasz się, iż jesteś tak wykorzystywana — zapytał ze skrucą po szóstym lub siódmym tańcu.

— Wykorzystywana? — zapytała zaciekawiona.

— Jako tarcza. Tańczę z tobą, by uchronić się przed pożarciem przez tamte — skinął w kierunku grupki dworskich piękności, patrzących na niego omdlewającym wzrokiem. — Nie mogę tańczyć wyłącznie z matronami, Elspeth musi

zatańczyć z kimś innym, a jedynymi Heroldami, którym mogę zaufać, że nie będą próbować mnie uwieść, jest Keren, Sherrill i ty. A tamte dwie nie tańczą.

— Przyjemnie jest wiedzieć, jak wielce jestem pożądana — roześmiała się.

— Czy znów okazałem się niezdarą?

— Nie, doprawdy nie. Nie mam nic przeciw temu, że jestem „wykorzystywana”. Przecież i tak wszyscy wiedzą, że przydzielono nas razem, z czego wynika, że zawieramy znajomość. Możesz unikać ludzi, nie raniąc niczyich uczuć.

— Ty naprawdę rozumiesz — powiedział z ulgą. — Nie chcę nikogo ranić, lecz im wszystkim wydaje się, że jeśli będą mnie uporczywie napastować, będę musiał wybrać jedną z nich. Na krótko, na długo — to wydaje się nie mieć żadnego znaczenia. Jakby nikt nigdy nie dbał o to, czego ja chcę.

— Doskonale, zatem czego ty chcesz? — zapytała Talia.

— Kolegium — odparł ku zdumieniu Talii. — Temu poświęcam większość mojego czasu i sił. Ja chcę je temu poświęcać. Wiele studiuje na własną rękę: historię, prawo, administrację. Chcę zastąpić Elcartha na posadzie Dziekana i Historyka, gdy już odejdzie na emeryturę, a to wymaga wiele zachodu. Nie mam wiele czasu do trwonienia, a już ani trochę na zabawę w dworskie flirty, albo pastuszka na sianie.

Talia spojrzała na niego z szacunkiem.

— To cudownie, choć posada Elcartha jest najcieńsza i najbardziej niewdzięczna ze wszystkich, jakie przychodzą mi do głowy; czasami jest gorsza nawet od mojej. Możliwe, że ty jesteś tym, który by sobie z tym poradził najlepiej. Myślę, że nie mógłbyś służyć Kolegium i jednocześnie innej osobie e... e...

— Poświęcać tyle uwagi, ile wymaga tego przyzwoity związek — dokończył za nią. — Dzięki. Czy wiesz, że jesteś pierwszą osobą poza Dirkiem, która nie uważa, iż upadłem na głowę?

— Lecz co zrobisz, jeśli natkniesz się na kogoś, kogo zapragniesz?

— Nie wiem, ale chyba do tego nie dojdzie. Przyznaj, Talio, że Heroldowie rzadko przywiązują się do kogokolwiek na stałe. Zawsze jest to tylko przyjaźń, czasami przybiera ona na sile, ale nie na długo. Może jest tak dlatego, że nasze serca oddajemy najpierw Towarzyszom a potem naszej służbie i, jak przypuszczam, nie ma wśród nas zbyt wielu o tak wielkim sercu, by było w nim jeszcze miejsce na trzecią miłość. Ci, którzy nie są Heroldami, wydaje się, nie mogą tego zrozumieć. A mówiąc szczerze, nawet wśród Heroldów niewielu jest takich. Rozejrzyj się, Sherrill i Keren są jedyną parą złączoną węzłem na całe życie, która przychodzi mi do głowy. Nie mam ochoty przystawać na mniej, niż mają one. I dlatego chowam się za twoimi plecami.

— Możesz się chować w nieskończoność.

— Nie trzeba — odparł figlarnie. — Tylko do końca uroczystości. Potem będę bezpieczny w polu, w towarzystwie jedynej znanej mi osoby, która uważa, iż lepiej by mi było z zezem i brodawkami na twarzy.

Potem ponownie odbił ją Dirk. To podczas tego tańca zauważyła, iż liczba ubranych na biało postaci zaczęła się szybko zmniejszać.

— Gdzie podzieli się wszyscy? — zapytała zaintrygowana.

— Nieczęsto tylu nas zbiera się w jednym miejscu — odpowiedział — a więc, kiedy ludzie nużą się tańcem, ukradkiem wyślizgujemy się na nasze prywatne przyjęcie. Chcesz tam pójść?

— Jasne Niebiosa, oczywiście! — wykrzyknęła z zapałem.

— Niechajże tylko ściągnę spojrzenie Krisa. — Poprowadził ich bliżej miejsca, gdzie Kris tańczył z babcią wielkości karzełka, i znacząco uniósł brew, wskazując drzwi. Kiedy Kris skinął głową, Dirk postarał się, by z ostatnim akordem muzyków zakończyli taniec tuż obok wyjścia.

Kris dołączył do nich, odprowadziwszy swoją partnerkę na miejsce.

— A to ci była dopiero partnerka: groziła, że uprowadzi mnie do domu, „właściwie” nakarmi, a potem „odpowiednio wyszkoli”, i wiem, że nie mówiła o tańcu ani o dobrych manierach! — zaśmiał się cicho. — Przyjmuję, że Talia gotowa jest do wyjścia. Ja jestem.

— Doskonale, zatem wszyscy się na to zgadzamy — dodał Dirk. — Talio, idź, przebierz się w coś wygodniejszego, znajdź coś, na czym można by usiąść i jakąś starą opończę, na wypadek gdybyśmy wychodzili na zewnątrz. Jeśli grasz na instrumencie, przynieś go także. Spotykamy się w bibliotece.

— To jak w dziecięcej grze w „szpiega”! — zachichotała.

— Niewiele się mylisz — odparł Kris. — Wkładamy wiele wysiłku w to, by nasze przyjęcia odbywały się tylko w naszym gronie. A teraz pośpiesz się, bo wyjdziemy bez ciebie!

Schwyciła swą suknię w obie ręce i leciutko pobiegła korytarzami Pałacu. Schody w swojej wieży znów pokonała skacząc po dwa stopnie naraz. Straciła nieco czasu na zapalenie lampy, a potem rozsznurowała swoją suknię i zrzuciła ją z siebie. Pomimo pośpiechu odwiesiła ją starannie; nie chciała, by stała się pomarszczona i brzydka. Przebrała się w to, co pierwsze wpadło jej do ręki. Uwolniła włosy ze wstążki, pozwalając im rozsypać się wkoło twarzy, ostrożnie umieściła Moją Panią w futerał i wetknęła za pas swój pasterski flet; zawiesiła sobie na ramieniu futerał z harfą, okryła się całą starą, wełnianą opończę jeszcze z czasów, kiedy rozpoczynała naukę, pochwyciła jedną ze swoich poduszek i była gotowa do wyjścia.

No cóż, prawie. Przypomniała sobie, co Jerri powiedziała o barwiczkach do twarzy, wstąpiła do komnaty łaźiebnej u stóp wieży, by się szybko obmyć, i dopiero potem pobiec do biblioteki.

Otworzywszy z rozmachem drzwi, stwierdziła, że pozostałych dwóch pobiło ją w tym wyścigu, lecz zapewne nie musieli wspinać się po kilkupiętrowych schodach.

Kris stał ubrany na czarno i wyglądał zbyt poetycznie, by można to było wyrazić w słowach, Dirk zaś przyodziany był w niebieskawe szarości, w których nie było mu do twarzy, wyglądających tak, jakby po odebraniu z pralni rzucono je na stertę — co zapewne nie było dalekie od prawdy. Na dźwięk otwieranych drzwi obydwaj podnieśli głowy.

— Talio! Doskonale, nie trwonisz czasu jak moje siostry — przywitał ją Dirk. — Podejź tutaj, zdradzimy ci sekret. Talia przeszła przez komnatę do miejsca, w którym stali. Było to pierwsze przepierzenie przeznaczone do nauki.

— Pierwsi, którzy wychodzą, zawsze spotykają się tutaj, by zdecydować, gdzie mamy się zebrać — wyjaśnił Dirk. — Zostawiają jakiś znak, by innym przekazać miejsce spotkania. Dzisiaj jest nim to.

Pokazał jej położoną na stole książkę o rzemiośle rymarskim.

— Niech zgadnę — powiedziała Talia. — Stajnie?

— Blisko. Szopa na uprząż na Łące Towarzyszy! Widzisz, książkę otworzono na rozdziale o specjalnych uzdach, których my używamy — wyjaśnił Kris. — Ostatnim razem musieli położyć kamień na okładce religijnej księgi. Wykorzystaliśmy dokończoną w połowie świątynię niedaleko rzeki, ponieważ już zbyt często spotykaliśmy się w tej okolicy. Jak na mnie, zbyt tam wieje chłodem, jednak powiedziano mi, że ci którzy teraz zwołują towarzystwo, lubią ogrzewać siebie nawzajem.

Talia tłumiała śmiech, gdy ukradkiem opuszczali bibliotekę.

Szczelnie zamknięto okiennice szopy, by żaden promień światła nie wydostał się na zewnątrz i nie zdradził wesołej zabawy, która odbywała się w środku. Broniąc się przed chłodem, zebrani rozpalili oba kominki, które spełniały jednocześnie rolę głównego źródła oświetlenia. Trójka wśliznęła się do wnętrza w najgłębszej ciszy, by nie zakłócić opowieści, którą dość zręcznie ciągnął Herold w średnim wieku, o bliźniaczych kosmykach na posiwiałych skroniach, odcinających się wyraźnie w rzucanym przez ogień świetle.

— Dziś będzie spokojnie — wyszeptał Kris Talii do ucha. — Pewnie dlatego, że tak hucznie biesiadowano w Pałacu. Nasze uroczystości zazwyczaj przebiegają odwrotnie do oficjalnych.

Heroldowie leżeli na podłodze szopy w różnorodnych, najwygodniejszych dla siebie pozycjach i uważnie słuchali gawędziarza, starając się nie uronić ani słowa. Wydawało się, że jest ich około siedemdziesięciu; tylu zebranych razem Talia jeszcze w życiu nie widziała. Najwidoczniej na ceremonii złożenia hołdu stawił się każdy Herold, który tylko mógł na czas dojechać. Gawędziarz zakończył opowieść przy wtórze zadowolonych westchnień tych, którzy go otaczali, i gdy czar opowieści prysnął, wielu zerwało się na nogi, by przywitać nowo przybyłych. Wyrażali swe przyjazne uczucia, serdecznie ściskając ich i łapiąc za ręce. Ponieważ

wszyscy byli jej obcy, Talia skryła się nieśmiało w cieniu obok drzwi.

— Hola, powoli moi przyjaciele! — śmiał się Dirk, wyrwawszy się z objęć witających. — Przyprowadziliśmy wam kogoś.

Odnalazł Talię i wyciągnawszy długie ramię, wciągnął ją w krąg światła.

— Wszyscy wiecie, że nareszcie mamy prawdziwego Osobistego Królowej, a oto ona!

Zanim ktokolwiek mógł ją przywitać, z odległego kąta pokoju rozległo się radosne wycie. Ktoś, wywijając salto, przeskoczył ponad kilkoma Heroldami. Roześmiani, pochylili głowy, zasłaniając się rękami. Skoczek dotarł do Talii i porwawszy ją na ręce, uniósł wysoko w powietrze, a postawiwszy na podłodze, ucałował serdecznie.

— Skif? — Z trudem złapała tchu.

— W każdym calu! — zapiał Skif

— A... ależ ty jesteś wysoki! — Przywdziewając Biel po raz pierwszy, Skif nie był od niej wyższy więcej niż cal czy dwa. Teraz mógłby pod względem wzrostu śmiało iść z Dirkiem w zawody.

— Chyba na południu coś jest, ponieważ w ciągu ostatniego roku rzeczywiście wyrosłem — zaśmiał się Skif — Zapytaj Dirka, on był moim mentorem.

— Wyrosłeś? Na Jasne Niebiosa, to niewłaściwe słowo! — zakrzyknął Dirk. — Mitrężyliśmy połowę czasu na karmieniu go. Zjadał więcej niż nasze muły!

— Powiedziałbym, że nieźle ci tutaj idzie — ciągnął Skif, umyślnie nie zwracając uwagi na Dirka. — Pięknie wyglądałaś na podium. Wszyscy byliśmy z ciebie dumni.

Talia była zadowolona, że w przytłumionym świetle nie widać, jakim oblała się rumieńcem.

— Otrzymałam wielką pomoc — powiedziała niemal przepaszająco.

— Sama wielka pomoc nie wystarczy, i oboje wiemy o tym — odparł, — Ha, do licha, to nie czas i miejsce, by rozmawiać o pracy. Hej tam, wy dwaj, znacie zasady. Płaćcie za wejście!

Dirk i Kris zostali ze śmiechem wypchnięci na środek pomieszczenia, gdzie gawędziarz ustąpił im swego miejsca.

— Czy ktoś przyniósł harfę? — zawołał Kris. — Moja została w podróży tobołach, dopiero dzisiaj tutaj przyjechałem.

— Ja mam — zgłosiła się Talia i gorliwe ręce wyciągnęły się, by dostarczyć mu futerał z harfą.

— Czy to jest... To nie może być Moja Pani, nieprawdaż? — zapytał Kris, kiedy odbłask płomieni z palenisk zatańczył na złocistym drzewie wygiętym w delikatne kształty. — Zachodziłem w głowę, komu ją Jadasz zostawił. — Pieszczotliwie przebiegł palcami po strunach, które zabrzmiały słodko. — Jest doskonale nastrojona, Talio. Dbasz o nią tak, jak na to zasługuje.

Nie czekając na odpowiedź, rozpoczął starą kołysankę. Jadus był lepszym muzykiem, lecz Kris, jak na amatora, był zaskakująco zręczny, i znacznie lepszy od Talii. Przedstawiał sobą niezwykle piękny widok, złociste drzewo lśniło na tle jego czarnego stroju i kruczoczarnych włosów, kiedy w skupieniu pochylił głowę nad instrumentem. Przyjemnie było na niego i patrzeć, i słuchać jego melodii.

— Macie jakieś życzenia? — zapytał, kiedy skończył.

— „Słońce i Cień” — zakrzyknęło kilkoro głosów naraz.

— W porządku — odparł Dirk. — Ale chcę, by ochotnik zaśpiewał „Tancerza Cieni”. Ostatnim razem chodziłem zachrypnięty przez miesiąc.

— Ja mogę! — Ku swemu zdziwieniu, Talia usłyszała własne słowa.

— Ty? — Dirk wyglądał na przyjemnie zaskoczonego. — Zdziwiasz swymi umiejętnościami!

Zrobił dla niej miejsce obok siebie i Talia przecisnęła się przez stłoczonych na podłodze słuchaczy, by nieśmiało usiąść w jego cieniu.

Ballada „Słońce i Cień” opowiadała o spotkaniu dwóch najwcześniejszych Heroldów, Rothasa — Pieśniarza Słońca i Lythi — Tancerza Cieni, na długo zanim zostali Wybrani, gdy nad ich życiem wciąż ciążyło dziwne przekleństwo. Pieśń była rozpisana na głos mężczyzny i kobiety, jednak Dirk często śpiewał ją samodzielnie. Była to jedna z owych dziwacznych pieśni, która albo zapiera ci dech w piersi, albo nudzi do łez, zależnie od wykonania. Dirk zastanawiał się, jak to będzie tej nocy.

Kiedy Talia rozpoczęła swoją partię w odpowiedzi na jego, Dirk przestał się zastanawiać. Nie było cienia wątpliwości, kto ją uczył — po zręcznym frazowaniu, które wydobywało wszystko z jej delikatnego, lekko zachrypniętego głosu, znać było rękę Jadusa tak samo wyraźnie, jak po harfie, którą jej podarował. Jednak jej śpiew był nie tylko prostym efektem głosu, kierowanego umysłem, było w nim coś więcej, czego nie mógł wpoić nawet najlepszy nauczyciel. Znosiło się na jeden z owych magicznych występów.

Dirk pozwolił się porwać pieśni, nie domyślając się nawet, że tej nocy w swym popisie także przechodzi samego siebie. Wiedział o tym przygrywający im Kris żalując, że nie można zatrzymać tej chwili na zawsze.

Owacja, która zatrzęsała krokwiemi, wyrwała i Dirka, i Talię spod czarodziejskiego zaklęcia muzyki. Dirk uśmiechnął się jeszcze cieplej niż zazwyczaj do drobnej kobiety, która skrywała się na poły w jego cieniu, i poczuł, że ona odwzajemniła mu się tym samym.

— Ha, zapłaciliśmy nasze myto — powiedział Kris, kwitując prośby o więcej. — Teraz kolej na kogoś innego.

— To niesprawiedliwe — poskarżył się z tyłu jakiś głos. — Jakże ktokolwiek z nas może wam dorównać?

Komuś się jednak udało, jednak zmieniając nastrój, a nie próbując go podtrzymać. Wysoki, kościsty mężczyzna pożyczył od Talii flet, by zagrać jakąś skoczną

melodię, a dwaj inni mężczyźni i dwie kobiety stanęli na środku, by ją odtańczyć, czym poderwali pozostałych. Talia, odzyskawszy swój flet, przyłączyła się do Krisa na harfie, kimś jeszcze na cytrze i Jeri na tamburynie w wiązance żwawych melodii z wiejskich jarmarków. Ponieważ zagrali je w niezwykle szybkim tempie, a były przy tym bardzo męczące, skorzy do tańca szybko opadli z sił i ponownie zamienili się w statecznych widzów.

Ci z zebranych, którzy nie czuli się zbyt pewnie w sztukach, opłacili swe wejście jadłem i napitkiem. Talia dojrzała pod ścianami okazałą liczbę małych beczulek z winem, jabłecznikiem i piwem, a obok nich koszyki z owocami, kiełbaszkami, chlebem i serem. W szopie nie brakowało zabłąkanych kubków i filiżanek bez pary, które trafiały tutaj zwłaszcza podczas upalnych letnich miesięcy, gdy Heroldowie i uczniowie spragnieni bywali łyku świeżej wody ze studni zaopatrującej Towarzyszy po tej stronie Łąki. Owe poręczne naczynia napełniano, a potem uzupełniano i przekazywano sobie radośnie z rąk do rąk, zupełnie lekceważąc możliwość zakażenia się poprzez napitek gorączką i katarem. Tak jak Talia większość Heroldów przyniosła ze swoich kwater poduchy; wykorzystując siodła, ułożono z nich wygodne miejsca do leżenia, którymi dzielono się lub nie. Dochodzące z co ciemniejszych kątów pomruki spowodowały, że Talia pośpiesznie odwróciła wzrok i zasłoniła uszy. Przypomniła sobie wcześniejsze uwagi Dirka o Heroldach, którzy lubią „ogrzewać siebie nawzajem”. Od czasu do czasu jacyś kryjący się w cieniu wstawali i przyłączali się do skupionych wokoło kominków, albo szukali dla siebie spokojniejszej okolicy. Nad wszystkim zapanował nastrój wspólnoty. Nie było osoby, o którą by się nie zatroszczono, która by nie spotkała się z serdecznym przyjęciem. Po raz pierwszy Talia brała udział w zgromadzeniu swoich kompanów w tak przyjemnych okolicznościach i stopniowo zaczęło przenikać ją uczucie jedności, które wykraczało poza ściany szopy, obejmując Towarzyszy na Łące i, rozprzestrzeniając się poza jej granice, sięgało tych, którzy nie mogli przybyć, by razem z nimi spędzić tę noc. Nic dziwnego zatem, że Heroldowie, by pławić się w tak gorącej atmosferze braterstwa i w sposób bardziej osobisty przeżywać radość z Wyboru swego Następcy Tronu, porzucili oficjalną biesiadę. I wystarczyło to, by zapomniała o dziwnym niepokoju, którego cień dręczył ją przez minione trzy tygodnie.

Talia skorzystała z pierwszej okazji, by wyciągnąć Skifa z grupki otaczających go przyjaciół z roku, którzy wyraźnie zagięli parol, by opróżnić do dna pewną baryłkę.

— Chodźmy na stryszek — powiedziała, omiótłszy wzrokiem przestrzeń u powały i stwierdzając, że nikt jej nie zajął. — Nie chcę nikomu przeszkadzać i nie mam ochoty wychodzić.

Stryszek okazał się wąskim, ciągnącym się wzdłuż jednej ze ścian balkonem, skąd można się było dostać do spichlerza nad belkami powały. Talia natychmiast zauważyła, że Skif — rzecz niesłychana — idąc po schodach, trzyma się ściany,

a kiedy już stanęli na stryszku, przylgnął do niej plecami.

— O Panie, o Pani dobrze jest się z tobą zobaczyć! — wykrzyknął radośnie, powtarzając jeden ze swych poprzednich uścisków. — Nie byliśmy pewni, czy zdążymy na czas. Zostawiliśmy cały bagaż i muły na Stanicy, zabierając tylko to, co Cymry i Ahrodie mogły udźwignąć. Tęskniłem za tobą, siostrzyczko. Listy pomagały, lecz to nie to samo, co rozmowa z tobą, zwłaszcza...

Talia poczuła, że Skifa ogarnia nagle strach.

— Zwłaszcza?

— ... po ... wypadku.

Zbliżyła się do niego, ujmując go za obie ręce. Nie musiała zbyt się mu przyglądać, by dostrzec, jaki jest blady, jak bieleją jego zaciśnięte knykcie.

— Powiedz.

— Ja... nie mogę.

Usunęła osłonę swych zmysłów. Był aż kolczasty od chorobliwych lęków. Bał się burz, znalezienia się w potrzasku, a najbardziej ze wszystkiego: tego, że spadnie. Wątpiła, by mógł w tym stanie spojrzeć z okna na drugim piętrze, nie zmusiwszy się do tego żelazną siłą woli. I to był ten sam młody mężczyzna, który poprowadził ją po wąskim występie wzdłuż frontowej, pałacowej ściany, i to ciemną nocą!

— Pamiętasz mnie? To kim jestem? Zaczynj od początku, nie śpiesz się. Pomogę ci z tym się uporać.

Głośno przełknął ślinę.

— To... to zaczęło się wraz z nadejściem burzy; przyłapała nas na szlaku biegnącym przez wzgórza. Wzgórza, ach! Były jak góry! O bogowie, było ciemno. Ulewa była taka, że nie widziałem uszu Cymry. Dirk jechał przodem, za nim szły muły, ja ciągnąłem na ostatku — to miało być najbezpieczniejsze miejsce. Posuwaliśmy się, bardziej lub mniej po omacku odnajdując drogę; lita skała z jednej, wąwóz z drugiej strony.

Talia pograżyła się jakby na poły w transie, ostrożnie przenikając myśli Skifa. Walczył, lecz zaczął przegrywać z lękiem, który obudził się w nim, gdy mówił.

— Szlak po prostu załamał się tuż pod kopytami Cymry. Spadliśmy; zabrakło nawet czasu, by krzyknąć o pomoc.

Talia łagodnie dotknęła swą myślą lęku, przygarnęła go do siebie i zaczęła nad nim pracować. Przypominał ostry krzemień, szpiczasty o tnących jak brzytwa krawędziach. Miętko, lecz nieustępliwie, jak płynąca woda zaczęła go rozmywać, tępić, tłumić.

— Zaklinowało nas w połowie zbocza. Cymry był nieprzytomny; ja, jak myślę, złamałem ramię i większość żeber — niewiele pamiętam, zbyt byłem obolały, by jasno myśleć. Tam, gdzie utknąłem, powstał jakby rwący wodospad. Wiesz, że nie potrafię myślmówić zbyt dobrze, choć Darem Dirka i tak nie jest myślmowa.

Nie mogłem zapanować nad sobą na tyle, by w ten sposób wzywać pomocy, a ryk burzy zagłuszał każdy głos.

Trząśnięty jak trzcina na wietrze. Talia objęła go i przytuliła do siebie. Fizyczne oparcie było mu tak samo potrzebne jak duchowe.

— Ale Dirk odnalazł cię — odezwała się.

— Bogowie wiedzą jedynie jak; nie miał powodów, by myśleć, że jeszcze żyjemy. — Napięcie zaczęło go szybko opuszczać, gdy Talia zaczęła odgradzać go od chorobliwych wspomnień. Nie mogła spowodować, by o wszystkim zapomniał, lecz była w stanie sprawić, by stały się one mniej rzeczywiste, nie tak natrętne.

— Owinął nas powrozem i przytwierdził do miejsca, w którym tkwiliśmy. Odwrócił czymś strumień wody i trwał z nami, wisząc na linie, wbijając w nią zęby i paznokcie, aż do końca burzy. Wtedy okrył nas kocami, wysłał Ahrodie po pomoc i wciągnął mnie na ścieżkę. Tego wcale nie pamiętam, musiałem z bólu stracić przytomność. — W jego głosie nie było już takiego napięcia.

Lęk został niemal całkowicie pokonany. Czas miał rozproszyć go całkowicie.

— Musiałeś wyglądać jak podtopiony sznur — dorzuciła z rozbawieniem. — Wiem, że jesteś czcicielem czystości, lecz czy nie myślisz, że to już była lekka przesada?

Gapił się na nią zaskoczony, a potem wybuchnął drżącym śmiechem — teraz, gdy napięcie ustąpiło, ze sporą domieszką łez i nutką hysterii, co od dawna mu było, potrzebne.

Milcząc, tuliła go do siebie, póki nie minęło najgorsze i poprzez łzy nie spojrział na jej dziecięcą w półmroku twarz.

Paraliżujący strach, z którym Skif żył przez ostatnich kilka miesięcy, niemal odebrał mu głos, kiedy próbował opowiedzieć Talii, co wydarzyło się owej okropnej nocy. Cierpiał, dręczony przynajmniej raz na tydzień sennymi koszmarami, w których wciąż na nowo przeżywał ten sam wypadek. Musiał zaprząć całą pozostałą mu siłę woli, by jej to powtórzyć — przynajmniej na początku. Ale teraz, stopniowo, słowa zaczęły padać coraz płynniej. Strach zaczął powoli wyzwać go ze swych szponów i kiedy Skif dotarł do końca swojej opowieści, uzmysłowił sobie, co Talia uczyniła dla niego.

Wtedy wdzięczność i ulga przepędziły łzy z jego oczu.

— Ty... ty zrobiłaś to dla mnie, prawda? Wyleczyłaś mnie tak jak Vostela i innych...?

— Uhm — kiwnęła głową, dotykając jego włosów w ciemności. — Sądziłam, że nie będziesz się o to gniewał.

— Nie będzie więcej koszmarów?

— Nie będzie, duży braciszku. Już nie będziesz miał ochoty chować się w szafie podczas burzy i będziesz mógł spojrzeć w dół ze stromej skalnej ściany. Prawdę mówiąc, za tydzień lub dwa powtórzysz tę historię, nie trzęsąc się

jak jednodniowe kurczę, będzie to niezła opowieść, która podbije dla ciebie serce ślicznej dziewczyny!

— Ty... ty jesteś niewiarygodna — wykrztusił w końcu Skif, przyciskając ją mocno do siebie.

— Tak jak i ty. Borykać się z takim lękiem przez ten cały czas i nie pozwolić, by on wziął nad tobą górę!

Parę chwil siedzieli w milczeniu obok siebie. Dopiero pomruk głosów, rozbrzmiewający poniżej przywrócił ich otoczeniu.

— Do kroćset! To ma być biesiada, na której powinnaś się świetnie bawić — zreflektował się Skif.

— I tak jest, teraz, kiedy nic ci już nie dolega. — Wstała i podała mu dłoń. — Ha, wracam do śpiewania. Coś mi się widzi, że koleżanka z twojego roku, Mavry, wygląda, jakby czuła się odrobinę osamotniona.

— Uhm, istotnie — odparł, badawczo wpatrując się w oświetlony krąg, — Myślę, że dotrzymam jej towarzystwa. I... siostró-w-sercu...

— Niepotrzebne są podziękowania, kochany.

Zamiast odpowiadać, ucałował ją w czoło, zbiegł w podskokach po schodach ze stryszku i udał się na drugą stronę szopy, gdzie Mavry ochoczo zrobiła mu obok siebie miejsce.

Talia w samą porę przyłączyła się ponownie do muzyków, bo Dirk właśnie zażądał odśpiewania z nią kolejnego duetu. Dopiero na jej oświadczenie, że do cna zaschło jej w gardle, pozwolono, by ktoś inny zajął jej miejsce.

To, że czas upływa, zauważyła dopiero, gdy zaczęła szeroko ziewać. Kiedy próbowała go obliczyć, poczuła się tym wstrząśnięta.

Przekonana, że musi się mylić, chyłkiem zakradła się do drzwi i spojrzała na wschód. Na horyzoncie zaczynało szarzeć. Nie ulegało wątpliwości, że słońce wszędzie za niespełna godzinę.

Zebrała swoje rzeczy. Nagle poczuła się tak, jakby miała za chwilę osunąć się na ziemię. Dirk, pólżąc na oparciu zrobionym z siodła i kilku końskich deerek, wydawał się spać, kiedy prześlizgiwała się obok niego. Jednak w chwili, gdy próbowała się wymknąć, uniósł nieco powiekę.

— Poddajesz się? — zapytał miękko.

Kiwnęła głową, grzbietem dłoni tłumiąc jeszcze jedno ziewnięcie.

— Podobało ci się? — Na jej pełne zachwyty kiwnięcie głową uśmiechnął się. Był to jeszcze jeden z jego cudownie ciepłych uśmiechów, którym wydawał się przytulać ją do siebie, odgradzając od wszystkich i wszystkiego. — I ja niedługo udam się na spoczynek. Wtedy mniej więcej wszyscy zaczną się rozchodzić. Nie obawiaj się, że ktoś cię będzie dzisiaj oczekiwać na służbie. Nikt nie zerwie się wcześniej niż koło południa. Spójrz tam. — Jego lewa brew wygięła się znacząco.

Talia ze zdumieniem ujrzała Królową. Ubrana w stare, znoszone skóry, siedziała wygodnie, dzieląc się opończę i opierając głowę na ramieniu gawędziarza w średnim wieku. Niedaleko niej rozsiadł się Alberich, wyciskający ostatnie krople z bukłaka z winem, razem z Keren, Sherrill i Jeri.

— Jak to się stało, że nie zauważyłam nadejścia Królowej i Albericha? — zapytała go Talia.

— To proste. Śpiewałaś w tym momencie. Rozumiesz? Nikt nie zauważył twojej nieobecności. Śpij długo i smacznie. I, Talio, przyjemnych snów.

— I tobie, Dirk — powiedziała.

— Będą, oj, będą — zaśmiał się i przymknął powieki. — Nie mam najmniejszych wątpliwości.

TRZECI

Talia zazwyczaj nie sypiała ani długo, ani twardo. Być może wypiła więcej wina niż zazwyczaj, może spowodowała to tak niezwykle późna godzina, o której położyła się do łóża; w każdym razie zbudziło ją dopiero słońce, świecąc prosto w oczy.

Ponieważ okno jej komnaty wychodziło na wschód, ustawiła łóżę wezgiłowiem tuż przy parapecie, by mieć zapewniony dopływ świeżego powietrza i by twarz mógł chronić od słońca cień jeszcze długo po zwykłej porze budzenia. Bez względu na chłód panujący w zimie, nie mogła wyzbyć się lekkiego lęku przed zamkniętym pomieszczeniem, a taki wzbudzały w niej zamknięte okiennice. Zatem tylko oszklone okna i zasłona z cienkiej tkaniny odgradzały jej oczy od promieni słonecznych; tymczasem okna stały otwarte, zaś zasłony odsunął rzeński wietrzyk.

Półprzytomna zmrużyła oczy porażone blaskiem. Przyszło jej do głowy, że jest prawie południe i jakby na potwierdzenie, przez otwarte okno wtargnęły ostrzegawcze uderzenia dzwonu w Kolegium.

Od wypitego ostatniej nocy wina nabawiła się lekkiego bólu głowy. Mruknęła coś do siebie pod nosem o głupcach i braku zdrowego rozsądku i naciągnęła poduszkę na głowę, mając ochotę z powrotem zapaść w sen. Jednak dręczące poczucie obowiązku (i jeszcze bardziej nagląca konieczność udania się w ustronne miejsce) nie pozwoliły jej dalej gnuśnieć.

Była tak zmęczona ostatniej nocy — a może tego ranka? — że ledwie zdołała ściągnąć z siebie ubranie, bezwiednie stworzyć z niego stertę na podłodze i paść do łóża. Kiedy nieco ochłonęła, poczuła, że natychmiast potrzebna jest jej kąpiel. Swędziała ją skóra głowy. O ustach lepiej było nie wspominać. Jęknęła. Najwyższy czas było wstawać.

Westchnęła i podniosła się z łóża. Usiadłszy na brzegu pościelania, tak długo przecierała oczy, aż w końcu mogła skupić wzrok; następnie sięgnęła po długą szatę, która wisiała na jednej z kolumn w nogach łóża. Otuliła się nią i zebrała ubranie z podłogi. Poplamione części jej ubioru wylądowały pod przykrywą kosa na brudy — do obowiązków opiekującej się tą częścią skrzydła Heroldów należało opróżnianie go i odsyłanie rzeczy do pralni. Przyzwyczajenie się do takiej wygody będzie wymagać czasu! Pochodziła z gminu, od urodzenia zajmowała

najniższy szczebel w hierarchii swego zamieszkującego Grody ludu, przybywszy do Kolegium w sposób naturalny poddała się tradycji, że uczniowie sami troszczą się o swoje potrzeby i wspólnie ciągną codzienny kierat. Przyzwyczała się usługiwać, a nie czekać, aż ktoś ją obsłuży!

Ciepłe, gładkie drewno pod stopą działało kojąco i dlatego postanowiła, że na swej nowej kwaterze nie będzie go niczym przykrywać. Lubiła stąpać boso po nagrzanym deskach i patrzeć na jaśniejące drewno tam, gdzie dotknęło go słońce.

Zaglądnęła do szafy i zarzuciła sobie nowy, czysty uniform przez ramię, w drugą rękę zebrała wiązkę innych rzeczy i skierowała się do drzwi.

Wspólna dla wszystkich mieszkańców wieży izba łaźniowa znajdowała się na parterze, i to była jeszcze jedna niewygoda związana z wyborem komnat akurat w tym miejscu. Prowadziła do niej długa droga, która zdawała się jeszcze wydłużać, jeśli się o niej pomyślało. Jednak w tej chwili Talia była jedynym lokatorem. Pozostałe komnaty stały opuszczone, gdyż albo ich mieszkańcy objeżdżali swoje obwody, albo nikt ich nie zajmował. Tak więc przynajmniej nie spotka się z nikim.

Po otworzeniu drzwi Talia natychmiast ujrzała karteczkę. Czuła nadal czający się za oczami ból i pocierając skroń dziwiła się, co to za ranny ptaszek zdołał już zerwać się pomimo całonocnej biesiady. Rozłożyła karteczkę i, schodząc po schodach, zaczęła prześlizgiwać się oczami po piśmie. To co ujrzała spowodowało, że aż zamarła w miejscu i jeszcze raz, tym razem starannie, przeczytała kartkę.

Wiadomość pochodziła od Kyrila:

Domyślam się, że termin ten jest tak krótki, jakby wcale nie istniał. Jednak minionej nocy Heroldowi, który patrolował jeden z Północnych Obwodów, przydarzył się nieszczęśliwy wypadek. Nie mamy nikogo wolnego, kto znałby te okolice i mógłby tam się udać. Dirk nie może — został już przydzielony do innego granicznego okręgu, gdzie do tego stopnia potrzebny jest urodzony na granicach Herold, że nie można mu przydziału zmienić. Udało nam się wymyślić, co następuje: jako że Dirk urodził się w tym rejonie, dość często przebywał tam Kris, a i ty wychowałaś się na Granicy, no i jako że nie został tobie jeszcze przydzielony żaden obwód, wydawało się nam, że wystanie tam Ciebie na praktykę czeladniczą pod okiem Krisa będzie zręcznym rozwiązaniem naszych kłopotów. Jednakże oznacza to, że będziesz musiała wyruszyć tak szybko, jak tylko będziemy Ciebie mogli wysłać drogą na północ — jutro, mam nadzieję. Zgłoś się do mnie, proszę, po południowym posiłku — natychmiast po przeczytaniu tej wiadomości — na odprawę i po ostatnie wskazówki.

Jej pierwsza myśl była oderwana i świadczyła o braku szacunku. Wiedziała, że Kyril nie opuścił biesiady wcześniej niż ona, jak on zdołał obudzić się, gotowy zmagać się z zawilumionymi sytuacjami tak wcześnie rano? To, co jej przyszło na

myśl potem, było bardziej do rzeczy. Jutro! Nie spodziewała się przydziału tak bez ostrzeżenia. Nie miała czasu do stracenia! Zbiegła po schodach do komnaty łazienkowej. Ani jej się śniło wyrzucić na Kyrilu wrażenia niezdarnej i niedbałej.

Gorąca kąpiel przywróciła jej wiele sił; szczypta kory wierzbowej zaparzona w wodzie poradziła sobie z bólem głowy. Nie mogła wiele zdziałać, by rozprężyć tuman na poły spowijający jej myśli, ale miała nadzieję, iż świadomość niedostatków swoich zmysłów w pewnym stopniu je zrównoważy. Zamiast poświęcać czas na pełny posiłek, wybłagała ser, chleb i owoce od Mero. I tak była zbyt podniecona, by dużo jeść. Po raz pierwszy miała spotkać się z Kyrilem jak równy z równym. Do tej pory, nawet po przywdzianiu Bieli, ich spotkania bardziej przypominały spotkania nauczyciela z uczniem.

Przed wyruszeniem na poszukiwanie Kyrila, poświęciła kilka chwil cennego czasu na porozumienie się z Rolanem. Była przygnębiona tym, że nie potrafi rozmawiać z nim słowami, jednak nawet dotknięcie go myślą podziało na nią bardzo uspokajająco. Rolan zapewnił, że Kyrilowi ani przez myśl by nie przeszło spodziewać się, że stawi się u niego jeszcze wcześniej, i powstrzymał ją od przebrania się w ostatniej chwili w strój bardziej oficjalny. Wiedziała, że Rolan jest gotowy przyjść z pomocą, jeśliby stwierdziła, iż zadanie przerasta jej siły. Czując spory przypływ pewności siebie, skacząc po schodach, zbiegła z wieży i przekroczyła progi Pałacu.

Chwilę później dotarła do części urzędniczej. Przystanęła przed drzwiami do Komnaty z Archiwami, która służyła za kancelarię Kyrila, by uspokoić się i uporządkować myśli. Obciągnęła tunikę z miękkiej skórki, wygładziła włosy, głęboko zaczerpnęła tchu, zapukała raz jeden i weszła do środka.

Ogromny porządek panujący w Komnacie z Archiwami był przeciwieństwem zagraconej kancelarii Dziekana Elcartha. Słoneczne światło wlewało się przez dwa okna, które wychodziły na ogrody z zachodniej strony budynku; otwarte na oścież pozwalały, by kwitnące kwiaty napełniały komnatę swym aromatem. Pomieszczenie aż pękało od półek z księgami. Biurko Kyrila ustawiono pod jednym z okien, by jak najlepiej wykorzystywać dzienne światło. Kyril stał oparty o framugę okienną, wodząc roztargnionym wzrokiem za dworzanami spacerującymi po ogrodach. Oczywiście było, że czeka na nią. Kiedy odwracał się od okna, by ją powitać, Talia dostrzegła na jego biurku rzecz osobliwą — kołczan pełen białych strzał.

— Panie? — odezwała się cicho.

Uśmiechnął się do niej.

Kyril ucieszył się z rażącego wyglądu Talii, która sprawiała wrażenie, iż jest w stanie podjąć się właściwie każdego zadania. Pracując z nią przez ostatnie tygodnie, szczerze uwierzył we wszystko, co o niej mówili nauczyciele z Kolegium.

Osobisty Królowej zawsze był wybijającą się osobowością pośród Heroldów, lecz Talia słusznie pretendowała do zajęcia wyróżnionego miejsca nawet pośród siebie równych. Przez jakiś czas nie potrafił zgłębić, dlaczego nawet pośród Heroldów uważana jest za istotę słodką, lecz do pewnego stopnia prostą. Nie był pewny, czy nawet on mógłby dokonać wyczynu zapamiętania w trzy tygodnie wszystkich rodzinnych tytułów i godeł całego Królestwa. Być może to z powodu jej — nawet teraz — tak wielkiej nieśmiałości i tego, że nie zagadnięta rzadko z własnej woli pierwsza zabierała głos; być może było tak z powodu jej umiejętności radzenia sobie z dziećmi w ogóle, a Następczynią tronu w szczególności, silnego instynktu macierzyńskiego, który niekoniecznie występował w parze z rozwiniętą inteligencją.

Jednakże nawet wśród Heroldów, którzy byli jej nauczycielami, niewielu widziało prawdziwą Talię. Tak się złożyło, że nielicznym pozwoliła zbliżyć się do siebie na mniejszą odległość niż na długość ramienia. Kyril bardzo żałował, że tak niewiele czasu mógł jej poświęcić; chwilami niepokoił go ten jej osobliwy Dar tak silnej Empatii. Ujrzawszy do jakiego wysiłku jest zdolna, zrozumiał, jak bardzo jest on silny — znacznie silniejszy od Daru Uzdrawicieli. Poczuł ulgę, gdy zaczęła spędzać tak wiele czasu w otoczeniu Uzdrawicieli, którzy wiedzieli, jak ją właściwie uczyć, jeśli w ogóle ktokolwiek mógł to wiedzieć. O gdybyż tylko on miał więcej czasu... gdyby żyła Ylsa...

Jednak wydawało się, że Talia doskonale nad wszystkim panuje, i pomimo tego, iż nawet pośród równych sobie zdawała się być nie doceniana, to na pewno nie wyrządzi jej krzywdy.

Być może zarazem skłonność do łatwego lekceważenia jej osoby nie była wcale taka zła. Już od bez mała dwudziestu lat Kyril codziennie miał do czynienia z Dworem i Radą i wiedział, że można tym posługiwać się jak skutecznym orężem. Ludzie, widząc szczere spojrzenie oczu, mogą w jej obecności mieć skłonność do folgowania swoim językom. Nie, jej reputacja może się im wszystkim bardzo przydać. Owe niepokojące pogłoski, które dochodziły do niego ostatnio, na pewno nie przetrwają zbyt długo, gdy ludzie zaczną porównywać zasłyszane opowieści o machinacjach z jej reputacją osoby słodkiej, nieskomplikowanej i niewinnej.

— Siadaj, siadaj — machnął w kierunku krzesła, sam zajmując drugie. — Nie wyglądasz najgorzej, zważywszy noc, jaką masz za sobą. Pamiętam moją pierwszą biesiadę, myślałem, że głowa będzie mnie boleć przez tydzień! Ufam, że bawiłaś się znakomicie. — Na nieśmiałe skinienie głowy uśmiechnął się ponownie. — Po raz pierwszy słyszałem twój śpiew. Jadus zaciekał nas wszystkich, chwając się twoimi zdolnościami. Nie mylił się ani o jotę! Ostatniej nocy... mówiąc prawdę, słuchałem Bardów, którzy nie potrafili dać tak wzruszającego występu. Jesteś tak dobra, jak twierdził Jadus, a może nawet lepsza. — Zaśmiał się widząc, jak Talia się rumieni. — Ha, to nie ma nic do rzeczy. Bardzo mi przykro z powodu

tego całego pośpiechu, jednak nie możemy pozostawiać na dłużej okręgu tuż nad Granicą bez Herolda. W tym przypadku nie obawiamy się żadnych kłopotów, ale ludzie z tej okolicy uważają, że żyją w dużym odosobnieniu, zwłaszcza w zimie. Muszą wiedzieć, iż są tak samo ważni dla tego Królestwa, jak okolica Stolicy. — Zmierzył ją wzrokiem, mając nadzieję, że sporo dowie się z jej odpowiedzi.

W oczach, które śmiało przyjęły jego wzrok, kryło się lekkie zaskoczenie.

— Ja... ja myślałam, że w okolicach Granicy zawsze należy się spodziewać kłopotów, panie — odparła Talia zdobywając się na odwagę. — Pełno tam najeźdźców, rabusiów, mnóstwo trosk, nawet jeśli ich powodem nie są ludzie.

— Zazwyczaj to prawda, jednak Granica w tej okolicy przebiega przez Bór Żalu, a to nie byle jaka ochrona.

— Zatem opowieść o klątwie Vanyela jest prawdziwa? — Talia była zdumiona. — Żale rzeczywiście chronią Królestwo? Ale... jak.

— Chciałbym to wiedzieć — odparł Kyril, na poły w zamyśleniu, — Nasi przodkowie wiedzieli o wielu rzeczach, o których my zapomnieliśmy. Wtedy potrafili posługiwać się magią, prawdziwą magią, a nie tylko naszą magią myśli — Zakęcie Prawdy jest wszystkim, co nam po niej zostało. Klątwa Vanyela jest w Borach Żalu tak samo silna, jak w dniu, kiedy rzucił ją, wydając swoje ostatnie tchnienie. Nic, co źle życzy temu Królestwu albo jego ludziom, nie przeżyje tam dłużej niż kilka marek na świecy. Na własne oczy widywałem rezultaty. Osobiście objeżdżałem Północ; to było jeszcze wtedy, kiedy przemierzałem obwody i jeszcze nie byłem Heroldem Seneszała. Widziałem rabusiów przebitych konarami jakby oszczepem. Widziałem wyrzutek spod prawa, którzy umarli z głodu zagrzebani po pas w twardej jak skała ziemi, kiedy ta rozstała się im pod stopami i zamknęła ponownie jak potrzask. Co więcej — i to jest najbardziej przerażające ze wszystkiego — widziałem barbarzyńskich najeźdźców umarłych bez jakiegokolwiek śladu na ciele, jednak o twarzach wykrzywionych straszliwym grymasem potwornego przerażenia. Nie wiem, co ich spotkało i tylko domyślałem się, że umarli ze strachu.

Talia pokręciła głową zadziwiona.

— Trudno w to uwierzyć. Jakże klątwa może domyślać się czyichś zamierzeń?

— Ja nie potrafię tego wyjaśnić, ani nie można tego znaleźć w starożytnych kronikach. Tak czy siak to prawda. Ty czy ja, mieszkańcy z tej okolicy mogą wędrować przez tę puszcę bez żadnej obawy. Nie odnosząc najmniejszej krzywdy, przejdzie tamtędy dziecko, ponieważ kaci puszczańscy na obszarze Żalów nie tkną ludzi nawet palcem — ha, to jedyna niezwykła właściwość w tamtej okolicy. Wierzenia religijne należą do pospolicie spotykanych, ludzie czczą Panią jako Asterę z Gwiazd, a Bogiem jest Kernos Północnych Światał, nie ma tam przesądów, które są wymierzone przeciw kobietom. Prawdę powiedziawszy, z uwagi na Żale często na objazd tego obwodu wysyłamy samotną kobietę. Herold, którego zastąpisz, jest kobietą, może ją znasz, była od ciebie wyżej o dwa lata — Destria.

— Destria? Na niebiosa, czy jest poważnie ranna? Co się stało?

— Obrażenia są dość poważne, lecz jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Próbowała ratować z pół tuzina dzieci podczas powodzi — to surowa kraina, Talio, oto główna trudność — i złamała obie nogi.

— Dzięki Bogini za Towarzyszy!

— Gdyby nie on, spędziłaby godziny leżąc w wodzie ze śniegiem, i najpewniej umarłaby z zimna. Nie, Sofi udało się bezpiecznie wydobyć nie tylko swego Herolda, ale i wszystkie dzieci. Wszystkich w dobrym zdrowiu, jeśli nie liczyć obrażeń Destrii. Tak oto mają się sprawy. Jak już powiedziałem, przepraszam za tak krótki termin. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe.

— Nic a nic — odparła Talia. — Był on przecież jeszcze krótszy, kiedy zostałam Wybrana, nieprawdaż?

— Punkt dla ciebie! — zaśmiał się Kyril. — Ha, teraz nadszedł czas wyluszczyć ci, dlaczego poprosiłem cię do siebie, a nie spotkałem się z tobą w południe przy stole, ani nie urządziłem wspólnego spotkania z Krisem, by cię o tym powiadomić. Jestem pewny, że domyśliłaś się już dawno, iż istnieją rzeczy, których nie uczymy, póki nie przywdziejesz Bieli. To, co zamierzam ci teraz pokazać, jest jednym z najlepiej strzeżonych sekretów Kręgu Heroldów. Czy nigdy nie dziwiło cię, że wymagamy, by wszyscy Heroldowie stali się łucznikami?

— Nigdy o tym nie myślałam — przyznała zaciekawiona. — Rzeczywiście, wydaje mi się to nieco dziwne teraz, kiedy o tym wspomnieliście. W bitwach nie występujemy u boku królewskich Łuczników, lecz przeważnie działamy mieczem lub walczymy wręcz. Zazwyczaj nie musimy polować w poszukiwaniu żywności; kiedy objeżdżamy nasze obwody, zabieramy zapasy lub korzystamy z tego, co jest w Stanicach. A więc dlaczego musimy się uczyć napinać łuk?

— By usprawiedliwić noszenie przy sobie strzał — odparł Kyril. — Nie każdy ma taki zasięg myśli jak ja. O Pani, ty wiesz, że wtedy byłoby znacznie prościej, bo czasami zwyczajne przesyłanie wieści nie wystarcza. Musimy mieć pewną, niedwuznaczną metodę przekazywania prostych komunikatów, lecz tak, by nikt nie mógł w nie wściubiać swego nosa. To dlatego wymyślono Kod Strzał, którego jak dotąd nikomu nie udało się złamać. A wszystko zaczyna się od tego...

Zręcznymi i wprawnymi palcami Kyril ostrożnie obłamał chorągiewki piór u lotek zwykłej, białej strzały, którą wydobył z kołczanu. Talia widziała, że bardzo starannie wybierał pióra do obłamania — ważna była kolejność i piór, i lotek — jednak, kiedy skończył, strzała na pozór wyglądała tak, jakby ktoś obszedł się z nią beztrąsko.

— A więc to dlatego wszystkie nasze strzały mają lotki z piór łyski błotnej! — olśniło Talię.

— Właśnie. Nie nadają się tak dobrze do tego jak gęsie, jednak ich chorąg-

giewki są tak grube, ciężkie i równe, że lotki nic a nic się nie różnią i można je dokładnie we wzorze policzyć. Oto mój wzór. Przechowuje się go tutaj, należy do sekretów Archiwum, ale i tak jest zakodowany, by dodatkowo zwiększyć jego bezpieczeństwo. Wie o tym jedynie czworo ludzi spoza Archiwum: Królowa, Seneszał, Elcarth i Teren, który był moim partnerem. Oprócz mnie jedynie Królowa, Seneszał i Elcarth wiedzą, jak przetłumaczyć zapisane tam szyfry. Kiedy ukończysz praktykę czeladniczą, dostaniesz do nich klucz, gdyż jest to wiedza, którą, jako Osobisty Herold Królowej, musisz posiadać. Jedynie dwóch ludzi zna wszystkie wzory szyfrów na pamięć: ja i Elcarth. Teraz już wiesz, dlaczego jedną z najważniejszych zdolności na zajmowane przez nas obu posady jest doskonała pamięć!

Talia uśmiechnęła się i zagryzła wargę, by stłumić śmiech.

— Ten wzór identyfikuje wiadomość określaną przez kolor opaski na brzechwie strzały, podając, że pochodzi ona ode mnie i nikogo innego. A teraz... — Wysunął kolejną strzałę z kołczanu i wyłamał chorągiewki tworząc inny wzór. — ...Oto jest twój wzór. Kiedy przekonasz mnie, że potrafisz odtworzyć go bezbłędnie po ciemku z zamkniętymi oczami i rękami na plecach, opowiem ci więcej o reszcie kodu.

Poczuła lekkie zażenowanie, gdy zrozumiała, że Kyril rozumiał te słowa dosłownie. Strawiła kilka godzin, zanim nauczyła się bezbłędnie wykonywać to zadanie, bez patrzenia na strzałę i właściwie bezmyślnie, tak szybko i dokładnie, że zadowoliło to Kyrila. W tym czasie promienie słońca przepęły przez całą długość blatu biurka, a jej żołądek zaczął przypominać, że dawno już zjadła swój ostatni posiłek.

W końcu Kyril ogłosił, że Talia potrafi to należycie zrobić, i zezwolił jej umęczonym palcom odpocząć, a sam zaczął wyjaśniać tajniki kodu.

— Reszta — powiedział jej — jest nieco bardziej zawiła, jednak staraliśmy się bardzo, by kolory kojarzyły się z wiadomością. Po drodze do waszego okręgu Kris wbije ci do głowy pełny kod, lecz ogólnie mówiąc, opaski pojedynczego koloru oznaczają, co następuje: biała — nie dzieje się nic złego, „wszystko w porządku, ruszaj do przodu” (zazwyczaj używana jest tylko do oznaczenia, że w okolicy znajduje się Herold, i kto nim jest); zielona to wezwanie Uzdrowiciela; purpurowa — kapłana; szara — drugiego Herolda; brązowa zawiadamia tego, kto ją odebrał, by spodziewał się wiadomości, bo są jakieś kłopoty (nic poważnego, lecz wymaga to podania jakichś szczegółów i może to zająć wysyłającemu ją Heroldowi więcej czasu niż to planowano); niebieska oznacza zdradę; żółta to wołanie o pomoc zbrojnych (liczba żółtych opasek oznacza, ile potrzeba oddziałów, jeśli wyślesz wszystkie posiadane strzały oznaczone na żółto — a my wiemy dokładnie, ile ich posiadasz — wysyłamy całą armię); czerwona opaska jest oznaką wielkiego

niebezpieczeństwa — „przybywajcie jak najszybciej”; i na koniec czarna.

Zamilkł na chwilę, nie spuszczać wzroku z Talii.

— Proszę Niebiosa, byś nigdy nie musiała wysłać czarnej strzały, Talio. Wysłanie jej oznacza nieuchronną śmierć lub zbliżającą się katastrofę. Istnieje jeszcze jeden wariant czarnego kodu, który powinnaś poznać już teraz a nie później. Nie uszkodzona, jeśli nie liczyć wzoru na lotkach, strzała z czarnym znakiem donosi o „pełnej katastrofie, potrzebna jest pomoc i ratunek”. Złam brzechwę i prześlij drzazgi, a wiadomość brzmieć będzie: „katastrofa, nie ma nadziei. Nie próbujcie ratunku”. Usuń grot i dowiemy się, że ten, którego kod widnieje w lotkach jest martwy. Strzała złamana lub bez grota może być oznaczona jakimkolwiek kolorem, byle lotki układały się we wzór — zawsze ich przesłanie jest dla nas jasne, lecz chcielibyśmy nie widywać ich nigdy.

Talia poczuła, że dziwne, lodowate mrowienie przebiegło jej po krzyżu. W niewytłumaczalny sposób, nagle gorący, słoneczny dzień stał się szary i zimny. Otrząsnęła się z tego uczucia i słowo w słowo powtórzyła Kyrilowi to, co od niego usłyszała.

— Na razie wystarczy — powiedział zadowolony. — Jesteś tak samo dobrze przygotowana do swojego pierwszego zadania jak każdy z nas, i jesteś jednym z najlepszych uczniów, jacy kiedykolwiek ukończyli Kolegium. Powinnaś sobie poradzić, choć czekają cię trudy, bo to niełatwy przydział. Wszystkiego najlepszego, Talio; będę tęsknił za tobą przez następne półtora roku.

Kiedy zezwolił jej odejść, pomimo pustego żołądka postanowiła najpierw odnaleźć Krisa. Biorąc pod uwagę sytuację, pierwsze kroki skierowała do szopy z rzędami końskimi — przecież Kris dopiero co powrócił ze swego objazdu, a więc powinien przede wszystkim zatroszczyć się, czy ekwipunek jego Towarzysza został poddany niezbędnym naprawom. Odnalazła go tam rzeczywiście; razem z Dirkiem badał uważnie siodło i uprząż.

Czujny jak dzikie zwierzę na najdrobniejsze poruszenie, Dirk pierwszy ją spostrzegł.

— A oto nasz słowik! — zakrzyknął wesoło, obdarzając jednym ze swych uśmiechów, które wydawały się ciepłym uściskiem. — Domyślam się, że dotarły już do ciebie wieści? I Kyril przekazał kod?

Skinęła głową, czując się dziwnie onieśmielona, a potem odszukała nigdy nie używany ekwipunek Rolana. Był on podobny do tego, który miał na sobie, gdy spotkali się po raz pierwszy, jedynie dzwoneczki przy uździe można było zdejmować i siodło było bardziej skomplikowane. Oprócz zwykłych popręgów wyposażono je w piersiowy i zadni, tak jak siodła wojowników; wisiało przy nim o wiele więcej rzemieni do zawieszania wszelakich przedmiotów przy skrzydłach oraz pierścieni i pasów, którymi można było przytwierdzić jeźdźca — chorego, rannego lub nieprzytomnego — do jego wierzchowca.

Talia rzadko troszczyła się o to, by zakładać Towarzyszowi siodło i wodze

w obrębie Kolegium, jednak z doświadczenia własnego i Rolana wiedziała, że przejażdżkę trwającą dłużej niż godzinę może im obojgu bardzo uprzyjemnić, zakładając mu na grzbiet siodło. A jej zakończona niemal śmiercią przygoda w rzece dowiodła, że skądinąd bezużyteczne wodze i ogłowie może się przydać nie tylko do powodowania Towarzyszem. Gdyby Rolan miał na sobie ogłowie, mogłaby oplatać sobie wodze dookoła rąk i pozwolić, by ją dowlókł do brzegu.

— Czy wszystko jest w dobrym stanie? — zapytał Kris.

Kiwnęła głową potakująco, czując się jak niezdara, zapominając języka w ustach teraz, kiedy niecały dzień dzielił ją od wyruszenia w długą wędrówkę, którą spędzi głównie w jego towarzystwie.

— Nie zatroszczyliśmy się jeszcze z Krisem o wystąpienie z żądaniem o zapasy dla ciebie — powiedział Dirk, obdarzając ją dla dodania otuchy krzywym uśmiechem, tak jakby zmysły podpowiedziały mu, jakie targają nią uczucia. — Czekaliśmy, aż nas dogonisz.

— My? — Kris podniósł brew na swojego przyjaciela. — A cóż to „my” ma oznaczać? Tak się składa, że ona jest moim czeladnikiem!

— A kto nie pamięta nawet, jak wiele stai dzieli go od jego Okręgu, czy potrzebne są pożywne racje, albo trawi połowę czasu na koncypowaniu, dokąd, u licha, zmierza?

— Wiesz tyle samo, co ja; nie przypominam sobie nikogo, kto odpowiadałby temu opisowi — uśmiechnął się Kris.

Pierś Dirka uniosła się w ciężkim westchnieniu.

— Co za niewdzięczność — ot, czym to jest! Doskonale, nuże, głowo jak przetak, idziemy, byście ty i twój czeladnik przebrnęli przez Kwatermistrza. Niech Talia zobaczy, jak to się robi!

Wzięli Talię pomiędzy siebie i spacerkiem opuścili tereny Pałacu, wstępując na obszar wydzielony dla Gwardii. To znaczy, spacerowali Dirk z Kirkiem, bo Talia musiała się bardzo nabiedzić, wyciągając nogi, by za nimi nadążyć. Bez chwili przerwy czuła na sobie krótkie, ciepłe spojrzenia Dirka, rzucane na nią spod oka, wtedy gdy wydawało mu się, iż ona nie patrzy. Nie była przyzwyczajona do tak nieprzerwanej, badawczej obserwacji i to budziło w niej ... — niepokój nie był właściwym słowem, niepewność być może lepiej to oddawała.

Gwardziści mieli w Pałacu własne pomieszczenia, tak jak Heroldowie, jednak nie mogłyby one konkurować z Kolegium. Były tam: ośrodek ćwiczeń, miejskie koszary z kwaterami dla oficerów oraz pewna liczba niewielkich izb służących za kancelarie. Ponieważ Heroldowie i Gwardziści potrzebowali bardzo podobnych zapasów, to Kwatermistrz zaopatrywał na początku wyruszających w drogę Heroldów, natomiast o zaspokajanie wszelkich dalszych potrzeb dbano na specjalnych Stanicach Zaopatrzeniowych.

Do Kancelarii Gwardzistów wchodziło się przez drzwi, na które padał już cień murów okalających Pałac i Kolegium. Siedziało tam tuzin — albo i więcej

— oficerów, stłoczonych w stosunkowo niewielkiej izbie i pogrążonych po uszy w stosach papierów; jednak Kris i Dirk zdawali się doskonale znać drogę i Talia szła za nimi przez ten labirynt, a oficerowie, którym zakłócali pracę albo gromili ich spojrzeniem, albo posyłali im przyjacielskie mrugnięcie powieką. Zmierzali do stojącego na samym końcu biurka. Jego właściciel, posiwiały, stary weteran wydawał się nie na miejscu pośród młodych, pochodzących z miasta oficerów. Wydawało się, że jest bardzo zajęty swoimi dokumentami, a jednak podniósłszy oczy, uśmiechnął się szeroko na ich widok.

— Nu, już się wam nase gęby obzydły? — zakpił. — Abo, cyjs ojculek chciun obacyć, cy Herolda posoka tyz cerwona?

— Nic z tego, stary piracie — odparł Kris. — Mamy wakat na Północy, który musimy wypełnić i Kyril w swej nieskończonej mądrości zarządził, że to właśnie my najlepiej się do tego nadajemy.

Twarz starca natychmiast spoważniała.

— Nie słyszolek Dzwonu. . .

— Uspokój się, Levris, to nie było śmiertelne — zapewnił go Dirk. — Złamane obie nogi, tak mi powiedziano. Talio, to jest Levris, Kwatermistrz Gwardii i z racji tego, często widywany przez nas, gdy wyruszamy do swoich obwodów.

Zasuszony człowieczek zerwał się zza biurka, schwycił jej dłoń jak dworzanin i ukłonił się z gracją!

— Cała psyjemność po mojej stronie — powiedział poważnie i Talii zarumieniły się policzki. — I zascyt, dyć sobie myślę, żeś Osobistym Królowej. . .

— Trafileś w dziesiątkę. — Krisowi drgały kąciki ust. — Ona jest moim cze-ladnikiem.

— A, tak? — Levris puścił dłoń Talii, wsparł się pod boki i spojrzał na niego surowo. — Cobyś się nie ważył próbować żadnych kusicielskich stucek, mój ty zuchu, bo jak o tym usłyse. . .

Tym razem zarumienił się Kris, a Dirk tłumił uśmieszek.

Talia postanowiła przyjść mu z pomocą.

— Herold Kyril na pewno nie dałby nam wspólnego przydziału, gdyby uważał, że jest w tym coś złego — oświadczyła. — A to jest służba, a nie wycieczka dla przyjemności.

— Ha, prawda — przyznał z ociąganiem, ponownie sadowiąc się za biurkiem. — A więc, jaki Okręg?

— Północą Granica, Żale Dwa — powiedział Kris. — A ponieważ nie spotkamy się z wracającym stamtąd Heroldem, potrzebne jest nam pełne zaopatrzenie.

— Na jutro, coś mi się widzi? I chcieć będziecia specjalnych racji. Moglibyście tak człowiekowi sepnać słówko zawcasu następnym razem! — burczał, ale w jego oczach przebłyskiwały iskierki humoru.

— Jasne, Levris. Odtąd będziemy łamać nasze nogi zgodnie z planem, upewniwszy się z góry, czy tobie to odpowiada.

— To dopiero uwidzimy — zaśmiał się, wyciągając plik formularzy.

Kris i Talia podpisali wszystkie podsunęte im dokumenty. Kiedy to zrobili, przepędził ich sprzed swojego biurka, odsyłając tą samą drogą, którą przyszli.

— Załatwione — powiedział Kris, gdy wrócili do Kolegium. — Przygotujcie dla nas na rano wszystko, czego potrzebujemy.

— Pod warunkiem, że Herold Sluggard da się przekonać, by wstać tak wcześnie — roześmiał się Dirk.

— Skoro już sprawdziłaś swój rząd, teraz pozostało ci jedynie spakowanie rzeczy osobistych — ciągnął Kris, nie zwracając uwagi na przyjaciela. — Pamiętaj, że w stronach, dokąd się udajemy, chłody nastają wcześniej niż tutaj, trwają dłużej i są dokuczliwsze. Tutaj liście dopiero zaczynają zmieniać kolor, a tam już opadają. Będziemy zatrzymywać się głównie w Stanicach w pobliżu wiosek, starając się, o ile to możliwe, nie oddalać za bardzo od ludzi.

— Tym niemniej — ostrzegł ich Dirk — lepiej być przygotowanym na spędzenie kilku samotnych nocy w dzicy. Mieszkałem w tamtych okolicach, a wy nie. Wioski leżą daleko od siebie, a burze śnieżne pojawiają się jakby znikąd, mogą was przyłapać z dala od najbliższej Stancy, a więc nie zapomnijcie o odpowiednim wyposażeniu; nic nie szkodzi, jeśli nawet nie zużyjecie zapasów, lecz w razie potrzeby będziecie zadowoleni, że je macie ze sobą. Przewidujcie największe śniegi, jakie widzieliście w życiu, a potem zróbcie i na to poprawkę w górę.

— O tak, siwobrody — Kris wykrzywił do niego twarz. — Najświętsze Gwiazdy, Dirk, przecież złożyłem tam twojej rodzinie wizyt bez liku! Tak się nad tym rozwodzisz, jakbyś nas oboje uważał za zielonych jak trawa na wiosnę, i bez przeszkolenia! Talia nie jest szlachetnie urodzonym, kruchym kwiatem, ona też pochodzi znanąd Granicy, tyle że położonej nieco dalej na południe.

— Ha, od nadmiaru głowa nie boli. . .

— Dość już tego, wyrocznie! Nic nam nie będzie! Ktoś mógłby pomyśleć, że jesteś moim opiekunem, a nie przyjacielem. — Kris powiedział to, spoglądając szelmowsko kątem oka na Talię, która poczuła się bardzo nieswojo. — A może, niepokoisz się o kogoś innego?

Sądząc z malującego się na twarzy Krisa zaskoczenia, nawet on nie spodziewał się, że Dirkowi tak poczerwienieją uszy.

— Słuchaj — Dirk odezwał się pośpiesznie — nie chcę, byście oboje wpadli w tarapaty. Przegrałeś ze mną zbyt wiele zakładów i ani mi się śni odbierać wygranej od twojego ojca! Czy chciałabyś jeszcze się czegoś dowiedzieć, Talio?

— N. . . nie — zająknęła się. — Nie wydaje mi się. Dzięki wam obu. Lepiej wróć już do moich komnat, spakować rzeczy.

— Nie zapomnij: wszystko musi być w Bieli! — zawołał za nią Dirk. — Każda chwila spędzona w polu, jest chwilą na służbie; i pamiętaj żadnych szatek, uległyby tylko zniszczeniu.

„Nie musiał mówić, o tych szatkach — pomyślała z lekkim wyrzutem. —

Przecież nie jestem wychowaną w mieście dzierlatką”. I wtedy na jedną, króciutką chwilę ogarnęło ją zdziwienie, że tak bardzo zależy jej na jego dobrej opinii.

Przepędziwszy natrętne myśli, wbiegła po schodach na swoją wieżę i przewróciła do góry nogami szafę, rozkładając na łożu wszystkie znalezione białe rzeczy. W ten sposób uchroniła się przed pozostawieniem tuniki lub innej części ubioru, która później, w polu, mogłaby okazać się przydatna. Zapakowała tylko skórzane szorty, na zimę i na lato, ale za to wszystkie jakie były w jej posiadaniu, co do pary.

„Choć wnioskując ze sposobu, w jaki o tym Dirk opowiada — pomyślała z przekąsem. — Można by sądzić, że tam nigdy się nie ociepla”.

Dodała jeszcze przybory do naprawiania skór i rządu, a potem na wszelki wypadek starannie zapieczętowany stój z klejem. Dawniej w Grodzie, nieraz w czasie, gdy wypasała owce, potrzebny był jej klej, którego akurat nie miała pod ręką. Na wypadek, gdyby musiała własnoręcznie cerować i prać, zapakowała przybory do szycia i kostkę twardego, stężonego mydła — niezbędnego do utrzymania nieskazitelnej Bieli jej ubioru. Zazwyczaj troszczyły się o to wioskowe pralnie, lecz nigdy nic nie wiadomo. Zabrała jeszcze małą, podróżną latarnię z dodatkowym knotem, ponieważ nigdy nie widziała, by w Stanicy było coś takiego, a jeśli by przyszło im zatrzymać się w którejś na dłużej, Światło było lepsze dla oczu niż poświata od ogniska. Nie zapomniała o przedmiotach osobistego użytku, broni, cennej książce czy dwóch i materiałach piśmienniczych. Przygotowując zwój z posłaniem, wyszperała wszystkie koce, jakie tylko udało jej się znaleźć, a oprócz tego dwa dodatkowe ręczniki oraz parę grubych pantofli z owczej skóry. Wszystko, czego potrzebował Rolan, znajdowało się w jukach przy siodle, ale mimo to zabrała jeszcze fiolkę z olejkiem, który lubił, bo utrzymywał w dobrym stanie jego kopyta i sierść, a przy tym odstraszał owady.

Mimo wszystko toból urósł do przygnębiających rozmiarów, choć starała się, by był jak najmniejszy. Patrzyła na niezdarne pakunki bliska rozpacz, próbując wymyślić, co by tu jeszcze mogła zostawić. Kris z pewnością uzna ją za wyjątkowo niemądrą, jeśli będzie chciała wziąć wszystkie te rzeczy!

— Dobra robota — powiedziała stojąca w drzwiach za jej plecami Keren. — Chciałam tutaj przyjść i pomóc ci uszczknąć nieco szczątków, ale wygląda na to, że nie jestem potrzebna.

— Mówisz poważnie, czy żartujesz? — zapytała Talia, obracając się z westchnieniem ulgi, by powitać bardziej doświadczonego Herolda.

— Och, oczywiście, że poważnie. Mój mentor kazał mi przepakowywać moje rzeczy trzy razy przed moją praktykę czeladniczą, a i tak nie udało mi się uczynić ich tak małymi jak twoje. Wciąż przychodziły mi do głowy przedmioty, bez których, byłam tego pewna, nie mogłabym się obejść. I wiesz, co się stało? Skończyło się na tym, że większość odesłałam tutaj.

— Ależ, jakże Rolan zdoła to wszystko unieść, toból z zapasami i jeszcze

mnie na dodatek?

— To proste: nie będzie musiał. Każde z was otrzyma zwierzę juczne, najpewniej muła. Hm, może nie; udajecie się na północ, możliwe, że dadzą wam chirra. Czy nikt ci tego nie powiedział? Podróżujecie po okręgu. Nie jesteście posłańcami, a więc nie musicie martwić się o szybkość. Nic się nie stanie, jeśli dostosujecie się do kroku zwierząt jucznych.

Talia westchnęła z ulgą.

— Nikt mi tego nie mówił. Kris albo założył, że o tym wiem, albo umyślnie nie powiedział mi tego, bym nie zabrała za dużo.

— Ha, ale teraz nie popadaj w przesadę — ostrzegła Keren.

— Nie zrobię tego. Oprócz wyproszenia dodatkowej pary koców od Kwatermistrzostwa, dołożenia wszystkich trzech par wysokich butów, kilku ręczników, mydeł i tym podobnych rzeczy, chciałabym wziąć jeszcze tylko jedno — Talia wepchnęła trzecią parę butów do tobołu, obwiązała go szczelnie i odwróciła się w stronę kąta obok kominka, gdzie ostatniej nocy pozostawiła futerał z Moją Panią. Otworzyła go, rozstroiła harfę, by zabezpieczyć ją na czas podróży i dodała do stosu.

— Dobry pomysł — powiedziała Keren. — Zawsze możecie utknąć w śniegach, a to uchroni was przed skoczeniem sobie do gardeł z nudów. I nie tylko. O ile nie jest to lato, tamtejsi ludzie rzadko mają okazję zobaczyć u siebie Barda. Będziecie jak dar zesłany przez bogów.

— Keren... Ja... — nagle Talię ścisnęło coś za gardło. Teraz zaczynała do niej docierać to, że wyjeżdża, że opuszcza jedyne miejsce, gdzie czuła się jak w rodzinnym domu, i jedynych przyjaciół, jakich miała kiedykolwiek. — Ja... będę tęskniła.

Keren uścisnęła ją.

— Nie martw się, wszystko będzie dobrze, wiem o tym. Kris to porządny chłopiec, pomimo że nieco za bardzo świadomy tego, jak bardzo jest przystojny. I ja będę za tobą tęskniła, mały centaurze, ale ani mi się waży płakać... — ostrzegła, złapana w pułapkę łez i śmiechu — bo i ja zacznę! Nuże, zostało nam jeszcze dość czasu, by zdążyć na koniec kolacji, przecież gotowa jesteś już żuć koński rząd.

Zjadły w spokoju. Większość zdążyła się najeść i wyjść na długo przed ich przyjściem, a z tych, którzy pozostali, Talia dobrze знаła jedynie Keren. Talia nieprzerwanie rozglądała się dookoła siebie. Teraz zaczynała rozumieć, jak bardzo będzie tęsknić do tego miejsca, które było jej pierwszym prawdziwym domem.

Myślała, że po kolacji Keren ją opuści, jednak ku jej zaskoczeniu, starsza przyjaciółka nalegała, by Talia odprowadziła ją do komnat, a co dziwniejsze zmusiła, by pierwsza weszła przez drzwi.

Były oczekiwane. W izbie goście ledwie mogli się pomieścić. Był tam Elcarth, Sherri, Jeri, Skif, Teren, a nawet Alberich. Na tle białych postaci wyróżniała się jaskrawa, zielona plama szaty Uzdrawiciela Devana. Uczniów godnie reprezento-

wała Elspeth. Kiedy Talia zawahała się na progu, Keren wepchnęła ją do środka komnaty szturchnięciem w plecy.

— Chyba nie przyszło ci do głowy, że pozwolilibyśmy ci wyjechać bez godzinego pożegnania, nieprawdaż? — dociął oszołomionej tym wszystkim Talii Skif. — Prócz tego, zamierzałaś osowiała spędzić samotnie ostatnią noc? A to gęś! Ha, nic z tego!

Ponieważ dokładnie tego właśnie się spodziewała, Talia spąsowiała jak róża i pokazała mu język.

Skif wiedział doskonale, jak łatwo Talia potrafi stronić od innych akurat wtedy, gdy są jej najbardziej potrzebni, dlatego, usłyszawszy wieść o przydziale Talii, natychmiast zaczął Keren. Połączyli siły i szybko przygotowali małe przyjęcie, by życzyć jej szczęśliwej wędrówki i przeszkodzić nastrojom przygnębienia, które mogłyby ogarnąć Talię w ostatnich przed wyjazdem chwilach. Ujrawszy twarz dziewczyny — kiedy uzmysłowiła sobie znaczenie tego, co dla niej zrobił. — Skif poczuł się sowiec wynagrodzony za swe wysiłki. Przez cały wieczór uczynił wszystko, co było w jego mocy, by dać do zrozumienia, ile dla niego znaczy „młodsza siostrzyczka”, wiedząc, iż dojdzie to do jej uszu. Pragnął odwdziżyć się jakoś jej za pomoc, którą ostatniej nocy od niej otrzymał. Ciepłe spojrzenie Talii dowodziło, że udało mu się choć w części dopiąć swego. Teraz był nawet zadowolony, iż nigdy nie zostali kochankami, gdyż w końcu nic nie liczyło się tak, jak to głębokie, otwarte uczucie, którym zamiast tego zostali złączeni. A jego podejrzenie, że i ona dzieli z nim to samo uczucie, graniczyło z pewnością.

— Ptaszyno, a co powiesz na piosnkę, czy dwie?

Choć tego wieczoru nie było aż tak wesoło, jak podczas obchodów ubiegłej nocy, jednak urządzono go tak, by uspokoić jej myśli i natchnąć otuchą przed następnym dniem. Każdy z gości, z wyjątkiem Devana i Elspeth, przeżył podobne chwile, i każdy wiedział, jak przedstawić przyszłość w pomyślnych barwach. Mnóstwo było śmiechu i dziwacznych dykteryjek; nad wszystkim unosiła się łatwo wyczuwalna atmosfera troski. Odesłali ją na spoczynek o godziwej porze, by mogła się jeszcze tej nocy smacznie wyspać. Opuściła swych przyjaciół z uśmiechem na twarzy.

Kris odpowiedział na pukanie do drzwi, spodziewając się ujrzeć na progu Dirka; mówiąc prawdę, przygotował już nawet butelkę wina i dwie szklaneczki przewidując, że jego przyjaciel nie omieszka odwiedzić go, by pogawędzić przy pożegnalnym kielichu. Był więc dość zaskoczony, ujrawszy stojącego w ciemnej sieni swego wuja, członka Rady Królewskiej, lorda Orthallena.

Zdołał, jękać się, wydusić z siebie kilka słów na powitanie, które Orthallen

potraktował jak zaproszenie. Twarz srebrnowłosego, ubranego w aksamity szlachcica — o kwadratowo zarysowanych szczękach, wciąż jeszcze przystojna — była poważna i w Krisie obudziło się mocne podejrzenie, iż nie składa on wizyty jedynie po to, by pożegnać swego bratanka.

Wskazał swemu wujowi najwygodniejszy fotel w swojej komnacie i zanim usiadł naprzeciw niego, wręczył szklankę wina, która była przeznaczona dla Dirka.

— Cóż, wuju? — odezwał się, doszedłszy do wniosku, że jest zbyt znużony, by bawić się dyplomatyczne płasy wokół tematu. — Co cię do mnie sprowadza? Wiem, że nie jest to chęć złożenia życzeń wszystkiego najlepszego na drogę.

Lord Orthallen aż uniósł brew do góry w odpowiedzi na taką szczerość.

— Jak rozumiem, twoim czeladnikiem jest nowy Osobisty Królowej.

Kris wzruszył ramionami.

— To żaden sekret.

— Czy dobrze ją znasz?

— Ani trochę — przyznał. — Widziałem ją dwa razy. Wspólnie pracowaliśmy raz. Wydaje się bardzo miła, bardzo opanowana. Jej Dar jest osobliwy, ale...

— To właśnie mnie niepokoi — Orthallen skwapliwie skorzystał z nadarzającej się okazji. — Jej Dar. Sądząc z tego, co zdołano mi powiedzieć, jest on rzadko spotykany u Herolda, a jeszcze rzadziej u Osobistego Królowej. Wydaje się, że nawet Heroldowie niewiele o nim mogą powiedzieć, i nie powiem, bym się cieszył z tego, że niedoświadczone dziecko zajmuje takie stanowisko, dysponując mocą tak... niezwykłą.

— Wybrał ją Rolan — odparł znużony Kris. — To powinno być dostatecznym dowodem, że potrafi nad swym Darem zapanować.

— Tak, lecz uczucia są ulotne. Nie istnieje czarne ani białe, jedynie szare. Na Dworze pojawiły się plotki...

— Na przykład?

— Że uzależnia od siebie Następczynię. Dzieci są podatne na tego rodzaju oddziaływanie. To właśnie tak nienaturalne uzależnienie od obcej niańki, Huldy, nieomalże nie zakończyło się jej wydziedziczeniem. Krążą jeszcze i inne plotki.

Kris przełknął gniewną odpowiedź; lepiej było wysłuchać wuja do końca.

— Nie przerywaj sobie.

— Że Talia wykorzystuje swoją moc do oddziaływania na Radę. Możesz sobie wyobrazić, jakie to mogłoby być łatwe. Gdyby członek Rady wahał się... można by z łatwością pokierować jego emocjami, skłonić, by był przychylniejszym dla którejś ze stron. Albo nawet nie to... wystarczyłoby wyczuć jego niezdecydowanie i przekonać w tradycyjny sposób. Znając stanowiska członków Rady, można by bez wielkich trudności kierować nimi zmieniając ton głosu...

— To niedorzeczność! Żaden Herold nigdy nie użyłby swego Daru w ten sposób!

— I ja jestem tego samego zdania — gładko odparł Orthallen. — Jednak... jedynie Uzdrawiciele obdarzeni są Darem Empatii i używają go do bardzo swoistych, humanitarnych celów. Podobny protokół postępowania w przypadku Heroldów nie istnieje. A co, bratanku, jeśli ona nieświadomie używa swoich zdolności? Tego rodzaju sił nie można ani zmierzyć, ani zważyć. Są nieuchwytnie. A jeśli ona dokonuje tego rodzaju rzeczy, nie zdając sobie nawet z tego sprawy?

Kris poczuł się, jakby ktoś oblał go zimną wodą.

— Przy... przypuszczam, że takiej możliwości właściwie nie ma. Nie sądzę, aby to w ogóle było możliwe, lecz nie mogę tego z miejsca uznać za fantazję.

Orthallen podniósł się z fotela. Pełen zadowolenia uśmiech wykrzywił mu usta.

— Miałem nadzieję, że to właśnie mi powiesz. Liczę na ciebie, bratanku, że uśpisz wszelkie demony wątpliwości. Spędzicie osiemnaście miesięcy, przebywając razem ze sobą dzień i noc, i jestem pewny, że będziesz mógł mi powiedzieć po powrocie, iż te plotki to nic innego, jak próżne gadanie.

— Jestem tego pewny, wuju — odparł Kris, odprowadzając go do drzwi. Jednak w głębi duszy wcale nie miał tej pewności.

Talia przebudziła się o szarówce przed wschodem słońca. Kiedy ubrała się najszybciej jak mogła, stwierdziła, że ktoś postawił przed jej drzwiami tacę z jedzeniem. Właśnie kończyła śniadanie, gdy we framugę drzwi dyskretnie zapukał gwardzista wyjaśniając, iż przybył pomóc jej znieść za jednym razem wszystkie pakunki do szopy z rzędami.

Jaskrawe światło lamp oliwnych wiszących wzdłuż ścian oślepiło ją, gdy weszła do środka. Na samym środku szopy czekał na nią Rolan, obok niego leżał złożony w stos jego rząd. W głębi stał drugi Towarzysz, za którym Talia, zbliżając się z gwardzistą, ujrzała nogi Krisa. Z boku stały spętane dwa niezwykle zwierzęta juczne.

Talia nigdy dotąd nie widziała chirra — jeśli nie liczyć obrazków w książkach — ponieważ pobyt w Kolegium w miesiącach letnich, z powodu okrywającego je grubego futra, byłby dla nich bardzo męczący. Sprowadzano je zatem do stolicy tylko w tak rzadkich przypadkach, jak ten, a stajnie hodowlane Krąg utrzymywał na północy Królestwa. Zazwyczaj Talia i Kris przebyliby pierwszy odcinek drogi, wlokąc z sobą muły ze stajni w Kolegium, i na granicy Obwodu wymieniliby je na chirra z powracającym z objazdu Heroldem.

Talia doszła do wniosku, że obrazki i opisy nie oddawały całego uroku tych północnych stworzeń. W kłębie chirra dorównywały wzrostem koniom, jednak miały znacznie dłuższe szyje i dlatego łeb ich znajdował się na wysokości głowy człowieka w siodle. Zamiast kopyt posiadały łapy z pazurami, które bardzo przypominały psie, tyle że były niemal okrągłe i dużo większe, niżby się tego mogła

spodziewać, sądząc po ogólnych rozmiarach zwierzęcia. Sierść obu zwierząt była kremowobiała, czarno nakrapiana; jedno z nich miało jakby mały kapturek na łebku i plamę na grzbiecie, a drugiemu szyję ozdabiał kołnierz czarnego futra, który okalał gardło i zbiegał aż na pierś. Ich duże uszy, przypominające królicze tylko bardziej okrągłe i o oklapniętych koniuszkach, sterczały skierowane w przód na szczycie czaszek. Mordki także nieco przypominały królicze. Miały brązowe, ogromne, łagodne i połyskujące inteligencją oczy. Kiedy Talia zbliżyła się do nich i wyciągnęła rękę, najpierw badawczo jej się przyjrzały, a potem po kolei, uprzemie obwąchały jej dłoń.

Kris był już w połowie inspekcji zwierząt i ich ekwipunku.

— Śliczne, prawda? Czy ktoś ci kiedyś mówił, jak mogą przetrwać w tych strasznych zamieciach? Posiadają trzy warstwy futra — wyjaśnił. Pochylił się, by dopasować popręg uprząży jucznej i niemal zniknął za korpusem chirra. — Warstwę zewnętrzną tworzy długie futro o grubym włosie, które jest niemal nieprzemakalne, nawet szron nie tworzy się na nim. Włos warstwy środkowej jest krótszy i nie tak gruby, natomiast warstwę spodnią zrzucają co rok; jest gruba, bardzo miękka i jedwabista i to ona zatrzymuje najwięcej ciepła. Będziemy musieli czyścić je bardzo starannie, żeby ich sierść nie uległa zmierzwienu, bo wtedy przestaną być odporne na wilgoć i zimno.

— Dlaczego ich łapy są takie wielkie?

— By unieść je na śniegu. Będą mogły stąpać po śnieżnej skorupie, którą kopyta Towarzysza przebiłyby na wylot — stanął przed swoim chirra i uniósł do góry jego przednią łapę, podczas gdy zwierzę z zainteresowaniem zanurzywszy nos w jego włosach, prychało. — Spójrz tutaj, widzisz włosy pomiędzy palcami? Jeśli teraz ich łapy wydają ci się wielkie, poczekaj, aż stanie na śniegu. Można by pomyśleć, że ta sierść nie ma znaczenia, ale tak nie jest, tworzy ona na śniegu jakby pajęczynę. Wolę chirra od mułów w każdym klimacie, jaki są w stanie wytrzymać. Są bardzo łagodne i mądre. W połowie przypadków, kiedy muł zaryje się kopytami w ziemię, nie wiadomo, czy to upór, czy naprawdę się czegoś boi. Chirra robią to tylko wtedy, gdy zanoszą się na coś złego.

Zwierzę, które stało niedaleko Talii, wyciągnęło szyję i dotknęło jej ręki, wyraźnie domagając się pieczyoty.

— Jakie ciężary mogą nosić? — zapytała, drapiąc chirrę za uchem. Zadowolone stworzenie westchnęło i przymknęło oczy.

— Niemal połowę tego, co ważą; tyle samo, a może nawet więcej od muła. Ha, spójrz na toboły, które teraz wnoszą, a przekonasz się.

Talia była zaskoczona rozmiarami pakunków, zakładanych przez chłopców stojących na grzbiecie chirry, którą głaskała za uchem. Wydawało się, że w najmniejszym stopniu nie jest to dla nich uciążliwe.

Kris rzucił okiem na zwierzę, a potem na pakunki zniesione przez Talię z komnaty.

— Zostawili dość wolnego miejsca, byś mogła załadować także i swoje toboły, Talio. Nie obawiaj się, one są sprytne. Jeśli ciężar będzie większy, niż może unieść, położy się na ziemi i będzie czekać, aż zmniejszy ładunek.

Talia stwierdziła z ulgą, że chirra nie okazał po sobie chęci położenia się, kiedy na samym wierzchu tobołów z zapasami przywiązano jej pakunki. Kris pilnował rozłożenia pozostałych zapasów i swoich bagaży, a w tym czasie ona upewniała się, że popręgi chirra nie są rozluźnione, ale i nie uwierają zwierzęcia.

Osiadła Rolana własnoręcznie, dwa razy sprawdzając poprawność wykonanej przez siebie czynności, pytając przy tym ściszym głosem:

— Nie masz chyba nic przeciwko podróży z tymi zwierzątkami, prawda?

Wydawało się, że to pytanie sprawiło mu przyjemność, ale przekazał jej wrażenie, że jest zupełnie zadowolony z takich jucznych zwierząt. Talia odebrała mgliste wyobrażenie, że chirry o długiej sierści będą bardzo pożądanym towarzyszem podczas mroźnych, zimowych nocy.

Przywiązała postronek od chirry do tylnego łęku i wskoczyła na siodło. Kris znalazł się na grzbiecie swego wierzchowca w chwilę później.

— Gotowi? — zapytał.

— Jak przystało na czeladnika!

— Zatem w drogę.

CZWARTY

Po ulicach miasta musieli jechać gęsiego, Kris prowadził. Talia na Rolanie wyjechała w ślad za jego chirra z bramy dziedzińca, obok szarzejących w świetle wczesnego poranka cichych budynków kolegialnych i pałacowych, wzdłuż brukowanej kocimi łbami drogi do żelaznej bramy, skąd wychodziło się już wprost na miejskie ulice — drogą, którą przybyła tutaj przed z górą pięciu laty. Spojrzała przez ramię na drogie, znajome, kamienne budynki, zastanawiając się, jaka będzie, gdy je ponownie zobaczy.

Strażnicy u bramy wypuścili ich na zewnątrz. Od wschodu słońca dzieliła ich zaledwie godzina i ulice jeszcze nie były zatłoczone. Posuwali się wzdłuż długiej spirali, mijając po drodze najpierw dzielnice rezydencyjne, leżące najbliżej Pałacu, pełne ogromnych siedzib największych spośród szlachetnie urodzonych wielmożów, niektóre wielkością dorównywały Kolegiom Bardów i Uzdrowicieli, jednak od Pałacu były mniejsze. Za nimi znacznie bliżej siebie stały domy bogaczy: kupców, rzemieślników i dostojników Gildii. Odmienne niż Pałac i siedziby wielmożów nie wybudowano ich z szarego granitu, z którego wzniesiono także miejskie mury, lecz z drewna. Ponieważ ziemia w obrębie obwałowań była bardzo cenna, stojące tutaj domy stykały się okapami i powiększać można je było tylko przez podwyższenie, co czasami dawało dziwaczne rezultaty. Większość została wzniesiona z żelaznego dębu, który był tak wytrzymały i trwały jak stal, jednak na tym kończyło się wszelkie podobieństwo między nimi. Budowano je w niezwykle różnorodnych stylach i nierzadko rozbudowywano zgodnie z panującą w danej chwili modą, często daleko odbiegającą od pierwowzoru. Gdyby wijące się spiralnie ulice nie były tak szerokie, że mogły pomieścić trzy wozy obok siebie, słońce nigdy do nich by nie docierało, a tak przemierzanie ich wczesną porą przypominało posuwanie się po dnie kanionu o zboczach o fantastycznej rzeźbie. Talia, mijając domostwa, tłumiała śmiech. Skif — żeby nie wyjść z sprawy — często składał nieproszone wizyty na wyższych piętrach niektórych z tych domów, zazwyczaj zostawiając po sobie jakąś wiadomość, kpiąc sobie z właścicieli za brak zabezpieczeń. Tych figli Profos-Marszałek nie wybaczyłby mu nigdy, gdyby się o nich dowiedział.

Dzielnica rezydencyjna kończyła się za ostrym zakrętem ulicy w prawo. Od

tego miejsca niższe piętra domów zajmowały sklepy i warsztaty rzemieślników albo kancelarie, nierzadko umeblowane sprzętami o drogich obiciach. Na wyższych piętrach znajdowały się mieszkania lub izby do wynajęcia. Na drodze, którą podążali, zaczął się niewielki ruch. Otaczali ich niemal wyłącznie zwożący swe produkty na rynek rolnicy, spośród mieszkańców miasta napotykali jedynie kupujących świeże zapasy właścicieli oberż. Talia i Kris rażno posuwali się do przodu; tylko raz czy dwa razy musieli zatrzymać się z powodu zatoru na drodze. O tej porze dnia na ulicach panował taki spokój, iż to oni byli głównym źródłem hałasu: Towarzysze bębniły podkowami o bruk, podzwaniały wiszącymi przy uździe dzwoneczkami, a chirry drapały pazurami po kocich łbach.

Minęła blisko godzina, zanim dotarli do Północnej Bramy. Im bardziej oddalali się od serca miasta, tym mniej było widać wokół oznak bogactwa. W obrębie Starego Miasta nie było dzielnic biedoty, ta osiedlała się na zewnątrz bram miejskich, tuląc się do murów obronnych, jakby w nadziei, że ich mocna konstrukcja ochroni ich przed żywiołami. To właśnie tutaj dorastał Skif, w osobliwym miejscu wzdłuż Gościńca Wygnańców biegnącego na Zachód. Talia nigdy tam nie była, rzadko udawała się nawet do Starego Miasta, nie mówiąc już o Nowym. Gdy raz poprosiła go, by ją tam zabrał, Skif zrobił się blady jak ściana i odmówił. Nigdy nie ponowiła swojej prośby.

I tym razem miała z daleka ominąć to miejsce, gdyż Kris — przekroczywszy rzekę jeszcze w obrębie murów Starego Miasta — obrał drogę obok składów i stoczni okrętowych i opuścił miasto przez Bramę Północnej Rogatki. Panował tam całkowity bezruch; wyrobnicy jeszcze nie przybyli, do składów nie zaczęły jeszcze napływać dostawy. A więc przejechali w milczeniu obok walczącego ze snem Gwardzisty, który pomachał im na pożegnanie.

Za bramą droga rozszerzała się, a nawierzchnia z kocich łbów ustąpiła tej samej dziwnej substancji, która nie była ani kamieniem, ani gliną. Talii od lat nie przyszła ona na myśl, lecz teraz zaczęła się zastanawiać, co to właściwie jest, czym wyłożono niektóre gościńce Królestwa.

— Kris? — zawołała, a on dał jej znak ręką, że teraz, po opuszczeniu miasta, mogą jechać obok siebie.

— Co to jest? — zapytała, wskazując na powierzchnię drogi.

Wzruszył ramionami.

— Jeszcze jeden zapomniany sekret. Niektóre drogi, wiodące do stolicy są tym utwardzone, kilka z nich aż do Granicy. Jednak wszystkie trakty poprowadzone od czasów Elspeth Sprawiedliwej w najlepszym razie utwardzono ubitym żwirem. — Gdy zobaczył, że rozgląda się z nieukrywaną ciekawością, zapytał: — Czy nigdy dotąd nie opuszczałaś miasta?

— Od kiedy zostałam Wybrana niezbyt często — odparła. — Lecz nigdy w tym kierunku.

— Czy nie odwiedzałaś nawet domu rodzinnego podczas wakacji? — zapytał

zdumiony.

— Moi rodzice nie byli zbyt zadowoleni ze mnie, nawet — a może zwłaszcza — po tym, gdy dowiedzieli się, że zostałam Wybrana — odparła oschle. — By się długo nad tym nie rozwodzić: wyrzekli się mnie. W Grodzie oznacza to, iż zaprzeczyli nawet, że istniałam. Spędzałam wakacje tutaj z Jadusem, dopóki żył, a potem z Keren i Ylsą, albo Gospodynią Gaytha i kucharzem Kolegium, Mero.

— Zatem żyłaś pod kloszem.

— W Kolegium: tak, jeśli nie liczyć pierwszego roku. Jednak nie w Grodzie. Czy wiesz coś o ludach Grodów?

— Niewiele — przyznał Kris. — Wydają się tacy nudni. Obawiam się, że zapomniałem większość z tego, czego się o nich dowiedziałem jako uczeń.

— Twoje życie zależy od tego, czy urodziłeś się mężczyzną, czy kobietą. Lud Grodów pochodzi spoza Królestwa, z Karsu, jeśli ciebie to interesuje. Uciekli przed prześladowaniami religijnymi. Wierzą w potężnego Boga i bierną, poddaną mu Boginię, a Karsyci są monoteistami. Tak było... och, dwa pokolenia temu. Są bardzo tajemniczy, zawzięcie chcą ocalić swój styl życia. Mężczyźni mają jeszcze jakiś wybór, a przed kobietami są dwie drogi: służyć Bogini w klasztorze jako oddzielona od świata czcicielka związana przysięgą milczenia albo wyjść za mąż. Dokonujesz wyboru w dojrzałym wieku około trzynastu lat.

— Trzynaście! — na twarzy Krisa odbiło się osłupienie.

— Na ognie piekielne, Kris, na Granicy życie jest twarde! Ty powinienes o tym wiedzieć, przecież twój przyjaciel pochodzi znad Granicy. Pamiętam, że najeżdźcy napadali nas każdej zimy. Ziemia jest kamienista i trudna do uprawy. Ludy Grodów nie wierzą w umiejętności Uzdrowicieli, tak więc mnóstwo lekkich ran i chorób kończy się śmiercią. Jeśli skończywszy piętnaście lat, nie wyjdiesz za mąż, istnieje obawa, że nie zostawisz żadnego potomka, a tam każda para rąk jest im potrzebna.

— Mówisz tak, jakby ci się podobał taki tryb życia, jakbyś go pochwalala! — Kris był najwyraźniej zdumiony jej stanowiskiem.

— Nienawidziłam go! — powiedziała po prostu. — Nienawidziłam każdej chwili, której nie spędzałam czytając albo snując marzenia. Wybór Rolana jedynie uchronił mnie przed wymuszonym małżeństwem z nieznanym wybranym dla mnie przez ojca. Myślę, że narzucanie ograniczeń sobie, swoim dzieciom, a zwłaszcza umysłom bliskie jest zbrodni. Jednak większość ludzi z Grodu wydaje się zadowolona, a nawet szczęśliwa; zatem nie mam prawa ich osądzać.

— Doskonale. Ty ich nie osądzasz, lecz co z innymi, podobnymi tobie, nieszczęśliwymi, których Rolan nie ocalił.

— Słuszna uwaga. Na szczęście dla wszystkich niedoszłych buntowników Elcarth i Selenay pomyśleli o nich, wysłuchawszy mojej opowieści. Ludziom z Grodu nadano prawo do ziemi pod warunkiem, że będą posłuszni Królowej i prawom Królestwa. Niedługo po moim przybyciu do Kolegium Selenay przeforso-

wała w Radzie prawo nadające Heroldom swobodny dostęp do dzieci w każdej chwili, by mogli sprawdzić, czy wszystkie dzieci w całym Królestwie są właściwie uczone naszych praw, historii i tradycji. Heroldowie, którzy posiadają Dar Myśloczucia, teraz wjeżdżają wprost do Grodu. Każdy, kto chce poświęcić więzy rodzinne i pozycję tak jak ja, ma teraz prawo wyjechać razem z nimi. Pilnują, by ci, którzy czują się nieszczęśliwi, wiedzieli o tym. Zdumiewa mnie, z jak niewielkim spotkało się to oporem, gdy opadła fala początkowego oburzenia. Przypuszczam, że starszyna Grodu jest bardzo zadowolona, iż teraz kłopotliwi osobnicy mogą opuścić ich z własnej woli.

Kris wydawał się lekko oglupiały.

— Nie wyobrażam sobie, jak ktokolwiek może nie chcieć porzucić takiego życia.

Pod wpływem wspomnień Talia potrzęsnęła smutno głową. Nie było całkowitą prawdą, że nie wróciła do Grodu: zrobiła to raz, przed rokiem. Wróciła w nadziei uratowania swojej siostry, Vris, i znalazła ją odmienioną nie do poznania. Vris teraz była Pierwszą Żoną, zajmowała wysoką pozycję w rodzie i miała trzy młodsze żony do sprawowania rządów. Przyjęła Talię jakby była demonem — kiedy jej się wydawało, że Talia nie patrzy, kreśliła w powietrzu święte znaki odczyniające zły urok. Prawdę powiedziawszy wyglądała i zachowywała się jak Keldar — Pierwsza Żona ojca, która zrobiła wszystko, by złamać w Talii jej ducha — tak jakby była jej młodszym wcieleniem. Nie dość, że nie życzyła sobie żadnego ratunku, była nim wprost przerażona.

— Kris, to nie ja za nich dokonuję wyboru drogi życia — odparła ciężko. — To do nich należy. Ja dbam jedynie o to, by mieli prawo, którego ja nie miałam, zanim nie zostałam Wybrana: prawo do ucieczki.

Kris z zaciekawieniem patrzył na nią.

— Kiedy już wydaje mi się, że potrafię określić, do jakiej kategorii ludzi należysz, mówisz lub robisz coś, czym wywracasz wszystko do góry nogami. Mógłbym iść o zakład, iż gdyby ci tylko dać okazję, z ochotą pociągnęłabyś na Grody na czele armii, by tylko uwolnić wszystkie kobiety.

— Może, gdybym nie wiedziała o ludziach tylu rzeczy, ile wiem teraz — westchnęła.

Jechali w milczeniu. Wzeszło słońce. Niebo, zrazu ciemnoróżowe, stopniowo jaśniało, mieniając się bladym różem i błękitem. Drogę przecięły im długie, rzucane przez budynki cienie. Wkrótce opuścili obrzeża Nowego Miasta i jedynie od czasu do czasu wyrastało przed nimi pojedyncze gospodarstwo. Przed oborami zaczęły gromadzić się krowy, które porykując domagały się wydojenia. Ujrzeni ludzi przy pracy, a lekki wietrzyk przyniósł ze sobą zapach żętego zboża i schnącego siana, śpiew ptaków i głosy wiejskich zwierząt.

— Opowiedz mi o sobie — odezwał się w końcu Kris. — Kiedy mówienie cię znuży, ja podejmę opowieść. Zacznij od tego, jak to było w Grodzie, zanim

zostałaś Wybrana.

— To nudne.

— Być może, jednak to jest część ciebie. Jako twój mentor muszę o tym wiedzieć.

Starał się nie zdradzać ze swymi myślami podczas jej opowieści, jednak często wydawał się zaskoczony tym, co od niej usłyszał, a raz czy dwa razy był szczerze przerażony. Pomyślała, że z trudem mógł wyobrazić sobie kulturę, która była mu tak obca, tak ograniczająca wolność ludzi, i surowa. Talia opowiadała obojętnym głosem czując, że ludy Grodów i ich problemy są już dla niej bardzo odległe. Mogła myśleć o nich i nie odczuwać zbytnej niechęci, jak w przypadku kogoś obcego.

Koło południa poczuła się w końcu zmęczona objaśnianiem Krisowi zwyczajów Grodu. Zamilkła na długą chwilę, by napić się wody z bukłaka i nagle uświadomiła sobie, jak bardzo wyschło jej w ustach. — Myślę, że dość już tej rozmowy — zakończyła stanowczo.

— Co więcej, nadszedł czas na południowy posiłek — odparł. — W tym tempie chirra mogą iść w nieskończoność, a więc przerwa zależy tylko od tego, czy mamy ochotę odpocząć od siodła, czy nie. Jak się czujesz?

— Mam ochotę zsiąść na chwilę — przyznała. — Bardzo, bardzo dawno temu spędziłam w siodle tyle godzin na raz.

— Cieszę się, że to powiedziałaś — Jego uśmiech był zupełnie szczerzy i całym ujmujący. — Przyznam, że nie bardzo lubię jadać w siodle. Gdy tylko znajdzie miejsce, gdzie będziemy mogli napić chirra i naszych Towarzyszy, urządzimy postój.

Niedługo natrafili na Stanicę ze studnią i na zmianę ciągnąc wodę, zaspokoiли pragnienie czworonożnych członków wyprawy, a potem spętali chirra, by razem z Towarzyszami mogły się napaść na łące, w czasie gdy oni jedli swój południowy posiłek.

Siedzieli w milczeniu i wydawało się, że Krisowi nie zależy na zbytnim pośpiechu, bo najadłszy się, rozłożył się na miękkiej trawie, najwyraźniej pozwalając myślom ulotnić się w niewiadome strony, choć ze dwa razy popatrzył na Talię.

Kris bał się i wiele kosztowało go, by tego nie okazać. Dręczyło go echo słów wuja, od których nie mógł się uwolnić. Z góry dokonał oceny swojego czeladnika, opierając swe założenia na młodym wieku i braku doświadczenia, a tu z tego, co mu Talia powiedziała, wynikało, że wcale nie była niedoświadczona i że z całą pewnością nie należała do osób prostych i nieskomplikowanych, o co można by ją, wnosząc z wyglądu, posądzać. Nie dziewczynka, lecz kobieta. Zaczynał się zastanawiać, czy ona kiedykolwiek miała dzieciństwo w znanym mu znaczeniu

tego słowa — została przecież Osobistym Królowej na długo przed przywdzia-
niem Bieli. Jednak była tak drobna, sprawiała tak szczere i niewinne wrażenie, że
o tym wszystkim łatwo było zapomnieć i wziąć ją za młodszą, niż była w istocie.

Nie podejrzewał, by padł ofiarą zamierzonych działań, ale i nie potrafił po-
wiedzieć, co kryje się pod tymi pozorami.

Czy była zdolna do umyślnego nadużycia swojego Daru, tak jak to opisał Or-
thallen?

— Muszę zadać ci pewne pytanie — odezwał się w końcu. — Zrozum pro-
szę, że wcale nie zamierzam cię obrazić. Dwór pełny jest nieprzyjemnych plotek,
a ja chciałbym poznać prawdę. Czy... czy kiedykolwiek wykorzystasz Dar, by
wpłynąć na Elspeth?

Zareagowała o wiele gwałtowniej, niż się tego spodziewał.

— Nie! — wykrzyknęła, siadając jak wystrzelona z procy, czym spłoszyła
Towarzyszy i chirra. — Jakże mogło ci coś takiego przyjść do głowy!

Jej oczy rozszerzyły się z gniewu, twarz stała się blada jak ubiór, który miała
na sobie.

Starał się wytrzymać jej nieruchome spojrzenie.

— Powiedziałem: to plotki. Ja muszę to wiedzieć.

— Nie zrobiłam tego. Nigdy bym nie zrobiła. Ten... cały pomysł jest wypa-
czony. — Głos uwiązał jej w gardle. — Do licha! Wiedziałam, że coś osobliwego
dzieje się dookoła mnie. To znaczy, widziałam, że ludzie zachowywali się dziw-
nie, gdy sądzili, że na nich nie patrzę. Ale coś takiego! To... to wstrętne. Czy
Elspeth wie o tym?

— O ile wiem, to nie... — nagle, na widok bólu w jej oczach przerwał.

Zerwała się na nogi.

— Ja... ja muszę wracać. Nie mogę jej zostawić samej.

— Właśnie tego nie wolno ci robić — podskoczył i złapał ją za obie ręce. —
Czy tego nie rozumiesz? Przecież to będzie tylko potwierdzenie tego, co chodzi
ludziom po głowach. Poza tym dostałem zadanie i rozkazy. Ty nie możesz decy-
dować, czy masz zamiar być im posłuszna, czy nie.

Na chwilę ukryła twarz w dłoniach, kiedy je opuściła zobaczył, że walczy, by
zapanować nad sobą.

— Dobrze — powiedziała, ponownie siadając na ziemi. — Masz słuszość.
Powiedziałeś, że krążą jeszcze inne pogłoski. Jakie?

— Że wykorzystujesz Dar do wpływania na obcych ludzi, szczególnie człon-
ków Rady podczas kluczowych głosowań. Najprzychylniejsze z plotek głoszą, że
robisz to nieświadomie, i nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy.

— Dobrzy bogowie! Jak mam się przed tym obronić?

Kris nie znał właściwej odpowiedzi, a więc ciągnął dalej:

— Jeszcze jedna plotka donosi, że przy pomocy Daru odczytujesz ludzi, a po-
tem wykorzystując znajomość ich stanów emocjonalnych, dowolnie nimi kieru-

jesz.

— O bogini! To niemal ociera się o prawdę. . .

— I ponownie najłaskawsza wersja jest taka, że nie uświadamiasz sobie tego, co robisz. Ludzie są przestraszeni, twój Dar dotąd pojawiał się jedynie u Uzdrowicieli. Myślmówcy wytworzyli etyczne zasady, których przestrzegają, ale o tym nic nie wiedzą.

— O ile wiem, nie istnieje żaden kod etyczny — powiedziała, patrząc na niego. Jej oczy były pełne bólu, którego on nie rozumiał, i zmieszania, którego zagadkę jakże chciałby rozwiązać. — Czy to już wszystko?

— Czy to nie wystarczy? Powiadają, że jesteś młoda, niedoświadczona. Niektórzy mówią, że zbyt młoda, by zajmować pozycję związaną z posiadaniem tak dużej władzy, i na dodatek posługujesz się tak dziwnym myśldarem.

— Tak jakbym miała na to jakikolwiek wpływ — odparła gorzko.

I po wskoczeniu na siodło długo nie odzywała się do niego, dopóki nie powrócili na Północną Drogę.

Krisowi nie w smak był tak długi brak porozumienia i w końcu postanowił zrobić pierwszy krok.

Dotknął myślą Tantrisa i ten zbliżył się do Rolana, tak że Kris znalazł się obok Talii, jadąc z nią niemal strzeamię w strzeamię.

— A właściwie, jak działa twój Dar? — zapytał, mając dość tak pełnego napięcia milczenia.

— Odbieram uczucia tak, jak Mówca na Odległość słyszy słowa — odparła, obracając się w siodle i obrzucając go rzeczowym spojrzeniem, od czego zrobiło mu się ciężiej na duszy. — Jeśli uczucia mocno wiążą się z jakąś rzeczą, widzę ją. Jeśli są to uczucia niemiłe, złe, bolesne, czasami mogę je goić, tak jak Uzdrowiciel ranę. Ylsa powiadała, że taki Dar występuje niezmiernie rzadko samotnie, w oderwaniu, że zazwyczaj łączy się z Darem Uzdrawiania. Jak sam to wiesz.

— To interesujące — odparł z całą obojętnością, na jaką mógł się zdobyć. — A więc, to dlatego mogłaś mnie poprowadzić tam, gdzie umarła Ylsa. Większość Heroldów, jak wiesz, jest Myślmówcami, a wielu z pozostałych Dalekowidzami, tak jak ja. Jedynie garstka ma tak rzadkie Dary jak ty i Dirk, no i Gryffon. Brrr! Tego akurat wcale bym nie chciał mieć.

Słońce straciło dla niego nieco ze swego ciepła, gdy pomyślał o pokazie, który urządzili dla niego Gryffon z Dirkiem.

— Wzniecanie płomieni to straszliwy ciężar, taka potęga łatwo wymyka się władzy, a kiedy to się stanie, ha, stajesz w płomieniach, tak jak u Płonących Sosen. Nie przydaje się na nic, tylko do obrony. Mam nadzieję, że jego przyjście na świat nie jest żadnym omenem. Heroldowie o niebywale rzadkich Darach zwykle pojawiają się, ponieważ mogą być potrzebni. Ostatnim Wzniecaczem Płomieni był

Lavan Ognista Burza, a ty wiesz najlepiej, w jakich czasach przyszło mu żyć... — Zarumienił się, uzmysłowiwszy sobie, że zaczyna wpadać w patos, lecz — a niech to licha — pragnął odciągnąć jej myśli od plotek, by mogła odzyskać równowagę. — Wybacz. Ponosi mnie, kiedy zaczynam rozprawiać o Darach. To mój konik; wspólny z Kyrilem. Badanie Darów, w jakie zostaliśmy wyposażeni i czy nie rządzi tym jakaś reguła, jest niezmiernie zajmujące.

— Doprawdy? — odparła z nieco większym animuszem, a jej policzki ożywiła odrobina koloru. — Czy ktokolwiek przede mną miał tego rodzaju Dar?

— O nikim takim nie wiem, jeśli chodzi o Heroldów, jednak muszę się przyznać, że przyglądałem się Darom jedynie żyjących Heroldów, a z przeszłości tylko tym, które szczególnie przyciągały uwagę. Nie mogę powiedzieć, bym słyszał o umiejętności gojenia myśli, jeśli nie liczyć Uzdrowicieli, lecz wcale nie byłbym zaskoczony, gdyby okazało się, że właśnie taki Dar odróżnia Osobistego Królowej od reszty i od nas. Wydaje się, że u ciebie jest on dużo silniejszy niż u Uzdrowicieli i występuje w odosobnieniu. Najpewniej inni musieli go mieć, jednak nie był on aż tak mocny i uszedł uwagi postronnych. Jak widać, nikt raczej nie przeprowadzał badań nad Osobistymi Heroldami Monarchów, tak jak to się stało w przypadku Darów występujących powszechniej. Kiedy zastanawiam się nad tym, dochodzę do wniosku, że twoim najważniejszym zadaniem jest utrzymywanie umysłowej równowagi Monarchy, a zdolność, którą posiadasz, mogłaby okazać się niezwykle przydatna, gdyby wydarzyło się coś naprawdę niepomyślnego — Starał się ze wszystkich sił dać jej do zrozumienia, że jej wierzy; że jest pewny, iż pogłoski nie mają podstaw. O jakże pragnął naprawdę mieć tę pewność!

— Mogę to zrozumieć. — Zamilkła. Wydawała się zatopiona w myślach. Późne popołudniowe słońce okraszało wszystko złocistą poświatą, towarzyszący im dotąd wietrzyk przestał wiać. Oczy chirra były na poły przymknięte w rozleniwiającym cieple, słyszeli jedynie odgłosy żeńców w polu i brzęczenie owadów w trawach. — A więc ty Widzisz, a Dirk Sprowadza?

— Tak jest. To dlatego pracujemy razem i zazwyczaj nie udajemy się na patrole, chyba że brakuje ludzi, tak jak ostatnio. Nie owijając w bawełnę: jesteśmy złodziejaskami Selenay. — Zaśmiał się cicho. — Jeśli wiem, czego szukam, zwykle mogę to znaleźć z odległości wielu staj. A jeśli ktoś zabierze mnie na „przejażdżkę”, tak jak ty, to jeszcze dalej. Kiedy w myślach odtworzę już dokładnie położenie szukanego przedmiotu, Dirk może je odczytać i sprowadzić — cokolwiek by to było — tam, gdzie się znajdujemy. To w ten sposób odzyskaliśmy strzały Ylisy.

— Wydaje się to dużo trudniejsze niż w opowiadaniu... raczej nużące, z tego co udało mi się zobaczyć.

— Dużo mniej męczące byłoby pobiec pieszo, złapać tę rzecz i biegiem wrócić. Im cięższy to przedmiot, tym trudniej jest go sprowadzić. Nie próbowaliśmy z niczym, co byłoby większe od cegły, a i od tego ból głowy dręczył Dirka przez tydzień. Byłem dość zaskoczony, że pozostało mu jeszcze tyle siły, by odnieść cię

do twojej izby, kiedy odzyskał owe strzały.

— Aha! — rzekła Talia jakby zadowolona, że to właśnie Dirk się o nią zatroszczył. — Tajemnica została rozwiązana! Nie dawało mi to spokoju przez całe dwa lata. A więc to był on!

— Wyglądał jak kwoka z jednym tylko kurczęciem. Pozwolił mi tylko deptać sobie po piętach, a przecież lepiej się czułem od niego. Twierdził, że mając tyle sióstr w rodzinie, lepiej wie, co zrobić z chorą.

— Czy on może pracować z kimś innym, nie tylko z tobą?

— Nie wiemy, nigdy nie próbował, ponieważ tak świetnie może odczytywać moje myśli. Najpewniej jednak tak. Dalekowidze są do siebie podobni.

— Od jak dawna pracujecie już razem? — zapytała z ciekawością.

— Od kiedy przywdzialiśmy Biel. To także był rok, kiedy zabrakło rąk do pracy, i obaj zostaliśmy czeladnikami u tego samego mentora — Gerricka. Ha, znasz go, bywa zapominalski. Zostawił mały lecz wartościowy pierścień w jednej ze Stanic Przydrożnych; był to dar Królowej dla Mistrza Gildii. Zamiast tracić czas na powrót, Dirk zaproponował, że sprowadzi go. Ja go poszukałem, znalazłem — wtoczył się pod pryczę podczas pakowania — i przekazałem położenie Dirкови. To wtedy przekonał się, że obraz przekazywany przeze mnie był najczystszy ze wszystkich, z jakimi do tej pory pracował.

— Pewnie dlatego, że jesteście na pozór tak bardzo odmienni; trudno jest mi wyobrazić sobie, że jesteście nierozłącznymi przyjaciółmi.

Kris roześmiał się zadowolony, że wkroczył na bezpieczne grunty.

— Byłabyś zaskoczona Dirkiem, pod tą maską trefnisia kryje się bardzo rzeczowy osobnik. I mamy bardzo podobne upodobania w muzyce, książkach, nawet w potrawach. . .

— A białogłowach? — droczyła się z nim.

— Hm, i w tym także — przyznał, uśmiechając się z ociąganiem. — I to wielka niesprawiedliwość. Biedny Dirk, nie ma znaczenia, kto pierwszy pozna damę; gdy tylko mnie ujrzy, natychmiast zamienia się w jego „siostrę”. Zazwyczaj udaje mu się zachować pogodę ducha, jednak gdybym ja był w jego skórze, irytowałoby mnie to niepomiernie!

— No cóż, wie, że nic na to nie poradzi. Ty urodziłeś się zabójczo przystojny, a on. . . hmm, on nie — i tyle!

— To niesprawiedliwe. Przynajmniej jedna kobieta powinna domyślić się, że jako człowiek Dirk wart jest dziesięć tak gładkich oblicz jak moje.

— Spodziewam się, że pewnego dnia dojdzie do tego — powiedziała Talia obojętnym tonem, unikając jego wzroku. — Skąd pochodzi?

Jej odpowiedź zabrzmiała nieco zbyt obojętnie, a próba utrzymania swobodnej pozy natychmiast obudziła czujność Krisa, zwłaszcza gdy padły następne pytania dotyczące jego przyjaciela. Odpowiadając na nie, zaczął się zastanawiać nad tą zagadką. Ocknęły się w nim leciutkie podejrzenia, zbyt słabe, by nazwać je

domysłem. Było to podobne do próby przypomnienia sobie zapomnianego imienia. Wiedział, że dopóki nie dowie się dostatecznie dużo, by wyciągnąć wnioski, uczucie to będzie stale mu towarzyszyć... Na razie mógł tylko podświadomie odszukiwać tropy.

— Z obwodu leżącego tuż obok naszego, zwanego Żale Pierwsze. Żyje tam jego ogromna rodzina. Zwykle zabierał mnie tam z sobą na święta, wciąż to robi, kiedy mamy wolną chwilę. Trzy jego siostry razem ze swoimi mężami mieszkają z rodzicami i pomagają prowadzić gospodarstwo. To istne mrowisko; ludzie są wszędzie, trzeba uważać, bo dzieci i koty kręcą się wprost pod nogami. Jednak to cudowne miejsce, bo to są wspaniali ludzie, nie spędzisz tam samotnej albo nudnej chwili.

Uśmiechnął się na poły do samego siebie, gdy przypomniał sobie niektóre z owych odwiedzin. Dręczące go wcześniej myśli umknęły jakby przepłoszone rześkim wiatrem. Rodzina Dirka; oni powinni być wędrowną trupą! Wszyscy szaleni, i co do jednego — zachwycający! Z utęsknieniem wyglądał następnego Śródzimowego Święta, które będzie mógł z nimi spędzić, jednak nie będzie to mógł być oczywiście ten rok. Ha, zawsze możliwe, że to będzie innym razem.

Następne pytanie Talii przepędziło dziwny dreszcz lęku, którym przejęła go ta myśl.

— Opowiesz mi zatem o sobie?

— Hmm, pozwól mi pomyśleć. Moim ojcem jest lord Peregrine, jestem drugim synem, młodszym od brata o dziesięć lat, i mam bratanków i bratanice, które są niewiele młodsze od ciebie. Moi rodzice bardzo udzielają się w sprawach państwa i dlatego w rodzinnej siedzibie, zajmowali się mną głównie nauczyciele.

— Wydaje mi się, że poznałam twojego ojca, jest jednym z najważniejszych współpracowników Seneszala. A twoja matka?

— Organizuje zaopatrzenie dla Stanic Przydrożnych. Myślę, że chciałaby być Heroldem, jednak skoro nie została Wybrana, zajmuje się tym, co jest właśnie temu najbliższe.

— Czy nie było innych dzieci w twoim wieku w waszej posiadłości?

— Niewiele. Ich rodzice na pewno sądzili, że moich rozgniewałoby, gdyby zezwolili swojej dziatwie na „zbrukanie” mnie. Spędziłem mnóstwo czasu nad książkami.

— Tak jak ja, tyle że nie musiałeś się z tym ukrywać! — roześmiała się.

— I tu się mylisz! Moi nauczyciele zdawali się myśleć, że z chwilą otworzenia oczu powinienem zasiąść do zgłębiania wiedzy poważnej, nudnej i użytecznej. Miałem kryjówkę w koronie najstarszego drzewa w ogrodzie. Tak długo ją maskowałem, że stała się całkiem niewidoczna z ziemi. Tam przemyciłem opowieści i tomiki poezji i wymykałem się przy lada okazji. — Wietrzyk, który poruszył liśćmi drzew stojących po obu stronach drogi, zdawał się śmiać z dziecinnych eskapad Krisa. — A potem, kiedy ukończyłem dwanaście lat, rodzice zaprowa-

dzili mnie na Dwór. Nie sędzę, by wpadło im do głowy, że Kolegium stoi na tych samych terenach — uśmiechnął się. — Mimo że oni o tym nie pamiętali, ja nie zapomniałem. Żyłem nadzieją, lecz gdy żaden Towarzysz nie spotkał się ze mną już u bram, zaniechałem marzeń. Miałem zostać oficjalnie przedstawiony na dworze podczas święta Wiosennego Zrównania. Pamiętam wszystko doskonale, nawet to, że moje sznurówki u trzewików nie były dopasowane. Stałem tuż obok mojego ojca, w ogrodzie, kiedy na obchodach zjawił się nieoczekiwany gość.

Tantris potrząsnął łbem, podzwaniając wiszącymi u jego uzdy dzwoneczkami. Kris roześmiał się i nachylił się, by podrapać go za uchem.

— Wiedziałem, co oznacza pojawienie się Towarzysza, i pilnie rozglądałem się dookoła siebie, by zobaczyć, po kogo przybył. Prawie oszalałem ze szczęścia, kiedy w końcu przestawszy wykręcać szyję na wszystkie strony, zobaczyłem go stojącego wprost przede mną! Wtedy, zajrzawszy w jego oczy... — jego głos zamarł.

— To uczucie jest niepowtarzalne, nie przypomina niczego, prawda? — dodała miękko Talia. — I nigdy nie przestaje zachwycać.

— Nie przypomina niczego — przystał, mówiąc na poły do siebie. — I wtedy zrozumiałem, że nigdy już nie będę samotny... — Otrząsnął się z zauroczenia i zaczął ponownie być rzeczowy. — Ha, oboje rodzice byli bardzo dumni. Urządzili mnie w Kolegium, zanim zdążyłem się dobrze obrócić. To zadziwiające, nasze kontakty są łatwiejsze teraz, gdy jestem dorosły. Mój ojciec może się do mnie zwracać jak do równego sobie, a matka, jak myślę, czasami zapomina, że jestem jednym z jej synów. Naprawdę nie wydaje mi się, by oni wiedzieli, jak postępuje się z dzieckiem.

— Najpewniej tak było, zwłaszcza że dzieliła was z bratem tak duża różnica wieku.

— Dirk nie ma pojęcia, jak ja zazdroszczę mu takiej rodziny — westchnął.

— Tak myślisz? — Talia uśmiechnęła się. — Zatem dlaczego wciąż zabiera cię z sobą w odwiedziny.

— Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

Przez jakąś milę jechali w milczeniu.

— Talio, czy ty kiedykolwiek tęsknisz za swoją rodziną?

— Od czasu, gdy spotkałam ludzi, którym na mnie naprawdę zależy — nie. Byłam jak purpurowa sójka w stadzie wron; byłam odszczepieńcem we własnej rodzinie, lecz nie w Kolegium. Jeden z owych niestęchanych przystojnych braci miał w zwyczaju kraść moje książki i doprowadzać do płaczu, nazywając „Heroldem Talią”. Chciałabym zobaczyć jego twarz, gdy naprawdę zostałam Wybrana.

— Czy myślałaś kiedykolwiek o powrocie?

— To był mój sen na jawie: że w magiczny sposób zostanę Heroldem. Pamiętasz, nic nie wiedziałam o Wyborze. Śniłam, że ubrana w Biel powrócę w glorii chwały. A wtedy oni będą mi zazdrościć i żałować za wyrządzone krzywdy.

— A teraz?

— No cóż, wróciłam by „ratować” moją siostrę, z którą byliśmy sobie najbliższe, i stwierdziłam, że stała się obcą mi osobą. Nie zagrzałam dłużej miejsca w Grodzie, odwróciłam się na pięcie i wróciłam do domu. Nie miałam ochoty ich widzieć. Po co? Rodzice udawali, że jestem obca, rodzeństwo odnosiło się do mnie z pogardą lub bało się mnie; Heroldowie prowadzą się bardzo niemoralnie, jak wiesz. Co napisane jest w Księdze Mero? O tym, jak zmieniają się ludzie na wieść o twojej sławie?

— „Nikt nie czci świętego przy jego rodzinnym ognisku”.

— To prawda. Postanowiłam zostawić to tak jak jest wiedząc, że mój przykład daje nadzieję na ucieczkę nieszczęśliwym w rodzinnym otoczeniu.

Kris zdawał się nie mieć już ochoty na dalszą rozmowę, a więc Talia ponownie skupiła uwagę na roztrząsaniu owych niepokojących plotek — obrzydliwych, jadowitych, zatruwających umysły.

Obrzydliwych i jadowitych.

„I prawdziwych? — odezwały się małostkowe wątpliwości”.

W namiętnym porywie chciałyby zaprzeczyć, jakoby było w tym choćby ziarno prawdy. Lecz czy mogła to z czystym sumieniem zrobić? Czy mogła?

W przypadku Elspeth nie mogłyby uwierzyć, że próbuje uzależnić dziecko od siebie. Nawet nieświadomie. Od chwili, gdy Elspeth zaczęła zachowywać się jak zwykły człowiek, starała się nauczyć ją niezależności, nakłaniać do podejmowania samodzielnych decyzji i brania odpowiedzialności za wynik. Jednak w przypadku reszty — co za podstępność! Myślmówca wiedział, kiedy wysyła myśli. Dla odbiorcy było to bardzo podobne do usłyszenia głosu nadawcy, jedynie słowa rozlegały się głęboko wewnątrz jego ucha. Czy jednak ktokolwiek mógł wiedzieć o tym, że jej mózg tworzy i wysyła obrazy?

Ona była tego świadoma, bo musiała się przy tym bardzo trudzić i kosztowało ją to sporo sił. Czy byłaby w stanie zauważyć to samo opanowana podnieceniem, rozgorączkowaniem? Czy robiła to, panując w pełni nad swoimi zmysłami? Co działo się, kiedy spała? Jak mogła być pewna tego, co robi jej uśpiony, uwolniony spod władzy rozumu mózg?

Wracając do prostego odczytywania ludzkich stanów uczuciowych: czy świadomie dopuszczała się naruszenia ich praw osobistych? Jak mogłyby tego uniknąć? Bardzo przypominało to oglądanie kolorów: po prostu widziała przed sobą uczucie, o ile ktoś umyślnie nie otaczał osłoną swych myśli.

Jedna wątpliwość goniła kolejną. Podsycali się wzajemnie, póki Kris nie przewał milczenia:

— Oto nasz pierwszy przystanek. Tutaj, tak blisko stolicy ludzie nie są spragnieni wieści i raczej nie będziemy musieli występować tutaj z racji naszego urzę-

du. Jednak dobre maniery wymagają, byśmy w jakiś sposób odwdzięczyli się za gościnę. Uczeni Bardowie rzadko odwiedzają małe miściny częściej niż raz na miesiąc, a więc ciepło przyjmują muzykę amatorów. Czy zaśpiewasz przy moim akompaniamencie?

— Oczywiście — odparła wdzięczna, że przerwał jej tok myśli. — Sprawiedliwie powinniśmy dzielić się pracą. Czy zauważyłeś, że zabrałam Moją Panią?

— Nie — wykrzyknął uradowany. — Pozwolisz mi na niej grać? Mam przy sobie małą harfę podróżną, jednak nie ma nawet połowy tonów Mojej Pani.

— Pozwoliłam ci na niej grać kilka dni temu, pamiętasz? Będziesz musiał ją jednak nastroić, bo zwołniłam struny, by w razie nagłej zmiany pogody nie popękały. — Uśmiechnęła się nieśmiało. — Umiem obchodzić się z instrumentami, Jadus mnie tego nauczył, zapewniam cię.

— Nie mogło być inaczej, skoro chodziło o muzykę. To on był moim pierwszym nauczycielem.

— Naprawdę? Dziwię się, że nie zostawił jej tobie.

— Łatwo jest na to znaleźć odpowiedź. Nie poświęciłem mu tyle czasu, co ty — odparł Kris, Na jego twarzy odbiło się lekkie onieśmienie. — Przekazał mi nieco ze swych umiejętności, jednak oddał harfę tam, gdzie znalazło się jego serce — małej, samotnej dziewczynce, która ofiarowała mu swoje.

Zanim Talia zdążyła wymyślić jakąś odpowiedź, przed ich oczami ukazała się wioska i dookoła zaroilo się od dzieci, rozgadanych, zadających pytania, roześmianych i radosnych. Starsze pobiegły przodem, by zawiadomić dorosłych, iż dwoje Heroldów jedzie drogą na północ i najwyraźniej zamierza spędzić noc w wiosce.

Na długo przed dotarciem przez nich do gospody w samym środku miściny, zebrał się tam tłum. To była duża wioska o drogach brukowanych kocimi łbami i domach z tynkowanymi na biało ścianami, wysokich na dwa a nawet trzy piętra. Nie były one kryte strzechą a dachówką — Talia wiedziała z lektury, że im dalej na północ, tym zwyczaj ten jest powszechniejszy. W otwartych okiennicach lśniło miękkie, żółte światło świec, zapalanych w miarę jak zachodziło słońce.

Zgodnie z tym, co napomknął Kris, ta wioska położona była blisko stolicy i Heroldowie odwiedzali ją regularnie. Ci, którzy udawali się do swych obwodów, zazwyczaj zatrzymywali się w gospodach a nie Stanicach Przydrożnych, chyba że nie można już było znaleźć żadnego schronienia. W zamian oberżyści otrzymywali za każdego ugoszczonego Herolda ulgę podatkową. Gospoda położona przy uczęszczanym szlaku mogła odzyskać cały zapłacony podatek, jeśli zatrzymało się tam wielu Heroldów, dlatego byli oni bardzo mile widzianymi i poszukiwanymi gośćmi.

Pod obstrzałem spojrzeń tyłu obcych oczu, Talia starała się zachować pozory opanowania, przybierając oficjalny wyraz twarzy i spychając wątpliwości na samo dno mózgu. Nie byłoby dobrze, gdyby ludzie zobaczyli, że coś ją trapi.

Na progu osobiście powitał ich oberżysta i wskazał drogę do stajni. Stajenni zaopiekowali się chirra, lecz Heroldowie własnoręcznie zatroszczyli się o Towarzyszów. Kris zaśmiał się kilka razy, najwyraźniej po tym, co Tantris do niego „powiedział”, i Talia poczuła lekkie ukłucie zazdrości, że tak łatwo mogą porozumiewać się wykorzystując myślomowę.

Kiedy wrócili do gospody, oberżysta zaprowadził ich do kwater: małych lecz sumienne wysprzątaných izdebek na drugim piętrze. Izby były położone obok siebie i każda mogła poszczycić się okienkiem. Wyposażono je w małe stoliczki oraz wąskie prycze i wyglądały zaskakująco przytulnie.

Kurtuazyjnie oddano im do wyłącznego użytku łaźnię, tak by nie byli przez nikogo niepokojeni. Jednak gdy przyłączyli się do gości zebranych we wspólnej izbie, posypały się pytania. Pomieszczenie o pociemniałych, drewnianych ścianach niemal pękało w szwach od mieszkańców wioski. Lampki na sadło ustawione wzdłuż ścian rzucały ciemne światło, które jednak dobrze rozpraszało mrok, pozwalając wszystkim widzieć i być widzianym. W powietrzu unosił się przyjemny zapach chleba, pieczonych mięs i dymu. Umeblowanie składało się wyłącznie z prostych, drewnianych stołów i ław, jednak były one gładko wyheblowane i wyszorowane do czysta. Heroldowie zasiedli za stołem w pobliżu ognia, pozostali goście rozsiedli się dookoła.

Kris wziął na siebie trud odpowiadania na pytania, lecz gdy Talia ujrzała, że udało mu się zaledwie uszczknąć kęs ciepłego posiłku, który zaczynał już stygnąć, zastąpiła go w tej roli. Tak jak powiedział Kris, do mieszkających tak blisko stolicy ludzi łatwo docierały ogólne wieści, jednak chciwie nastawiali ucha na wszelkie szczegóły, skupiając się zwłaszcza na nowej Następczyni Tronu, o której Talia mogła im rzeczywiście przekazać wiele wiadomości. Jej opowieść zadowoliła ich do tego stopnia, że w końcu razem z Krisem mogli dokończyć kolację w spokoju.

Talia nie zapomniała o Mojej Pani i podczas gdy Kris stroił instrument, poświęciła chwilę, by odpowiedzieć na pytania dzieci, które wydawały się wyczuwać, że tym razem nie zostaną odsunięte na bok, zlekceważone, czy zbyte byle jaką odpowiedzią. Zadawały ich mnóstwo, a wszystkie dotyczyły Heroldów i tego, co trzeba zrobić, by stać się jednym z nich.

Nad niektórymi pytaniami musiała się zastanowić.

— Dlaczego Heroldowie nigdy nie zatrzymują się długo w jednym miejscu?
— zapytał jeden z młodszych chłopców. — Mamy własnego kapłana. Dlaczego nie mamy własnego Herolda?

— Po pierwsze: jest nas za mało, byśmy mogli osiedlić się w każdej wiosce, nie wystarczyłoby nas, nawet gdybyśmy opiekowali się kilkoma wioskami
— odpowiedziała Talia. — Po drugie: powiedz mi, co się dzieje, gdy wasz kapłan starzeje się i odchodzi na emeryturę, albo umiera?

— Przysyłają innego, oczywiście.

— I wtedy jest wam wszystkim obcy. Czy myślisz, że od razu znajduje dla

siebie miejsce i jest przez wszystkich akceptowany?

— Nie — uśmiechnęło się pacholę. — Mnóstwo dziadków nie ufa mu przez całe lata, albo wcale.

— Jednak Herold musi od razu zdobyć wasze zaufanie, rozumiesz? Jeśli ufacie bardziej osobie niż urzędowi, a tak jest w przypadku kapłanów, każdy nowy Herold w obwodzie spotykałby się z trudnościami.

Usłyszawszy to, chłopiec zamyślił się głęboko.

— A więc dlatego ciągle jeździecie: by najważniejsza była praca, a nie osoba, która ją wykonuje. Założę się, że gdybyście zatrzymali się w jednym miejscu na dłużej, zbyt przywiązałobyście się do ludzi, by być sprawiedliwymi sędziami.

Lecko przestraszona tak bardzo trafną obserwacją, pobiegła myślą do stajni. Ponieważ nie była w transie, Rolan nie mógł przekazać jej nic poza mglistymi uczuciami, jednak miała wrażenie, że już zauważył tego chłopca. Kto wie, może za rok albo dwa odwiedzi go czworonożny gość?

Wiedząc o tym, jej odpowiedzi na pozostałe pytania chłopca były szczególnie dokładne. A potem obserwowała go uważnie. Zauważyła, że był swoistym przewodnikiem i opiekunem mniejszych dzieci, nakłaniał je do rozmowy z nią, gdy widział, że są zbyt nieśmiałe, by zrobić to z własnej woli. Zauważyła z ulgą, że wcale nie ustępuje innym w psotach, jednak nie posuwał się do niczego, czym mógłby komukolwiek wyrządzić przykrość.

Wkrótce Krisowi udało się nastroić harfę. Talia pozwoliła, by przez jakiś czas uwaga wszystkich skupiała się wyłącznie na nim wiedząc, że sprawi mu to przyjemność. Zarówno goście, jak i mieszkańcy wioski głośno wyrażali swoje pochwały, i dopiero kiedy Kris zaczął promienieć od tych zaszczytów, dodała swój głos do dźwięków harfy.

Gospodarze oberży obwieścili w końcu, że naprzykrzali się swoim gościom już dostatecznie długo i żartobliwie rozkazali im udać się na spoczynek. Talia była bardzo zadowolona, gdyż długi dzień w siodle dał jej się we znaki, tęskniła już do poduszki i ciepłego łóża.

Kiedy następnego dnia dosiedli wierzchowców, tuż po wschodzie słońca Talia, wspinając się na siodło, skrzywiła się odrobinę.

— Boli? — zapytał Kris z lekkim uśmiechem.

Jęknęła cicho.

— Przed końcem tej podróży, chyba umrę z bólu. Nie wiedziałam, że tak odzwyczaiłam się od siodła. Możliwe, że już nigdy nie uda mi się złączyć nóg razem.

— Niektórzy byliby tym uszczęśliwieni — droczył się z nią, unikając ogryzka z jabłka zjedzonego na śniadanie, którym w niego cisnęła. — Właśnie dlatego chyba ci tego nie oddam — dodał i podniósł do góry cicho brzęczącą sakiewkę.

— Co? Jak? Co to jest? — obudziła się w niej ciekawość.

— Kiedy odbierałem pieniądze na wydatki, przyszło mi do głowy, że być może zapomniałaś o swoim wynagrodzeniu — odparł, rzucając jej sakiewkę. — I rzeczywiście, a więc odebrałem je za ciebie. Teraz jesteś pasowanym Heroldem, pamiętasz? Dostajesz wynagrodzenie.

— Jasne Niebiosa! — Zakłopotana złapała się za głowę. — Na śmierć zapomniałam.

— Nie trap się. Po pięciu latach bez grosza przy duszy, większość z nas zapomina. Ja też zapomniałem. Lecz to się przydaje, zwłaszcza w razie wizyty na jarmarku, kiedy ujrzy się coś, o czym wiesz, że musisz mieć. Albo bez czego po prostu nie można żyć.

— Dobrze, że jesteś moim mentorem — dodała smutno — bo pewnie zostawiłabym w Kolegium nawet głowę.

Kris roześmiał się i pierwszy wyjechał przez bramę gospody na gościniec.

W miarę jak posuwali się coraz dalej na północ, zmieniała się nawierzchnia drogi. Ubity żwir rzeczny wyparł szary materiał, potem pojawiła się glina i w końcu droga zamieniła się w kręty pas nagiej ziemi między drzewami, gdzie trawa została zdeptana nogami podróżników, wierzchowców i rozjeżdżona kołami wozów. Zmieniła się nie tylko droga, ale i ciągnący się po obu jej stronach krajobraz. Gospodarstwa zaczęły obejmować rozleglejsze obszary, rozdzielone większymi połaciami nie uprawianej ziemi — od szerokich łąk po niemal dziewicze lasy.

Z wolna, lecz bez przerwy, pogarszała się pogoda. Niemal codziennie pojawiała się rześista, przenikliwa ulewa, a wkrótce zaczęło padać nieprzerwanie przez cały dzień. Chłodna woda przeniknęła nawet pod ich natłuszczone, wełniane opończe. Chirra rżeniem wyrażały swoje niezadowolenie z tego, że są zmuszone iść w takich warunkach. Podróżowali w wyziewach mokrych liści i wilgotnej wełny. Co noc zatrzymywali się w wybranych miejscach na odpoczynek — przemoknięci, obolali z zimna, tęskniąc za grzonym winem, gorącą strawą i jeszcze gorętszą kąpielą.

Nastrój Talii był taki sam jak pogoda. Jej myśli zataczały nieskończone kręgi dookoła tego samego tematu. Czy nadużywała swojego Daru? Jak mogłaby się o tym przekonać? Czy istnieje jakiś kod etyczny posługiwania się Empatią?

Od czasu do czasu nad ich głowami rozlegały się nawoływania dzikich gęsi, które odlatywały w długich kluczach na południe, lecąc wysoko i szybko. Ich głosy docierające na wietrze do ziemi były jak krzyk opuszczonych dusz. Echo klangoru kołatało się po głowie Talii jeszcze długo po przelocie ptaków; smutne błagania o odpowiedź na pytania, na które odpowiedzieć nie było można.

Gdy zbliżał się pośpny koniec dnia, witali z prawdziwą radością światła następnej wioski i wesole głosy z oberży.

Mimo to Talia niemal lękała się widoku napotykanych gospod. Przyłapała sie-

bie na badawczym wpatrywaniu się w twarze otaczających ją ludzi i niemal obsesyjnym szukaniu jakiejś oznaki, że wpływa na ich nastroje. Odrywała się od rozważań nad własną osobą jedynie podczas ćwiczeń zawilego Kodu Straż lub gdy Krisowi udawało się jakoś nakłonić ją do pogawędki.

Im dalej na północ, tym rzadziej rozrzucone były wioski. W końcu nie musieli dokonywać wyboru, gdzie się zatrzymać na noc, bo często w ich zasięgu znajdowała się tylko jedna osada. Coraz mniej było ziemi uprawnej, lasy i puszcze stawały się coraz gęstsze, coraz rzadsze były ślady działalności człowieka. Pogoda uległa niewielkiej poprawie. Choć niebo było pokryte gęstymi chmurami, deszcz przestał padać. Na początku podróży napotkani rolnicy pozdrawiali ich, nawołując wesoło, i powracali do przerwanych prac. Teraz niemal za każdym razem ludzie zatrzymywali ich z boku gościńca, częstowali jadłem i słodkim jabłecznikiem lub zimną wodą ze źródła w zamian za wieści. To było wystarczającym dowodem, że dotarli do krańców Królestwa. O tej porze roku rolnicy niewiele już mieli czasu na dokończenie zbiorów i uwagę gospodarzy od żniw odciągnąć mogła jedynie niebagatelna rzecz, bo żal im było utracić nawet chwilkę na wypicie kubka wody lub podzielenie się wieścią.

Talia po prostu była szczęśliwa, że na swej drodze tak rzadko napotykali ludzi. Pod wpływem dręczących ją wątpliwości coraz słabiej ochraniała swoje myśli i coraz silniej odczuwała emocje Krisa, choć wyszkolono go, by blokował je bez udziału woli. Przy spotkaniach ze zwykłymi ludźmi sprawy wyglądały znacznie gorzej.

Kris ze wszystkich sił starał się zepchnąć słowa wuja / w ciemne zakamarki pamięci, lecz nie całkiem mu się to udało. Chciał ponownie porozmawiać o tym z Talią, ale nie miał odwagi. Zatopiona w myślach, wydawała się bardzo podenerwowana. W pobliżu ludzi stawała się niespokojna, choć wątpił, by ktokolwiek poza Heroldem mógł zauważyć to pod maską jej „urzędowego” oblicza. A więc starał się, by ich rozmowy obracały się dookoła innych tematów.

Jednak za wszystkim kryły się pytania bez odpowiedzi. Czy nadużywała swojego Daru? Czy robiła to nieświadomie? Oraz — co niezmiernie ważne — czy wykorzystywała go, by i nim manipulować?

To było przygnębiające, ponieważ zaczynał ją lubić, bardzo lubić, bardziej nawet niż zazwyczaj bywało pomiędzy Heroldami, dobrymi kumplami. Byli do siebie bardzo podobni w wielu sprawach. Podejrzewanie przyjaciela o coś tak podstępne było okropną udręką.

A Talia stała się dla niego właśnie kimś takim bliskim — przyjacielem, jak Dirk.

— Czy wiesz — odezwał się ni stąd, ni zowąd pewnego dnia — jesteś dla mnie jak siostra, której nigdy nie miałem.

— Ty jesteś jak brat, jakiego zawsze chciałam mieć... — odparła, najwyraźniej nawet o tym nie myśląc — jakim mógłby być Andrean, gdyby nie został zabity podczas napadu. On jedyny spośród mojego rodzeństwa, poza Vrisą, był dla mnie dobry. Gdybym miała ciebie zamiast Justusa i Kelteva, byłoby mi dużo łatwiej.

— I oni mogliby okazać się zupełnie inni. Czy chciałabyś uciec, gdyby twoje życie było przyjemniejsze?

— Dobra uwaga — przyznała. — Pewnie nie. A wtedy, gdzie ja bym była?

Uśmiechnął się szeroko, a Tantris potrząsnął łbem radośnie i zadzwonił dzwoneczkami.

— Jeśli wierzyć twoim słowom, od sześciu lat byłabyś zamężna i miałabyś dokładnie tyle dzieci.

Skrzywiła się. Siodło zaskrzypiało, gdy się na nim inaczej usadowiła.

— Nie, dziękuję. Wolę ten tryb życia, choć pełen jest niespodzianek. A mówiąc o tym, czy dzisiaj nie przekraczamy granicy naszego obwodu?

Z sakwy przy siodle wyciągnął otrzymaną w Kolegium mapę i sprawdził. Wytyżając wzrok pod obniżającym się niebem, szukał charakterystycznych punktów. W końcu coś dostrzegł: grupkę trzech pagórków o spłaszczonych wierzchołkach na zachód od drogi.

— Przed nadejściem zmierzchu przekroczymy granicę obwodu. Tej nocy po raz pierwszy zatrzymamy się w Stolicy Przydrożnej.

— Ponieważ — dopowiedziała rzeczowym tonem — Heroldowie nie nocują w gospodach w obwodzie, który patrolują, chyba że pogoda nie pozwala im dotrzeć do Stolicy; mogą dzięki temu zachować dystans i bezstronność wobec ludzi ze swojego obwodu, jak pamiętam.

— Rzeczywiście pamiętasz! — roześmiał się, podniesiony na duchu tym, że najwyraźniej wracał jej humor. — Toż to stara Werda, jak żywa!

— I dlatego kupujemy żywność za gotówkę, albo zaopatrujemy się w Stacjach Zaopatrzeniowych, o ile oczywiście nie znajdziemy niczego w Stacjach Przydrożnych. Tak?

— Celujący, zupełnie bez błędów. — Kris popatrzył dookoła na opadające liście, drzewa o nagich gałęziach. — Przykro mi, iż przyszło ci zaczynać w tak surowych warunkach. To zła pora, by wyruszać na patrol w obwodzie. W ciągu kilku najbliższych tygodni spadnie śnieg. Czeladnicy zazwyczaj nie muszą zmagać się z takimi trudnościami na początku swojej praktyki.

— Pochodzę znad Granicy, pamiętasz? To bardziej przypomina warunki, w jakich się urodziłam niż otoczenie w Kolegium. Przebrnę przez to.

— Jestem tego pewien — powiedział rzeczowo. — Ja wiem, że dołożysz wszelkich starań, że wytyżysz wszystkie siły. Tylko tyle można od ciebie wymagać. Ufam ci, Talio.

„A przynajmniej — pomyślał w duchu — tak myślę”.

PIĄTY

Gałęzie niemal bezlistnych drzew wyginały się nad ich głowami, tworząc kopułę, konary niczym piszczele wyciągały się w stronę ołowianego nieba. Szlak rozwijał się przed nimi jak wyściełany kobiercem liści tunel, przecinający ponurą, szarobrunatną puszcę. Leżące na ziemi liście tak były namoknięte od wielu deszczy, że nawet nie wzbijały się spod kopyt Towarzyszy, a ich gruba pokrywa tłumiała odgłosy stąpanięc. Nie było słychać ptaków, ciszę zakłócało jedynie sporadyczne skrzypienie gałęzi cienistego podszycia.

Talia i Kris pozostali w siodle jeszcze długo po zachodzie słońca, by dotrzeć do Stanicy, gdzie Kris zamierzał urządzić pierwszy postój w ich okręgu. Wraz z ostatnim promieniem słońca uleciały resztki ciepła, a kiedy na zachodzie zgasło ciemnoczerwone, sączące się przez gałęzie światło, dookoła rozległy się ciche westchnienia zimnego wiatru. Kris jechał na przedzie, lecz to Tantris — dzięki typowej dla Towarzyszy zdolności doskonałego widzenia w nocy — odnajdywał drogę w ciemności, obojętny na zimno, które przepędzało z głów ludzi wszelkie myśli. Talia zaczęła już poważnie zastanawiać się, czy nie wydobyć z juków swej grubej opończy. Z ulgą myślała o tym, że wszystkie Stanice, nawet te najmniejsze, wyposażono w kominki. Wiatr kąsał zimnem i napomykał o śniegu.

Stanica, która zamajaczyła przed nimi w ciemności, wcale nie wyglądała na ciasną. Mieli także nadzieję, iż nie okaże się prymitywna.

Przybywający do Stanicy Herold musiał przede wszystkim zrobić jedną rzecz, bez względu na późną porę czy też zawieruchę. Talia zeskoczyła na ziemię i po omacku wyciągnęła z sakwy przy siodle Rolana krzesiwo i pudełeczko z hubką. Po dłuższej chwili gmerania na ślepo, przy wtórze złorzeczeń zdołała wykrzesać w hubce płomyczek. Podczas gdy troskliwie chroniła go przed wiatrem, wydobyła wiązkę włókien zakończonych nawoskowanym knotem, który przyłożyła do płomyczka. Kris tymczasem ściągał siodła i toboły. Talia wrzuciła teraz zapaloną wiązkę do środka Stanicy i zatrzasnęła drzwi. Kris złożył toboły u jej stóp i zaprowadził Towarzyszy i chirra za węgiel, na tyły chaty. Talia czekała, trzęsąc się z zimna na wietrze. Podskoczyła przestraszona, gdy w oddali odezwał się puszczyk. Ciche, swojskie odgłosy dobiegające ze stajni w przybudówce, gdzie

znajdował się Kris, były mile widziane w otoczeniu nocy wypełnionej szeptami przedzierającego się w ciemności przez gałęzie drzew wiatru.

Troskliwie opiekowała się ogieńkiem, który udało jej się rozniecić; jeśliby zgasł, czekałoby ją powtórzenie zawilej procedury. Kiedy wolno odliczyła od jednego do stu, ponownie otworzyła drzwi. Stanicę wypełniał gryzący, oleisty dym, który teraz szybko uchodził przez komin, porywany przeciągiem wiejącym od wejścia. Jadowne stworzenia, jeśliby znajdowały się wewnątrz Stanicy, byłyby martwe albo uciekłyby do tej pory.

Talia wciągnęła do środka ich zrolowane legowiska i przystąpiła do ich rozwijania. W tym czasie Kris zajrzał na krótko, by nabrać ziarna dla Towarzyszy i chirra, wygodnie rozlokowanych w przyległej do jednej ze ścian stajni. Po omacku wydobyła świecę z juków i zapaliła ją od palącej się hubki. Poczowała ogromną ulgę widząc, że chata wydaje się wzniesiona dość solidnie, dobrze zaopatrzona i zadbana. Rozłożyła pościel na podwójnej pryczy i — z utęsknieniem pomyślawszy o odrobinie Daru Gryffona — zajęła się rozpaleniem na kominku. Z początku kilka prób zakończyło się fiaskiem, lecz w końcu udało się jej rozniecić spory ogień w wyziębłym palenisku. Kiedy płomienie buchnęły na tyle wysoko, by stać się źródłem światła, a nie tylko ciepła, zgasła świece — palenie jej byłoby marnotrawstwem, zajmowałyby tyle miejsca w jukach, że nie zabrali ich zbyt wielu. Wydobyła nieco żywności i rozpieczętowała zabezpieczone przed robactwem barylki z sandałowego drzewa, które chroniły zapasy Stanicy, by przygotować jaki taki posiłek, a potem z dwoma największymi naczyniami udała się do studni po potrzebną do gotowania i mycia wodę.

Wydawało się, że Kris niesłychanie guzdra się z opatrzeniem chirra i Towarzyszów; zanim się pojawił, Talia podgrzała wodę do mycia dla dwóch osób, przygotowała posiłek, umyła się i przebrała w znoszoną koszulę z wełny i stare spodnie, w których zwykle kładła się spać. Już zamierzała zbesztać go za ślamazarność, gdy zrozumiała powody jego opieszałości.

— Kris, nie musisz być aż tak rycerski — powiedziała czując, że jego powściągliwość w niewytłumaczalny sposób działała jej na nerwy. — Wszystkie dzieci z Grodu sypiają w tej samej izbie, póki nie ukończą trzynastu lat. Wiesz, że nasza grupa z roku podczas ćwiczeń zawsze wspólnie zamieszkiwała wszelkie Stanice i namioty. A więc, wydaje się, że nie mogą mieć czegoś, czego już do tej pory nie udało ci się zobaczyć. I to samo tyczy się ciebie.

— Ja... ja nie jestem po prostu przyzwyczajony do tego, że to kobieta towarzyszy mi na patrolu.

— Zatem przestań myśleć o mnie jak o kobiecie — ziewnęła, otulając się szczelnie na pryczy i mrużąc w świetle rzucanym przez ogień ociężałe od snu powieki. Jej rozdrażnienie, które tak raptownie ją opanowało, minęło tak samo nagle, gdy tylko wzmocniła osłonę chroniącą jej myśli. Jednak to, że musiała to robić, trapiło ją — to nie powinno być konieczne.

— Tobie łatwo jest mówić! — odparł.

— Zatem niech ci się wydaje, że jestem Keren i mężczyźni nie interesują mnie wcale ale to wcale. Jeśli tego nie zrobisz, pewnego dnia znajdę czekającą przed drzwiami statwę z lodu — i to ty nią będziesz!

Roześmiał się i przyznał, że ona może mieć rację.

Następnego dnia, kiedy zbliżali się do pierwszej w ich obwodzie osady, serce Talii zabiło nieco mocniej. Nie mogli przewidzieć, jak zostaną przyjęci, ani z jakimi spotkają się żadaniami. Tak daleko od stolicy mieściny często nie posiadały nawet własnego kapłana i dzieliły się nim z kilku wioskami, a Heroldowie byli jedynymi przedstawicielami prawa Królestwa.

Mur, którym otaczała swe myśli, stał się niezwykle kruchy, stwierdziła to minionej nocy. Nie potrafiła domyślić się dlaczego — przecież podtrzymywanie go stało się jej drugą naturą, instynktem. Teraz miała wrażenie, jak z wolna, lecz nieubłagane obraca się w gruzy. Była przerażona utratą panowania nad sobą i bała się powiedzieć o tym Krisowi; bała się, że jej przyznanie się tylko umocni jego wątpliwości i to będzie dla niej jeszcze większym brzemieniem.

Podczas wjazdu do wioski mieli wrażenie, że wszyscy mieszkańcy wylegli im na spotkanie. Talii przyszło na myśl, że z pewnością wystawiali oni czujki, być może nawet przez cały miniony tydzień, czekając na przybycie Heroldów, którzy mieli zastąpić zranioną. Atmosfera przesiąknięta była namiętymi uczuciami, których pomimo ogromnych wysiłków nie udawało się jej odsunąć od siebie.

Wioska była niewielka. Jednopiętrowe chaty z poszarzałego drewna i ciemnego kamienia, o dachach krytych dachówkami skupiały się wokół rynku. Nie widać było jaskrawo malowanych okiennic — kawałeczki lodu, niesione zimowymi wichurami, zdrapałyby taką ozdobę w ciągu jednego sezonu. Malutkie rozmiary oberży świadczyły, że nie ma w niej izb dla gości, a pozostający tu na noc musieli spać, zadowolając się ławami we wspólnej izbie. Jak okiem sięgnąć, na ani jednej chacie nie widać było nawet śladu uszkodzeń i ani cienia nieporządku. A więc to nie bieda była źródłem utrapień tego ludu odzianego na dodatek w uroczyste barwy, jakby przed jakimś świętem — skąd zatem to uczucie bojaźni tak mocne, że nieomalże wyczuwała jego zapach?

— Pani, niech będą dzięki za wasze przybycie!

Pulchna kobiecina, która Talii niezwykle przypominała krzątającą się kwokę, tak długo popychała w ich kierunku parę szesnastolatków, aż znaleźli się zaledwie na stopę od strzemięcia Krisa. Oboje odziani byli w bogato haftowane stroje, dziewczynę zaokrągliła daleko posunięta ciąża. Ściskali się za ręce jakby w obawie przed czymś, i żadne nie śmiało podnieść wzroku na Heroldów. Zaciekawilo to Talię tak, że zapomniała o własnych obawach. Co się tutaj działo złego, czego nie chciały jej podpowiedzieć zmysły?

— Kapłan zapadł na zdrowiu i będzie już osiem tygodni, jak przestał objeżdżać wioski — ciągnęła pulchna kobiecina, zawijając niesforny kosmyk dziewczynie za ucho. — Ostatni raz, kiedy do nas zawitał, to było przed obchodami Śródlata. Przez ten cały czas nie było komu udzielić tym dwojgu ślubu!

— Czy są od roku i jednego dnia po słowie? — zapytała Talia, znając znad Granicy zwyczaj sprawdzania płodności przed zawiązaniem stałych więzów.

— Na Jasne Gwiazdy, tak! Kapłan zrobił to osobiście jeszcze przed ostatnim Śródziemem! — Kobieta była zniecierpliwiona, a pozostali mieszkańcy wioski przytaknęli kiwając głowami.

Talię olśniło, podczas gdy dla Krisa powód bojaźni młodej pary wciąż był trudnym orzechem do zgryzienia.

— Czy wciąż taka jest wola obojga? — zapytała. Chłopiec i dziewczyna trwożliwie potwierdzili.

— Padli ofiarą zbiegu okoliczności — szepnęła Talia do Krisa. — Obawiają się, że ich zganimy, może nawet nie zgodzimy się udzielić im ślubu, ponieważ tak długo zwlekali z oficjalną ceremonią. Wesele powinno się było odbyć natychmiast, gdy okazało się, że dziewczyna jest przy nadziei. Lecz idę o zakład, że zajęci siewem odłożyli to aż do nadejścia Śródlata myśląc, że po przybyciu kapłana i tak zostanie im jeszcze mnóstwo czasu. Nie wzięli pod uwagę, że zapadnie on na zdrowiu. Biedactwa! Czują przed nami okropny respekt i lękają się, że będziemy piętrzyć przeszkody, bo nie zatroszczyli się o natychmiastowy ślub. Wolno nam to zrobić... zgodnie z literą prawa.

— Ale nie z duchem — Kris odszepnął z ulgą, że takie to proste. — Zatem, ponieważ wszyscy wyrażają zgodę — odezwał się głośno, aby wszyscy usłyszeli — dlaczego ceremonię jeszcze się opóźnia?

Rozległo się powszechne westchnienie ulgi i napięcie zniknęło. Jakby pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawiły się zastawione jadłem stoły na kobyłkach. Po niedługim czasie ryneczek zmienił się nie do poznania i weselnicy bawili się w najlepsze. By nie wpędzać ich w większe zakłopotanie, Kris odprowadził młodą parę na bok i tam odebrał od nich przysięgę, a potem zamiast kapłana jako Herold podpisał oficjalne dokumenty.

Młoda para, niemal zapomniawszy o nieśmiałości, uradowana wróciła bawić się na swoim weselu. Cieszyli się co najmniej z dwóch powodów: że Heroldowie nie piętrzyli przed nimi trudności z powodu późnego złożenia przysięgi i że nad ich pierwotnym nie zaciąży zmaza nieprawości.

Talia i Kris resztę dnia spędzili niemal beczynn timer, wszelka próba urzędowania skazana była z góry na całkowite niepowodzenie. Presja takiego tłumu poważnie nadszarpnęła siły Talii, jednak wydawało się jej, że zdołała to ukryć nawet przed Krisem. Trzymała się na uboczu; zagadnięta odpowiadała uprzejmie, lecz pozwałała, by to Kris skupiał na sobie lwią część uwagi.

Od chwili przekroczenia granic osady jej niepokój pogłębił się. Nigdy od cza-

su nauczenia się posługiwania Darem mur, którym otaczała swe myśli, nie był tak kruchy — właściwie wszystko mogło przezeń przeniknąć. Podtrzymywała go kosztem ogromnych wysiłków.

O gdybyż nigdy nie dotarły do niej te obrzydliwe plotki! . . .

Na wspomnienie o pogłoskach w jej głowie ponownie zaczęły kłębić się myśli, przejął ją strach i zwątpienie. Z trudem panując nad emocjami, sięgnęła po stary, wypróbowany środek — wino — które stępiło ostrość jej zmysłów tak, iż otoczenie stawało się możliwe do zniesienia. Szkoda jedynie, że nie zamąciło jej w głowie na tyle, by nie mogła odnaleźć drogi do Stanicy, bo to oznaczało, iż wciąż była w stanie myśleć.

Do osady powrócili na następny dzień, gotowi do pracy. Mieszkańcy nie mieli żadnych skarg, które trzeba by rozpatrywać, jednak gorliwie nadstawiali ucha na wszelkie wieści ze stolicy i innych wiosek z tego okręgu. Wspólna izba w oberży, choć mroczna i zadymiona, była jedynym w tej wiosce miejscem publicznym, a więc to tam musieli zasiąść do pracy. Miejscowy gawędziarz i skryba zarazem siedział, wprost spijając im z ust słowa, i wszystko pieczołowicie spisywał, gdyż jego zadaniem było powtarzać to, co usłyszał od Heroldów, nieobecnych lub tym drobnym włościanom, którzy z rzadka odwiedzali wioskę.

Poświęcili cały ranek na przekazywaniu decyzji Królowej i Rady tłumacząc, jak i dlaczego je osiągnięto, jakie prawa ustanowiono, by je podtrzymać lub wprowadzić w życie. Natomiast po południu opowiadali o Dworze i wydarzeniach ważnych dla całego Królestwa. Dopiero o zmroku wrócili do Stanicy.

Tym razem dzień okazał się łaskawszy dla napiętych jak struny nerwów Talii, ponieważ pośród sucho recytowanych wieści nie było takich, od których zapalałyby się ludzkie głowy, a jeśliby nawet trafiła się jaka, to skryba-gawędziarz z takim skupieniem odbierał każde słowo, że nie sposób byłoby unieść się niepożądanym uczuciom. Kiedy powrócili do Stanicy, Talia przygotowała dla siebie podwójnie mocny wywar z ziół sprowadzających głęboki sen. Zamierzała zasnąć i spać bardzo mocno sądząc, że być może częściowo źródłem jej udreki jest znużenie. Lecz sny okazały się niespokojne i obudziła się jeszcze bardziej wyczerpana z sił niż przed zaśnięciem.

Trzeci dzień prześlęczeli nad spisami naczelnika osady i skryby oraz słuchając opowieści i zbierając wieści do przekazania dalej. Zapisane przez naczelnika księgi Kris zamierzał odwiedzić do większego skupiska ludzi, które mogło poszczycić się posiadaniem gońca, albo też do najbliższej Stanicy Zaopatrzeniowej, skąd wszystko, co zebrał — uzupełnione własnymi obserwacjami oceniającymi stopień prawdziwości otrzymanych danych — mogło być odesłane do stolicy.

To było zadanie Krisa. Talia kryła się za jego plecami przez cały czas, starając się jak najmniej zwracać na siebie uwagę, gdyż wydawało się, że współdziałanie z innymi szczególnie drażni jej przeczulone zmysły. Jednak wieczorem, w Stolicy, Kris nalegał, by wypowiedziała się na temat otrzymanych przez nich spisów oraz rzetelności naczelnika i skryby.

— Wydaje mi się, że są uczciwi — powiedziała z nadzieją, iż Kris nie ma pojęcia, ile udało jej się wyłowić uczuć wbrew woli ich właścicieli. — Nie odniosłam wrażenia, by próbowali nas zwieść lub ukryć cokolwiek. O ile mogę ocenić, pomyłki, które popełnili, były nieumyślne. Szybko je poprawili, gdy im je wskazałam.

— Doskonale — powiedział z zadowoleniem Kris. — To zgadza się z tym, co ja ujrzałam. Bardzo się cieszę, bo bardzo nie lubię wzywać ludzi na obrachunek, nawet kiedy widać jak na dłoni, że mnie okłamują.

Zapisałi rozmowę na okładce spisu i zapieczętowali go w odpornej na wilgoć kopercie.

Talia odetchnęła z ulgą widząc, że Kris nie zdaje sobie sprawy, jakiemu napięciu musi stawić czoło.

— Nie wiedziałam, że zabraliśmy także spisy podatkowe — powiedziała, próbując jakoś rozproszyć swoją i jego uwagę pytaniami dotyczącymi rutynowych czynności.

— W obwodach granicznych, zawsze. Natomiast w środku kraju, niemal nigdy. Zabieramy drugi egzemplarz tego, co powinni oddać poborcy podatkowemu, kiedy pojawi się tutaj na wiosnę. W ten sposób, jeśli jakaś katastrofa zniszczyłaby te spisy, można przynajmniej częściowo je odzyskać. To dla ich dobra, ponieważ w przypadku aż tak wielkiego nieszczęścia, osada może utracić coś znacznie cenniejszego od dokumentów, a wtedy Królowa jest w stanie ocenić z pobranych podatków, jaką ofiarować pomoc.

Tym razem nie popełniła błędu z ziołowym wywarem, lecz leżała w panujących w Stolicy ciemnościach z otwartymi oczami — wpatrując się w mrok nad sobą, słuchając cichego oddechu Krisa i wracając myślami do najwcześniejszych lekcji świadomego posługiwania się osłonami myśli. Gdy w końcu poczuła morzący ją sen, pomyślała, że wzmocniła nadwątlone osłony na tyle, by pozwoliły jej przetrwać następny dzień.

W czwartym dniu przeglądali to, co spisał skryba-gawędziarz w trakcie ich opowieści, wprowadzając konieczne poprawki i uzupełnienia. Świt piątego dnia zastał ich — ku wielkiej uldze Talii — ponownie na gościńcu. Kierowali się w stronę bramy wyjazdowej, chcąc po drodze odebrać rzeczy od praczek i od-

wiedzić miejscową łąźnię.

Kiedy zostawili mieścinę daleko za sobą i znów znaleźli się w dziczy, wyraźnie się oziębiło. Narzucili grube, zimowe oponcze. Liście zupełnie opadły z drzew.

Wiatr utracił swój ciepły, jesienny zapach. Choć deszcz padał teraz z rzadka, niebo w dalszym ciągu było zachmurzone, powleczone jednolitą szaroniebieską barwą. Pod kopytami chrzęściły zwiędłe, brązowe liście, którymi zasypana była cała droga. Ptaków i zwierząt niemal nie było. Zapadły w zimowy sen lub chowały się w swoich kryjówkach, bojaźliwe od chwili, kiedy obumarła roślinność nie mogła im już być osłoną. Heroldom rzadko udawało się dostrzec coś większego od królika albo wróbla, a w uszach mieli jedynie jęk nagich gałęzi drzew i krakanie wron. Na tle ciszy śpiącej puszczy jedynie dzwoneczki Towarzyszy pobrzękiwały samotnie.

Talia była z tego zadowolona, nie musiała ciągle mieć się na baczności w obawie, że runą osłony jej myśli. Jednak nadal trwała w napięciu i jadąc przez posępny las, nie była pewna, co jest gorsze — samotność w okrytej żałobą dziczy, gdzie szary i opustoszały las tylko pogłębiał jej przygnębienie, czy też przebywanie w otoczeniu ludzi i stopniowa erozja osłony, którą otaczała swe zmysły.

Kris wcale nie był w lepszym nastroju. Nie przestawał się głowić, czy — i ile — z jego sympatii do Talii było mu narzucone. Wpływała na ich umacnianie świadomie czy nieświadomie? Zaczął analizować najdrobniejsze niuanse swoich uczuć, próbując odkryć, czy przyłożyła do nich rękę.

Lubił ją. Jasne Niebiosa, chciał ją lubić — pod wieloma względami tak bardzo była do niego podobna. Okazała się dobrym współpracownikiem. Podejmowała się zadań bez utyskiwań i nie trzeba jej było do nich nakłaniać. Starła się mu we wszystkim dorównać i polegać tylko na sobie... a jednak, jednak...

A jednak owe pogłoski istniały i jego uczucia, na które mogła bez jego wiedzy wpływać. „Nie ma dymu bez ognia”. Być może to prawda. Tak trudno było się o tym przekonać... a sposób, w jaki zamykała się w sobie, wcale tego nie ułatwiał.

* * *

Następny przystanek w podróży odległy był o dwa dni drogi, co oznaczało postój w Stanicy pomiędzy dwoma wioskami. Kris przestał już myśleć o swoim współpracowniku jak o kobiecie. Teraz jego nerwy szarpały podejrzenia. Wszystko odbyło się tak, jak pierwszej nocy: Talia przygotowywała chatę, a Kris zaopie-

kował się czworonożnymi członkami ich wyprawy. Dużo lepiej od niej widział w ciemności i to wydawało się rozsądne. I mógł przy okazji porozumieć się z Tantristem, kiedy jej nie było w pobliżu. Tantris był zaintrygowany i zaniepokojony.

— *Nic nie czuję, braciszku, ale...*

— Ale? — głośno odezwał się Kris.

— *Nie jestem pewny, czy byłbym w stanie. Rolan jest poruszony i wzbrania się o tym porozmawiać.*

— Wspaniale.

— *Ustępuję mu w starszeństwie tak jak Talia tobie. Jeśli nie życzy sobie omawiać osobistych spraw swego Wybranego to jego sprawa i prawo.*

— Wiem, wiem. Przynajmniej powiedz mi, jeśli dowiesz się czegoś, dobrze?

— *Masz moje słowo* — odparł jego Towarzysz — *jednak myślę, że...*

— Że co?

— *Potrzebna jest pomoc kogoś bardziej uczonego* — nadeszła niechętna odpowiedź.

— Powiedz mi, gdzie go znaleźć, a sprowadzę go! W Kręgu nikt nie posiada takiego Daru jak ona i raczej powątpiewam, by był on identyczny z Empatią Uzdrawicieli.

— *To prawda.*

W mózgu Krisa rozległo się westchnienie, po którym nie mógł już wydobyć ani słówka ze swojego Towarzysza. Był głęboko zatroskany. Jeśli nawet Towarzysz nie czuł się zdolny temu sprostać...

Nawet nie udało im się dotrzeć do bramy, gdy przed następną wioską napotkali na drodze dwie grupy mieszkańców domagających się sprawiedliwości.

Widzieli ich z daleka.

— Spokojnie — powiedział Kris, kiedy wjeżdżali w ciżbę ubranych w grube, brązowe samodziały włóścian, którzy tłoczyli się z petycją dookoła Towarzyszy. Talia zbladła i zeszywniała. Siedziała na grzbiecie Rolana zupełnie bez ruchu, z zaciśniętymi mocno ustami. Kris starał się, jak mógł, usłyszeć argumenty obu stron, lecz w końcu stracił cierpliwość i rozkazał im wszystkim powściągnąć języki.

Kiedy jazgot uciszył się, w końcu zdołał ustalić, że opadły ich dwie rozżalone partie ludzi podobnych do siebie jak para wron — o brązowych włosach, gęstych brązowych brodach i niemal identycznym odzieniu z brązowego samodziału. Po wysłuchaniu obu stron, cierpliwie znosząc wzajemne wpadanie sobie w słowo, gotowy był chwycić za drag, by wyłoić im skórę, i oświadczył, że przytaczane argumenty są sprzeczne i istnieje potrzeba wysłuchania strony trzeciej.

Dla niego powód sporu był błahy — dotyczył krowy i jej cielęcia. Zdarzyło się, iż byk przedostał się w niewiadomy sposób na łąkę, gdzie pasła się krowa

podczas rui i, co nie było niespodzianką, ciele było tego wynikiem. Nie ulegało wątpliwości, że noworodek pochodził od wspomnianego byka i temu właściciel krowy nie zaprzeczał. Przedmiotem sporu było przede wszystkim, jak bykowi udało się zbliżyć do krowy.

Rozgniewany właściciel krasuli twierdził, że posiadacz zezwolił bykowi na wałęsanie się bez opieki i zwierzę samodzielnie znalazło swą drogę, zatem bykowe się nie należy. Wskazał na zniszczone ogrodzenie i opanowany słusznym gniewem udawał, że byk doprowadziłby je do ruiny, a wszystko to mówił po to, by zaoszczędzić sobie tej opłaty.

Właściciel byka z równym zapamiętaniem dowodził, że gospodarz, do którego należała krasula, zwabił byka na swoje pastwisko po to, by oszczędzić sobie wydatku.

Kris poczuł się zupełnie bezradny. W tej dziedzinie wcale ale to wcale nie miał doświadczenia. Spojrzał błagalnie na swojego czeladnika, który przecież wychował się na gospodarstwie i powinien mieć jakiś pomysł na rozwiązanie tego węzła. Dookoła ust i oczu Talii pojawiły się bielsze obwódki, jednak wydawała się panować nad sobą. Podprowadził Tantrisa bliżej niej i szepnął:

— Doskonale, czeladniku, wiesz więcej o tego rodzaju sprawach. Przychodzi ci coś do głowy?

Podskoczyła lekko w siodle, najpewniej tylko osoba bacznie ją obserwująca mogłaby to zauważyć.

— Ja... ja myślę, że tak — powiedziała powoli. — To przypomina spór, który mieliśmy kiedyś w Grodzie Senów.

— Zatem do dzieła, teraz ty tutaj rządzisz. To przerasta moje siły.

Zadała skłóconym kilka pytań i udała się pomiędzy pozostałych mieszkańców wioski, by dowiedzieć się czegoś więcej o przyzwyczajeniach obu zwaśnionych stron. Powszechnie przyznawano, że właściciel krowy był takim sknerą, że nie przyglądałby się ze spokojem niszczeniu własnego ogrodzenia po to, by zaoszczędzić na bykowym. Zaś właściciel byka miał w zwyczaju przymykać oko, że jego zwierzę błąka się na swobodzie, bo był zbyt leniwy i naprawił własny płot dopiero wtedy, gdy byk zerwał się po raz wtóry.

A potem Talia zaskoczyła Krisa wypytujac — co nigdy by mu nie przyszło do głowy — dzieci, które kręciły się na obrzeżach cizby włościan. Rozejrzawszy się dookoła siebie i upewniwszy się, że nikt nie rozkaże im trzymać języka za zębami, powiedziały one Talii, że krowa nigdy nie była wypasana na tym pastwisku, na którym byk ją jakoby odnalazł. Właściciel uważał ją za bardzo cenną i nie spuszczał z oka.

Talia powróciła do zwaśnionych.

— Oto jest mój pierwszy wyrok — powiedziała wolno, dziwnie beznamietnym tonem. — Nie ulega wątpliwości, że byk wyrwał się na wolność i ponieważ to najpewniej on poczynił szkody w ogrodzeniu, winniście wynagrodzić tego

człowieka za naprawę.

Właściciel byka zaczął utyskiwać, za to właściciel krowy wyglądał na niezwykle uradowanego. Talia nie pozwoliła mu cieszyć się zbyt długo.

— Wy, z drugiej strony — zwróciła się do niego, patrząc jednak w bok — nigdy nie wyprowadzaliście krowy na to pastwisko. Musieliście widzieć, że wtargnął na nie byk i doszliście do wniosku, że skoro szkoda została poczyniona, to można zaoszczędzić na bykowym. I przenieśliście krowę na pastwisko, po którym błąkał się byk. Z tego powodu zasądzam, że jesteście winni połowę należności, którą przyszedłoby wam płacić.

Wydawało się, że teraz obaj wieśniacy pogrążeni byli w jednakowym smutku.

— Wziąwszy wszystko pod uwagę, myślę, że nic nie jesteście sobie nawzajem winni.

Gderliwie pogodzili się z jej wyrokiem.

— Jeszcze nie odchodźcie! — powiedziała, zwracając się do właściciela byka z nieco większym animuszem. — Pozwalaliście, by niebezpieczne zwierzę błąkało się bez opieki. Po trzecie postanawiam, że ktokolwiek natknie się na samotnego byka i zamknie go w bezpiecznym miejscu, będzie miał prawo zaprowadzić go do swoich krów za darmo. To powinno was nakłonić, byście pilniej troszczyli się o swoje bydło w przyszłości.

Szerokie uśmiechy na twarzach zebranych mieszkańców dowodziły, że uważali wyrok Talii za sprawiedliwy i trafny, i że z pewnością ich nim podbiła. Kris uśmiechnął się i przypieczętował go nieznacznym skinieniem głowy. W odpowiedzi na jej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech, a oczy przestały wyczerać z takim napięciem.

Otoczeni dziećmi przekroczyli granice wioski nieco większej od tej, którą odwiedzili poprzednio, i szczytującej się „prawdziwą” chatą gminu. To tam rozłożyli swe przybory, siadając przy odwiecznym stole o wyszczerbionym, marmurowym blacie, który prawdopodobnie był najstarszym przedmiotem w całej wiosce. Tu było wygodniej niż w ciasnej, zadymionej wspólnej izbie w gospodzie, jednak kominiek nie był w stanie ogrzać całego pomieszczenia i Kris przyłapał się na tym, iż marzy tylko o tym, by się ze wszystkim uporać i wyruszyć w drogę, zanim odmrozi sobie palce u rąk i nóg.

Natychmiast stanęli w obliczu kolejnego źródła niezgody, którym było usytuowanie dwóch sąsiadujących gospodarstw. Gospodarze, starzy przyjaciele, nie byli tą sprawą zbyt przejęci, bo od lat rozwiązywali problem, dzieląc się sprawiedliwie i pracą, i jej owocami na spornych polach. Jednak zwierzyli się przed Krisem, że stan ten może już długo nie potrwać. Oboje mieli kilku synów do obdzielenia i obawiali się, że ich dzieci zaczynają się w tym przedmiocie coraz bardziej niecierpliwić. Kris, rzuciwszy okiem na Talię, oświadczył, że na razie nie może się w tej kwestii wypowiedzieć, lecz sprawą trzeba się zająć niezwłocznie, zanim rozwinie się w waśń. Obiecał poświęcić temu uwagę, gdy tylko uporają się

z własnymi obowiązkami.

Strony musiały być z tego zadowolone. Kris zażądał spisów wioskowych. Na zmianę to jedno, to drugie przekazywało wieści i nowe prawa mieszkańców lub przeglądało dokumenty przyniesione przez wioskowego skrybę, w poszukiwaniu śladów, które wyjaśniłyby sprawę spornej własności. Na nieszczęście wskazówki okazały się nikłe i sprzeczne. Zdawało się, że żądania wnoszone przez obie strony były jednakowo mocno umotywowane.

Talia przejawiała coraz mniejszą ochotę zajmowania się bieżącymi sprawami. Osłona jej myśli powoli, lecz nieubłaganie, zanikała, była tego pewna. Co gorsza, już nie była pewna, czy potrafi poskromić swe uczucia, by nie miały wpływu na otoczenie, zakłócając spokój innym. Także nad tym zaczynała tracić instynktowną kontrolę. Kris próbował ją uspokoić, jednak jego wątpliwości odbierała tak wyraźnie, jakby krzyczał. A kiedy w noc poprzedzającą ich wyjazd, omawiali w zaciszu Stolicy sprawę spornego pola, z takim wysiłkiem panowała nad sobą, że wiedziała, iż na następny dzień będzie boleć ją głowa.

— Kłopot w tym, iż łożysko strumienia, który stanowi linię podziału, zmieniało się tyle razy, że nie mam pojęcia, jak ustalić, którędy biegło na początku — westchnął Kris. — Nie można rzucić Zaklęcia Prawdy na strumień!

Bardzo długo wahała się, rysując wityką niewidoczne wzory na kamieniach paleniska Stolicy.

— Czy myślisz, że przystaliby na równy podział? Rozmawiałeś z nimi dłużej ode mnie.

— Nie ma szans — bez owijania w bawełnę odparł Kris. Na jego twarzy tańczyły ruchliwe cienie od światła padającego z paleniska. — Rozmawiałem z najstarszymi synami, skorzy są wdać się z tego powodu w bitkę. Ojcowie zgodziliby się z ochotą, lecz nie ich dzieci, i to one wywołają kłopoty, jeśli coś pójdzie im nie w smak.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego ma to być wszystko, albo nic — westchnęła po długim milczeniu.

— I ja także — zatopiony w myślach Kris śledził wzrokiem płomienie. — W przypadku rodzin wielmożów można by rozwiązać tę kwestię, żeniąc dwoje najmłodszych dzieci, a potem przekazać im we wianie sporną ziemię.

— Ta ziemia nie wyżywiłaby nawet jednej osoby, nie mówiąc o rodzinie — zmuszona była mu przypomnieć — nawet gdybyśmy znaleźli dwoje, które chciałoby się ożenić.

Kris bawił się z roztargnieniem strzałą wyjętą ze swego kołczanu. Nagle spojrzął na nią i uśmiechnął się, gdyż podsunęła mu pewną myśl. — A co powiesz na palec Losu?

— Co przez to rozumiesz?

— Przypuśćmy, że zajmiemy pozycje na przeciwległych krańcach pola i wystrzelimy strzały prosto przed siebie, a potem wyznaczymy nową miedzę, prowadząc linię przez miejsca, gdzie spadną na ziemię. Jeśliby jutro nie było wiatru, wszystko zależeć będzie od kaprysu Pani. Myślisz, że to zadowoliliby wszystkich?

— To... to nie jest zły pomysł — powiedziała, myśląc uporczywie. — Zwłaszcza, jeśli namówimy kapłana, by pobłogosławił strzały i pomodlił się nad polami. Nie byłaby to już wtedy ludzka decyzja, lecz ręka bogów. A czy ktoś spiera się z bogami? Myślę, że obie rodziny będą temu wyrokowi posłuszne. Kris, to wspomniały pomysł!

— Ty spisałaś się świetnie wcześniej — powiedział z większym naciskiem, niż zamierzał. — To całkowicie przerastało moje siły.

— Ha, nie podoba mi się, gdy ktoś zezwala wałęsać się swoim zwierzętom samopas. Jeśli tutaj, nad Granicą, krowa czy świnia ucieknie do lasu, dziczeje, a wtedy może sprawić sporo kłopotu.

— Hmm, wiedziałem, że dziczące psy mogą być niebezpieczne, ale że bydło? — Kris zapamiętał to sobie na przyszłość.

— To może być naprawdę duży problem — odparła z roztargnieniem. — Kiedy udomowione zwierzę dziczeje, nie boi się ludzi tak jak dzikie zwierzęta, co więcej, zna ono zachowanie ludzi. Zdziczałe bydło zabiło lub okaleczyło niejedną osobę z Grodu.

— Hm, powtarzam: doskonale się spisałaś. Nie powinnaś obawiać się wygłaszania własnego zdania. Przecież po to jest się czeladnikiem.

— Ja... — zaczęła, lecz zamknęła się w sobie.

— Co?

— Nic — odparła, ponownie siadając w cieniu, gdzie nie mógł dojrzeć jej twarzy. — Jestem po prostu zmęczona, to wszystko. Powinniśmy nieco odpocząć.

Zaniepokoił się nie na żarty... Wyglądało jednak, że nie jest w stanie nic na to poradzić.

* * *

Następnego dnia, jadąc do wioski, wstąpili po drodze po skrybę i kapłana. Kiedy przedstawili obu rodzinom sposób rozwikłania sporu, strony z entuzjazmem wyraziły zgodę. Gospodarze przystaliby na każde rozwiązanie, mogące zażegnać niebezpieczeństwo waśni pomiędzy ich potomkami, którzy z kolei byli jednakowo pewni, że kiedy strzały wzbiją się do lotu, bogowie stać będą po ich stronie.

Punkt kulminacyjny, jakim było rozstrzygnięcie tego tak zadawnionego sporu,

sprawił wręcz rozczarowanie.

Kapłan pobłogosławił strzały, łuki, Heroldów, ziemię i rodziny — wszystko, co mogło mieć związek, i wszystkich, którzy mogli być zainteresowani rozwiązaniem problemu.

— Cokolwiek jest w ruchu, błogosławię to — rzekł do Heroldów, mrugając okiem. — A cokolwiek jest nieruchome, o to się modłę!

Talia z Krisem zajęli pozycję dokładnie w środku pomiędzy północną a południową granicą spornego płachetka ziemi i wypuścili swoje strzały. Kapłan zaznaczył miejsce upadku jednej a skryba drugiej i usypano tam kamienne kopczyki oraz zasadzono drzewka. Nowy przebieg między naniesiono na mapę i zapisano w aktach własności. Obie strony oświadczyły, że są zadowolone.

Heroldowie wyruszyli w dalszą drogę.

Talia była tak skryta, że Kris nie mógł jej wcale przeniknąć. Bardziej przypominała posąg Herolda. Wydawało się, że zamknęła się w jakiejś skorupie i ani słowem, ani czynem nie mógł jej z tego wyrwać.

Kris przyłapał się na tym, iż rozmyśla, czy aby obydwie spory nie zostały rozwiązane zbyt łatwo. Byłoby dla niej dziecinną igraszką delikatnie wpłynąć na zwaśnionych, by stali się nieco bardziej przyjacielscy, albo przynajmniej mniej skorzy do zwady. Jeśli tak było w istocie, po jej odjeździe kłótnie rozgorzałyby na nowo.

Czy to, w jaki sposób uporała się z pierwszą sprawą, wywarło na nim zbyt duże wrażenie? Czy zmieniała jego zachowanie?

Tego po prostu nie mógł być pewny. . . Nie było sposobu, by to stwierdzić.

Talia zaczynała rozumieć, że swoje opanowanie zawdzięcza wyłącznie instynktowi, tak naprawdę bowiem nie ma najmniejszego pojęcia, jak jej Dar działa. Ylsa uczyła ją tak, jak uczy się Myślmówców. Teraz, w obliczu utraty kontroli nad sobą, wydawało się, że ta nauka na niewiele się jej przyda. Od Uzdrowicieli, z którymi pracowała, nie dowiedziała się nic, być może dlatego, że odczuwali, iż ona panuje nad sobą i przyjęli to za działanie świadome, a nie instynktowne. Nie mówiąc o tym, że skutki jej Daru mogłyby być takie same, owszem, ale działania różne. Z pewnością nie posługiwali się Empatią jako swym najważniejszym Darem, zwykle wykorzystywano ją tylko jako środek wspomagający w Uzdrowieniu, i nie musieli zmagać się z wątpliwościami etycznymi, w obliczu których stała ona. Kiedy nie zajmowali się Uzdrowianiem, odgradzali ochronnym murem swe myśli. I nie mieli do czynienia z prawem i polityką.

Pragnęła powiedzieć o tym Krisowi i bała się tego. To tylko pogorszyłoby sprawę. Poza tym, cóż mógłby on tak czy siak na to poradzić? Nie posiadał nawet

takiego samego Daru jak ona i to, czego się nauczył, jej w niczym nie mogło pomóc.

A więc nie powiedziała nic. Nieszczęśliwa, dręczona wątpliwościami starała się ze wszystkich sił odwrócić bieg wypadków, które wymykały się jej z rąk.

SZÓSTY

W miasteczkach i wsiach położonych wzdłuż wijącej się obok Granicy drogi, którą jechali, nie mieli wiele do roboty. Jedyne w trzech przypadkach naczelnicy wiosek próbowali coś przed nimi ukryć. Dwóch wypychało własne kieszenie pieniędzmi z podatków, a jeden umyślnie omijał w spisach gospodarstwa swoje i swoich krewnych. We wszystkich trzech przypadkach niczego nie przedsięwzięli po odkryciu oszustw, nie było to ich zadaniem, natomiast umieścili to w swoich raportach. Na wiosnę przybędzie znający prawdę poborca podatkowy i ukarze winnych słoną grzywną. W ten sposób dbano, by na Heroldów nie patrzono niechętnie za to, że ściągają podatki.

Im dalej posuwali się na północ, tym rzadziej napotykali ludzkie osady, a i te napotkane coraz były mniejsze. Teraz niemalże tydzień zajmował im przejazd z wioski do wioski.

Talia cały czas była zamknięta w sobie i milcząca. Odzywała się tylko zagadnięta i z własnej woli nigdy nie wyrażała sądu. Wydawało się, że ożywia się nieco pomiędzy wioskami. Wtedy nawet nie pytana zwracała się do Krisa, a nawet udawało mu się namówić ją do śpiewu. Jednak z chwilą, gdy zbliżali się na dzień jazdy do najbliższego, zamieszkałego przez ludzi terenu, otaczała się jakby skorupą, odgradzając się od wszystkich i od wszystkiego. Odzywała się dziwnym, bezbarwnym, beznamiętnym głosem. Przypominała Krisowi jego samego, gdy po raz pierwszy pokonał most linowy na torze przeszkód; pod nieruchomą maską kryło się napięcie, jakby przez cały czas spodziewała się, że lada chwila upadnie. Od Tantrisa nie mógł się dowiedzieć niczego i nawet Rolan wydawał się niezwykle rozdrażniony.

W tej okolicy jedno zwracało na siebie od razu uwagę: osady ludzkie wysunięte tak daleko na północ były nie tylko mniejsze, ale chroniły się za palisadami z mocnych bali o bramach zamykanych na noc. W zimowe noce na poszukiwanie zdobyczy wyruszały wilki i inne dzikie zwierzęta, niektóre z nich na dwóch nogach. Lasy Żalu nie mogły ochronić tego obwodu przed wszystkim, nie mogły powstrzymać wyrzutków spod prawa, przybywających tutaj z trzech stron świata. Talia i Kris podróżowali, czujnie wyteżając zmysły, i z bronią na podorędziu,

a nocami ryglowali drzwi w Stanicach.

Wszystko to mogłoby budzić zdenerwowanie Talii, gdyby nie fakt, że przecież urodziła się w nadgranicznej krainie i trzymanie się na baczności przed najeźdźcami powinno jej wejść w nawyk. Kris tłumaczył sobie, że upłynęło wiele czasu od tamtej pory, i że dziewczyna nigdy dotąd nie należała do obrońców a zawsze była pośród tych, których trzeba było bronić.

Skąd jednak podenerwowanie Rolana? Towarzyszy szkolono do walki, miały bitewne doświadczenie. Byli doskonałymi strażnikami — siebie, swoich Wybranych i chirra. Kris obserwował Talię, mając nadzieję, że robi to dyskretnie, i głowił się nad tą zagadką, czując narastające obawy.

Zostawili za sobą kilka miścin i wsi. Talia zaczęła się czuć tak, jakby rozpadała się kawałek po kawałku. Jej osłony uległy takiej erozji, że właściwie wymknęły się spod jej władzy, i do jej umysłu docierało niemal wszystko. Nie tylko odczytywała uczucia, ale i wyrzucała je z siebie, gdyż Rolan był tak samo rozdrażniony jak ona. Jej jedyną obroną było szczelne zamknięcie się w sobie, a tymczasem Kris wydawał się z uporem dążyć do tego, by wyrwać ją z tego stanu. Czuła się zagubiona, przerażona i straszliwie samotna. Nie miała do kogo zwrócić się o pomoc. Kris osobiście powiedział jej, że jej Dar jest wyjątkowy. Teraz była całkowicie pewna, iż on nie może jej poradzić, jak się z tym uporać. Jego Dar można było nieomalże zważyć i zmierzyć, jej — mógł w ogóle umknąć uwagi, ale na dodatek przybierał kształt całkowicie nieprzewidywalny. Ogarniała ją coraz większa panika. Miała wrażenie, że szamoce się w matni.

Kiedy w końcu dotarli do Strugi Hevena, miściny położonej opodal samej Granicy, własne nieszczęście ciążyło Talii tak nieznośnym brzemieniem, że w jej oczach kłopoty mieszkańców wydawały się błahostkami.

W poprzedniej wiosce dogoniły ich listy. W jednym z nich znalazła się nawet krótka notka od Elspeth. Dziewczynka napisała w niej tylko, że czuje się dobrze i ma nadzieję, że Talia także, oraz żeby Talia nie niepokoili się o nią. Okazało się, że dla Talii jest to tylko nowe źródło trosk. Nie wiedziała, dlaczego Elspeth napisała ten krótki liścik, ani co się w tej chwili dzieje w stolicy. Elspeth rozpoczęła swój pierwszy rok jako uczeń, i tak jak Talia, była jedyną dziewczynką w swojej grupie. Prawdopodobnie czuła się zagubiona — z całą pewnością przytłoczona — i na dodatek działo się to u progu młodzieńczego wieku. No i musiała jakoś radzić sobie z plotkami: tymi znanymi już Talii i tymi, które pojawiły się po jej wyjeździe. Niewykluczone, że teraz po raz pierwszy od czasów, gdy była Bachorem, znów bardzo jej potrzebowała.

Nie mówiąc już o wrażeniu, jakie pogłoski wywrą na Heroldach. Czy i w nich

— jak w Krisie — obudzą się wątpliwości? Czy też z miejsca odrzuca i zlekceważy całą sprawę, zostawiając Elspeth sam na sam z plotkami? Jak radzi sobie bez niej Selenay? A jeśli Królowa zwraca się o radę do Orthallena, którego Talia nie mogła jakoś obdarzyć swym zaufaniem?

Tak pochłoneły ją próby uporania się z owymi strapieniami, że przyłapała się na tym, iż niewiele uwagi poświęca stojącym przed nią petentom — posępnej, pruderyjnej parze, na widok której odżyły w pamięci Talii nieprzyjemne wspomnienia o krewnych z Grodu. Ich starannie połatane i pocerowane odzienie było w kolorach spłowiałej czerni i przykurzonego brązu, jakby należeli do najbiedniejszych wieśniaków, choć w istocie należeli do jednych z najbogatszych małżeństw w Strudze Hevena, o czym nie omieszkali donieść Krisowi i Talii naczelnik. Na ich ustach gościł identyczny, pełen odrazy grymas, kiedy rozwodzili się nad doznanyymi krzywdami cienkimi, jęklivymi głosami, których ton niezmiernie irytował Talię. Bijące od nich małostkowe uczucie mściwości wżerało się w resztki osłony ochraniającej jej myśli, jak drapiący świeżo poparzoną skórę pilnik. Poczowała wdzięczność do Krisa za to, że im przerwał.

— Jesteście całkowicie pewni, iż to na jej głowę spada odpowiedzialność za ginący drób? I nie może to być sprawka lisów albo innych szkodników?

— Nasze kojce są szczelne jak chata, Heroldzie — rozległ się jęk mężczyzny. — Ona to zrobiła! Na przekór uczciwemu zarobkowi, któreśmy jej dawali i lekkiej roboty, którą u nas znalazła. Nie wątpię, że go sprzedaje. . .

— Lecz komu? Sam rzekłeś, że nikt w tej miejscinie nie przyznał się do zakupu ptactwa od niej.

— Zatem go zjada! — dorzuciła kobieta. — Chciwa jest, tegom jest pewna. . .

Talia zmusiła się do zwrócenia uwagi na dziewczkę służebną.

Jej strój był jeszcze nędzniejszy niż jej pracodawców. Była blada, chuda i wyglądała na źle traktowaną. Zdaniem Talii zupełnie nie wyglądała na osobę spasio- ną ukradzionymi kurami i gęsiami!

Dziewczyna na krótko podniosła wzrok. Niepokojący dreszcz przebiegł po krzyżu Talii na widok dziwnego wejrzenia pustych, szarych oczu. Jednak potem ponownie straciła zainteresowanie całą sprawą, tłumiąc wątpliwości, które się w niej obudziły, biorąc je za jeszcze jeden przykład utraty panowania nad swym Darem. Na widok tych ludzi dostawała gęsiej skórki. Pragnęła znaleźć się jak najdalej od nich, zamknąć całą sprawę jak najprędzej i równie szybko zaszyć się w bezpiecznej w miarę Stanicy.

Przejęta jedyną myślą, by jak najszybciej uwolnić się od nich, zaczęła mówić:

— Nie widzę nic, co dowodziłoby waszych roszczeń. — Po czym ostro dorzuciła: — I nie rozumiem, dlaczego zwracacie się z tym do Heroldów. . .

— Talio, nie słuchałaś — ostrzegł ją Kris ściszym głosem. — Tu nie chodzi tylko o zaginione ptactwo. . . choć wydaje się, iż to jest ich największym strapieniem. Zdarzyły się i inne rzeczy. . . tajemnicze runy, wypisane krwią na prog. . .

i...

— Kris, to śmieszne! — wybuchnęła. — Szukają jedynie pretekstu, by zwolnić to biedactwo bez należnej zapłaty! O nieba, Kris, Keldar rok w rok chwytala się tej obrzydliwej sztuczki: przyjmowała jakąś nieszczęśliwą dziewczkę i zwalniała pod zmyślnym pretekstem po roku, tuż przed terminem należnej zapłaty!

— Talio — powiedział z ociąganiem Kris po dłuższej chwili milczenia. — Nie podoba mi się to, ale będę musiał wydać ci rozkaz, korzystając z tego, że jestem wyższy rangą, ponieważ ty potrafisz rzucić Zakłęcie Prawdy Drugiego Stopnia, a ja nie. Żądam, byś rzuciła je na całą trójkę po kolei.

— Wierzyć mi się nie chce, byś chciał marnować Zakłęcia Prawdy z powodu takiej błahostki!

— To rozkaz, Heroldzie!

Zagryzła wargi, uderzona zimnym tonem jego głosu i, nie mówiąc już ani słowa, spełniła rozkaz. Zakłęcie Prawdy Pierwszego Stopnia ujawniało jedynie, czy rozmówca mówi prawdę. Zakłęcie Drugiego Stopnia zmuszało go do wyjawienia jej.

Ku zaskoczeniu Talii, małżeństwo pod wpływem zaklęcia na dość szczegółowe pytania Krisa odpowiedziało tak samo.

Przerzuciła zakłęcie na potulnie wyglądającą dziewczkę i szara myszka zamieniła się w rozjuszoną łasicę.

Kiedy zakłęcie Talii dotknęło umysłu dziewczyny, nastąpiła całkowita przemiana jej osobowości. Spojrzała na swych pracodawców wzrokiem ciskającym gromy, rozjaśnionymi, dzikimi oczami, wściekle warcząc stuliła usta.

— O tak — wydyszała miękko. — O tak, ja zabieram ptaki. To drobnostka w porównaniu z tym, co mi wyrządzili...

— Co takiego ci wyrządzili? — zapytał Kris.

— Bili mnie za najbłahszą niezręczność... karmili tylko chlebem, zupą z jęczmienia i stęchłym serem. Są właścicielami największego stada kur w wiosce, a ja nie miałam jajka w ustach ani kawałeczka kurczaka już pół roku! Obiecywany przydziewek jest po gospodyni i do tego, kiedy go otrzymuję, doszczętnie zniszczony. Kiedy nie jestem posiniaczona, chodzę głodna, kiedy nie jestem głodna, jest mi zimno! Jednak ja się zemszczę...

Widząc szaloną nienawiść, którą dziewczyna wylewała na ich głowy, małżeństwo aż skurczyło się ze strachu i odskoczyło do tyłu, przerażeni tą przemianą. Talia zacisnęła palce w pięść, wbijając sobie w dłoń paznokcie, starając się oprzeć prawdziwej nawałnicy wściekłych uczuć, nienawiści, która spadła na nią.

— ... o, tak, ja się zemszczę! Do tego potrzebne są mi ptaki. Nie jadam ich — wiecie? Oddaję je wilkom. Teraz odwiedzają mnie każdej nocy. Wkrótce, już wkrótce nauczą mnie, jak zamienić skórę z jednym z nich. A kiedy się tego nauczę... kiedy się tego nauczę...

Szaleństwo lśniące w jej oczach świadczyło niezbitcie, co zamierza uczynić ze swoimi pracodawcami, kiedy nauczy się zmieniać postać. Talię zmroziło, trzęsła się od stóp do głów. Rozszalałe uczucia dziewczki bębniły o jej rozsypującą się barykadę ochronną myśli jak o werbel, co niemalże zmusiło ją do panicznej ucieczki. Zaparło jej dech w piersi. Sama Talia znalazła się niebezpiecznie blisko szaleństwa.

— ... a potem przyjdzie na innych kolej. Pomogą mi w tym moi szarzy braciszki i siostry. O, tak...

Dziewka zaczęła podnosić głos; słowa zaczęły zlewać się w bełkot — obłąkańczą mieszankę nienawiści i majaków rozgorączkowanej wyobraźni.

Tego było już dla Talii za wiele. Dziewczyna rozbijała w pył puklerz ochronny jej myśli. Spychała ją w przepaść obłąkania. Na oślepnęła przed siebie myślą, wykorzystując instynktownie swój Dar w samoobronie, i dotknęła mózgu dziewczyny, raptownie ją usypiając.

Małżeństwu składającemu skargę odjęło mowę. Milczeli przez bardzo długą chwilę, a wraz z nimi Kris.

— Myślę — w końcu ostrożnie przerwał ciszę Kris — że lepiej będzie oddać ją pod opiekę Uzdrowicielom. Nie wiem, ile prawdy zawierały jej słowa o tym, jak się z nią obchodziliście, a ile było wytworem jej wyobraźni, lecz sądzę, iż powinniście raczej pokryć wszelkie wydatki na Uzdrowiciela. A gdybyście w przyszłości przyjęli inną służącą, zwracajcie baczniejszą uwagę na to, w jakich pracuje warunkach.

Wracając w gęstniejącym mroku do Stanicy, Kris zachowywał złowieszcze milczenie. Załatwienie sprawy oszalałej dziewczki ciągnęło się przez całe popołudnie. Samo obudzenie jej przez Uzdrowiciela z głębokiego snu, w który wtrąciła ją Talia, trwało niemal całą markę na świecy. Talia czuła głęboki wstyd, że uległa bezmyślnemu odruchowi i nie oparła się panice. Zachowała się rozmyślnie nieodpowiedzialnie, czego wynikiem było zaniedbanie obowiązków.

— Kris... tak mi przykro — natychmiast po przekroczeniu bram miasteczka odezwała się do niego przytłumionym, nieszczęśliwym głosem. — Ja nie chciałam... ja...

Kris nic na to nie odrzekł i Talia ponownie zapadła się w siebie, utraciwszy do reszty z takim mozołem budowaną pewność siebie.

„Domyśla się... na pewno domyśla się. Zawiodłam. Nawet nie jestem w stanie panować nad sobą na tyle, by dotrzeć do połowy patrolu. Nic nie potrafię zrobić jak należy”.

Jednak Kris nic nie powiedział. Nawet jej nie potępił. Wiedziała, że jest głęboko zamyślony, ale nie miała pojęcia, o czym tak rozmyśla. Zamilkła podczas powrotnej drogi do Stanicy, cały czas spodziewając się, że spadnie wiszący nad

jej głową miecz. A to, że nic takiego się nie stało, tylko pogorszyło sytuację.

Kris jechał w milczeniu. Dopiero teraz zaczął uzmysławiać sobie, że nie udzielając jej pociechy, nie dodając jej otuchy, popełnił niemal nieodwracalny błąd. Talia zatraciła poczucie godności własnej bardziej, niż przypuszczał. Widać było jak na dłoni, że nie panuje nad nerwami. Teraz wydawało mu się, że wie, dlaczego wzbrania się przed wyrażaniem własnego zdania, dlaczego z wahaniem dzieli się z nim opiniami, i to tylko, jeśli zapyta ją wprost. Po powrocie do Stolicy jego pytanie o to, jak się czuje, zbyła, mówiąc jedynie, że dobrze. Zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek odzyska równowagę po tym incydencie... I zaczął się lękać, że ośobiście ją zniszczył.

Nagle, w otoczeniu głębokich ciemności nocy, nasunęła mu się niepokojąca myśl, że ona powoli pograża się w szaleństwie i, być może, pociąga go za sobą.

Ziemia była przykryta śniegiem, kiedy zbliżali się do małego sioła, ciejszego się wątpliwą sławą wysuniętej najdalej na północ osady, tuż obok Lasu Żalów. Talia, która tak przyzwyczała się do kurczowego podtrzymywania resztek osłony swych myśli, że przestała wybiegać myślą do przodu w poszukiwaniu skupisk ludzkich, zaczęła zastanawiać się, czy w końcu zdolności nie opuściły jej całkowicie. Jednak nie, obok jechał Kris, co jej rozogniony mózg odbierał z taką wyrazistością, że było to niemal bolesne. Jeśli więc nie oto chodziło, zatem musiało być to coś innego.

W końcu zebrała resztki odwagi i pewności siebie, by powiedzieć Krisowi o tym, co czuje.

— Tam jest zbyt wiele... hmm, jest za cicho. Tylko tak mogę to wyrazić. Odczuwam jedynie coś bardzo nikłego i pochodzi to od kogoś, kto śpi lub jest nieprzytomny.

— Czy jesteś pewna, że to zimno nie ma na ciebie takiego wpływu?

„Chciałabym, żeby to było to” — pomyślała ze smutkiem.

— Nie... nie sądzę. Nie jest zimniej niż, kiedy byliśmy w Zielonej Przystani, a wtedy mogłam wyczuć obecność ludzi o dzień drogi naprzód.

Zadumał się.

— Doskonale. Zatem przyśpieszmy kroku tyle, ile chirra mogą wytrzymać. Jeśli tam dzieje się coś złego, to im szybciej tam dotrzemy, tym lepiej.

Śnieg zaskrzypiał pod kopytami, dzwoneczki zaczęły brzęczeć jak oszalałe, gdy przeszli w klusa. Powietrze było zupełnie nieruchome, błękit bezchmurnego nieba niemal raził oczy. Poprzez nagie gałęzie drzew sączyło się słoneczne światło, zostawiając po sobie niebieskawe koronki cienia na zaspach. Dzień był piękny i dziwny, dręczący Talię dziwny niepokój stanowił rażącą sprzeczność.

W wiosce, kiedy ją ujrzeli, panowała cisza, zbyt wielka cisza. Na osłanianej dwoma wzgórzami wolnej połaci ziemi, którą wieś zajęła, nie było żadnych śladów na śniegu, ani biegnących do wioski, ani wychodzących z niej. Bramy stały otworem i nikt ich nie pilnował. Twarz Krisa wyrażała tak wielkie zaniepokojenie, że mózg Talii, nie musiał nawet odbierać jego uczuć, by wiedziała, iż jest tak samo przestraszony jak ona. Rozkazał jej zatrzymać się, a sam zjechał ze wzgórza, na którym stali, do bramy, zabierając ze sobą swoją chirra.

Nie zabawił w środku zbyt długo i ujrziała, jak zatrząskuje się brama, a do jej uszu dobiegł odgłos zasuwanego rygła. Natychmiast po tym strzała zatoczyła łuk nad ostrokołem i wylądowała po jej stronie obwałowania z bali. Biegiem ruszyła do miejsca, gdzie upadła. Strzała była oznaczona czterema pierścieniami — trzema zielonymi i jednym czerwonym. Sprawdziła wzór zaszyfrowany w upięczeniu. Nie ulegało wątpliwości, że strzała należała do Krisa. Oznaczenie przez niego strzały, choć ona nie spuszczała z niego oka przy wjeździe do wioski, mogło się wydać niemądre, jednak tylko w ten sposób mógł ją powiadomić, że to on osobiście zatrzasnął za sobą bramę, a nie banicy zastawili na niego pułapkę.

Mogło to oznaczać tylko jedno. Cała wioska padła ofiarą jakiejś plagi.

„O, Pani! O, Pani! Co ja teraz pocznę!...” — pomyślała rozgorączkowana.

Nagle zatoczyła się pchnięta nosem zniecierpliwionego Rolana. Poczwała jego irytację tak wyraźnie, jakby się do niej odezwał. Miał już dość jej rozczulania się nad sobą. Teraz trzeba było działać, po prostu działać. Wiedziała doskonale, co powinna zrobić i, do licha, im szybciej się do tego zabierze, tym lepiej!

Poczwała się jakby coś, co się w niej złamało, ponownie zostało złożone. Zmusiła się do spokoju, do ułożenia planu. Napisała notatkę do Krisa, powiadamiającą go, że zostawia swoją chirra spętaną u bram wioski, by mógł wprowadzić ją do środka, kiedy zobaczy, iż się oddaliła. Wyjęła niczym nie oznaczoną strzałę z kołczanu, przywiązała do niej notkę i wystrzeliła ponad ostrokołem. Przeszukała juki, wyjęła z nich mapę, bukłak na wodę i torbę z jedzeniem dla siebie i Rolana.

Rzuciwszy okiem na mapę, stwierdziła, że najbliższa Świątynia Uzdrawicieli leży odległa o pięć dni jazdy wierzchem na wschód. To znaczyło, że mogą tam dotrzeć z Rolanem w dwa. Spętała chirra, wskoczyła na grzbiet Rolana i ruszyli z kopyta.

To w takiej właśnie chwili Towarzysz, pokonujący piorunującym krokiem odległość, wart był więcej niż złoto czy klejnoty. Godzinami mógł on, bez zmęczenia, podróżować z szybkością galopującego konia. W razie potrzeby mógł utrzymywać tak wyczerpujący krok przez kilka dni, obywając się tylko wodą i garścią ziarna. Po przebyciu tak ciężkiej próby musiał odpocząć przez jakiś czas, jedząc do syta, jednak nigdy nie padał ze zmęczenia, rzadko zdarzało mu się naciągnąć mięśnie lub ścięgna w sytuacji, która zabiłaby konia. Towarzysz docierał wszędzie, gdzie mogły dotrzeć zwierzęta na kopytach, nie wykluczając wspinaczki na oblodzonych, skalistych zboczach, na co porywały się tylko kozły. Herold musiał

się tylko martwić o to, by nie spaść z siodła!

Talii i Rolana nie zatrzymała nawet noc; Talia jadła i piła, nie schodząc z siodła, a nawet zapadała w drzemkę. Na dość suchej, dającej dobre oparcie dla nóg drodze posuwali się bez przeszkód. Rolan mógł dać z siebie wszystko. Świecił nawet księżyc w pełni, mieli więc dość dobre rozeznanie. Hałas wywołany ich przejazdem płoszył zwierzęta, jechali zatem w ciszy zakłócanej jedynie odgłosem dudniących po zamrożonej ziemi kopyt. To była niesamowita podróż, jakby ze snu, szalona jazda — wydawać by się mogło donikąd. Rolan był właściwie wypoczęty, podróżowali więc nawet po zachodzie księżyca. Jednak w końcu i on musiał odpocząć. Na krótko przed świtem stanęli na malutkiej polanie obok drogi, nad strumieniem, poniżej ściętego lodem wodospadu.

Rolan zatrzymał się tuż obok stawu u stóp wodospadu, ciężko pracując bokami, w kłębach powstającej na mrozie pary. Wydychane powietrze zamieniało się w szron, który osadzał się dookoła jego chrap. Talia rozbiła pokrywę lodową, ale woda była zbyt zimna, by mógł się bezpiecznie napić. Podała mu wodę z bukłaka. Po opróżnieniu napełniała go ponownie, ogrzewała wodę własnym ciałem i poila, póki nie napił się do syta. Po raz ostatni napełniła skórzany bukłak wodą i pociągnęła długi łyk, oddawszy mu jedną trzecią posiadanych zapasów żywności. Wraz ze wschodem słońca, którego promienie krzesaly ogniste iskry, odbijając się od lodowego wodospadu, byli gotowi ponownie rozpocząć wyczerpujący bieg.

Drugi postój urządzili około południa. Talia wykorzystwała stosunkowo ciepłe słońce, by rozkulbaczyć Rolana, rozłożyć jego rząd do wyschnięcia, a jego samego wytrzeć do sucha płótnem, które zawsze wozila w jukach.

Oparła się głową o jego bok czując, że drżą jej kolana osłabione nie tylko od długiej jazdy w siodle.

„O, Pani pomóż. . . Uzdrowiciele mają ten sam Dar co ja, jakże zdołam stanąć przed nimi twarzą w twarz? Czy uda mi się to z kimkolwiek, skoro sama nie mogę się wziąć w garść? O, bogowie. . . to ponad moje siły. . .”

Rolan szturchnął ją w ramię łagodnie. Nieomalże mogła usłyszeć jego słowa, tak wyraźna była jego wiadomość. „Pomogę ci”, odebrała obraz uczucia.

— O, bogowie. . . zrobisz to?

Stanowczo potwierdził. Westchnęła i uspokoiła się nieco, wybiegła mu myślą na spotkanie. . .

Poczuła, jak osłona otacza jej mózg, podtrzymywana przez zewnętrzne źródło siły. Ogarnął ją spokój, swego rodzaju odrętwienie, które przyniosło jej taką ulgę po okresie bólu i napięcia, w jakim dotąd żyła, że o mało nie rozplynęła się we łzach.

— Jak długo. . . ?

Jego żal zdawał się świadczyć, że niestety nie będzie ochraniać jej przed otoczeniem zbyt długo.

— Oby tylko udało się nam dotrzeć tam i z powrotem. Będę pracować bardzo

ciężko i to mnie znuży tak, że będzie możliwe okiełznanie mych uczuć. Nie mogę rozsiewać myśli wtedy, gdy jestem do cna wyczerpana. Wiem, co się ze mną złego dzieje; wiem, że tak. . . O, gdybym mogła trzymać się z dala od ludzi przez jakiś czas!

„Zatem w drogę” — zdawał się mówić, niecierpliwie potrząsając łbem.

Rząd, a nawet derka pod siodło były już suche, a więc, nie ociągając się dłużej, osiodłała go i ruszyli w drogę. Tuż za jej plecami, na siodle, usadowił się niepokój.

Gdy zaczęło się zmierzchać, wpadli galopem na dziedziniec Świątyni Uzdrawicieli. Biel jej stroju i Towarzysza natychmiast przyciągnęła uwagę; Rolan nawet nie zdążył się zatrzymać, kiedy tuż przy jej strzemieniu pojawił się, oczekujący na jej rozkazy, ubrany na zielono nowicjusz. Tuż za nim przybiegło jeszcze dwóch — jeden z gorącym kubkiem wina z ziołami dla Talii, a drugi ze świeżą, ciepłą papką owsianą dla Rolana. Oboje przyjęli z wdzięcznością ofiarowany poczęstunek, a tymczasem goniec pobiegł z wiadomością do dwóch Heroldów, którzy stale stacjonowali w tej Świątyni. Zanim Talia zdążyła wypić do dna wino, dookoła dziedzińca zapalono pochodnie i schodami, pędząc na złamanie karku, zbiegła na brukowany kocimi łbami dziedziniec krucha i szczupła kobieta, której przycięte krótko przy skórze włosy lśniły ognistą czerwienią nawet w tak niespokojnym świetle. Kobieta miała przewieszony przez ramię worek i biegnąc zawiązywała powiewającą na wietrze zieloną szatę.

— Jestem Kerithwyn — przedstawiła się zbliżywszy się do Talii. — I jestem najbardziej doświadczonym Uzdrawicielem w leczeniu chorób wywołanych przez plagi. Dwóch innych, o których prosiłaś, wyruszy, gdy tylko będą gotowi do drogi nasi Heroldowie. Ja mogę wyruszyć natychmiast.

— Dobrze. Zatem im szybciej wrócimy do Krisa, tym będzie szczęśliwszy. Czy przyzwyczajona jesteś do jazdy za plecami Herolda? — Talia wyciągnęła rękę, by pomóc Uzdrawicielce dosiąść Rolana.

— Można tak rzec — odparła kobieta, chwytając podaną jej rękę. Obrzuciła Talię dziwnym spojrzeniem, kiedy spotkały się ich dłonie i zawahała się przez chwilę, a potem oparła stopę o strzemień Herolda i wdrapała się na poduszkę za plecami Talii z łatwością, która świadczyła o dużej wprawie.

— Rolan jest nieco szybszy od innych Towarzyszy, a więc przygotuj się.

Pomimo ostrzeżenia Talia usłyszała, jak kobieta wstrzymuje oddech ze zdziwienia, kiedy Rolan z kopyta ruszył w powrotną drogę. Jednak nie ulegało wątpliwości, że ten sposób podróżowania nie był dla niej nowością, bo utrzymała się na siodle, nie wypuszczając z ręki medykamentów i ani o jotę nie rozluźniwszy zaciśniętych na pasie Talii palców, przy czym wcale nie robiła tego kurczowo, owładnięta paniką. Otuliła się swą oponczką, pochyliła głowę i, korzystając z okazji, ukryła się przed wiatrem za plecami Talii, która z ulgą przekonała się, że ko-

bieta jest gotowa jeść i drzemać w siodle, a nawet, o ile to możliwe, przejawiała jeszcze mniejszą chęć do robienia przerw na odpoczynek niż Rolan.

Dotarli do wioski tuż po południu w drugim dniu drogi powrotnej. Wciąż panował w niej całkowity bezruch, a nieznane osłony tak szczelnie odgradziły od wszystkiego zmysły Talii, że nie mogła ona nawet wyczuć, czy Kris wciąż jeszcze znajduje się wewnątrz.

Zsadiła Uzdrowicielkę z siodła i, ustawivszy Rolana zadem do bramy, poleciła mu zabębnić o nią tylnymi kopytami. Bez względu na miejsce pobytu, we śnie czy na jawie, jeśli tylko nie leżał złożony chorobą, Kris musiał usłyszeć. Kiedy od razu nie odpowiedział na to wezwanie, zdenerwowana ścisnęła w dłoniach wodze. Łatwo sam mógł paść ofiarą plagi, przecież nie byli na nią uodpornieni. Tuż obok strzemięcia kręciła się niespokojnie Kerithwyn, najwyraźniej to samo i jej przyszło do głowy, sądząc po wyrazie zaniepokojenia na twarzy.

Nagle usłyszała odgłos odsuwanej rygla i brama otworzyła się ze skrzypem, by je wpuścić. Wjechała do środka i dopiero tam ześliznęła się z siodła, a Uzdrowicielka deptała jej po piętach.

— Niecały dzień za nami podąża jeszcze dwóch. Ja byłam natychmiast gotowa do drogi i dlatego ich wyprzedziłam — rzekła Kerithwyn zwięźle do Krisa. — Jaka jest sytuacja?

Kris opuszczał rygiel na miejsce, a kiedy się do nich odwrócił, Talia miała ochotę rozplakać się z żalu na widok jego twarzy. Trudno było uwierzyć, jak bardzo był wyczerpany; nie ulegało wątpliwości, że od chwili, gdy go opuściła, cały czas był na nogach.

— Jest źle — odparł znużonym głosem. — Wygląda na to, że w ciągu jednego lub dwóch dni wszyscy mieszkańcy zostali dotknięci plagą. Kiedy tu wszedłem, pięcioro było już martwych, od tamtej pory utraciłem jeszcze trzech.

— Objawy?

— Wysoka gorączka, delirium, wysypka, opuchlizna pod szczęką i pod pachami.

Kerithwyn pokiwała głową.

— Śnieżna gorączka, tak przynajmniej my to określamy. Zazwyczaj pojawia się tuż po pierwszych śnieżycach, po Śródziemiu wydaje się znikać, nigdy nie przychodzi w czasie ciepłej pogody. W jaki sposób starałeś się ich leczyć?

— Próbowałem dostarczyć im płynów, podając zwłaszcza wywar z kory wierzbowej. Jednak kiedy wydawało mi się, że gorączka nadmiernie wzrasta, zwłaszcza u dzieci, na chwilę zakopywałem ich w śniegu, by ją jakoś zbić.

— Doskonała robota! Nie zrobiłabym tego lepiej — pochwaliła go. — Mam przy sobie pewien środek, lecz to potrwa, zanim zaczniesz skutkować, będziemy więc postępować podobnie z tymi, którzy nie są bezpośrednio zagrożeni. Teraz

zacznę leczyć ofiary w najgorszym stanie. Czy ktoś z was pomagało już kiedykolwiek Uzdrowicielowi?

— Ja nie potrafię — Kris potrząsnął głową tak, że proste włosy rozsypały się mu po czole. — Ostatni Uzdrowiciel, z którym rozmawiałem, stwierdził, że z mojego Daru nie będzie pożytku. Obawiam się, iż przydam się tylko jako para rąk.

Kerithwyn odwróciła się do Talii, mierząc ją dziwnym spojrzeniem.

Przełknęła głośno ślinę i odpowiedziała:

— Nigdy nie próbowałam, jednak moim Darem jest Empatia i Myśluzdrawianie. Nauczyciel powiedział, że są one tego samego rodzaju, co u Uzdrowicieli.

„Pomagając w Uzdrawianiu i tak nie będę mogła osłaniać myśli. Jednakże będzie mnie to kosztować tyle sił, że nie będę w stanie narzucać nikomu swoich uczuć”.

— Empatia u Herolda? — Kerithwyn uniosła do góry brew. — Ha, zatem powinnaś się bardzo przydać. Spróbujemy, nic złego nie może z tego wyniknąć. Heroldzie, czy odseparowałeś najcięższe przypadki?

— Są tutaj — Kris wskazał na małą chatkę, która znajdowała się tuż przy bramie. — Kiedy wydawało mi się, że im to nie zaszkodzi, umieściłem najciężej chorych razem.

— Doskonale — Kerithwyn wręczyła mu mniej więcej funt ziołowej mieszanki prosząc, by przyrządził z niej pełny kociołek naparu i podał każdej ofierze pełny kubek do wypicia, nie zapominając o sobie. Kiedy Kris odszedł, by wykonać instrukcje i zaopiekować się Rolanem, Kerithwyn razem z Talią weszły do chaty.

W środku było ciasno i ciemno. Okiennice, dla ochrony przed lodowatym powietrzem, szczelnie zamknięto. Kris wstawił do izb tyle łóżek i przygotował tyle legowisk, ile się dało. Zrobił wszystko, by złożonych chorobą utrzymać w czystości, i spalał w palenisku kominka kadzidło przeciw wyziewom choroby, jednak mimo tego w powietrzu unosił się słaby, lecz wyraźnie odczuwalny odór. Tak wielu ludzi stłoczonych w jednym miejscu przypawiło Talię o klaustrofobię, a towarzyszący im zapach wywoływał lekkie nudności. Cieszyła się jedynie, że ludzie ci najwyraźniej byli tak nieprzytomni, że nie musiała przed niczym osłaniać swoich myśli. Wydawało się, że Kerithwyn nic z tego nie zauważa.

Najciężej chorą była krucha, stara kobieta, której rozdęte szczęki wyglądały groteskowo w zestawieniu ze szczupłą twarzą.

— Usiądź obok mnie na krześle, Heroldzie — poleciła Uzdrowicielka. — Rozsiądź się wygodnie, weź mnie za rękę i pozbadź się osłon. . . — znów zmierzyła ją spojrzeniem. — . . . i zrób to, co zawsze, przygotowując się do myślrozmowy. Ja zatroszczę się o resztę.

Talia przymknęła powieki i z wysiłkiem odwróciła uwagę od otoczenia. Udało jej się okiełznać dręczące ją lęki, przeprowadzając stare ćwiczenie z oddechem.

Przez długą chwilę starannie sprawdzała, czy wciąż jeszcze jest zdolna wprawić się w głęboki trans; skoro wszystko inne szło na pastwę licha, wcale nie była pewna, czy potrafi jeszcze wykonać tak podstawowe ćwiczenie, jak wejście w głęboki trans. Ostrożne próby pokazały, że przynajmniej te obawy są bezpodstawne.

Kiedy jej trans osiągnął odpowiednie natężenie, przed jej wewnętrznym okiem umysłu pojawiła się Uzdrowicielka — jakby lity rdzeń, od którego biła kojąca, zielono-złota energia.

„Bogom niech będą dzięki — ogarnęła ją wdzięczność. — Kerithwyn musi być jeszcze bardziej wprawna, niż to o sobie mówi”.

Nie chodziło tylko o to, że swą mocą Uzdrowicielka dorównywała wszystkim uczącym Talię Uzdrowicieli, ale też i o to, że nie musiała się obawiać jej obecności. Kerithwyn nie zezwalała, by jakiegokolwiek ujemne uczucia mąciły myśli!

Zdawało się, że w chorej kłębi się coś ciemnego, błotnisto-czerwonego. Talia przypatrywała się zafascynowana, jak Uzdrowicielka przecina owe złowieszcze wiry promieniami światła jak lancetem, czyści je i rozgania, podsycając odkryte pod nimi malutkie, migotliwe iskierki, póki nie rozjarzyły się mocniej. Talia widziała i czuła, jak pomiędzy nią a Uzdrowicielką przepływa energia, uzupełniająca jej nadwątlone siły.

Teraz wiedziała, czego potrzebuje Uzdrowicielka, połączyła się z nią najmocniejszą z możliwych więzi i zwróciła się o pomoc do Rolana. Energia popłynęła do Uzdrowicielki mocnym, stałym strumieniem. Uzdrawianie nabrało szybkości, stało się bardziej niezawodne. Minęło kilka chwil i było po wszystkim. Talia poczuła, że nawiązana między nimi łączność została przerwana. Przyśpieszyła oddech, przeniosła swą uwagę na otoczenie i uniosła powieki.

Szare oczy Uzdrowicielki wyrażały pochwałę.

— Doskonale, Heroldzie, dość szybko zrozumiałaś, na czym opiera się cała koncepcja. Czy możesz pracować tak dalej równie dobrze?

— Dam z siebie wszystko.

— W takim razie myślę, że plaga nie zabierze ze sobą nikogo więcej. Jak widziałas, w tym przypadku powiodło się nam całkiem nieźle.

Staruszka już w niewielkim stopniu przypominała chorą osobę. Opuchlizna szczęk zmniejszyła się niemal o połowę. Bezspornie i gorączka zaczęła opadać. Widząc to, Talia poczuła się ogromnie podniesiona na duchu. Po raz pierwszy od bardzo dawna udało jej się zrobić coś właściwie. . .

Kiedy uporali się ze wszystkimi leżącymi w chacie, Uzdrowicielka poleciła Talii odpocząć. Dziewczyna, przypomniawszy sobie, że wchodząc do środka dostrzegła obok ogniska juki złożone przez Krisa w stos, poszperała w nich przez chwilę i wydobyła nieco suszonego mięsa i owoców. Jednak przekonała się, że apetyt wcale jej nie dopisuje i nie ma ochoty nawet na jeden kęs. A więc, zamiast

jeść, siadła na ziemi zgarbiona, ze skrzyżowanymi nogami, tyłem do paleniska i, przymknąwszy powieki, zaczęła wchłaniać plecami bijące od ognia ciepło. Była zbyt otepiała ze zmęczenia, by cokolwiek odczuwać, i tak wdzięczna za chwilę wytchnienia, że pragnęła jedynie napawać się ciszą, jaka zapanowała w jej myślach.

— Niemądra dziewczyno! Niczego nie nauczyłaś się o twoim Darze w tym waszym Kolegium?

Zaskoczona Talia otworzyła oczy. Ujrzała stojącą nad sobą Kerithwyn z parującym kubkiem w jednej i jakąś sztabką w drugiej dłoni.

— Doskonale powinnaś wiedzieć o tym, że jeśli nie uzupełnisz utraconej energii, nikomu się na nic nie przydasz! — wepchnęła Talii w ręce obie rzeczy. — Wiem, że nie jesteś głodna, ale pomimo wszystko — jedz! Uporaj się z tym, a potem znajdź swojego przyjaciela i zmusz go, by także coś zjadł i się przespał. Wygląda, że od tygodnia nie robił ani jednego, ani drugiego. Nie obawiaj się, kiedy będziecie mi potrzebni, odnajdę was. I nie zapomnijcie, by niczego nie brakowało i waszym Towarzyszom!

Okazało się, że były to sprasowane razem w sztabkę suszone owoce, orzechy i miód. W innych okolicznościach Talia mogłaby uznać je za nieznośnie słodkie, teraz jednakże, po pierwszym zjedzonym z przymusu kęsie, zyskały na smaku tak niepomiernie, że dalsze poszły już gładko; stwierdziwszy, że w kubku znajduje się napar podawany przez Krisa ofiarom epidemii, oszczędziła kawałeczek, by na końcu usunąć z ust obrzydliwy smak.

Najpierw odnalazła Rolana. Kris rozsiedział go, okrył derkami i zaprowadził do stajni przy oberży. Zostawił w jego zasięgu paszę i wodę, jednak nie miał już czasu, by bardziej się o niego zatroszczyć.

Talia wyczesła Rolana zgrzebłem i troskliwie wyczyściła, myśląc z ulgą, że Towarzysze są istotami inteligentnymi, i same dbają o to, by ochłonać i wrócić do formy. Nie ulegało wątpliwości, że Rolan był znużony — po raz pierwszy, od kiedy go poznała — i głodny, lecz poza tym bieg nie odbił się w żaden sposób na jego zdrowiu. Otuliła go starannie derkami przed mrozem i poszła rozejrzeć się za zapasami. Potem dosypała suszonych owoców do słodkiej paszy i umieściła ją tak, by z łatwością mógł jej dosięgnąć, a następnie przygotowała kociołek gorącej owsianki, którą Rolan natychmiast łapczywie wysiorbał, kiedy już ochłonał na tyle, by móc jeść.

Choć była bardzo zmęczona, uświadomiła sobie, że powinna sprawdzić, jak się miewa Tantris. Towarzysz Krisa zarżał radośnie na jej widok i błagalnie zadzwonił pustym wiadrem na ziarno. Roześmiała się — ile to czasu upłynęło od chwili, kiedy to po raz ostatni się śmiała — nie brakowało mu siana i nie umarłby z głodu, jednak bezspornie domagał się, by i jego poczęstować tak jak Rolana.

Wyświadczyła mu tę przysługę, podczas gdy on z wdzięcznością trącał ją swymi chrapami. Wypuszczone na obszerny wybieg, gdzie i po tygodniu nie zabrakłoby dla nich paszy, chirra, czuły się znakomicie. Zmieniła im wodę i udała się na poszukiwanie Krisa.

Nie musiała go długo przekonywać, iż powinien położyć się na legowisku, które dla niego rozłożyła obok paleniska. Zasnął, nie zdążywszy nawet dojeść otrzymanych od niej racji. Ostrożnie wyjęła mu je z rąk, odstawiając tak, by mógł je z łatwością dosięgnąć po przebudzeniu, a potem sama zajęła się tym, od czego go odciągnęła.

Harowali w troje do późna w nocy jak niewolnicy, przetykając w pośpiechu jedzenie i zapadając na chwilę w drzemkę, gdy wydawało się, że nikomu nie jest potrzebna natychmiastowa pomoc. Najosobliwszym było to, że krucha Kerithwyn okazywała najmniejsze oznaki znużenia; była niewiarygodnie wytrzymała i niestrudzona. Często strofowała ich, by nieco odpoczęli, choć sama najrzadziej stosowała się do własnych rad.

Cała trójka była krańcowo wyczerpana. Chwiali się na nogach, kiedy rozległo się tak długo oczekiwane przez nich bębnienie kopyt o bramę, ogłaszające przybycie dwóch Uzdrawicieli w eskorcie Heroldów. Oboje nowo przybyli — wielki, włochaty jak niedźwiedź Uzdrawiciel i wyglądająca tak młodo dziewczyna, że niedawno dopiero musiała otrzymać swe Zielone szaty — nie ociągając się, zastąpili Kerithwyn, która, znalazłszy dla siebie skrawek płaskiego miejsca i kilka kocy, natychmiast zapadła w sen. Doświadczeni w pomaganiu Uzdrawicielom Heroldowie odesłali Talię i Krisa, by spędzili w swych legowiskach, pierwszą od chwili przybycia tutaj, spokojną noc.

Następny dzień zastał ich wszystkich na nogach przy robocie. Posilając się i śpiąc na zmianę, doprowadzili do tego, że kilku z chorych wydobrzało na tyle, by im pomóc w opiece nad współziomkami. Wtedy to Kerithwyn łagodnie, lecz stanowczo powiedziała Krisowi, by ruszyli w dalszą drogę.

— Nie jesteście nam już dłużej potrzebni — stwierdziła z naciskiem. — Nasi Heroldowie mogą rozstrzygnąć wszelkie spory. Wieści i nowe prawa docierają do nas raz na miesiąc, świetnie poradzimy sobie z przekazaniem raportów. Chcę, byście znaleźli się jak najdalej stąd, zanim któreś z was dotknie plaga.

— Ale... — zaprotestował Kris.

— Jazda stąd! — krzyknęła do niego. — Miałam już z plagą do czynienia sześć razy, to jest siódmy. Nie zaniedbujecie waszych obowiązków. Loris i Herold Pelsin zostaną tutaj aż do Śródzimia. Mieszkańcy tej miejsciny nie będą was potrzebować! A teraz, jazda!

Kris pobierał swoje rzeczy, wziął nieco świeżej żywności dla uzupełnienia suchych zapasów — przy takim mrozie, długo miała zachować świeżość — i zostawił przybyłym Herroldom zebrane dotąd raporty, by je odesłali do stolicy.

Jednak Talia nie wywinęła się tak łatwo. Podczas gdy Kris rozmawiał z Herroldami, Kerithwyn odwiodła ją na stronę w chwili, gdy zamierzała wskoczyć na siodło.

— Dziecko — powiedziała bez ogródek — osłona twych myśli jest jak podziurawiona tarcza łucznicza i gdyby nie zmęczenie, twe myśli atakowałyby każdego pod słońcem! Jesteś w takim stanie, że gdybym miała czas, nie pozwoliłabym ci opuścić tego miejsca. Ale nie mam ani czasu, ani sił. Nie wiem, co ty robisz, lub raczej, co wydaje ci się, że robisz, lecz to jest złe. Lepiej weź się w garść, dziewczyno, i to szybko, bo inaczej nawet nieobdarzeni zostaną tym dotknięci. A teraz w drogę i postaraj się to okiełznać.

I po tych szczerych słowach odeszła, odwróciwszy się na pięcie, zostawiając Talię rozdartą pomiędzy chęcią pobiegnięcia za nią i błagania o pomoc, a przecięcia sobie z miejsca żył.

W końcu Talia zebrała resztki odwagi i, śladem Krisa, wyjechała przez bramę.

Kris zjrzał do mapy. Kerithwyn rozkazała im znaleźć dla siebie jakieś miejsce, gdzie mogliby przez dłuższy czas odpocząć. Powiedział Talii, że — jak się zdaje — udało mu się natrafić na szczególnie wygodną Stanicę, z której mogliby skorzystać. Talia kiwnęła głową, pogrążona w osobistym nieszczęściu; Kris zajęty określaniem ich położenia, nic nie zauważył, a przynajmniej nie pisał do niej ani słówkiem. Lecz po tym, co powiedziała Kerithwyn. . .

No cóż, będzie musiała zachować podwójną ostrożność, to wszystko.

Od wioski dzieliło ich pół dnia drogi i wjechali głęboko w Las Żalów. Około południa Kris zarządził postój, by mogli nieco się posilić a on sprawdzić kierunek jazdy. Przez Las Żalów wiodło kilka wąskich szlaków i jeśliby przeoczyli ten, którym się posuwali, albo pomylili drogę z tropami stad, z nadejściem nocy mogliby znaleźć się w opałach.

Jednak okazało się, że podążali właściwą drogą, a odległość dzielącą ich od Stanicy można było pokonać szybko i łatwo. Szczęśliwie się złożyło, iż nie było to zbyt daleko, gdyż w chwili, gdy zeskoczyli z siodła i wyjęli żywność z juków, chirra zaczęły prychać i niespokojnie tańczyć.

— Talio, chirra bez powodu nie odmawiają posłuszeństwa — odezwał się z troskany Kris, kiedy jego zwierzę po raz trzeci wyszarpnęło mu postronek z dłoni. — Czy możesz powiedzieć, co dzieje się z tego?

— Nie wiem. . . — odpowiedziała opanowana wątpliwościami, wciąż roztrzęsiona po spotkaniu z Uzdrowicielką, nie mając wielkiego doświadczenia w pracy ze zwierzętami. — Spróbuję się jednak czegoś dowiedzieć. . .

Zebrała się w sobie i wprawiła w głęboki trans, w którym poprzednio udawało jej się dotrzeć, do mózgów zwierząt. Ujrzała czysty i wyraźny obraz tego, co było źródłem ich nieszczęścia — wystarczył on, by w wielkim pośpiechu wydobyć się z transu i przywołać świadomość.

— Śnieg — rzuciła zwięźle, ponieważ obraz był czysty jak kryształ i wyostrzony lękiem. — Mnóstwo... ogromna zawieja nadciągająca z północy. Dopadnie nas przed zmierzchem.

Kris zaklął.

— Zatem niewiele mamy czasu. Ruszajmy.

SIÓDMY

Chirra uspokoiły się, jakby rozumiejąc, że Talia dowiedziała się, co je niepokoi. Ruszyli w drogę, starając się iść jak najszybciej, lecz na ściętym mroźnym szlaku chirra i Towarzysze z trudnością utrzymywały się na nogach, a od gromadzących się na północy chmur zrobiło się tak ciemno, jakby zmierzch zdecydował się nadejść przedwcześnie. Zerwał się przejmujący wiatr i z upiornym jękiem zaczął przebijać się przez korony drzew. Droga, którą się posuwali, zawracała na długości jednej mili i wtedy Kris z Talią musieli zeskoczyć z siodła, by wraz z Towarzyszami i chirra walczyć z dmuchającą im prosto w twarz wichurą. Kiedy spadły pierwsze, dużych rozmiarów płatki śniegu, znaleźli się w tarapatkach nie lada i nie byli w stanie dojrzeć niczego w odległości większej niż kilka stóp.

Mocarny wiatr wrywał im ze skostniałych dłoni poły oponcz, którymi się otulali, wył w konarach drzew i hulał dziko po ziemi, skrzecząc jak potępieniec. Drzewa jęczały i skrzypiały, protestując, dziko smagając nad głowami Heroldów swymi cieńszymi gałęziami. Nie odzywali się do siebie, gdyż i tak żadne z nich nie mogłoby przekrzyczeć takiej wichury, a gdy nie było wyjścia i musieli coś sobie przekazać, porozumiewali się gestami. Takiej nawałnicy Talia jeszcze w swym życiu nie widziała i w głowie miała (o ile cokolwiek przychodziło jej w tym paraliżującym zimnie do głowy) jedynie nadzieję, że nie jest on charakterystyczny dla tego obwodu.

Śnieg zbierał się w zasy z zastraszającą szybkością. Najpierw sięgnął do karku, a potem do kolan. Pochłonięci walką, by stawiać jedną stopę przed drugą, zupełnie zapomnieli o poczuciu odległości i czasu. Na wiodące do Stolicy odgałęzienie drogi Kris z Tantriselem natknęli się raczej przez przypadek. Dosłownie wtoczyli się na nie, gdy po omacku błakali się wzdłuż otaczających drogę krzewów. Ścieżka wkrótce zbiegła w płytki wąwóz, który utworzył się pomiędzy dwoma, niewysokimi wzniesieniami, ochraniając ich przed najgorszymi podmuchami wiatru. Puścili popręgi, których się dotąd trzymali, i szli tropem przetartym przez Towarzyszy ufając, że zmysły wierzchowców zaprowadzą ich do Stolicy. Kiedy do niej dotarli, ścieżka stała się niemal niewidoczna. Cielsko Stolicy zamajaczyło przed nimi, wynurzając się spoza szarobiałej ściany śniegu, dopiero wtedy, gdy właściwie stanęli na jej progu.

Najpewniej nikt tutaj nie zawitał od czasów ostatniej wizyty drużyny zaopatrzeniowej, która w lecie sprawdziła Stanicę i uzupełniła zapasy. Pobieźnie rzucając okiem na stos drwa na opał, stwierdzili, że jest go za mało, by mieli przetrwać śnieżycę. W gorączkowym pośpiechu spętali chirra obok chaty, zrzucili wszelkie toboły z Towarzyszy, przewiązali się w pasie linami, zaczepili je do pętli przy siodłach i z siekierami udali się na poszukiwanie chrustu.

Wysiętek okazał się niezwykle wyczerpujący, zwłaszcza że trzeba się było na niego zdobyć bez chwili wytchnienia po poprzedniej ciężkiej próbie. Nienawykła do takiej pracy Talię rozboleły ramiona i ręce; części ciała, które jej nie bolały, skostniały z zimna. Opończę pokryła gruba warstwa śniegu, która skrzypiąc odpadała przy każdym ruchu całymi płatami. Świat zawężił się jej do bólu, siekiery trzymanej w dłoni i zeszcłego drewna przed sobą. Pragnęła ponad wszystko moc położyć się w miękkim śniegu i odpocząć, jednak wiedziała, że to byłaby ostatnia rzecz, którą by zrobiła.

A więc nie przerywała walki z bólem i zacinającym śniegiem, paralizujące zimno i nadwerżone mięśnie stały się bastionem, który strzegł ją przed rozpaczą, wywołaną szorstkim ostrzeżeniem Uzdrowicielki Kerithwyn. W zapamiętaniu nie zauważyła gęstniejących ciemności, póki nie uzmysłowiła sobie, że ledwie dostrzega miejsca, w które celuje siekierą. Niemalże zapanowała już noc — prawdziwa.

Nadszedł najwyższy czas, by dać za wygraną. Kiedy Talia z Rolanem ściągnęli ostatni ładunek, zapadły już głębokie ciemności. Jedyne, co mogła zrobić, to złapać za popręg i trzymać się kurczowo Towarzysza, gdy włókł ją wraz z ładunkiem drwa w stronę Stanicy. Wiatr przybrał na sile — Talia nie uwierzyłaby, że to było możliwe — i teraz niemal zdzierał z niej opończę. Prawie łkała, a igiełki lodu i bólu przeszywały jej gardło i pierś.

Otworzyła drzwi do Stanicy i zamrugwała zaskoczona, bo przed sobą zobaczyła tylko tonącą w smutku, ciasną izbę z drzwiami w przeciwległej ścianie. Po chwili zaświtało jej w oczadziałej ze zmęczenia głowie, że tutaj, odmiennie niż we wszystkich po drodze napotkanych Stanicach, do środka wchodziło się przez sień, która łagodziła wpływ mrozu z zewnątrz.

Po omacku otworzyła kolejne drzwi, tuż za nią wepchnął się do sieni Rolan. Kris ją wyprzedził, dotarłszy do Stanicy ze swym ładunkiem tuż przed nią, zdążył już okadzić wnętrze i rozpalić ogień na kominku. Rozwiązał postronek łączący ją z Rolanem. Przepojona wdzięcznością, potykając się o własne na poły odmrożone nogi, skierowała się do żółtych płomieni. Kris wprowadzał za nią do wnętrza izby Rolana, a kiedy osunęła się bezwładnie w ciepłe bijącym od ognia, zobaczyła, że są tu już i Tantris, i chirra. Przez chwilę, póki wszyscy nie znaleźli dla siebie jakiegoś miejsca, było dość ciasno, lecz Talia wiedziała, że na tym wietrze wyjącom na dworze nic nie utrzymałoby się zbyt długo przy życiu.

Zdjęła oblepione śniegiem odzienie i zawiesiła je obok rzeczy Krisa, na kołku

nad kominkiem. Kris tymczasem przystąpił już do przygotowywania posiłku. Tak więc, kiedy nałożyła wełnianą koszulę i stare bryczesy — czując się zbyt wyczerpana, by wdziąć na siebie cokolwiek innego — ułożyła na suchym sianie przed ogniem gniazdo z ciemnobrązowych kocy, by mogli rozgrzać obolałe, wstrząsane dreszczem ciała, siedząc wygodnie i czekając aż gotowanie dobiegnie końca.

Mrugała, bezmyślnie wpatrując się w ogień, jej ciało i umysł wciąż były wyziębione i skostniałe. Uporczywie starała się utrzymać ten stan znieczulenia, wzbraniając się stanąć w obliczu tego, co zamiast niego miała do wyboru. I udało jej się to — trwała odrętwiała, nie dając żadnego znaku, że żyje, dużo dłużej niż zazwyczaj. Kris długo musiał stać nad nią, zanim uzmysłowiła sobie jego obecność.

— Talio — zaczął zakłopotany — wiem, że nie czas i pora po temu, lecz lepsza okazja raczej się nie nadarzy. Muszę z tobą porozmawiać.

Nieświadomie podniosła się i stanęła na wciąż skostniałych nogach, czując przenikający ją chłód, który nie miał żadnego związku z wichurą.

— O... o... o czym? — wyjąkała, obawiając się najgorszego.

— Zamieniliśmy z Kerithwyn kilka słów przed wyjazdem — zaczął, podczas gdy rozpacz, przed którą opierała się resztkami sił, zaczęła brać nad nią górę, spadając na nią jak druzgocąca burza, z domieszką, co dziwne, osobliwej, bezsilnej wściekłości. — Do licha, Talio, ona powiedziała mi, że zatajasz przede mną, iż twój Dar zupełnie wymknął się spod kontroli!

Coś załamało się w niej, otwierając drogę nawałnicy, którą dławiła w sobie od tak dawna.

Kris spodziewał się wybuchu gniewu, sprzeciwu, lecz nie tego, co nastąpiło! Zalewały go na zmianę fale sprzecznych uczuć: samobójczej rozpacz i morderczej wściekłości.

Wstrząs był tak silny, że ugięły się pod nim nogi, i osunął się na kolana, oczy zasnuła mu czerwona mgielka, a w uszach rozpętały się gromy, spoza których słyszał jedynie nikły odgłos rżenia rozgniewanego konia i dzwonięcia kopyt na kamieniu. To go uratowało, zanim sięgnął po broń, by zabić siebie, ją, albo ich oboje. Odgrodził swe myśli najmocniejszą osłoną, na jaką go było stać, z wysiłkiem stanął na nogach, schwycił ją i rzucił dosłownie o znajdującą się za jej plecami ścianę, z siłą, od której zagrzechotały nawet jego zęby.

— Przestań! — krzyknął do dzikiego, nieludzkiego stworzenia, które wiło się w jego rękach. — Do licha, przestań! Patrz, co nam wyrządzasz! — Brutalnym szarpnięciem obrócił ją dookoła, by osobiście mogła zobaczyć niewiarygodny widok, jak Rolan zapędza Tantrisa do kąta, szczerząc zęby, z szaleńczym błyskiem

w podbiegłym krwią oczach. — Patrz, co im robisz!

Popatrzyła tępo i osunęła się na ziemię tak nagle, że nawet nie miał czasu ją złapać, po prostu przeleciała mu przez ręce. Upadła na zimną, kamienną posadzkę, kuląc się bezwładnie i łkając jakby po stracie wszystkiego, co uważała za cenne. Nawałnica, która rozpętała się we wnętrzu Stancy, ucichła.

Kris uklęknął, uniósł Talię i otoczył swoim ramieniem. Nie opierała się — chyba nie wiedziała nawet, że on obok niej klęczy. Płakała w jego ramionach, wstrząsał nią przerażający szloch, który, zdawało się, rozrywał ją od środka. W świetle dogasającego ognia tulił ją do siebie; śnieżycy za ścianą Stancy porbrzmiewała echem lamentu jej złamanego serca.

W końcu zaniepokoił się o ogień, który zdawał się całkowicie wygasać. Zaniósł Talię na legowisko z koców i siana. Skuliła się i, wciąż płacząc, odwróciła od niego twarz. Dorzucił do ognia i wrócił do dziewczyny.

Zziębnięty do szpiku kości usiadł obok niej i ponownie przytulił do siebie jej równie lodowate ciało. Odniósł wrażenie, że jej żal wyczerpał swą gwałtowną siłę. Potrząsnął nią lekko.

— No już. . . — powiedział, czując się ogromnie skrępowany. — Powiedz coś do mnie, pani. . .

— Ja. . . ja. . . — zaszlochała, — Ja chcę umrzeć!

— Dlaczego? Bo twój Dar wymknął się spod kontroli? Czy to jest postawa godna Herolda?

— Wcale nie jestem Heroldem.

— Dokrośset! — wpadł jej w słowo. — Kto tak mówi?

— Wszyscy. . . ty mi to powiedziałaś. . .

— Niech to lichy. . . — Dopiero teraz zrozumiał, kto przede wszystkim odpowiada za całe to zamieszanie: on osobiście, opowiadając krążące o niej plotki. O bogowie! Wiedząc, że nie ma ona zbyt wysokiego mniemania o sobie, na początku ich podróży powiedział coś, co było dla niej jakby ciosem poniżej pasa. Podejrzliwie zaczęła przyglądać się samej sobie, opadły ją wątpliwości, znalazła się w jakimś obłądnym kręgu, staczając się w dół po spirali z siłą, której nie potrafiła się przeciwstawić. Jej Dar mógł karmić się tego rodzaju wątpliwościami, nadawać im pozory prawdy, co z kolei pogłębiało niepewność, wzmacniało ją w miarę utraty panowania nad sobą, plotki przeistaczały się w rzeczywistość.

I oto do czego to doprowadziło: w pełni rozwinięty Dar stał się całkowicie nieokiełznany, a młoda kobieta gotowa jest natychmiast zabić się, jeśli tylko odwróci się do niej plecami.

— Posłuchaj mnie! Do licha, Talio, słuchaj! — ponownie potrząsnął nią. — Gdyby rzeczy stały aż tak źle, Rolan opuściłby ciebie. On wyparłby się każdego, kto nie byłby wart przywdziania Bieli. Czy dał to w jakikolwiek sposób do zrozumienia?

— N. . . n. . . nie. . .

— Udzielił przynajmniej ostrzeżenia?
— N... nie — szlochanie zaczęło przycichać.
— Pomaga ci, prawda? Strzeże twojej tajemnicy. Wciąż uważa cię za Herolda. Do kroćset, a więc zachowuj się, jakbyś nim była! Przestań rozczulać się nad sobą i zacznij myśleć. Jesteś w okropnym stanie, jak zatem możemy razem wydobyć cię z niego?

Po raz pierwszy spojrzała na niego zaczerwienionymi i opuchniętymi oczami.

— My?

— My — powtórzył. — Można mnie za to winić, tak samo jak ciebie. Nie powinienem mówić ci o tych przeklętych plotkach. Powinienem ci wierzyć, gdy mówiłaś mi, że to nieprawda. Gotowy jestem iść o zakład, że to niewiara z mojej strony tylko pogorszyła całą sprawę. Hmm?

Potrząsnęła głową i ukryła twarz na jego piersi. Przytulił ją mocniej i zaczął głaskać po głowie i lekko kołysać.

— Biedactwo... — zamruczał. — Nieszczęśliwe, przestraszone, zagubione biedactwo. Weź to i spróbuj. — Sięgnął ręką po małą skórzaną butelkę, która leżała na stosie jego rzeczy, niedaleko nich, i podał ją Talii. — Najpowszedniejszym panaceum na nadwrażliwość jest wino. To stępi twoją drażliwość!

Talia przyjęła butelkę, pociągnęła łyk i niemal zaczęła się dusić, miała wrażenie, że wlewa w siebie słodki, płynny ogień!

— Co... to... jest? — zapytała, gdy przestała już łapczywie oddychać.

— To dzieło Uzdrowicieli, zwane przez nich „duchem wina”. Otrzymują go mroząc wino z miodu i odrzucając wytrącony lód, to jest pozostałość. Dostałem go przed samym wyjazdem od tego o wyglądzie niedźwiedzia.

Talia napiła się jeszcze raz, tym razem wzięła mały, ostrożny łysek. Płyn nie piekł tak jak za pierwszym razem, gdy nabrała pełne usta, za to na języku i w żołądku pozostawił po sobie bardzo przyjemne wrażenie. I bezspornie przytępniał zarówno jej wrażliwość, jak i rozpalone nerwy. To było najlepsze, co ją w tym dniu spotkało, a więc uraczyła się łykiem trzecim.

— Powoli, malutka — Kris parsknął śmiechem, w jego głosie słyhać było ulgę. — To bardzo skuteczny środek!

— Sama mogę to stwierdzić — powiedziała, czując lekki zawrót głowy. — Jednak jest mi o niebo lepiej. Jestem spokojniejsza.

— Na to właśnie miałem nadzieję — odparł. Odebrał od niej butelkę, by tym razem samemu się z niej napić. — Przypuszczam, że nie powinniśmy pić tego na pusty żołądek, jednak sądzę, że jest ci to potrzebne. Do licha, po tym, co przeszliśmy, myślę, że i mnie też!

Wypiła tyle, że pozwoliło jej to uświadomić sobie obecność myśli Krisa, jego bliskość nie była już bolesna.

— Dziękuję.

— Nie ma za co.

Kiedy na zmianę pili z butelki, leżała nieruchomo, otoczona jego ramionami, czując się zupełnie wyzuta z sił. W kominku niebieskie i zielone ogniki pękały z trzaskiem pośród czerwonych i pomarańczowych płomieni. Poczowała rozgrzewające ciepło — co, kiedy brodziła w śniegu, uważała już za niemożliwe; odprężyła się — co, jak myślała, też nie było już więcej możliwe. Od ognia wiał zapach zawsze zielonego lasu. Chirra i Towarzysze zmieniali od czasu do czasu pozycję, szeleszcząc sianem, którym Kris wymościł ich zakątek. O bogowie, nieomalże wyrządziła im taką krzywdę! Dotknęła myślą Rolana na chwilę dostatecznie dłużej, by upewnić się, iż nic mu się nie stało. . .

Jego miłość i przebaczenie były tak głębokie, że łzy ponownie napłynęły jej do oczu.

— Hej — zwrócił jej łagodnie uwagę Kris. — Myślałem, że dogadaliśmy się, iż więcej nie będzie już tego.

Kiedy nic nie odpowiedziała, chwycił ją za brodę, podniósł do góry twarz i pocałował.

Miał to być pocałunek braterski. Jednak braterskich uczuć nie stało na długo.

— Jasne Niebiosa! — odetchnął zaskoczony, kiedy w końcu odsunęli się od siebie.

Talia ponownie wsparła się na jego ramieniu, czując się równie zaskoczona, jak i on swą żądzą, choć wiedziała, że to dość powszechne zachowanie po przeżytym wielkim napięciu nerwowym. W tej chwili nie był dla niej ani mentorem, ani nawet Heroldem — a jedynie przyjacielem, u którego szukała otuchy; wiedziała, że on jest tak samo świadomy jej potrzeb, jak ona jego. Tym razem to ona sięgnęła po niego.

Kiedy spotkały się ich rozchylone usta, łagodnie zsunął jej wełnianą koszulę poniżej pasa. Talię przebiegł dreszcz, gdy jego usta musnęły ją po karku, przesunęły się wzdłuż barków; on westchnął, gdy nieśmiało skubnęła go w płatek ucha. Ponieważ nie było osłony jej myśli, odbierali najdelikatniejsze odcienie odczuć, jakie dostarczały im ich zmysły. Kiedy głaskała go wzdłuż kręgosłupa dotknięciami lekkimi jak puch, było to dla niej tak samo przyjemne, jak dla niego; kiedy ona prężyła się, głośno wciągając powietrze, gdy odkrył na jej ciele szczególnie wrażliwe miejsce, on robił to samo, czując tę samą rozkosz.

W końcu stali się zbyt niecierpliwi od narastającego w nich pożądania, by dłużej zwlekać; wolno ułożył ją na kocach obok siebie, poddał się jej objęciom i w nią wszedł.

Był zupełnie nie przygotowany na kłujący ból, którym podzielili się tak samo jak przyjemnością. Wyszedłby z niej natychmiast, lecz ona gwałtownie przyłgnęła do niego i nie pozwoliła mu na to.

Spodziewała się bólu i potrafiła go ścierpieć. Nie przewidziała jedynie, że on powściągnie swe pragnienie, dopóki jej ból nie zelżeje, i będzie cierpliwie czekać, aż ona osiągnie rozkosz, zanim sam się nasyci.

Przewróciła się na bok, kiedy wyczerpany osunął się na legowisko i wtuliła się ponownie w kołyskę jego ramion. Skulili się razem w swym ciepłym gnieździe, wyczerpani, lecz zaspokojeni. Nie powodowani żadną pilną potrzebą, nie mieli ochoty na nic innego, jak tylko rozkoszować się tym, co przeżyli wspólnie. Bardzo długo ciszę zakłócał jedynie trzask ognia i odgłosy poruszania czwórki, która znajdowała się w kącie po drugiej stronie Stolicy.

Odwrócił głowę, by zajrzeć w jej ciemne oczy, rozszerzone z zadowolenia i senne.

— Dlaczego nie powiedziałaś mi, że jesteś dziewczicą? — zapytał miękko.

— Nie pytałeś — wymruczała. — A co, czy to takie ważne?

— Nie wydaje mi się, bym się kochał z tobą, jeśli bym o tym wiedział.

— Zatem tym bardziej należało ci o tym nie mówić — rozumowała logicznie. Przytuliła się do niego mocniej, z głową na jego piersi, ciaśniej otulając oboje kocami. — Ale cieszę się, że to byłeś ty.

— Dlaczego?

— Jednym z powodów jest to, że moje plotkarskie siostry z Kręgu miały rację: było o całe niebo przyjemniej, niż ponoć bywa za pierwszym razem.

— To ma być komplement? — zapytał rozweselony.

— Zgadza się.

Nagle coś mu przyszło do głowy.

— Chwileczkę, myślałem, że ty i Skif...

Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy od wielu tygodni udało mu się zmusić ją do uśmiechu.

— Właśnie tak mieliście wszyscy myśleć. To było coś okropnego, oboje mieliśmy wtedy tak strasznie dużo zajęć, które nas wyczerpywały, że zasypialiśmy, zanim na dobre się zaczęło.

Opowiedziała mu komiczną historię ich zniechęcającej przygody romantycznej zakończonej braterską przysięgą, popartą zawarciem więzi krwi, a nie pójściem do łóżka.

— Biedny Skif! I biedna Talia — roześmiał się. — Wiedzieliście, że gdyby to się wydało, zdręczyliby was docinkami, prawda? A więc, zwiedliście wszystkich.

— Mm... hmm... Biedny Skif... — ziewnęła — ofiara niezaspokojonej żądz.

Zapadała w sen w jego ramionach. Nie chciał jej budzić, ale wiedział, że nie może pozwolić jej spać.

— Zbudź się, śpiochu, jeśli nie chcesz powitać świtu z bólem głowy, lepiej coś zjedz i napij się czegoś prócz tego trunku z piekła rodem. Jeszcze by tego brakowało, byś rano czuła się chora. Po tak mocarnym napitku często ma się na jutro wrażenie, że już pewnie lepiej byłoby umrzeć. Teraz jest nam ciepło, lecz

ockniemy się w środku nocy, zziębnięci i zeszywniali, jeśli nie przygotujemy lepszych legowisk. Po tym, co przeszliśmy, nie chciałbym widzieć ciebie skostniałej na sopel lodu, z powodu braku odrobiny rozsądku.

Ziewnęła donośnie, lecz nie sprzeciwiła się. Wydobyli z juków czystą pościel i rozłożyli ją. Podczas gdy Kris mieszał chochlą mięso duszone w kociołku nad ogniem, Talia na nowo pościeliła ich gniazdo, wykorzystując do jego przykrycia wszystko, co znalazła pod ręką i co się do tego nadawało. Kris przyrządził gorący ziołowy napar, który wypili przy posiłku.

Kris podsycił ogień i natychmiast położyli się do łóża, przytulając się do siebie. Nie widzieli powodu, dla którego mieliby wracać do zwyczaju kładzenia się spać oddzielnie.

— Bardzo się cieszę, że to stało się teraz — szepnęła do niego, tuż przed zaśnięciem.

— A to dlaczego, ptaszyno?

— Dwojgu jest w łóżku dużo cieplej... a zaczyna być coraz zimniej.

Kris z przyjemnością stwierdził, że Talia, nie tak jak niektóre z jego kochanek, spała spokojnie i nie miała skłonności do ściągania kocy, co, w jego mniemaniu, najszybciej doprowadzało do rozpadania się związków całkowicie zadowolających pod innymi względami. Zauważył, że jej obecność napawa go dziwną otuchą i jest szczególnie dobrym antidotum na wycie wichury za ścianą.

Ocknął się raz, obudzony myślą Tantrisa, który wraz z Rolanem miał ochotę wyjść. Był niezwykle zadowolony, że ich schronienie posiadało sień, której zazwyczaj nie przewidywano w konstrukcji Stanic, bo dzięki temu mógł z biedą wprowadzić do niej jednego Towarzysza i chirra i zamknąć za nimi wewnętrzne drzwi przed otwarciem zewnętrznych. Gdyby wchodziło się wprost do izby mieszkalnej, jak to zwykle było, przy każdorazowym ich wypuszczaniu ulatywałyby większość nagromadzonego ciepła.

Wichura nie zelżała ani odrobinę i ciągle padał tak samo gęsty śnieg. Bezspornie nastał już dzień, lecz Kris nie potrafiłby nawet określić kierunku, gdzie znajdowało się słońce, a co dopiero jego wysokości nad horyzontem. Musiał wytężyć wszystkie siły, by drzwi nie wyrwały mu się z rąk, teraz rozumiał, dlaczego wierzchowce obudziły jego, a nie Talię. Nie zdjął z chirra ani postronków, ani wodzy, które teraz Towarzysze wykorzystały wychodząc na zewnątrz.

„Jeszcze jeden przykład wyższości chirra — pomyślał rozweselony. — Muliów nie da się nauczyć zachowania czystości w chacie”.

Stukanie kopyta o drzwi oznaczało ich powrót. Udało mu się utrzymać w rękach drzwi i zatrzasnąć je za nimi, jednak pomimo przechodzenia przez sień — najpierw ich wyjście a potem powrót — ubyło sporo ciepła z izby. Kris rozniecił ponownie ogień, lecz wpierw napełnił największy kociołek czystym śniegiem.

Upewnił się, że czworonogi ułożyły się wygodnie i z rozbawieniem zauważył, iż leżą blisko siebie, przy czym chirra znajduje się na zewnątrz a Towarzysze w środku.

— Jesteście zbyt sprytni — powiedział do Tantrisa i uśmiechnął się, odebrawszy wesołą odpowiedź.

— *A czy ty, mogąc wybierać, położyłbyś się na zewnątrz? One noszą na grzbiecie futro, bracie-w-duszy. . . my nie!*

Wdzięczny był Tantrisowi za jego swobodny ton. Wydawało się, że obydwaj Towarzysze przechodzą nad wydarzeniami minionej nocy do porządku dziennego, traktując je nie jak jakąś katastrofę, lecz jak jeszcze jedną przeszkodę, z którą trzeba się zmierzyć i pokonać. Poczł wstępującą w serce otuchę, gdyż spodziewał się, iż ich pomoc będzie mu potrzebna.

Zawiesił wypełniony do połowy topniejącym śniegiem kociołek nad ogniem, który ponownie podsycił, i powrócił do legowiska, które z każdą chwilą było coraz bardziej kuszące.

Kiedy wśliznął się pod koce obok Talii, spotkała go jeszcze jedna cudowna niespodzianka. Zamiast odsunąć się od niego, dziewczyna przyłgnęła mocno do jego zziębniętego ciała, tuląc go, póki się nie rozgrzał i nie przestał drżeć z zimna. „Nie ma — pomyślał zapadając w sen — lepszego dowodu prawdziwej przyjaźni!”

Przebudziwszy się już z własnej woli, ocenił, że upłynęło kilka marek na świecy — sądził, że było albo przedpołudnie, albo tuż po południu. Wydawało się, że nie było żadnego powodu, aby wstawać. Na zewnątrz wycie wiatrów nie straciło nic a nic ze swej dzikości.

— Szkoda, że ta Stanica nie ma okna — odezwał się na pół śpiący. — Nie wiadomo więc, czy śnieg jeszcze pada, czy nie.

— Nieprawda — Talia mruknęła mu do ucha zaspanym głosem.

Nie wiedział, że ona się już przebudziła.

— Co jest nieprawdą?

— Że niemożliwe jest stwierdzić, czy śnieg jeszcze pada. Posłuchaj, a usłyszysz, jak szeleści o dach i nawietrzne ściany. Ten dźwięk różni się od odgłosów wiatru, przypomina syk.

Kris zamienił się w słuch. Talia miała rację, na jęk wichury nakładało się ciche syczenie.

— Jak się tego nauczyłaś? — zainteresował się zaskoczony.

— To od spania na poddaszu. Strych na dworze w Grodzie nie miał okien, a tam właśnie spały wszystkie dzieci. Chcąc ubrać się odpowiednio do pogody, trzeba było nauczyć się rozpoznawać pogodę po dźwiękach. Dokąd idziesz?

— Skoro zbudziliśmy się, zamierzam rozniecić huczący ogień,

Nabrał pełne naręcze drewna ze stosu, który wcześniej ułożył wewnątrz, odsłonił spod popiołu żarzące się jeszcze węgle i wkrótce w palenisku buzowały płomienie. Jednak w izbie nadal było lodowato zimno; choć wylot komina opatrzone mądrze czapą, wichura wysysała ciepło z wnętrza Stancy. Zziębnięty Kris próbował rozpalić większy ogień. Kiedy ponownie się obok niej położył, Talia znów przylgnęła do niego swym ciałem.

— To już bezspornie przekracza zakres obowiązków — powiedział, gdy już przestał się trząść z zimna. — Dzięki.

— Proszę bardzo. Uważajmy to za odwdzięczenie się za minioną noc.

Udał, że jej nie rozumie.

— Jasne Niebiosa, ptaszyno, wciąż mnie czymś zaskakujesz! Nie miałem najmniejszego pojęcia, że pod tak nieskazitelną powłoką kryje się tak zmysłowa istota.

Przystąpiła do zabawy.

— A dlaczego miałyby być inaczej?

— Nie ulega wątpliwości, że nic a nic nie dałaś po sobie poznać i na pewno nie... powiedzmy, nie praktykowałaś w tej materii.

— Nie spotkałam nikogo, przy kim nie czułabym się skrepowana, jeśli nie liczyć Skifa, ale wydaje się, że nad tym związkim ciążyła kłątwa! — W jej głosie pojawił się ton smętnego rozbawienia. — I nie było to spowodowane brakiem zainteresowania z mojej strony. Nie opowiedziałam ci jeszcze o Rolanie.

— A cóż Rolan ma z tym do czynienia?

— Powiedziałaś ci, że on zawsze jest obecny gdzieś na dnie mojego mózgu, pamiętasz? To dlatego wiem zawsze, co on robi, i nie jestem w stanie przepędzić go ze swych myśli. — Gdy to mówiła, jej twarz zasmuciła się nieco, gdyż w tej chwili nie była w stanie odsunąć od siebie niczyich myśli.

— No więc? — przynaglił ją. — Dlaczego mogłabyś tego chcieć?

— Noce na Łące Towarzyszy bywają bardzo interesujące... a klacze jeszcze jedną rzecz mają wspólną z ludźmi, jeśli nie liczyć okresu ciąży. — Kiedy popatrzył na nią tępym wzrokiem, westchnęła i dokończyła: — One zawsze „moga”. Och, ty mój mądry mentorze.

— Dobry Boże, i skoro nie możesz go wypędzić ze swych myśli...

— Zgadza się, chodzi dokładnie o to samo, co ci przychodzi do twej sprośnej głowy.

— Doświadczenie z drugiej ręki?

— Coś w tym rodzaju.

Ułożył jej głowę wygodnie na ramieniu.

— Talio, przykro mi, że nie domyśliłem się, w jakim jesteś stanie, i tym bardziej że nie zrobiłem nic, by ci pomóc.

— Och... ja... — natychmiast stała się bardzo rzeczowa, kiedy wspomniał o burzy dręczących ją emocji. — O bogowie, Kris, co ja pocznę?

— My.

— Kto?

— My. Ty i ja, Talio, Tantris i Rolan. Nie jest to aż taka katastrofa, jak ci się wydaje. Zacznijmy od rzeczy łatwych. Po pierwsze: dowiedziałaś się czegoś, o czym nigdy nie zapomnisz. A teraz pozwól, że coś ci powiem, Osobisty Królowej. Jesteś tutaj po to, by zmierzyć się z kłopotami, na które najpewniej natkniesz się na Dworze, tyle że tutaj będą one konkretniejsze i prostsze. Naukę zaczynamy zawsze od tego, co jest najłatwiejsze, zamiast od razu skakać na głęboką wodę i tonąć. Weźmy na przykład kogoś, kto od dawna pielęgnował w sercu urazę. Widziałaś już taką osobę, czy zatem potrafiłabyś kogoś takiego rozpoznać ponownie?

Talia przypomniała sobie, co czuła, kiedy dziewczka wejrzała jej prosto w oczy, i zimny dreszcz, który po niej przebiegł.

— Tak — przytaknęła w końcu.

— Czy uważasz zatem, że poradziłabyś sobie z czymś takim?

— Może... Prawdopodobnie jednak potrzebna by mi była pomoc.

— Doskonale, przedtem odpowiedź brzmiałaby: „tak”. Teraz rozumiesz, że mogłabyś potrzebować czyjejś rady i wsparcia. Uczysz się, żółtodziobie. A teraz rzecz trudna: twój Dar wymknął się spod twojej władzy, lecz możemy okiełznać go ponownie. Skłonny jestem pokładać część winy w tym, że nigdy nie zostałam właściwie wyszkolona, a potrzebna ci była specjalna nauka, która zapobiegłaby sytuacji, kiedy twój Dar karmi się odczuwanymi przez ciebie emocjami. Nie jestem nawet pewny, czy ktoś to potrafi.

— Dlaczego to powiedziałaś?

— Bo nie przychodzi mi na myśl żaden Osobisty Królowej, który — od kiedy sięgnąć pamięcią — posiadałby tak potężny Dar jak ty. Nigdy nie słyszałem o empatii tak mocnej, że można by nią posługiwać się jak bronią. Talamir nie dysponował niczym takim, to pewne, ani przed nim Keighvin. Nie wiem nawet, czy jest taki Uzdrowiciel. Może Uzdrowiciel mógłby ciebie wyszkolić, lecz nie postawiłbym na to pieniędzy.

— Zatem, co... .

— Do licha, wykoncypujemy, jak to się robi, we czwórkę. Pierwsza sprawa: twe myśli są bez osłony, i najtrudniej ci przyjdzie się z tym uporać. Myślę jednak, że może uda się nam podejść do tego w inny sposób. Hej, Bajecznostopy... .

Tantris popatrzył na niego i parsknął.

— *Ślucham, panie wszechświata?*

— Nuże, kpij, nie żałuj sobie.

— *To ty zaczęłaś.*

— To poważną sprawą Pożeracza Siana. Potrafisz osłonić z zewnątrz jej myśli?

Tantris zmierzył oboje zamyślonym spojrzeniem. — *Tak* — odparł po długiej chwili. — *Jednak nie na długo.*

— Jeśli ty to potrafisz, to i Rolan. . .

— *Robił to.*

Kris wygiął jedną brew.

— Ha, powinienem to przewidzieć. Doskonale, wiem, że ja potrafię, wzmocniałem osłonę myśli dzieci, kiedy byłem nauczycielem. A więc, jeśli będziemy się zmieniać, ochronimy ją, póki ma do czynienia tylko z nami trzema?

— *Powiedziałbym, że tak* — Tantris zmierzył spojrzeniem drugiego Towarzysza. — *Rolan prosi, bym ci przekazał, że jesteśmy nawet w stanie podolać małym grupkom ludzi.*

— To lepiej niż myślałem. Świetnie. Ja zacznę pierwszy. Kiedy dam znak. . .

— *Zaczynam ja* — nadeszła pewna siebie odpowiedź. — *Cała przyjemność po mojej stronie, bracie-w-duszy.*

— Czy dotarło do ciebie jakieś echo? — Kris zwrócił się do Talii, otaczając jej myśli szczelną osłoną, jeszcze zanim skończył mówić.

— Ty. . . Och, bogowie!

Ulga na twarzy Talii była objawieniem. Aż do tej chwili nie miał pojęcia, w jakim napięciu żyła dziewczyna.

— Doskonale. A teraz. . . na razie zatroszczywszy się o to, zajmiemy się tą połową kłopotu, która jest niebezpieczna dla innych.

— Wysyłanie myśli. . .

— Jednak nie od razu. Jesteś zbyt wyczerpana, by wysłać myśl dalej, niż sięga koniec twego nosa, no chyba, że znów popełnię błąd i wystraszę cię śmiertelnie. Zatem to może poczekać. Jestem głodny i mam ochotę na kąpiel.

Choć często korzystali z łaźni w wiosce Rozdroża, przedkładając dodającą siłą kąpiel nad sen, na który niezbyt wiele zostawało im czasu, to jednak upłynęło już sporo ponad dzień, od kiedy wymyli się do czysta. Ponieważ zaś oboje byli bardzo wybredni w tym względzie, zaczynało im to doskwierać.

— Zatem, ty pierwszy. Ja chcę wyczyścić czworonogi i umyć się dopiero potem. Zaczynam czuć je już teraz i jeśli ich dobrze nie potraktuję zgrzebłem, będzie tutaj cuchnąć. Mogę się zająć nimi wszystkimi, nie tylko Rolanem. Nie ma potrzeby byśmy oboje się przy tym ubrudzili.

Kris pociągnął nosem, w powietrzu unosiła się delikatna woń mokrej wełny i końskiego potu.

— Nie musisz zajmować się całą czwórką, ale skoro nalegasz. To bolesny cios zadany mej naturze, tak pełnej samopobłażania. Jeśli zamierzasz być tak cnotliwa i pracować, będę musiał i dla siebie znaleźć coś do roboty — westchnął ciężko, robiąc do niej smutne oczy.

Wykrzywiła twarz w grymasie, czując się sobą po raz pierwszy od wielu tygodni. Ubrała się, narzuciła opończę i złapała postronek pierwszej chirra.

Reszta dnia upłynęła jej na pracy w pocie czoła — na sprzątanii i naprawianiu tego, co zostało zaniedbane, gdy byli zajęci ofiarami plagi. Talia była bardzo

szczęśliwa, z niechęcią myślała o stawieniu czoła swoim problemom teraz, kiedy władały nią tak nieokiełznane uczucia. Po obiedzie Kris zabrał się do sprawdzania stanu ich zapasów.

Naprzeciw wejścia do Stanicy znajdowały się niskie drzwi, które wiodły do szopy. To, co tam się znajdowało, przekroczyło najśmielsze marzenia Krisa, były tam nawet nie znane mu słoje i baryłki. Trochę tego, co znalazł, przyniósł do Stanicy.

W słojach był miód i oliwa.

— Ktoś z okolicy musiał to tutaj zostawić już po nadejściu zimy — powiedział zaskoczony Kris. — Niebezpiecznie i nierozsądnie byłoby zostawiać je tutaj podczas gorącego lata, zepsułyby się, albo zwałyby się dzikie zwierzęta. To dlatego zazwyczaj trudno je znaleźć w spiżarni. A co jest w baryłce?

— Oliwę będzie można nalać do lampek. — Talia otworzyła baryłkę, lecz były w niej jakby suszone fasolki.

Widok ich wprowadził Krisa w zakłopotanie.

— A to dlaczego... — zaczął, gdy Talia przypomniała sobie nagle, co usłyszała od Sherrill.

— Kiełki! — wykrzyknęła — By uchronić nas przed zimową chorobą, jeśli byśmy utknęli tutaj na dłużej i zapas owoców by się wyczerpał. Powinniśmy namoczyć je w wodzie, a gdy ukażą się kiełki, zjeść. Tak postępuje się tam, skąd pochodzą Sherrill i Keren.

Kris spojrzał na nią trzeźwo.

— I my możemy ich potrzebować, nawet jeśli wystarczy nam owoców. Suszone owoce nie chronią tak skutecznie przed zimową chorobą jak świeże. — Dokonał szybkich obliczeń. — Myślę, że przetrzymamy około miesiąca — zdecydował, kierując się własnym doświadczeniem, gdyż nieraz musiał przeżyć, odcięty przez zasy śniegu od świata. — A sądząc po sile tej śnieżnej burzy możliwe, że właśnie tyle przyjdzie nam tutaj spędzić. Wciąż dmie srodze i wygląd dzisiejszego nieba wydaje się wskazywać, że nie należy spodziewać się, by wkrótce miała popuścić.

— Czy jednak wystarczy nam paszy? Tantris i Rolan są strasznymi żarłokami, a my nie możemy karmić ich korą i gałązkami, tak jak chirra, jeśli wyczerpie się nam zapas.

— Pasza i bele siana stoją oparte po przeciwnej stronie szopy — uspokoił ją Kris. — Wygląda to niemal tak, jakby ten, kto opatrywał tę Stanicę, spodziewał się tak srogiej burzy. Wydaje się to osobliwe, zbyt mało jednak wiem o tej okolicy, by móc powiedzieć, czy taka pogoda o tej porze roku to rzecz tutaj zwyczajna, czy nie. Dirk wiedziałby na ten temat więcej ode mnie.

— Jakikolwiek by były tego powody, mamy szczęście, że zapasy są tak

obfite.

Zajęli się kolacją, a potem Kris powrócił do harfy. Spojrzawszy badawczo na Talię, rozpoczął pieśń, którą śpiewała na biesiadzie Heroldów. Talia, biorąc to za zaproszenie, ułożyła się obok niego i zaczęła cicho śpiewać przy wtórze cichego murmuranda Krisa. Jego głos, choć nie dorównywał głosowi Dirka, miał przyjemne, melodyjne brzmienie. Za ich plecami Towarzysze i chirra czujnie nastawiły uszy, okazując wyraźne zainteresowanie.

Raptem dołączyły do nich dwa obce głosy, nucąc bez słów, przedziwnym dyszkantem. Talia i Kris poderwali się na nogi przestraszeni, przerywając pieśń. Obce głosy zamilkły wraz z muzyką.

Zaintrygowani zaczęli ponownie, tym razem wpatrując się pilnie w pogrążoną w cieniu stronę Stanicy. Po chwili dyszkant podjął ponownie przerwana pieśń.

— Ha, oto co mnie spotyka za natrząsanie się z opowieści Dirka i Harthenów!
— wykrzyknął zaskoczony Kris. — Chirra rzeczywiście potrafią śpiewać!

Rolan i Tantris patrzyli na swych czworonożnych towarzyszy ze stajni z wyrazem ironicznego zdumienia. Bezsposornie i oni także się tego nie spodziewali. Chirra, obojętne na wszystko, co je otaczało, prócz muzyki, leżały z zamkniętymi oczami, unosząc wysoko głowy na wyciągniętych w górę jak struny szyjach. Gardziele im drgały i to z nich, nie było co do tego wątpliwości, wydobywał się dyszkant.

— Nie przejmuj się. Sama bym w to nie uwierzyła — pocieszyła go Talia. — Swym wyglądem bardzo przypominają owce, a te przecież nie śpiewają. Najpewniej niezbyt wielu ludzi śpiewało lub grało w pobliżu nich i dlatego niewielu słyszało ich śpiew. My nie robiliśmy tego nigdy, dotąd zawsze przebywały w szopach.

Uszczęśliwione chirra przyłączały się niemal do każdej piosenki, lecz szczególną przyjemność zdawały się im sprawiać melodie skoczniejsze. Najbardziej zdumiewający był — pominąwszy samą umiejętność śpiewania — ich styl. Nie trzymały się ściśle melodii, lecz zawodziły harmonicznym dyszkantem, i to zazwyczaj wyższym głosem. Wsłuchiwały się przez jeden czy dwa takty i dopiero wówczas się przyłączały. Choć harmonia ich głosów była bardzo prosta, to jednak zawsze dokładnie uderzały w ton. Talia знаła mnóstwo pieśniarzy, którzy nie mogliby poszczycić się taką umiejętnością. Muzykowali długo, oczarowani przez ten nieludzki chór, zapomniawszy o dręczących ich smutkach. Nie przerywali, aż znużone palce Krisa odmówiły mu posłuszeństwa, niezdolne do dalszej gry, choć on bardzo tego pragnął. Jednak po kilkakrotnym uderzeniu w fałszywy ton, co spowodowało, że chirra stuliły uszy i obrzuciły go spojrzeniem jak para podstarzałych kobiet, zmuszony był przyznać, iż najwyższy już czas zezwolić dłoniom na odpoczynek.

— Skoro tak się rzeczy mają...
— Co zdecydowałem? To będzie dla ciebie raczej wyczerpujące, ptaszyno...
— A czyżby ostatnie tygodnie nie były? — odparła gorzko.
— Jednak tym razem będzie to okrutniejsze. Wyobrażam to sobie tak: dwóch z nas — a zwłaszcza Rolan — odsłoni swe myśli i będziemy obserwować cię jak kot mysią dziurę. Na najmniejszą oznakę, że cokolwiek przesyłasz do naszych umysłów, od razu naskoczemy na ciebie. Idę o zakład, że po kilku dniach nie będziesz w stanie nic a nic przesyłać bezwiednie!
— To nie brzmi przyjemnie — powiedziała wolno — lecz może będzie skuteczne.
— A potem, gdy już będziesz potrafiła określić, kiedy twe myśli wymykają się, zaczniemy ćwiczyć, byś mogła je świadomie okiełznać. Następnie wzmocnimy nad nimi kontrolę i w końcu przywrócimy ci utracone osłony.
— Jeśli myślisz, że potrafię...
— Do kroćset, wiem, że potrafisz! — ofuknął ją. — Lecz nie zaczniemy dziś w nocy. Jeśli jesteś tak znużona jak ja — a jeśli nie bardziej, to jesteś wytrzymałsza ode mnie — to będziesz do niczego, nie mówiąc już o poskramianiu czegoś tak delikatnego jak narowisty Dar.
Kiedy to mówił, poczuł, że jego umysł jest już wyczerpany podtrzymywaniem osłony dookoła jej mózgu. W chwili, gdy zaczynał się już załamywać, poczuł, jak jego miejsce zajmuje Tantris.
— *Moja kolej, bracie* — nadpłynęła mocna myśl. Westchnął i wyraził niemo gorącą wdzięczność.

Talia przygotowała wszystko na rano, a Kris zatroszczył się o Towarzyszy. Rozebrała się i leniwie sięgała po wełnianą koszulę, w której kładła się na spoczynek, kiedy poczuła dłoń Krisa łapiącą ją za nadgarstek.

Kris zbliżył się do niej po kryjomu i teraz schwycił jej drugi nadgarstek, przygarniając ją mocno do piersi.

— Czy na pewno jesteś już taka śpiąca? — Jego szept wywołał cudowny dreszcz na jej plecach.

— Nie — odparła, odrzucając do tyłu głowę, gdy jego usta dotknęły jej karku i przesunęły się do zagłębienia poniżej ucha.

— To świetnie. — Pociągnął ją za sobą na koce, które rozłożyła przed paleńskim, tuż obok ognia. Położył się obok niej tak, że znalazła się między nim a kominkiem, czując się odprężona po raz pierwszy od czasu, gdy Elspeth została Wybrana.

Objął ją jedną ręką, a drugą błędził wzdłuż niewidocznych ścieżek na ciele. Talia czuła jakby tysiące mrówek zaczęło przebiegać po jej skórze. Jej dłonie, na poły instynktownie, odpowiedziały na jego pieszczoty; w pierwszej chwili nie-

śmiało, z wahaniem, a potem z rosnącą pewnością siebie. Każdy cal jej skóry stawał się coraz to wrażliwszy. Mruczała z rozkoszy, co rusz zaskoczona tym, co wyczyniały jego ręce. W chwili, gdy poczuł jej rozgorączkowanie, przesunął swe łapczywe usta i Talia poznała, jak to jest, gdy w pełni przebudzi się pożądanie.

Ucząc się od niego, poszła za jego przykładem, kiedy to rozpałał w niej gorączkę, to pozwalał nieco ochłonać, po to jedynie, by znów rozognić w niej zmysły. W końcu, gdy była już pewna, że żadne z nich dłużej już nie zdierży, odnalazł jej usta i połączył się z nią.

Ból był drobnostką w porównaniu z tym, co wspólnie poczuli.

Gdy w końcu Kris uwolnił się od niej, spędzili długą, pełną uniesienia chwilę wtuleni i wciąż sobie bardzo bliscy. Uniósł się, podał jej niemal zapomnianą wełnianą koszulę i sam się ubrał. Talia leniwie zebrała koce, poprawiła legowisko i skuliła się w nim, czując się całkowicie zaspokojona. W tym czasie Kris dorzucił do ognia.

— Ten twój Dar nie zawsze jest taki zły — odezwał się w końcu. — Jeślibyś kiedykolwiek zdecydowała się wybrać partnera na całe życie, myślę, że bym mu zazdrościł. Teraz rozumiem, co to znaczy, gdy powiadają byś ożenił się lub kochał z Uzdrowicielką. . . zwłaszcza jeśli wszystkie mają taki sam Dar Empatii jak ty.

— Och? — nastawiła uszu z zainteresowaniem. — A co o tym powiadają?

— Że nie spędzisz z nią wiele czasu, ponieważ często wzywa ją obowiązek, lecz wspólne chwile wynagradzają częstą nieobecność. To samo odnosi się oczywiście do Uzdrowicieli.

Chciała otulić ich lepiej kocami i wówczas Kris zauważył coś dziwnego na jej ręce. Ponownie pochwyił jej nadgarstek i obrócił tak, by jej dłoń oświetliło światło przygasającego ognia. Na widok tego, co zobaczył, na jego czole pojawiła się niewielka zmarszczka.

Jej dłoń zniekształcała głęboka, niemal okrągła blizna.

— To — odpowiedziała cicho na milczące pytanie — z tego powodu tak długo obawiałam się mężczyzn i dlatego nie ufam tym, którzy są bardzo przystojni i piękni. Mój brat Justus, o twarzy niewinnego, złotowłosego aniołka, lecz o sercu demona, zrobił to, gdy miałam dziewięć lat.

— Dlaczego? — W jego głosie słyhać było przerażenie.

— Chciał. . . nie wiem, czego chciał, może miał ochotę po prostu wyrządzić mi krzywdę. Nienawidził wszystkiego, co wymykało mu się spod władzy. Zazwyczaj zadawał ile mógł bólu zwierzętom gospodarskim, za każdym razem, gdy trzeba było przy nich cokolwiek zrobić. Topił owce, gdy trzeba było oczyścić je z robactwa, straszliwie kaleczył przy strzyżeniu wełny. W ujeżdżanych przez niego koniach nie zostawało ani krzty ducha. Wydaje mi się, że dręczyło go, iż nie mógł uciec od nudy życia w Grodzie, którego nie mógł zniszczyć. Nie mógł mnie zmusić, bym przestała czytać i marzyć. Pewnego dnia rozkazał mi utopić worek z kociakami. Potargałam go na strzępy, by mogły uciec. Jestem pewna, że

wiedział, iż tak właśnie postąpię. Wykręcił mi rękę i przewrócił na ziemię, przydepnął nadgarstek i przypalił mi dłoń rozpalonym pogrzebaczem. Myślę, że ten jedyny raz przesadził w swych zamiarach. Wydaje mi się, że nie zamierzał przypalić mnie aż tak bardzo, a przynajmniej uświadomił to sobie, zobaczywszy, co uczynił. O bogowie, przenigdy nie zapomnę jego twarzy, w chwili gdy mnie przypiekał. — Talia zadrżała i Kris przytulił ją mocniej do siebie. — Wspomnienie tej ohydnej radości nawiedzało mnie jeszcze podczas drugiego roku w Kolegium. Rodzina słyszała mój krzyk, jednak nikt nie pośpieszył mi na pomoc, bo wiedzieli, że Justus ma wyznaczyć mi pracę, i wyobrazili sobie, iż oto spotyka mnie kara za opieszałość. Kiedy nie milkłam, pojawiła się jedna z młodszych żon, zaciekawiona, co się dzieje, ale to już było po tym, jak brat zobaczył, jaką wyrządził mi krzywdę i odrzucił pogrzebacz. Powiedział Keldar, Pierwszej Żonie, że ukarał mnie za nieposłuszeństwo, a wtedy ja chwyciłam za rozpalony pogrzebacz, by mu oddać. Nie musiał nawet wyjaśniać, dlaczego poparzona jest tylko dłoń, a nie palce. Uwierzyli jemu, oczywiście, a nie mnie!

— Bogowie! — Krisowi zrobiło się niedobrze, teraz rozumiał nieco lepiej, dlaczego nie chciała się mu zwierzać.

— Od tamtej chwili upłynęło bardzo dużo czasu. Niemal uporałam się już z tym wspomnieniem. Myślę, że gdyby żył, z takim samym okrucieństwem odnosiłby się do swej żony i dzieci... No cóż, tak nie jest. Udało mu się dać się zabić jakiś rok albo dwa po tym, jak zostałam Wybrana, podczas najazdu, gdy chciał udowodnić, że jest mężniejszy od wszystkich dookoła. A Keltev, który zaczynał bardzo go przypominać, dostał — zdaje się — nauczkę, a więc... — wzruszyła ramionami.

— To ten, który zwykł natrzęsać się z ciebie, że chcesz zostać Heroldem — Keltev? Teraz wiem, dlaczego tak długo lekceważyłaś Błękitnych. Masz doświadczenie, po Justusie oni musieli wydawać się...

— Biorąc pod uwagę fizyczne tortury, byli amatorami. Jednak zadawanie cierpień psychicznych szło im całkiem zręcznie. Od mojego rodzeństwa nauczyłam się jednego: jeśli okażesz dręczycielom, że swymi działaniami wyrządzili ci krzywdę, sprawisz im tym przyjemność i wówczas stają się tylko gorsi. A jak miałam się przekonać, czy to mnie dadzą wiarę?

— Och, Talio... — Jeszcze mocniej przycisnął ją do piersi. — Biedactwo.

— Wcale nie było tak źle — powiedziała cicho. — I dzięki temu teraz jestem mądrzejsza. Żyję w otoczeniu ludzi, których kochani. Mogę ufać moim... kolegom z roku, moim nauczycielom... a teraz... — podniosła na niego swój nieco nieśmiały wzrok — ... tobie i Dirkowi.

— I każdemu, kto zasiada w Kręgu, ptaszyno — dodał, delikatnie całując ją w czoło. — Jest mi strasznie przykro, że ci nie ufałem. Jednak naprawimy ten błąd. Naprawimy.

Potwierdzeniem tych słów było ciche westchnienie.

Ogień przygasł i zamienił się w rozżarzone gównie. Kris wpatrywał się w nie nieruchomym wzrokiem, pozwalając błądzić swym myślom, sen jeszcze nie zaczął go morzyć.

— Czy wiesz, że byłoby wam razem z Dirkiem cudownie — zamyślił się. — Wasze umysły działają niemal w ten sam sposób.

— Dlaczego to mówisz?

— Nie robiłaś nic, by oszczędzić sobie bólu, lecz odważyłaś się narazić na gniew brata, aby ocalić kocięta. To tak bardzo podobne do Dirka, że aż zabawne. Skrzywdzisz go... przyjmie to na siebie i ukryje w sobie, lecz spróbuj skrzywdzić przyjaciela, albo istotę bezbronną — o, bogowie! Poświęci się, byle przyjść z pomocą, lub wyrwie sobie serce z rozpacz, jeśli nic nie będzie mógł zrobić. Jesteście tacy sami. Podejrzewam, że będziecie dla siebie czymś więcej niż zwykłymi przyjaciółmi.

— Naprawdę tak myślisz? — zapytała nieco zbyt skwapliwie.

Wszystkie kawałeczki mozaiki wskoczyły na swoje miejsce, a podejrzenia zamieniły się w pewność.

— A to ci dopiero, Talio — zaśmiał się. — Coś mi się zdaje, że mój przyjaciel lekko zawrócił ci w głowie!

Talia poczuła, jak policzek, który opiera o jego ramię, zaczyna być coraz cieplejszy.

— Troszeczkę — przyznała wiedząc, że wypieranie się nie zda się na nic.

— Tylko troszeczkę?

— No, nieco bardziej. — Jej odpowiedź była niemal niesłyszalna.

— Naprawdę?

— Ja... ja nie wiem. To zależy przede wszystkim od niego — przyznała się, tym razem oblana głębokim rumieńcem. — Obawiam się, że przy sprzyjających okolicznościach mogłoby do tego dojść.

— Ale teraz?

Westchnęła.

— Ja nie wiem, Krisie, po prostu nie wiem. Dlaczego zaprzątam sobie głowę nadziejami? Nie wiem, co on czuje... Czy możliwe, by choć odrobinę był mną zainteresowany...

— Ty może tego nie dostrzegasz, ale mnie się zdaje, że Dirk już jest zainteresowany. — Kris przypomniał sobie zachowanie przyjaciela tuż przed ich wyjazdem. Paplał bez przerwy o swojej zazdrości, że to u niego Talia została czeladnikiem, i wciąż rozwodził się nad jej cudownym głosem. Od kiedy ta ładaczka z Dworu wyrządziła mu taką krzywdę, zazwyczaj niewiele uwagi poświęcał kobietom, jedynie sporadycznie pozwalając sobie na sprośne uwagi. A potem wspo-

mniał, iż dobrze by było, gdyby ćwiczyli razem i stali się czymś w rodzaju trio. Święte Gwiazdy, nigdy nie proponował wspólnych ćwiczeń, nawet z Jadusem.

— Po pierwsze — wyjaśnił powoli Kris — chce, byśmy stale razem grywali. To znaczy: byśmy to my grali, a ty śpiewała.

— On to potrafi? — zaciekała się przyjemnie zaskoczona. — Potrafi grać?

— Tak samo dobrze jak ja, albo lepiej. Ponieważ mój głos nie jest zbyt piękny, w przeciwieństwie do jego, pozwala mi grać. W drodze muzykujemy wspólnie bardzo często, lecz poza mną niewielu z Kręgu wie, że on to potrafi.

— A mówił, że to ja jestem pełna niespodzianek!

— Och, to prawda — błędząc myślami, gładził ją po włosach. O Panie Światła, oni byli jakby stworzeni dla siebie. W niewielkim stopniu odkrywali swoje prawdziwe oblicza, mieli obydwójce skomplikowaną osobowość i wiedział, że mimo wszystko nie wie o nich tak wielu rzeczy.

Zaśmiała się cicho.

— Co jest tak zabawne?

— Jasne Niebiosa, ledwie ośmielałam się myśleć, co by to było, gdybyś znalazła się w ramionach człowieka, którego byś kochała naprawdę! Lepiej, by miał on mocne serce, bo mógłby życiem przypłacić takie doświadczenie!

— Krisie! — obruszyła się. — Mówisz tak, jakbym była pajęczycą, która pożera swego partnera!

Rozczochrał jej włosy.

— Może lepiej by było, byście razem z Dirkiem stworzyli parę. Nie znam silniejszego człowieka od niego.

— Gadaj tak dalej — w jej głosie zabrzmiała ostrzegawcza nutka — a nasypię ci śniegu za kołnierz, kiedy zaśniesz.

— O, a przy tym okrutna. Przemyślawszy to, dochodzę do wniosku, że powinienem go przed tobą ostrzec.

— Zrób to, a po powrocie pierwsze kroki skieruję do Nessy, wyjawię jej twoją wieczną namiętność do niej, tłumacząc, że nie możesz tego uczynić osobiście z powodu wielkiej nieśmiałości.

— Nie dość, że okrutna, to i występna!

— W samoobronie — zripostowała.

— Bezecny potwór — odparł i pociągnął kosmyk jej włosów, tak że opadł jej na oczy. — Wiedz, że nie wyobrażam sobie, bym z którąkolwiek z osób, jakie przychodzą mi do głowy, z wyjątkiem ciebie i Dirka, zdzierzył w jednej izbie tak długo, jak się zanosz, że będziemy tkwić tutaj.

Talia spoważniała.

— Czy rzeczywiście może to trwać aż tyle czasu?

— Jeśli śnieg wkrótce nie przestanie padać, możemy tutaj siedzieć i przez miesiąc. Stanica jest ukryta w dolinie i ochraniają ją drzewa. Nie jesteśmy wystawieni na najgorsze; wcześniej próbowałam wychynąć pomiędzy drzew —

to jest niemożliwe. Miejscami śnieg osiadł w zaspach dorównujących wysokością chirra. Nawet jeśli śnieżycy ucichnie, będziemy musieli czekać aż Strażnicy Dróg przetrą szlaki.

— Skąd będą wiedzieć, że tutaj jesteśmy?

— Powiedziałem jednemu z Uzdrowicieli, temu, który wyglądem przypominał niedźwiedzia — wydaje mi się, że miał na imię Loris — gdzie zamierzamy się zaszyć. Ale, ptaszyno, może to tym lepiej dla nas. Niewykluczone, że będziemy potrzebować aż tyle czasu, by ponownie poskromić twój Dar.

— To... to prawda — zgodziła się. — Och, Krisie, czy nam się to uda, czy ty naprawdę w to wierzysz?

Z zadowoleniem zauważył, że powiedziała „my”, tym samym przestała już myśleć o samodzielnym radzeniu sobie ze swoimi kłopotami.

— Nie tylko ja tak myślę, ale też i Tantris, i Rolan. Nie zamierzasz się chyba z nimi sprzeczać, prawda?

— Nie... tak sędzę.

— Czy ja słyszę jakieś wahania? Żadnych wątpliwości, przecież to przede wszystkim one są przyczyną naszych trosk. Doprowadzimy do tego, że zapanujesz nad sobą. Może żaden ze mnie Kyril albo Ylsa, ale jestem nauczycielem posługiwania się Darem i wiem, co robię.

— Ale...

— Już ci powiedziałem, żadnych „ale”! Talio, uwierz w siebie i we mnie. Oto, co jest teraz najśłabszą stroną twego Daru.

Nic na to nie odpowiedziała. Zamyślonym wzrokiem wpatrywała się w ogień, póki powieki nie zaczęły jej ciążyć i w końcu zamknęły się, a powolny, równomierny oddech powiedział Krisowi, że zapadła w sen.

On dużo dłużej od niej leżał z otwartymi oczami, zmagając się z samym sobą, walcząc, by odrzucić bezstronność Herolda i uwierzyć w nią całym sercem. Bo porażka byłaby równoznaczna z niechybną zgubą jej i, co bardzo prawdopodobne, razem z nią i jego, ponieważ na pierwszą oznakę niewiary z jego strony, rozpacz i poczucie zawodu obróciłyby jej rozszalały Dar przeciwko im obojgu. Kris nie miał cienia wątpliwości, czym by się to wtedy zakończyło.

ÓSMY

Przez rozdieraną burzą puszcze Kris ścigał lodową zjawę, która była to wilkiem, to wiatrem, to znów jakimś piekielnym połączeniem obu. Istota zmierzyła go wściekłym spojrzeniem rzuconym przez ramię, poprzez śnieżne, na poły zacierające jego postać kurzawy i obnażyło kły jak sople lodu. Czuł bijące od niej chłód i zło. Przebiegł go dreszcz, nie mógł opanować roztrzęsionych rąk, choć starał się uspokoić dłonie, zaciskając je kurczowo na broni. . .

Zaskoczony opuścił oczy i stwierdził, że ściska swój łuk z nasadzoną na cięciwę, gotową do wypuszczenia strzałą. Uciekająca przed nim bestia warknęła, roztopiła się w wirze powietrza zmieszanego z mokrym śniegiem, z którego wyzierały jedynie piekielne, czarne oczy, by natychmiast przeistoczyć się ponownie — w śnieżny obłok, skradający się lisimi susami. Ujrzał ją, raz i drugi, lecz zawsze był to dla niego nieuchwytny cel.

Gdzieś z przodu znajdowała się Talia. Poprzez zawrodość wichury i wycie tego ni to wiatru, ni to wilka słyszał jej płacz. Spojrzawszy na ziemię widział pozostawione przez nią ślady, jednak nie mógł jej dojrzeć spoza zasłony wirującego dookoła śniegu. Wtedy uświadomił sobie, że zjawy idzie jej tropem. . .

Przyspieszył kroku, lecz wiatr stanął z nim do walki, ciskając sztyletami z lodu, oślepiając rojami śnieżnych płatków.

Umykająca przed nim istota zawyła przeciągle, tryumfalnie, tonem, z którego przebijał nienasycony głód. Oddalała się od Krisa i była od niego zwinniejsza. Dopadnie Talii, zanim ona znajdzie się w jego zasięgu. Próbował ostrzec ją, krzyżąc. . . I obudził się przestraszony. Wiatr na dworze jęczał jak obłąkane monstrum. Aż podskoczył, gdy Talia dotknęła jego ramienia.

— Wybacz — powiedziała. — Miałeś zły sen.

Potrząsając głową, starał się przepłoszyć resztki sennej mary.

— O Panie! Coś mi się widzi, że tak. Czy obudziłem cię?

— Właściwie, nie. Nie spałam zbyt mocno.

Próbował ułożyć się ponownie do snu i stwierdził, że jest to niemożliwe. Nieokreślone poczucie niepokoju mocno ujęło go w swą garść. Nie miało to żadnego związku z kłopotami dręczącymi Talię. Szybka wymiana myśli z Tantristem potwierdziła tylko, że nie należy winić jej za to.

— Kris, czy nie sądzisz, że lepiej by było przenieść zapasy? — Głos Talii był miękki i wyczuwało się w nim wahanie.

— To niezły pomysł — odpowiedział. Intuicja momentalnie podszeptała mu, że to właśnie z tym w jakiś sposób związany jest jego niepokój.

— Dlaczego? Co ci podsunęło tę myśl?

— Wciąż i wciąż o tym śniłam, tyle że nie mogłam niczego przenieść, bo wszystko było dla mnie zbyt ciężkie, a ty nie pomagałeś. Stałeś i tylko wpatrywałeś się we mnie.

— Ha, teraz nie będę cię tylko mierzył spojrzeniem — zaczął wyswobadzać się spod koców. — Nie wiem dlaczego, lecz coś mi mówi, że będzie lepiej, jeśli postąpimy tak jak ty we śnie.

Przenieśli wszystkie znajdujące się na tyłach Stanicy zapasy i ułożyli po obu stronach drzwi wejściowych. Kiedy pracowali, uczucie niepokoju wcale się nie zmniejszyło, przeciwnie — nagliło ich do coraz większego wysiłku, tak jakby mieli na to coraz mniej czasu. To była ciężka praca w przejmującym zimnie, do utraty tchu. Przerzucali nieporęczne bele siana i słomy, brodząc w śniegu, jednak nie spoczęli, aż ostatnia słomka i snopek nie znalazły się na nowym miejscu.

Następnie, dopóki światło dnia pozwalało cokolwiek zobaczyć, zbierali suche drwa. Kris poczuł się zadowolony dopiero, gdy wyzbierali otoczenie do ostatniego kawałeczka, który można było jeszcze odnaleźć, bo nie tonął głęboko w śniegu. Nie było tego zbyt wiele, jednak wystarczało, by przetrzymać śnieżycę. Potem, kiedy burza ucichnie, jeśli by nie mogli dotrzeć do zeschniętego drwa, można było ściąć jedno z otaczających Stanicę, wiecznie zielonych drzew, pociąć je na żywiczne szczapy, które, pomimo tego że świeże, i tak by się paliły.

Jednak nawet powrót do chaty nie położył kresu ich trudom, nie spoczęli — kierowani intuicją, niby to na przekór zdrowemu rozsądkowi — i przenieśli wszystkie zapasy ze służącej za spiżarnię szopy do wnętrza Stanicy. W izbie zrobiło się bardzo ciasno, jednak póki zamierzali spędzać w niej czas we względnym bezruchu, dało się jakoś wytrzymać.

Kiedy uporali się ze wszystkim, byli tak zziębnięci i znużeni, jak podczas pierwszej spędzonej tutaj nocy. Trzymali w dłoniach misy pełne duszonego mięsa i siedzieli skuleni przed paleniskiem, zbyt wyczerpani, by zamienić choć słowo. Wyjąca za ścianą wichura zdawała się wnikać im do mózgów, paraliżując, ziębiąc do szpiku kości, wymiatając do czysta. Przytulili się do siebie w łożu, odrętwieni, póki nie zmorzył ich sen.

Następnego dnia rano wiatr nagle przybrał na sile, od czego zaczęły dygotać ściany. Obudzili się w tej samej chwili, przerażeni, nasłuchując ze zgrozą dobiegających z zewnątrz odgłosów furii. Teraz Kris cieszył się niezmiernie, że przenieśli wszystko na stronę zawietrzną Stanicy, tam gdzie był łatwy dostęp.

— Dobrze, że nie siedzimy pod strzechą, jak to było w naszej poprzedniej Stanicy — wyszeptała Talia, trzęsąc się i tuląc do niego, najwyraźniej pod wpływem

przeraźliwego wycia wichury na zewnątrz. — Trzcina dawno zostałaby porwana na strzępy i uleciałaby z wiatrem.

Kris kiwnął głową z roztargnieniem, zasłuchany w odgłosy burzy, która wgryzała się w ściany, jakby z zamiarem wykurzenia ich ze schronienia. Był na poły przerażony, na poły zafascynowany. Wichura najwyraźniej urosła do legendarnych rozmiarów; nic co przeżył, ani co przeczytał, nie przygotowało go na zmierzenie się z taką potęgą. Do Stanicy zaczęło ponownie zakradać się zimno. Ciepło uciekało wraz z wiatrem.

— Rozniecę ogień i będzie lepiej, jeśli jedno z nas będzie przy nim czuwać. Talio, trzeba utworzyć wokoło nas, z trzech stron osłonę z paszy i zapasów, która oddzieli nas od zimnej, kamiennej ściany. Musi w niej być miejsce dla naszych czworonogów; jeśli ochłodzi się jeszcze bardziej, także będą musiały jakoś zbliżyć się do ognia.

Talia wykonała jego polecenie i utworzyła dookoła nich prawdziwe gniazdo, a Kris w tym czasie odsłonił żarzące się głownie i ponownie rozniecił ogień, a ujrzawszy warstewkę lodu na czajniku z wodą, stwierdził z ulgą, że zrobił to w samą porę.

Wśliznęli się ponownie do swojego legowiska i leżeli przytuleni, by dodatkowo ogrzewać siebie nawzajem, wpatrzeni w ogień, jakby zaczarowani przez tańczące płomienie i zawodzenie wiatru. Wydawało się, jakby ich umysły zrobiły się za ciasne dla myśli porywanych lodowatym wiatrem.

Z tego transu wyrwał ich okropny trzask. Rozległ się taki dźwięk, jakby jakiś legendarny olbrzym zbliżał się do Stanicy, łamiąc drzewa po drodze. Hałas podziałał na nich paralizująco, zamarli ze strachu jak króliki. I tak nie było dokąd uciec. Jeśliby coś zburzyło Stanicę, zamarzliby na śmierć pozbawieni kryjówek. Żadne z nich nie miało pojęcia, co by to mogło być. Łoskot coraz bardziej zbliżał się do Stanicy od tyłu, by tam wydać ostatni ryk, który wstrząsnął tylną ścianą, przy akompaniamencie dźwięków rozszczepianego drewna, dobiegającym zza niskich drzwi prowadzących do szopy.

Serca podeszły im do gardeł, byli jak porażeni, niezdolni do żadnego ruchu.

— Jasne Niebiosa! Czy ja się nie mylę? — Kris głośno przełknął ślinę, starając się rozewrzeć kurczowo zaciśnięte dłonie.

— T... t... to na tyłach Stanicy — zająknęła się zdenerwowana Talia. Źrenice jej rozszerzał strach. — Tam, gdzie jest szopa na zapasy.

Kris podniósł się i spróbował otworzyć drzwi, które ani drgnęły.

— Tam gdzie była — powiedział, ponownie kładąc się obok niej.

Nie miała odwagi temu zaprzeczać.

Jeszcze dwa razy przyszło im wsłuchiwać się w odgłosy walących się na ziemię drzew, lecz już nie tak blisko ich chaty. A potem wiatr, jakby wyczerpany tym

pokazem siły, zelżał i zaczął zamierać. Około południa ucichł zupełnie i odtąd słychać było jedynie cichy szelest syjącego śniegu. Ponieważ nic już nie zwiewało go z dachu, szybko nazbierało się go tyle, że wkrótce nie można było usłyszeć nawet tego.

Ciepło przestało uciekać ze Stanicy. Temperatura zaczęła rosnąć i w izbie zapanało przyjemne ciepło, które utuliło ich ponownie do snu, zanim zdążyli sobie to uświadomić.

Obudzili się poszturchiwani przez Towarzyszy. Nie mieli pojęcia, jak długo spali. Ogień przygasł, jednak palenisko nie wyziębło jeszcze. Wokół zaległa cisza.

Rolan przekazał Talii, że chce natychmiast wyjść. Z wyrazu twarzy Krisa wniosioskowała, że podobną chęć wyraził i Tantris.

Kris spojrział na nią i wzruszył ramionami.

— Co za różnica, czy przekonamy się teraz, czy później. Żyjemy i wciąż mamy dach nad głową — zawyrokował i ubrał się w nowe ubranie. Talia poszła za jego przykładem.

Zmierzch był już niedaleko. Zgromadzona przed drzwiami pasza osłoniła je przed śniegiem, gdyby nie to, nie zdołaliby ich otworzyć. Dalej utworzyła się zaspą wyższa od Krisa.

Chirra nie były zupełnie zaniepokojone tym widokiem. Weszły prosto w śnieg i zaczęły się przez niego przedzierać, niemal tak jakby pływały, zawdzięczając swym długim szyjom to, że ich głowy sterczały ponad jego powierzchnią. Ich śladem poszły Towarzysze, a za nimi dopiero Heroldowie. Przebrnąwszy przez zaspę — to sięgające Talii do pasa, to dorównujące wysokością pierwszej, którą ujrzeni wyszedłszy z chaty — nagle wkroczyli na trawiastą połąć wymiecioną ze śniegu przez wiatr.

Widok otaczającego ich lasu, jakaś kryjąca się w głębi niego okiełznana moc powodowały, że Talii włosy zjeżyły się na karku. Coś w nim tutaj było. . . nie całkiem żywe, lecz i nie martwe. Coś. . . co wyczekiwało. Obserwowało. Oceniało ich. Zadumało się nad nimi na kilka bardzo długich chwil. Talia gorączkowo przeszukiwała wzrokiem kładące się pod drzewami cienie. Chciała ujrzeć cokolwiek, jakiś najmniejszy ślad, nie udało jej się zobaczyć nic. Jednak coś tam się kryło. Coś nieludzkiego, nieomalże jakiś żywioł, którego nie mogłaby opisać, za to mogła wyczuć, stanowiący jedno z lasem. Jak gdyby las pozwalał temu nieznanemu patrzeć tysiącem oczu, słyszeć tysiącem uszu. . .

— Gdzie jest droga? — Głos przestraszonej Talii zabrzmiał piskliwie i cicho.

Kris aż bojaźliwie podskoczył, rozejrzał się dookoła, a potem odwrócił się powoli, starając się zorientować w swoim położeniu. Z miejsca, w którym stali, Stanica wyglądała tak jakby była wyższa od otaczających ją zasp. W lesie pojawiły się nowe wyrwy.

— Tam... — wyciągnął rękę — tuż obok ścieżki rosnęło drzewo, które...
— Które teraz leży w poprzek tejże ścieżki.
— Gdy już do niego dotrzemy, przy pomocy chirra i Towarzyszy usuniemy zawałidrogę... mam nadzieję.
— A co się wydarzyło na tyłach Stancji? — Talia wcale nie była przekonana, czy ma ochotę to sprawdzać.
— Zobaczmy, o ile tam dojdziemy.

Brodząc w zaspach, w gęstniejących ciemnościach doszli do miejsca, skąd widać było, co stało się za tylną ścianą Stancji, chociaż nie mogli się tam zbliżyć. Kris gwizdnął.

Leżało tam nie jedno, ale niemal cały tuzin drzew, poprzewracanych jak kostki domina, każde następne drzewo padało przez koronę poprzedniego. Ostatni pień uderzył z impetem o ścianę Stancji. Spizarni nie było; została roztrzaskana w drzazgi.

— Przynajmniej nie zabraknie nam drwa na opał — powiedziała Talia, śmiejąc się z przymusem.

— Talio... — w głosie Krisa można było usłyszeć lęk. — Nigdy nie dawałem wiary w owe opowieści o Żalach i Kłątwie Vanyela, lecz tylko spójrz, jak te drzewa upadły na ziemię!

Talia przezwyciężyła strach i przyjrzała się uważnie. Rzeczywiście, drzewa leżały ułożone przez wiatr w linię prostą, z wyjątkiem ostatniego. Nie było żadnego powodu, by miało ono zboczyć z wyznaczonego kierunku, a przynajmniej nie mogła nic takiego zobaczyć, i gdyby poszło za przykładem swych poprzedników rozbiłoby Stancję w proch. Jednak tak się nie stało; upadło pod ostrym kątem, omijając chatę i niszcząc opróżnioną szopę. Uderzyło o ziemię, padając niemal pod wiatr.

— Bogowie — rzekł Kris. — Ja... ja w coś takiego nie uwierzyłbym nigdy tak jak w cuda, którym dotąd nie dawałem wiary. — Ponownie rozejrzał się dookoła. — To... to zabrzmi głupio, lecz czymkolwiek byś był... dzięki ci.

Wrażenie, iż są obserwowani zniknęło natychmiast, gdy to powiedział. Talia stwierdziła, że znów może swobodnie zaczerpnąć tchu.

— Lepiej wracajmy, zapadła już niemal noc. — Kris spojrzął na niebo i na gęsto sypiący z niego śnieg, próżno szukając oznaki, że zbliża się kres zawieruchy.

Przytłoczeni położeniem, w którym się znaleźli, i otaczającym ich zniszczeniem, przygotowali posiłek, zjedli go i posprząkali w milczeniu. W końcu Talia pierwsza poruszyła sprawę, która trapiła ich oboje.

— Czy zdołamy się stąd wydostać?

— Chciałbym powiedzieć uspokajające i optymistyczne: tak. Szczerze mówiąc jednak, tego nie wiem — odparł Kris, siedząc z podbródkiem wspartym na kolanach i wpatrując się w ogień. — Od gościńca dzieli nas spora odległość i — tak jak ci powiedziałem — po wyjściu pomiędzy drzew byłoby jeszcze gorzej.

Zapowiada się, że dużo czasu zajmie nam przetarcie ścieżki, i nie ma pewności, że Strażnicy Dróg dotrą tu do nas, kiedy nam się uda nieco odkopać.

— Czy nie powinniśmy przebrnąć, nie tracąc czasu na odśnieżanie i przecieranie szlaku?

Potrząsnął głową.

— Chirra mogą to zrobić, bez juków na grzbiecie, lecz Tantris i Rolan nie. Nawet gdyby mogli, i tak potrzebne są nam zapasy. Po prostu nie wiem.

— Może lepiej zajmijmy się jedynie przekopaniem się?

— A jak się do tego zabrać bez narzędzi?

— Jest jeszcze to tarasujące ścieżkę drzewo.

Kris długo wpatrywał się w ogień, nie odzywając się ani słowa.

— Talio — zdecydował się w końcu — ludzie z Grodu nie kupują niczego, póki się mogą bez tego obejść, ich bieda jest legendarna. Co wiesz o wyrabianiu łopat?

— Niewiele — odparła pośepnie. — Jednak spróbuję.

— Spójrzmy tylko, co mamy pod ręką.

Znaleźli mnóstwo surowych skór, które nadawały się na rzemienie, dużo prostych, ciężkich gałęzi zdalnych na uchwyty oraz jarzma i nic, z czego można by zrobić szufłę. Ramy nie wykorzystywanych przez nich prycz były tak mocne, że na nic zdałyby się próby odbicia dna, a półki wykonano z desek zbyt grubych, by można ich było użyć. Z cieńszych desek wybudowano ściany szopy, lecz teraz były one doszczętnie zgruchotane. Talia smutno westchnęła i stwierdziła z ociąganiem:

— Jedyne, co możemy wykorzystać, to pudło na harfę.

— Nie! — zaprotestował Kris.

— Nie mamy nic innego. Wyjeżdżając możemy Moją Panią rozstroić i owinąć w koce oraz opończe. Nic jej się nie stanie. Drewno jest lekkie i mocne, dodatkowo zabezpieczono je przed wilgocią. No i jest niemal właściwych kształtów i rozmiarów. Nie mamy wyboru, Krisie. Sądzisz, że Jadus by nas pochwalił, gdybyśmy okazali się ckliwymi głupcami?

— Do kroćset! — zamilkł na chwilę. — Masz słuszość. Nie mamy wyboru.

Wziął pudło leżące w kącie na stercie rzeczy należących do Talii. Krzywiąc się lekko, ujął siekiere, ostrożnie podważył przód i tył, oddzielając je od ramy, i podał je Talii.

Znalazła w palenisku węgiel drzewny i narysowała na nich przybliżony kształt szufli do śniegu. Zwróciła mu jeden kawałek drewna, a sama zabrała się do drugiego.

— Spróbuj, strugając go, nadać mu właściwy kształt. Ja zrobię to samo.

Ostrożnie przeciągnęła po brzegach drewna siekiere. Wióry, zwijając się, zaczęły spadać na ziemię obok niej. Kris badawczo się jej przyglądał i zaczął obrabiać swój kawałek dopiero, gdy nabrał pewności, że wie, o co chodzi. Na szczę-

ście drewno miało drobne słoje i ostrą siekierą dość łatwo można było mu nadać pożądaną kształt. Kiedy wygląd obu kawałków zaczął mniej więcej przypominać szufłę, Talia zaznaczyła węglem, gdzie należałoby wywiercić nożami otwory. Po uporaniu się ze wszystkim bolały ich nadwreżone dłonie i nadgarstki.

Talia zaczęła gimnastykować dłonie, próbując je rozruszać i przywrócić w nich czucie.

— A teraz potrzebne mi będą dwa kawałki drewna mniej więcej tej szerokości — powiedziała, rozsuwając dłonie na dwa palce — i długości grzbietów naszych szufli. Myślę, że będziesz musiał wyciąć je z ramy.

Podczas gdy Kris dalej rozbierał pudło na harfę, Talia przekopała swoje pakunki w poszukiwaniu naczynia z klejem. Znalazłszy je, wrzuciła do wypełnionego wodą rondla i umieściła na ogniu, by klej się rozpuścił. Nie tracąc czasu, przerzuciła około tuzina gałęzi, szukając materiału na trzonki, i wybrała dwie najlepsze.

Kiedy klej się rozpuścił, pokazała Krisowi, gdzie ma wywiercić otwory w znalezionych gałęziach, i w jaki sposób zestrugać w szpic koniec, który miał zostać przytwierdzony do szufli. Jej nadgarstki były zbyt słabe, by sama mogła się z tym zadaniem uporać. Pierwszy ukończony przez niego trzonek przywiązała do szufli namoczonymi rzemieniami, naciągając je z całych sił — skóra, schnąc, i tak miała się jeszcze mocniej zacisnąć. Następnie wzmocniła grzbiet szufli mniejszą, przyciętą i przytwierdzoną poprzecznie gałęzią, którą także przytwierdziła mocno do trzonka. Na koniec przykleiła u góry szufli kawałek ramy, by śnieg się z niej nie zsuwał, umacniając go jeszcze jednym kawałkiem gałęzi przywiązanej rzemieniami do trzonka, i nasączyła klejem wszystkie połączenia, nawet te wykonane rzemieniem. To było wszystko, co mogła zrobić, teraz pozostawało czekać przez noc, aż klej stwardnieje i zabrać się do pracy nad drugą szufłą.

— Nie wytrzymają, jeśli będziemy posługiwać się nimi zbyt zamasyście — westchnęła ciężko, uporawszy się ze wszystkim. — Musimy obchodzić się z nimi bardzo ostrożnie.

— Lepsze to niż gołe ręce — odparł Kris, masując jej ręce.

— Myślę, że tak — starała się rozluźnić. — Krisie, a właściwie, jak Strażnicy przecierają drogi?

— Wynajmują do tego mieszkańców wioski, tworzą z nich drużyny z szuflami i przekopują najtrudniejsze miejsca, a resztę ubijają nogami.

— Nie sądzę, by mogło to trwać krótko.

— Nie.

To proste słowo zawisło w powietrzu. Talia bała się, lecz nie chciała obarczać Krisa dodatkowym brzemieniem, dając upust swym lękom.

Zapadła głęboka cisza.

— Nie chcę tego mówić — Kris niechętnie przerwał milczenie — ale wpływasz na moje myśli. Czuję to i wiem, że to nie jestem ja, bo upewnił mnie w tym

Tantris.

Lekko uniosła się gniewem, który jednak tylko utorował drogę rozpaczy...

— Do licha, Talio, okiełznaj swe myśli! Żadnemu z nas nie ułatwia to zadania.

Stłumiła narastający w gardle szloch, zagryzła wargę tak mocno, że aż pociekła z niej krew i, ćwicząc oddech, uspokoiła się na tyle, iż udało jej się odnaleźć miejsce, które dy umykały jej myśli, i odciąć im tę możliwość. Kris ciężko westchnął i obdarzył ją uśmiechem. Ten sukces spowodował, że w głębi serca Talii obudził się promyczek nadziei.

Wypuścił jej ręce ze swych dłoni, by ująć w nie harfę. Nie miała ochoty na śpiew, jednak Kris nie zagrał nic znanego Talii. Wydawało się, że błądzi od melodii do melodii, jakby w muzyce odnajdywał ulgę. Talia tylko słuchała. Chirra zdawały się także pograżać w smutku i również nie zaśpiewały. Dziewczyna starała się rozluźnić i całkowicie uspokoić, poddając się dźwiękom muzyki i póki rozbrzmiewały, nie otworzyła oczu.

Kris podniósł się i odstawił harfę do kąta obok kominka. Wrócił i bez słowa położył się obok niej.

Milczenie przerwała Talia.

— Krisie, ja się boję. Naprawdę. Nie tylko tego, co dzieje się ze mną, lecz i tego wszystkiego... — machnęła ręką — ... o tam.

— Wiem — zamilkł na chwilę. — Ja też się boję. Na... nasze położenie tutaj nie jest najlepsze. Mogłaś... mogłaś nas oboje zabić tej pierwszej nocy. Wciąż jeszcze możesz. A na zewnątrz... Nigdy nie czułem się tak bezradny. Przemknęła mi myśl, by się poddać. Chciałem zwyczajnie skulić się na ziemi z nadzieją, że to opuści nas z własnej woli.

Sporo go kosztowało to wyznanie. Talia wiedziała o tym.

— Żałuję, że jestem w tak kiepskim stanie, że nie jestem większa i silniejsza, albo że nie jestem Mówiąca na Odległość jak Kyril — odezwała się cichutkim głosem.

— Nic na to nie poradzisz. A skoro wspomniałaś już Mówienie na Odległość: nie wydaje mi się, byśmy, nawet połączywszy nasze siły, mogli dotrzeć do kogoś z Darem, który usłyszałby nas — westchnął. — Musimy sobie sami radzić, tak jak do tej pory, z nadzieją, że wydostaniemy się stąd, zanim zapasy wyczerpią się do cna. Oto prawdziwe zagrożenie — ograniczone zapasy. Nie obawiałbym się o nic innego. Wystarczy nam ich na miesiąc, jednak nie na dużo dłużej. Jeśli nam ich zabraknie...

— Kris, wiesz przecież, że jesteśmy w Żalach, pamiętasz drzewo? Może... może przytrafi się nam dzika zwierzyna?

— Może masz rację — zamyślił się czując, że wstępuje w niego otucha. — Do podostania kilku królików w zasięg naszych łuków nie trzeba aż tak potężnej magii, jak do zawrócenia przewracającego się drzewa.

— A może wydostaniemy się stąd, zanim stanie się to naszym zmartwieniem. Nie musisz się o mnie obawiać, urodziłam się nad Granicą, mogę jeść dużo mniej niż ostatnio.

— Lepiej nie ograniczać racji, póki nie będzie trzeba, musimy jeść, by utrzymać ciepłotę ciała.

Ponownie oboje zasępił się. Talia doszła do wniosku, że teraz przyszła na nią kolej dodać mu otuchy.

— Zastanawiam się, jak się rzeczy teraz mają na Dworze. Śródzimie jest już za pasem.

— Istne piekło, nigdy nie jest inaczej. Wuj nienawidzi Śródzimia, nie lubi je obchodzić i nie lubi ludzi przybywających. Wielu pojawia się „przy okazji” z naręczami próśb, tak że niemal codziennie musi zbierać się Rada.

Spojrzała na niego nieszczęśliwym wzrokiem.

— Nie układa mi się z twym wujem. Nie, to nie tak, wcale mi się nie układa. Wiem, że mnie nie lubi, lecz tu chodzi o coś więcej. Wciąż mam wrażenie, że szuka tylko pretekstu, by się mnie pozbyć.

Kris wyglądał na oszołomionego.

— Hola, chwileczkę... lepiej zacznij od samego początku. Ledwie mogę uwierzyć własnym uszom...

— Doskonale — powiedziała z wahaniem — lecz tylko pod warunkiem, że wysłuchasz mnie do końca.

— Uważam, iż to jedynie jest sprawiedliwe.

— Dobrze. A zatem: kiedy znalazłam się w Kolegium, nastąpiły naprawdę ciężkie chwile w moim życiu — złośliwe psoty, obrzydliwe, anonimowe liściki, zasadzki i wszystko to za sprawą wolnych słuchaczy, Błękitnych, którzy jednak nadawali temu pozory, jakby i inni uczniowie mogli być za to odpowiedzialni, a więc nie szukałam pomocy w Kolegium. Kulminacja nastąpiła, gdy...

— Gdy wrzucili Cię do rzeki tuż po święcie Śródzimia...

— Z zamiarem zabicia mnie.

— Co? — wykrzyknął.

— To nie zostało rozgłoszone. Wiedzą o tym Elcarth i Kyril, Sherrill, Keren, Skif, Teren i Jeri. Wiedziała o tym Ylsa i, oczywiście, Jadus. Wydaje mi się, że Alberich i Mero domyślili się. Jestem przekonana, że później któryś z nich opowiedział o tym Selenay. Jeden z Błękitnych krzyknął za mną, bym „kłaniała się Talamirowi”, tuż po tym, jak wrzucili mnie do wody. Wydaje mi się, że znaczenie tego jest dostatecznie jasne. Spodziewali się, że utonę, i gdyby więź łącząca mnie z Rolanem nie była tak mocna... no cóż. Kiedy ich pochwycono, leżałam w gorącej i nikogo nie mogłam rozpoznać. Wszyscy upierali się, że to był tylko żart, i wydawało im się, że tylko zamoczę głowę. Twój wuj poparł ich w obliczu Rady, a więc zamiast oskarżenia o próbę zabójstwa, otrzymali tylko po klapsie na rękę i odesłano ich do domów na łono rodziny.

— Trudno to uznać za wskazówkę, że...

— Obiecałeś mi nie przerywać.

— Wybacz.

— Drugim razem weszliśmy sobie w drogę przez Skifa, tuż po tym, jak próbował pomóc mi zdemaskować niańkę Elspeth, Huldę. Musiałam dowiedzieć się, kto oprócz Selenay i ojca Elspeth był jej patronem i sprowadził ją do Valdemaru. Skif zakradł się do kancelarii Profosa-Marszałka, by odszukać dokumenty wjazdowe i przyłapał go na tym Orthallen. Twój wuj zawiódł Skifa przed oblicze Selenay oskarżając, iż próbował on zmienić zapisy w Księdze Występków. Zażądał, by Skifa ukarać z całą surowością, odsyłając do prac w wojskowych stajniach nad Granicą. Wiesz doskonale, co mogłoby to oznaczać. W najgorszym przypadku mogłaby go tam spotkać śmierć, w najlepszym, straciłby dwa lata, a ja byłabym przez ten cały czas pozbawiona jednego z moich najbliższych przyjaciół i niewykluczone jedynej osoby z całego Kolegium, która mogła mi pomóc zdemaskować Huldę. Uratowałam Skifa, jednak musiałam przy tym skłamać. I mogę cię zapewnić, że Orthallen nie był z tego zadowolony.

Wydawało się, że Kris chciał coś wtrącić, ale rozmyślił się i zachował milczenie.

— Ostatnia sprawa wyniknęła w związku z moją praktyką czeladniczą. Orthallen, „kierując się mym młodym wiekiem i brakiem doświadczenia”, starał się wymusić na Radzie decyzję, bym pozostała na patrolu przez trzy lata — dwa razy dłużej niż normalnie. Na szczęście Selenay, Elcarth i Kyril nie chcieli o tym słyszeć i zbili argument, zwracając wszystkim uwagę, że czas trwania praktyki ustala Krąg, a nie Rada.

— Czy to wszystko?

— A co, nie wystarczy?

— Talio, wszystko to można logicznie wyjaśnić, jeśli się zna mego wuja. Po pierwsze: najpewniej nie wiedział o okrutnych występkach uczniów — tego jestem pewny. Znał większość z nich od kolebki, nawet ludzi dorosłych i z dziećmi nazywa „młodzieżą”. Niewykluczone, że czuł się zobowiązany do wstawienia się za nimi. Przecież i ty masz dwóch członków Rady, którzy zawsze murem stoją za tobą, Elcartha i Kyrila.

— Przypuszczam, że to logiczne — Talia niechętnie przyznała Krisowi rację. — Lecz Skif...

— Och, Skif. Wuj jest niezwykle pedantem, jeśli w grę wchodzi przestrzeganie konwenansów, ja wiem to najlepiej. Skif był cierniem w jego boku od chwili, gdy został Wybrany. Zanim się nie pojawił, nigdy nie było kłopotów z uczniami Heroldicum, którzy wywoływaliby burdy w mieście — zamieszani w nie byli wolni słuchacze, uczniowie Bardicum i od czasu do czasu Kolegium Uzdrawicieli, lecz nigdy ubrani w Szarości.

— Nigdy? — Talia uniosła wysoko brwi. — Trudno mi w to uwierzyć.

— Hm, niemal nigdy. Jednak od czasu, gdy Skif zapoczątkował swe małe eskapady — O Panie, O Pani — słuchacze Heroldicum są tak psotliwi, jak ci z Bardicum! Tak jakby młodszy poczuwali się do tego, by być lepsi od niego. Wuj nie jest z tego zadowolony. Wierzy, że wojskowa dyscyplina jest najlepszym lekarstwem dla niespokojnych duchów. Jestem przekonany, że nie zamierzał wyrządzić Skifowi żadnej krzywdy.

— A ja? Dlaczego próbuje wcisnąć się pomiędzy mnie a Selenay?

— Nie stara się o to. Jesteś młoda. W jego wyobrażeniu Osobisty Królowej powinien być kimś takim jak Talamir. Nie wątpię, że naprawdę uważał, iż dłuższa praktyka jest w twoim przypadku właściwa.

— Chciałabym ci wierzyć.

— Chowanie urazy w sercu jest dziecinnym zachowaniem i tak niepodobne do ciebie...

— Nie chowam w sercu żadnej urazy!

— Zatem dlaczego nie chcesz zastanowić się nad tym, co ci powiedziałem.

Talia głęboko odetchnęła, starając się uspokoić.

— Jest i trzecie wyjaśnienie tego, co robi. Możliwe, iż według niego zagrażam jego wpływom u Selenay. I jest coś jeszcze, co chciałabym ci powiedzieć: mogę się założyć, że to właśnie on jest tą osobą, która powiedziała ci o owych krążących pogłoskach. Co więcej, to na pewno on prosił cię, byś tę sprawę zbadał. Wie, jaki jest mój Dar, a więc mógł się domyślać, że takie wieści podziałają na mnie jak trucizna.

Zamiast z miejsca odeprzeć jej zarzuty, Kris zamyślił się.

— To niewykluczone, przynajmniej jeśli chodzi o sprawę twojej praktyki. Mój wuj uwielbia władzę. Już od bardzo dawna jest głównym doradcą Selenay i był nim jeszcze u boku jej ojca. Nic nie można poradzić na to, że wpływy Osobistego Herolda zawsze są u monarchy większe. I ciężko mi jest to przyznać — dokończył ociągając się — że właściwie określiłaś źródło, z którego dowiedziałem się o pogłoskach.

Talia doszła do wniosku, że tym zmusiła go do myślenia, a nie tylko instynktownego odparowywania jej argumentów, i że nadszedł czas porozmawiać o czymś innym. Bardzo chciałaby napomknąć, że to Orthallen mógł być tym, kto zaczął rozpuszczać pogłoski, jednak Kris w żadnym wypadku nie przyjąłby spokojnie sugestii, iż zachowanie wuja przynosi mu ujmę na honorze.

— Krisie, nie zaprzatajmy sobie tym głowy przez jakiś czas. Nie brak nam trosk.

Obrzucił ją trzeźwym wzrokiem.

— Takich jak to, że masz dość sił, by narzucać innym swe myśli, i że możesz robić to ponownie.

— Tak — zrobiła głęboki wdech. — Mogę nawet przeżyć ponowne załamanie. Dziś po południu byłam już na krawędzi. Gdybyśmy nie mieli nic do roboty,

mogłoby do tego dojść. A może, będąc na dworze, dręczyły mnie przywidzenia.

— Do licha.

— Będę się starała. Jednak, jak myślę, lepiej cię ostrzec.

— Lekkostopy? — Kris po długim wpatrywaniu się w oczy Tantrisa, z zadowoleniem pokiwał głową. — On powiada, że razem z Rolanem są w stanie się z tobą uporać, jeśli ponownie coś złego się wydarzy. Za pierwszym razem Rolan był nie przygotowany i dlatego sprawy wymknęły im się spod kontroli.

Poczuła, że kamień spadł jej z serca.

— Jak to dobrze. I... dzięki.

Mrugnął do niej.

— Wypędzę to z ciebie — rzekł.

Skrzywiła się i, skuliwszy się pod kocami, zasnęła ze znacznie lżejszym sercem.

Obudzili się niemal o zwykłej porze. Jeśli zamierzali dotrzeć do gościńca, zanim wyczerpią się im zapasy, nie mieli czasu na mitręgę. Nałożyli na siebie najcieplejsze odzienie i z szuflami w garści rozpoczęli długi trud wykopywania ścieżki do wolności.

Śnieg był mokry i ciężki, dzięki temu lepiej trzymał się narzędzi, którymi pracowali, jednak jego ciężar powodował, że odgarnianie go okazało się pracą bardzo nużącą. Około południa przerwali, by zjeść gorący posiłek i zmienić ubranie, ponieważ rzeczy, które wdziali na siebie rankiem, były na wylot przesiąknięte potem. Pracowali aż tak pociemniało, iż ledwie można było coś zobaczyć.

— Musimy dotrzeć do drzewa tarasującego ścieżkę i odsunąć je na bok — powiedział przy kolacji Kris. — Jeśli się oziębi i śnieg zamarźnie, nie zdołamy ruszyć pnia z miejsca, utkwi w lodzie jak korek we flaszcze.

— Póki śnieg będzie prosiżył, wszystko będzie w porządku — dodała Talia, wracając myślami do opadów śnieżnych, gdy w Grodzie kociły się owce. — Musimy obawiać się tylko zmiany pogody i spadku temperatury.

Następnego ranka wcześniej stanęli do pracy, z nadzieją dotarcia do pnia przed końcem dnia. Późno po południu stanęli obok niego i postanowili, po starannym obejrzeniu, że najlepiej będzie przeciąć go i dopiero potem zaprząć chirra i Towarzyszy. Kiedy nadeszły ciemności, drzewo było nacięte już ponad połowę.

Na następny dzień ponownie zerwali się wraz ze wschodem słońca i wrócili do drzewa. Do południa przecięli je całkowicie i po posiłku spróbowali je poruszyć.

Poprzedniego dnia postanowili niczego nie zostawiać na los szczęścia i z zapasowych postronków przygotowali dla siebie coś w rodzaju uprzęży, by ramię w ramię zaprząć się do pnia, obok chirra, Rolana i Tantrisa. Okazało się, że to był doskonały pomysł. Dopiero gdy w sześcioro zaparli się nogami w ziemię i natężyli się ze wszystkich sił, udało im się nieco poruszyć pień. Ciężko dyszeli z wysiłku,

łapczywie chwytając powietrze. Przeciążone mięśnie odmawiały posłuszeństwa, a tymczasem kłoda przesuwiała się piędź po piędzi, tak że dopiero tuż przed zmrokiem droga wyjściowa stanęła przed nimi otworem.

Wraz z nadejściem ciemności powlekli się noga za nogą z powrotem do Stancy, ból i wyczerpanie przyprawiły ich niemal o łzy. Jednak nie zaniedbali swych chirra i zatroszczyli się o Towarzyszy, nakarmili je, napoili i starannie otulili derkami. Dopiero wtedy zrzucili z siebie przesiąknięte potem odzienie i padli na łożo. Ogarnęło ich takie znużenie, że myśleli tylko o swych obolałych ciałach i o tym, by móc się położyć.

— Czy rzeczywiście macie ochotę na kolację? — zapytał Talię bezdźwięcznym głosem Kris, bo to na niego tym razem przypadła kolej.

Na samą myśl o jedzeniu Talię opanowywały nudności.

— Nie — odpowiedziała do cna wyczerpana.

— Och, to dobrze — dodał z ulgą. — Ja też nie.

— Mam wrażenie, że nie mogę się ogrzać — wypowiedzenie tych słów kosztowało Talię sporo wysiłku.

— Ja także. — Kris usiadł i jęknął cicho. — Jeśli przygotujesz ziołowy napar, ja dokopię się do miodu.

— Zgoda.

Przed wyjściem zostawili gorącą wodę w kociołku nad paleniskiem wiedząc, że będą jej potrzebować. Miód i zioła odnaleźli, nie podnosząc się z kolan. Talia naląła wodę do mieszanki, rozlewając przy okazji połowę, gdyż ręce trzęsły się jej ze zmęczenia. Kris wrócił, niosąc słoje pełne miodu w jednej ręce i coś jeszcze w drugiej. Postawił miód na ziemi z przesadną troskliwością, a Talia nabrała łyżeczką trzy obfite porcje. Na szczęście miód był tak gęsty, że nie mogła go rozlać tak samo jak wodę. Przesunęła jeden kubek w stronę Krisa, który w zamian coś jej włożył do ręki.

Był to jeden z owocowo-orzechowych przysmaków, do zjedzenia którego zmusiła ich Kerithwyn w Rozdrożach. Na jego widok Talii zrobiło się niedobrze.

— Wiem — przeprosił ją Kris. — Czuję to samo, lecz jeśli teraz nic nie zjemy, zapłacimy za to jutro.

Zamieszała napar w swym kubku, by rozpuścić miód i wypila gorący płyn duszkiem, narażając się na oparzenie języka. Gorąco rozlało się po całym jej ciele i jedzenie przestało być już tak odstręczające, a po wypiciu kolejnego kubka poczuła głód. Jednak żucie twardych, lepkich łakoci wyczerpało resztki sił, jakie jeszcze miała. Kris wyglądał tak, jakby odczuwał to samo. Trzeci kubek płynu był rozstrzygający, ledwie zdążyła wsunąć się pod koce, a już zmorzył ją sen.

Kiedy się obudziła, wszystkie mięśnie sprzeciwiły się temu gwałtownie. Zmieniła odrobinę pozycję, by nie wymknął się jej jęk.

— Żałuję, że żyję. Po śmierci by mnie tak nie bolało — nieszczęśliwy Kris stęknął jej wprost do ucha.

— I ja też. Jednak wciąż myślę o tym, czego uczył nas Alberich.

— Czy musisz mi przypominać? „Najlepszym remedium na obolałe mięśnie jest w pierwszym rzędzie to, co czyni je obolałymi”. Och, jakże chciałbym, by on się mylił!

— Musimy przynajmniej wyjść, by przekonać się, co nas czeka za tym pniem.

— Masz rację — Kris z wolna rozprostowywał kości, przeszywany bólem. — I musimy wciągnąć więcej drwa do środka.

— I więcej siana.

— I więcej siana, to prawda. Ptaszyno, tyle mamy przynajmniej z tego, że teraz nie możesz wysyłać swych myśli dalej niż na odległość własnego nosa!

Pomagali sobie nawzajem przy myciu i ubieraniu. Talii udało się upichcić podwójną porcję owsianki z owocami i ziołowy napar. Znużeni najpewniej nie poczują jej smaku, jednak owsianka będzie ciepła i pożywna, a oni, miejmy nadzieję, nie będą tak wyczerpani tej nocy, by nawet myśl o jedzeniu miała się okazać niemiła.

Kiedy otworzyli drzwi, lśnienie odbitego od śniegu słońca cofnęło ich do środka. Pogoda zmieniła się w ciągu nocy i na niebie nie było nawet chmurki. Bez jakiejś osłony na oczy groziła im natychmiast śnieżna ślepotą.

— I co teraz? — zapytała Talia, która nigdy dotąd nie była w takiej sytuacji.

Kris myślał intensywnie.

— Osłaniaj oczy od góry kapturem opończy, a ja zobaczę, czy uda mi się przygotować jakąś ochronę przed blaskiem bijącym od śniegu.

Przeszukał swoje toboły i pojawił się ze zwojem siateczki z tkaniny, którą wykorzystywali na bandaże.

— Owiń tym głowę dwa razy. Powinno być na tyle cienkie, by móc przez to widzieć.

Nie było łatwo dojrzeć cokolwiek przez taką zasłonę, jednak było to lepsze od oślepiającego światła, od którego łzawiły oczy.

Pień leżał tam, gdzie go wczoraj zostawili. Gdzieś za nim znajdowała się wjazdowa ścieżka. Jej bieg można było rozpoznać po pustym, pozbawionym krzewów pasie ziemi, wijącym się pomiędzy drzewami. Kłopot w tym, że przykrywały ją zasy, które wydawały się nie mniej niż cztery stopy wysokie.

— No cóż, dobrze, że nie tarasują jej żadne połamane pnie. — Talia starała się, by zabrzmiało to dziarsko i ochoczo. W odpowiedzi usłyszała westchnienie i słowa Krisa:

— Do łopat zatem.

Zasy były głębokie, lecz przynajmniej nie tak szerokie jak te, z którymi musieli uporać się na dnie doliny. Głębokość śniegu nie była mniejsza niż dwie stopy, lecz i rzadko przekraczała sześć. Pracowali łopatami i ubijali stopami śnieg aż do zmierzchu, potem nazbierali drew na opał, wnieśli paszę do chaty, najedli się i zapadli w sen.

Talia obudziła się w środku nocy, czując lodowate zimno. Zaintrygowana przytuliła się do Krisa, który coś wymamrotał przez sen, lecz nie obudził się. Pomimo było jej coraz zimniej. W końcu wstała ociężale z łoża. Gdy tylko to zrobiła, lodowate powietrze uderzyło w nią jak młotem. Wsunęła stopy w pantofle z owczej skóry, otuliła się szczelnie opończą i szybko dorzuciła szczapy do ognia. Kiedy buchnęły płomienie, zobaczyła migoczące w blasku ognia oczy chirra i Towarzyszy, które wyniosły się ze swojego kąta, by przysunąć się bliżej ognia.

— Co... się... sta... ło? — zapytał zaspany Kris. — Dlaczego zrobiło się tak zimno?

— Pogoda zmieniła się ponownie i temperatura spada — powiedziała Talia, myśląc o tym, jak to mokry śnieg na dworze zamarzając zamienia zasy w kopce białego granitu. — Wydaje mi się, że boginka rozdzielająca szczęście na łuty, właśnie odwróciła się do nas plecami.

DZIEWIĄTY

Ponownie zasnęli niespokojnym snem. Obudzili się skoro świt z jak najgorszymi przeczuciami. Lodowaty chłód panujący w Stanicy nie sprzyjał ociąganiu się, odziali się szybko i wyszli, by sprawdzić, w jakim znaleźli się położeniu.

Ze wszech miar nie było ono dobre. Śnieg zamarzł. Gruba, zewnętrzna skorupa chroniła twarde, ostre ziarna pod spodem. Wytrzymałaby ciężar Talii i Krisa, a nawet chirra, ale pod warunkiem, że zwierzęta posuwałyby się wolno jak ślimak i nie miałyby ładunku na grzbiecie, jednak Towarzysze byli już za ciężcy. I jakby tego nie było dość, okazało się, że szufle nie były wytrzymałe na tyle, by poradzić sobie z zamrożonym na kamień śniegiem.

Heroldowie patrzyli bezradnie na skalistą wyrwę — miejsce, gdzie poprzedniej nocy zakończyli przekopywać się przez zasy — i na już bezużyteczne szufle. W końcu Talia zakłęła z pasją, kopnęła grudę śniegu i zagryzła wargę, by nie zalać się łzami, jednocześnie przypominając sobie, iż nie może dopuścić do żadnych przecieków myśli.

— Talio, w ten sposób nie zajdziemy daleko. — Długą chwilę milczenia pierwszy przerwał Kris. — I ty i ja jesteśmy zmęczeni. Jeden dzień nie będzie mieć najmniejszego znaczenia, ani nawet dwa albo trzy. Jestem twoim mentorem, zatem doradzam, byśmy odpoczęli, pozwolili wytchnąć naszym obolałym ciałom, póki nie obmyślimy planu, dzięki któremu będziemy mogli wydostać się stąd.

Talia zgodziła się na to z ciężkim sercem.

Kiedy wrócili do izby, zapaliła małą oliwną lampkę i badawczym wzrokiem zmierzyła bałagan, jakiego narobili wewnątrz Stanicy.

— Bezspornie przyjdzie nam tutaj spędzić jakiś czas, a więc pora, byśmy przestali mieszkać w koziej zagrodzie. Spójrz tylko! Ledwie możemy się poruszyć.

Kris rozejrzał się i posepnie przyznał jej rację.

Zapamiętane rzucili się robić porządki i układać rzeczy. Praca w nieco cieplejszym wnętrzu Stanicy była o całe niebo łatwiejsza niż przerzucanie szuflą śniegu. Zanim wybiło południe, Stanica była wymieciona, czysta i uporządkowana.

— Wpadło ci coś do głowy? — odważył się Kris zapytać przy południowym posiłku.

— Nic, co by miało związek z naszymi kłopotami. Jednak jest coś nie cierpią-

cego zwłoki. Ponieważ utkwiliśmy tutaj na dobre, póki nie wymyślimy sposobu na poradzenie sobie z zamrzniętym śniegiem, powinniśmy wyprać nasze odzienie. Mnie została już tyłka ta zmiana ciepłych rzeczy, którą mam na grzbiecie.

— Pomiędzy zapasami znalezionymi w Stanicy jest mydło do czyszczenia skór — myślał na głos Kris — moglibyśmy opróżnić dwie baryłki i w nich urządzić pranie.

— Wzięłam ze sobą aż nadto mydła, by starczyło dla reszty. — O, Pan raczył sprawić, że nie musimy oszczędzać wody!

— Doskonale, urządzimy pranie! Moje ubranie wcale nie jest w lepszym stanie. Brr, nie znoszę wkładać brudnego odzienia.

W prymitywnych warunkach Stanicy pranie białej odzieży nie było łatwym zadaniem. Mimo wszystko to była lżejsza praca niż przekopywanie śniegu i wleczenie pni, i oczywiście było im dużo cieplej i, koniec końców, każdy splachetek czystej powierzchni został zajęty przez suszące się odzienie.

— Nigdy bym nie pomyślała, że z tęsknotą będę myśleć o komplecie uczniowskich Szarości — odezwała się Talia. Przysiadła na piętach, badawczym spojrzeniem mierząc dzieło swych rąk.

— Wiem, co masz na myśli — uśmiechnął się szeroko Kris, podnosząc wzrok sponad pary własnych butów. — Przynajmniej aż tak nie znać na nich brudu. A co słychać u ciebie?

— Skończyłam. Uporałam się z moimi skórami, kiedy ty jeszcze prałeś.

— To jest ostatnia rzecz, jaką robię.

— Ha, zostało mi jeszcze sporo wody. Wystarczy na dwie godziwe kąpiele. Szkoda, że nie jesteśmy w stanie zmieścić się w beczułkach i dobrze wymoczyć się w wodzie, ale przynajmniej możemy dokładnie się wymyć.

— Dobry pomysł, ptaszyno. Choć po takiej ilości mydła i wody, w których się dzisiaj nurzałem, niewiele zostało już do wymoczenia!

Po starannym wymyciu poczuli się rażniej, zwłaszcza że minął ból, który przez kilka ostatnich dni dręczył ich mięśnie przemęczone pracą w przejmującym mrozie.

Talia cesała mokre włosy, siedząc przed kominkiem, zauroczona migotaniem płomieni i powolnym ruchem grzebień. Ze Stanicy ulotnił się lekki odór stęchliżny, który wypełnił wnętrze podczas wichury. Teraz unosił się w niej przyjemny zapach mydła i skóry. Przez myśli Talii zaczęły przelatywać skrawki starych opowieści, oderwane sceny bitewne, w których Towarzysze walczyli ramię w ramię z Heroldami. Czy rzeczywiście nie były one w żaden sposób powiązane?

— Kris — powiedziała wolno. W głowie zaczął świtać jej pomysł. — Najtrudniejszym orzechem do zgryzienia jest twardy śnieg i lodowa skorupa. Nasze szpadle nie są na tyle mocne, by tę skorupę pogruchotać na kawałki, lecz jeśli owiniemy Rolanowi i Tantrisowi nogi dla ochrony przed skaleczeniami, mogliby to zrobić, jak w walce, kopytami.

— Na Gwiazdy Pani, masz rację! — wykrzyknął podniecony. — I nie tylko, czy pamiętasz, jak dziwiłaś się, na co nadają się tak ogromne łapy chirra? Kopią w ziemi lub śniegu nory, w których mogą leżeć. Jeśli udałoby się nam dać im do zrozumienia, czego chcemy, mogłyby wykopywać dla nas kawałki, z którymi łatwiej sobie poradzić!

— Niebiosa, Rolan i Tantris mogą to zrobić!

Tantris parsknął, a Rolan przesłał Talii pieszczotliwą myśl.

Kris roześmiał się.

— Dobrze, dobrze... — zwrócił się do swojego Towarzysza, jakby mu się teraz zrobiło o wiele lżej na duszy. — To źródło mądrości, tam w kacie, wydaje się myśleć, że teraz będziemy mogli pracować szybciej niż dotąd. Chciałby się dowiedzieć, dlaczego pomyśleliśmy o tym dopiero teraz.

— Hm, wam obu nie szłoby aż tak dobrze z mokrym śniegiem, prawda? — rzuciła Talia w kierunku dwóch par stulonych uszu. Rolan podrzucił łbem.

— A chirra narobiłyby tylko większego bałaganu. Śnieg w zaspach, dopóki nie zamrzł, był zbyt sypki — dodał Kris, lekko się wymądrzając. — Tyle.

— Co on jeszcze powiedział? — zapytała Talia, lekko zazdroszcząc Krisowi jego umiejętności myślozromy ze swym Towarzyszem.

— Właśnie oświadczył mi, iż jest zaniepokojony naszą ciężką pracą, a potem wprost rozkazał nam jutro zrobić dzień odpoczynku. Można by pomyśleć, że jesteście uczniami.

Talia potrząsnęła smętnie głową, bo bezspornie i Rolanowi przypadł ten pomysł do gustu. Z myśli, która nadbiegła od niego, wyraźnie przebijał ton obawy, że oni się przepracowują.

— Rolan jest tego samego zdania. Nie mam ochoty na spory, tak mi się wydaje. Och, Jasne Niebiosa, jakże jestem obolała! — Talia rozprostowała ręce i barki. — Trudno byłoby nazwać to, co zrobiliśmy, odpoczynkiem, który nam nakazano.

Kris jęknął, także naciągając swe znużone mięśnie.

— Jestem chyba bardziej wyczerpany, niż kiedy przestaliśmy kopać śnieg, a z pewnością bardziej obolały.

— Mam zatem propozycję: masz ochotę na masaż?

— A ty?

— Och, Panie, jeszcze jak — westchnęła.

— Ja wymasuję cię, a ty mnie. Zrzucaj odzienie, dziewczko, nie przedrę się przez twe koszule i tuniki!

— To tylko dwie rzeczy — sprzeciwiła się ze śmiechem. — I do tego na lato. Chciałam wyprać wszystko!

Jednak postąpiła zgodnie z jego życzeniem, kładąc się na kocach obok paleniska. Wydawało się, że Kris znajduje wszystkie obolałe miejsca na jej ciele i usuwa z nich ból swymi zwinnymi palcami. Uspokojona łagodnym dotykiem jego rąk, zapadła w pół sen, pół jawę.

Obudziło ją łaskotanie w kark.

— Teraz moja kolej — powiedział, kiedy leniwie obróciła do niego głowę.

Westchnęła z zadowolenia i uklękła, naciągając na siebie wełnianą koszulę — czystą i nagrzaną ciepłem od kominka — a tymczasem Kris położył się na jej miejscu. Próbowwała dokładnie powtarzać to, co on zrobił dla niej. Szukała mięśni, które były najbardziej napięte i najdotkliwiej bolały. Po niedługim czasie doprowadziła do tego, że był tak samo ukojony i rozluźniony jak ona. Pławili się w ciepłe bijącym od ognia jak para zadowolonych kotów.

— Zrobię wszystko, co zechcesz — wymamrotał szczęśliwy Kris. — Wszystko, o ile nie poprosisz mnie, bym się poruszył, i tak długo, jak długo nie przestaniesz masować.

Łagodnie masując jego barki, roześmiała się rozbawiona tonem jego głosu.

— Dobrze, opowiedz mi o Dirku.

— Obiecujesz, że nie przestaniesz?

— Oczywiście.

— Doskonale — mruknął zadowolony. — Bo to jest bardzo długa opowieść. Przede wszystkim muszę zacząć od jego dziadka.

— No nie, przestań... — sprzeciwiła się, wyginając do góry brew. — Czy to naprawdę konieczne, czy też próbujesz przedłużyć masaż pleców?

— Przysięgam, że to konieczne. Dawno dawno temu, kiedy dziadek Dirka zakładał swoje gospodarstwo, mieszkał tuż obok Granicy. Był bardzo ambitny i każdego roku odrobinę powiększał należące do niego ziemie. Zaprzestał dopiero wtedy, gdy miał jej już tyle, ile — jak się można spodziewać — jeden człowiek jest w stanie obrobić, mając skromną liczbę rąk do pomocy. Do tego czasu on i jemu podobni przesunęli Granicę, a więc gdy jego dom stał się bezpieczniejszym miejscem do zamieszkania, ożenił się.

— To logiczne, skoro miał przynajmniej jednego potomka, który został ojcem Dirka.

— Cicho bądź, dziewczko. Urodziła im się tylko dziewczynka, lecz nie troskał się o to, że będzie musiał przekazać jej gospodarstwo. Spodziewał się, iż znajdzie ona w odpowiedniej chwili męża dla siebie, i ziemia zostanie w rodzime. Jednakże bogowie mieli co innego na myśli.

— Czyż nie jest tak zawsze?

— Po pierwsze, okazało się, że ich córka ma potężny Dar Uzdrawiania. Ty-leż nieoczekiwany, co przyjęty z radością, gdyż trudno jest skłonić Uzdrawicieli, by stacjonowali tak blisko Granicy. Zawsze czeka ich tam więcej pracy, niż zdolni są temu podołać, chyba że niedaleko znajduje się Świątynia, a wiesz jacy są Uzdrawiciele — raczej złożą swe życie w ofierze, niż pozwolą, by coś zostało zrobione tylko w połowie. Tak się składa, że Uzdrawiciele urodzeni opodal Granicy zawsze czuwają się w obowiązku służyć tam, gdzie przyszli na świat, tak więc jedynie kaprys losu mógłby dziewczynkę rzucić w inne miejsce. Jej dum-

ny i szczęśliwy ojciec wysłał ją do Kolegium Uzdrawicieli na naukę i gdy upłynął przepisowy czas, wróciła odziana w Zieleń. Jak dotąd wszystko rozwijało się zgodnie z oczekiwaniami, choć to, że córka została Uzdrawicielką, okazało się niejaką przeszkodą w planach ojca. Wydawało się, że zalotnicy z tej okolicy będą ociążać się z zalotami do osoby, która nigdy, ze względu na swój Dar, nie będzie mogła poświęcić swej uwagi całkowicie tylko jednemu człowiekowi. A tacy są, pomimo to, co ci o nich mówiłem, Uzdrawiciele — najważniejsze dla nich jest Uzdrawianie, wszystko inne ma pośledniejsze znaczenie.

— Tak jak Heroldowie albo kapłani.

— Celna uwaga. Tak czy siak, nawet pokaźne wiano nie mogło sprawić, by którykolwiek z sąsiadujących farmerów lub też ich synów zechciał zasiąść przy godowym stole. Starzec z rozpaczą myślał o tym, czy jego w pocie czoła wywalczona ziemia pozostaną w rodzinie. Nagle ponownie nastąpił nieoczekiwany zwrot. Pewnej nocy, późną jesienią, rozpętała się straszliwa burza.

— Przejadły mi się już burze.

— Sza, ta była jak najbardziej pożądana. Prawdę mówiąc, to była najgorsza jesienna zawierucha, jaką kiedykolwiek widziano w tej części Królestwa. Zaczęła się po zachodzie słońca, błyskawice obaliły tyle drzew, że tego roku nie trzeba było już ani jednego ścinać siekierą. Zamarzający deszcz chlusnął wprost z nieba, a nie padał kroplami. Gromy biły tak często, że nie można było ani spać, ani rozmawiać. I w samym środku tego piekła rozległo się kołatanie do drzwi dworu.

— Kris nurzał się w opowieści z lubością.

— Tajemniczy nieznajomy, wysoki brunet, nie ma co.

— Kto tu opowiada, ty czyja? Istotnie to był nieznajomy. Półżywy, na pół utopiony, na pół zamarznięty, straszliwie ubłocony, ale blondyn i wcale nie tak znów tajemniczy. Był to młody Bard, który dopiero co dostał dyplom Kolegium i rozpoczął swój okres czeladniczy. Podczas burzy zgubił drogę, wpadł do rzeki i przydarzyło mu się całe mnóstwo nieprzyjemnych przygód. Kołatał do drzwi trawiony gorączką, mającący i na najlepszej drodze, by dostać zapalenia płuc.

— Czuję w powietrzu romans.

— Masz wyjątkowo czuły nos. Młoda Uzdrawicielka, rozumie się, przyjęła go do siebie i pielęgnowała, póki nie wrócił do zdrowia. Nietrudno się domyślić, że młodzi zakochali się w sobie po uszy. Będąc człowiekiem honoru, no i mając głowę nabitą miłosnymi balladami, Bard wybłagał, zaiste w sposób godny bohaterów, zgodę na poślubienie dziewczyny. Nie musiał się tak obawiać, bo ojcu zaświtała już dawno myśl, że lepszy jest byle zięć niż żaden, jednakże swego błogosławieństwa udzielił pod warunkiem, że młodzi nie opuszczą Dworu.

Zaskoczyło starego gospodarza, iż wiatronogi, swawolny Bard przystał na to z całego serca, nadmieniając jednakże, że zgodę na to musi wyrazić oczywiście Krąg — starzec nie mógł przecież wiedzieć, że pieśniarz jest synem włościańskim i miłość do jego córki spłotła się w nim z uwielbieniem muzyki i ukocha-

niem ziemi. Ha, Krąg wyraził zgodę, nałożywszy na niego jedynie obowiązek skomponowania mistrzowskiej ballady o burzy, miłości, zalotach i co tam jeszcze; więc osiadł szczęśliwy, kochając po trzykroć — swą panią, ziemię, no i muzykę; a przed upływem roku — czterokroć. . .

— To Dirk! To po ojcu Dirk odziedziczył tak cudowny głos!

— I od niego nauczył się tak pięknie muzykować. Ale gwoli ścisłości, wybiegasz nieco do przodu. Pierworodnym dzieckiem wcale nie był Dirk. Przed nim były trzy starsze siostry, a potem doczekał się dwóch młodszych i na koniec jeszcze małego braciszka. Kiedy udaje im się jakoś wszystko zorganizować i ogarnąć, urządzają rodzinne koncerty. Powinnaś ich kiedyś posłuchać, to cudowne! Na mój honor, tam nawet niemowlęta płaczą we właściwej tonacji! No cóż, dziadek zmarł wielce ukontentowany, gdyż w chwili odejścia na wieczny odpoczynek dwie jego wnuczki właśnie rozpoczęły radośnie wydawać na świat ogromną liczbę własnego potomstwa.

— Ja pytałam o Dirka.

— Talio, ptaszyno, nie można oddzielać Dirka od jego rodziny. Oni wszyscy są tacy sami, przyjrzyj się jednemu, a będziesz wiedzieć, jaka jest reszta. Nie mam pojęcia jak można cokolwiek przeprowadzić w tym domu, gdyż wszystko tam, według mnie, poddane jest żywiołom chaosu.

— Tak jak Bard?

— Istotnie, on jest najlepiej spośród nich zorganizowany. Gdyby nie on i mężowie sióstr, trawiliby ustawicznie czas na kręceniu się w kółko. Kochają się tam wszyscy wprost niewiarygodnie i to uczucie miłości spływa na każdego, kto nieświadomie wylądował w ich kręgu.

— Tak jak ty.

— Tak jak ja. Dirk uparł się zabrać mnie do siebie w pierwsze wakacje po tym, jak się poznaliśmy, gdy tylko przekonał się, że w moim rodzinnym domu nie będzie nikogo poza służbą. Przyjęli mnie tak, jakbym należał do rodziny. Kapałem dzieci i byłem żegnany ze łzami w oczach. Byłem tym wszystkim przytłoczony, nie spodziewałem się spotkać takich ludzi!

Talia roześmiała się, wyobraziwszy sobie pełnego rezerwy, nieco nieśmiałego młodego chłopca, jakim musiał być Kris w rękach rodziny, wydawać by się mogło, szaleńców.

— Gdy trochę do nich przywykłem, bawiłem się doskonale. To dlatego przy lada okazji, gdy Dirk wracał do domu, ja zawsze udawałem się razem z nim. W tej chwili cztery z jego sióstr są zamężne. Trzy z nich żyją w poszerzonym domu rodzinnym, a ich mężowie pracują wspólnie na gospodarstwie, pomagając ojcu Dirka, któremu niedomagają kolana. Ostatnia żyje na własnej ziemi, lecz każde święta spędza razem z resztą rodziny. To wspaniałe, że jest im tak dobrze ze sobą.

— Mówiliśmy o Dirku.

— To prawda. — W oczach Krisa zabłysła psota, na dźwięk zniecierpliwienia

w jej głosie. — Kiedy został Wybrany był nawet młodszy ode mnie, miał jedenaście lat — pewnie dlatego, że w tym wieku był już w wielu sprawach dojrzałszy niż ja, mając trzynaście. Zostaliśmy Wybrani w tym samym roku i prawie w tym samym miesiącu. Opowiadał mi, że Ahrodie Wybrała go na środku rynku podczas jarmarku, a on próbował zwrócić jej uwagę na swoją siostrę, bo myślał, że taki brzydal jak on nie mógłby zostać Heroldem!

— Biedaczek.

— W Kolegium zostaliśmy więc kolegami z tego samego roku. Szybko zauważył, jaki byłem samotny, z jaką trudnością radziłem sobie z innymi dziećmi i zdecydował, że potrzebny mi jest przyjaciel. A ponieważ, bezspornie, sam nie potrafiłem zaprzyjaźnić się z nikim, on zamierzał to zrobić za mnie! Na lekcjach jednakże to ja musiałem jemu pomagać, bo uczył się średnio. Panowało powszechne mniemanie, że po okresie czeladniczym on będzie patrolował Obwody Graniczne, a ja będę uczył. Nagle stwierdziliśmy, że nasze Dary uzupełniają się, i że doskonale pracuje się nam razem. Wszelkie plany wzięły w łeb.

— I zaczęliście wspólnie pracować.

— O, tak! Na dodatek odkryliśmy w sobie pewnego rodzaju Dar do odkrywania intryg. Gdybyś wiedziała, w ile wpakowaliśmy się sytuacji, byłabyś oszołomiona, a jednak mimo wszystko zawsze udawało nam się wyjść obronną ręką i wrócić do domu w glorii chwały.

— Krisie, jaki on jest naprawdę?

— Pod tą maską trefnisia? Bardzo wrażliwy — tutaj daje o sobie znać jego dziedzictwo — i nieodmiennie bezradny. Powinnaś go zobaczyć, kiedy piastuje na kolanach dzieci lub kociaki. Jednak niech ci się nie wydaje, że jest miękki i sentymentalny. Widziałem go, jak z zimną krwią urzynał ludziom szyję, jeśli na to zasłużyli, i to w nocy, bez zachowania nawet pozorów honorowej walki. Powiada, że skoro inni zamierzali wyrządzić to samo jemu, bez sensu byłoby słać ostrzeżenia. W służbie Królowej i Królestwa oraz Kręgu potrafi postępować całkowicie bezlitośnie. Cóż jeszcze by tu powiedzieć? Tańczyłaś z nim, więc już wiesz, że jego wygląd włościanina z zaścianka jest całkowicie mylący. Jest jednym z garstki ludzi, którym Alberich, gdyby zapadł na zdrowiu, przyzwoliłby zastąpić siebie na lekcjach z zaawansowanymi uczniami. I mimo tego wszystkiego jest całkowicie bezradny w pewnych sprawach. Pomogłem mu zaleczyć złamane serce i solennie przyrzekam, Talio, że osobiście skręcę kark temu, kto by mu znów wyrządził podobną krzywdę.

Leżał na boku, wsunąwszy sobie rękę pod brodę i Talia ujrzała głęboką, zimną nienawiść bijącą z jego twarzy. Wściekłość, z jaką wypowiedział ostatnie słowa, nie była udawana. Zbyt dobrze miał w pamięci obraz Dirka z tamtych dni — załamanego i pokonanego. Aż brał strach, jeśli się porównało to, co z niego uczyniła ta ladacznica, z tym, jaki był, zanim nie padł ofiarą jej fortelów. Dirk rzadko pozwalał sobie na uronienie choćby łyzy, a jednak łkał bezradnie Krisowi w ramię, gdy

zniszczyła mu życie i przez nią szczyły jego wszystkie nadzieje. Kris nie chciał być już więcej świadkiem czegoś takiego. Jeśli będzie miał coś tu do powiedzenia, nigdy do tego nie dopuści.

Nagle przyszło mu na myśl coś bardzo bolesnego. Wiedział, że Dirk jest niesłychanie zainteresowany Talią. . . a i ona zaczynała okazywać podobne uczucia. Tymczasem razem z Talią mieli spędzić jeszcze większą część roku i teraz, skoro tak zbliżyli się do siebie, nie było, u licha, możliwe, by ponownie mieli żyć ze sobą jedynie na stopie służbowej. Co on, do kroćset, pocznie, jeśli ona zacznie się w nim durzyć?

To było wielce prawdopodobne. Czyż nie stało się tak w przypadku niemal każdej kobiety, która spędziła z nim choćby chwilkę? Wzbraniał się nawet o tym pomyśleć. . .

— Myślę, że pora poświęcić czas twoim kłopotom — rzekł, mając nadzieję, że rozproszy gromadzące się chmury, jeśli ponownie zajmie pozycję mentora.

— To znaczy jakimi? — Usiadła powoli i kiedy odrzuciła opadające na oczy włosy, w migotliwym świetle ognia ukazała się jej bardzo poważna twarz.

— Zamierzam razem z tobą wrócić do podstaw, do rzeczy pierwszej z pierwszych, jakich mnie nauczyli.

— Osłony myśli?

— Do licha, nie, dziewczyno — odparł zdumiony. — Coś jeszcze bardziej podstawowego, a jeśli osłaniania myśli nauczyli cię najpierw, być może to stało się źródłem kłopotów. Ponownie zrobimy razem pierwszych kilka kroków. Skupienie i uziemienie.

Sprawiła wrażenie, że ją to zaintrygowało. Zmieniła nieco pozycję, podkulając pod siebie nogi.

— Uziemienie i co?

— O, bogowie — jęknął. — Jak tobie się to, u licha, upiekło? Ylsa musiała oczywiście założyć, że poznałaś już podstawy. Może i tak było, bo instynkt ci to podszeptał. — Przygryzł wargę głęboko zamyślony, wpatrzony w przestrzeń za plecami swego czeladnika. Talia, milcząc, obrzuciła go niespokojnym spojrzeniem. — Kłopot w tym, że jak moi nauczyciele zwykli powiadać: instynkt nie zastąpi świadomego władania woli.

— Ja. . . ja jestem na to raczej dobrym przykładem, prawda? — odparła gorzko.

— Hm, kiedy instynkt zawodzi, brak jest podstawy, by świadomie wziąć się w garść. — Zrobił głęboki wdech, wyraźnie wyczuwając słaby zapach mydła, siana i zwierząt, którym przeniknięta była Stanica.

— Bogowie — westchnęła i potarła skroń ręką. — W porządku, przejdź do najgorszego.

— Nie śmiej się — odparł ponuro. — Zanim skończę, być może to i tak będzie wyglądać. Dobrze zatem, czy usadowiłaś się należycie i jest ci wygodnie?

Zmarszczyła brwi, przesunęła się odrobinę i skinęła głową. Kris usiadł także, podwijając pod siebie nogi, kręcąc się tak długo, aż siano pod kocem ubiło się wygodniej.

— Zamknij oczy. Nie zdołasz porozdzielać tego, co do ciebie dociera, jeżeli najpierw nie odróżnisz, co jest tobą, a co nie; to znaczy tego, co mój nauczyciel zwykł nazywać „kształtem obleczonym w skórę”. Znajdź w sobie miejsce, punkt, który jest najmocniejszy, najbardziej stabilny i zacznij od niego. Staraj się poczuć całe ciało, a potem odsuń to uczucie, ponieważ to właśnie możesz uznać za „siebie”.

Mówił tak zwanym „głosem nauczyciela”, uspokajającym i monotonnym. Zupełnie naturalnie weszła w półtrans, dość rozluźniona. Starając się na niczym nie skupiać wzroku i polegając raczej na Widzeniu niż zdolności patrzenia, Kris mógł obserwować każde, poruszenie Talii poprzez rozróżnianie przepływającej przez niego zmiennej energii. Dar Widzenia nadawał się doskonale do tej sytuacji, niewykluczone, że był przydatniejszy od jej własnego Daru. Tak osobliwe ni to patrzeć, ni to nie patrzeć męczyło wzrok, lecz dzięki temu dostrzegał pola i przepływające między nimi strumienie energii. Widok trudno byłoby opisać; składał się na niego obraz jakby wielu widm przypominających Talię, każda była otoczona aurą w odmiennym kolorze. Kiedy w ten sposób obserwował Nieobdarzonych i Obdarzonych lecz niewyćwiczonych, widma nie zazębiały się z sobą, a kontury były niewyraźne i zamazane. W przypadku Talii od patrzenia na ostre jak brzytwa brzegi niemal bolały go oczy, a widma rozbłyскиwały w zupełnie nieprzewidywalnych okresach i odstawały od siebie tak, jakby należały do różnych osób. Gdyby udało jej się odnaleźć stabilny środek, widma połączyłyby się w jedno; gdyby udało jej się uziemić, ustałyby rozbłyски.

— Dobrze! Gdy już odnalazłaś środek w sobie, odnajdziesz podobny na zewnątrz siebie, w ziemi. Kiedy i jego tam wyczujesz, połącz się z nim. Odnajdywanie stałego punktu nazywamy skupianiem, a łączenie się z ziemią — uziemieniem.

Widział, choć jego Dar wcale nie był podobny do jej Daru, że udało jej się niemalże zrobić i jedno i drugie. Jednak nie całkowicie. Widma nakładały się, jednak nie łączyły się w jedno i na dodatek co rusz przygasały i rozbłyскиwały ponownie. Widział, że jest wytracona z równowagi i nie potrafi połączyć się z ziemią, choć jej mogło się wydawać, że postąpiła dokładnie tak, jak jej powiedział. Biedactwo, zamierzał postąpić wobec niej bardzo okrutnie.

Westchnął i dał znak Tantrisiowi, który wymierzył jej myślą brutalnego kukuśnia. Talia upadła plackiem na ziemię.

— To nie wystarczy — powiedział zimno, gdy popatrzyła na niego rozciągnięta jak długa z wyrazem oszołomienia na twarzy. — Gdybyś wykonała ćwiczenie właściwie, nie mógłby cię ruszyć. Jeszcze raz. Skupienie i uziemienie.

Próbowała, wstrząśnięta do głębi, lecz wyszło jeszcze gorzej. Tantris ledwie ją musnął a utraciła równowagę. Choć mało brakowało, tym razem zapanowała

nad ciałem i tylko wyraźnie się zakotłosała.

— Skupienie i uziemienie, dziewczyno. To jest lekcja dla niedoroslých dzieci, powinnaś to robić odruchowo. Odruchowo, lecz nie instynktownie. Do dzieła, jeszcze raz.

Talia była wyczerpana, złana potem, stężała ze zdenerwowania i drżąc starała się powstrzymać łzy, zanim pozwolił jej odpocząć. Jednak zrobiła pewien postęp, zdaniem Krisa.

— Jeszcze nie dopięłaś celu — powiedział — ale zbliżyłaś się do niego. Za każdym razem byłaś coraz bliżej swego środka, jeśli nie liczyć ostatniej próby, która spełzła na niczym. To dlatego przerywamy na chwilę.

Roztrzęsiona ukryła twarz w dłoniach.

— Myślę — powiedziała stłumionym głosem — że z łatwością mogłabym cię znienawidzić.

— A więc dlaczegoż by nie? — zapytał, ukrywając zaniepokojenie i zimny dreszcz, który poczuł, słysząc jej słowa. Podniosła na niego wzrok i powoli opuściła dłoń.

— Ponieważ starasz się mi pomóc i to jest jedyny sposób, jaki znasz.

Pozwolił sobie na długo powstrzymywane westchnienie ulgi.

— Panie Światła — podziękował — nie uwierzyłabyś, jak się cieszę, że to powiedziałaś.

— Ponieważ, gdybym cię znienawidziła, z łatwością mogłabym cię zabić.

— Właśnie. Z łatwością w chwili, gdy uczyłbym cię, bo muszę odrzucić wszelkie osłony, by Widzieć, co robisz.

Zadrżała, a on przysunął się bliżej niej i przytulił. Stężała na chwilę, a potem rozluźniła się w jego ramionach.

— Jak długo to jeszcze potrwa. . . ?

— Aż zrobisz to prawidłowo.

— Bogowie! I to jest dopiero początek?

— Zaledwie pierwszy krok.

Zdusiła w sobie szloch. Poczuł go raczej, niż usłyszał, i to go zabolalo, lecz rzekł najbardziej okrutne do tej pory słowa:

— Dobrze, dość już tego roztkliwiania się nad sobą. Wracajmy do pracy.

A kiedy spojrzała na niego z niedowierzaniem, rzucił rozkaz, jakby był nauczycielem musztry:

— Skupienie i uziemienie, dziewczyno. Skupienie i uziemienie!

Kiedy w końcu dał jej spokój, było późno i dwa razy musiał dołożyć do ognia. Ciało Talii do cna było wyzute z sił, a ona sama z wszelkich uczuć. Wczołgała się na legowisko i skuliła pod kocami, zbyt wyczerpana, by nawet móc płakać.

Kris był niemal tak samo zmęczony jak ona.

Słaniając się, zbliżył się do kominka i z wielką starannością dokładał drwa do ognia, z wysiłkiem panując nad roztrzęsionymi rękami.

— Prawie dopięłaś celu — odezwał się w końcu. — Zabrakło ci tylko sił.

Wyraz ponurej pustki w jej oczach zniknął.

— Ja... ja myślałam, że może...

— Jutro zajmiemy się czymś zupełnie innym; spróbujemy to zrobić razem; kiedy odnajdziesz środek, nigdy go już nie utracisz. O bogowie, obserwowanie ciebie jest tak przygnębiające... Widzę, jak się zbliżasz, a potem nie umiesz trafić. Chciałbym krzyczeć z rozpacz.

— Od środka też nie jest to święto — odrzekła, a potem uśmiechnęła się blado,
— Przynajmniej po tylu torturach możesz przyjść i mnie ogrzać.

— Och, wydaje mi się, że stać mnie na coś nieco bardziej osobistego — odparł z wymuszonym uśmiechem.

Talię, która ze wszystkich sił przykładła się do trwających cały dzień zmagają, niemal natychmiast zmorzył sen. Kris zasnął odrobinę później. Próbował wykonywać, w jaki sposób pogodzić ćwiczenia z tak koniecznym przekopywaniem śniegu. Jednak ostatnie słowo należało do Tantrisa. Tuż przed zaśnięciem Kris usłyszał swego Towarzysza.

— *Więcej niż jeden dzień* — rozkazał Tantris. — *Jesteś bardziej zmęczony niż ci się to wydaje. Jutro także odpoczywacie.*

— Nic mi nie jest — szeptem zaprotestował Kris.

— *Ha! Tak ci się tylko wydaje. Zaczekaj do jutra. Prócz tego, jeśli uda ci się zmusić ją do skupienia, będziesz na najlepszej drodze do rozwiązania jej kłopotów. To jest ważniejsze, jak myślę.*

— Z przykrością muszę to przyznać — Kris ziewnął — ale masz rację, Lek-kostopy.

Kris nie miał pojęcia, jak byli znużeni, póki następnego dnia nie otworzył oczu i nie stwierdził, że już dawno minęło południe. Obudził Talię i razem dokończyli naprawiać suche części odzienia. Oboje w milczącym porozumieniu odkładali nieuchronną lekcję tak długo, jak to było możliwe.

W końcu Talia, ociągając się, powiedziała:

— Przypuszczam, że lepiej będzie...

— Szkoda, ale to prawda. Tutaj... — usiadł na kocach i poklepał miejsce przed sobą. — Powiedziałem ci, że zamierzam wypróbować inną taktykę. Miałaś już okazję pracować w połączeniu ze mną, a więc wiesz, na czym to polega.

Usiadła przed nim, krzyżując nogi. Zetknęli się kolanami. Spojrzała na niego bojaźliwie.

— Wydaje mi się, że pamiętam. A dlaczego?

— Spróbuję pokazać ci twój środek. A teraz odpręż się i tym razem pozwól mi wykonać za ciebie robotę. — Czekał, aż wprawi się w półtrans, przymknął oczy, by i siebie w niego wprowadzić, i lekko dotknął dłońmi jej nadgarstków. Po niedługiej chwili nawiązali więź; ta część jej Daru wciąż działała dobrze, niemal zbyt dobrze. Z wolna otworzył oczy i spojrzał wiedząc, że ona widzi to, co on zobaczył.

Spojrzała, wstrzymała dech i kurczowo się go uchwyciła, wytrącając oboje z transu i zrywając łączność.

Spodziewał się właśnie czegoś takiego i był na to przygotowany, lecz nie ona, i teraz siedziała, potrząsając głową, starając się zebrać myśli.

— Głupio się zachowałam — powiedziała, kiedy w końcu mogła wykrztusić z siebie słowo.

— Nie będę oponował — odparł surowo. — Gotowa spróbować jeszcze raz?

Westchnęła i kiwnęła głową, ponownie starając się rozsiać jak najwygodniej. Tym razem nie chwyciła się go kurczowo — ledwie się poruszyła.

W końcu to Talia przerwała ich trans, nie mogąc znieść forsownego napięcia uwagi.

— To jest jakby próba rysowania, patrząc w lustro — powiedziała, zaciskając zęby.

— A więc? — odparł, starając się nie ułatwiać jej litowania się nad sobą.

— A więc spróbuję jeszcze raz.

Dopiero w wiele godzin później osiągnęła zwycięstwo. I stało się tak, jak to Kris podejrzewał, gdy odnalazła swój stabilny środek, odbyło się to niemal przy wtórze głośnego trzasku, jakby zwichnięty staw wskoczył na swoje miejsce; energia trysnęła jasnym strumieniem i coś błysnęło, jakby fala bólu, za którą przyszła ogromna ulga. Kris polecił Tantrisiowi najpierw popchnąć ją lekko, a później dać zdrowego kuksańca — na próżno.

— Uziemienie! — rozkazał. Zrobiła to z takim brakiem finezji, po omacku, niezdarnie, że jego wcześniejsze podejrzania — iż nigdy nie potrafiła skupić się na sobie i właściwie uziemić — zostały potwierdzone. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że jej osłony nie stały się nagle kapryśne, lecz załamały się zupełnie, a stało się tak dlatego, iż nigdy nie osadzono ich właściwie.

— Dobrze — rzekł cicho — teraz jesteś właściwie przygotowana. Czy rozumiesz teraz, dlaczego to jest takie ważne?

— Bo — odpowiedziała powoli — potrzebne jest nam coś, na czym możemy budować.

— Tak jest — przytaknął. — A teraz wyjdź z tego stanu... Tym razem uda ci się go odnaleźć ponownie. Bez mojej pomocy! Skupienie i uziemienie, żółtodzio-

bie.

— Skupienie i uziemienie. Do licha, nie tak. Jeszcze raz. Skupienie i uziemienie. Szybciej. Do kroćset, teraz powinnaś już to robić odruchowo! Nuże, do dzieła.

Talia resztką sił utrzymywała nerwy na wodzy. Gdyby nie jego troska, tak przemożna, że mogła ją wyczuć bez najmniejszego wysiłku, załamałaby się wiele godzin temu. Skupienie i uziemienie, raz za razem, coraz szybciej i szybciej, z Tantristem i Rolanem wymierzającymi jej kiksańce wtedy, gdy się tego najmniej spodziewała.

Gdy pchnęli ją po raz pierwszy, zanim przygotowała się należycie, dosłownie straciła przytomność. Przyszła do siebie, gdy Kris z kamienną twarzą podnosił ją z ziemi.

— Tantris mnie uderzył! — poskarżyła się urażona.

— To właśnie powinien zrobić — odparł Kris, wypuszczając ją z rąk.

— Lecz ja nie byłam przygotowana! To nieuczciwe! — Patrzyła na niego, czując, jak jej emocje wymykają się z narzuconych im niezwykle wiotkich pęt. Czuła się zdradzona, okropnie zdradzona. . .

— Do licha, to prawda, to było nieuczciwe. — Na ból i gniew jej głosu odpowiedział chłodno i ze wzgardą. — Życie jest nieuczciwe. Nauczyłaś się tego już dawno. — Poczul narastający w niej gniew; jego źródło nie mogło znajdować się gdzie indziej. Pod maską wzgardy krył się niemały lęk. Prowokując ją, brał życie w swe ręce, i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. — Cóż to, twoje uczucia znów ci się wymykają. Spętaj je natychmiast! — Gniewne uczucia zamarły; zarumieniła się ze wstydu. Nie dał jej okazji, by znów zamknęła się w kręgu wątpliwości i roztkliwiania się nad sobą. — No, dalej, skupienie i uziemienie, zrób to szybko, zanim oni cię ponownie nie ogłuszą.

Nie pozwolił jej odpocząć nawet przy jedzeniu. Zaskakiwał ją w najbardziej nieoczekiwanych chwilach, pozwalając Tantristowi i Rolanowi wymierzać kiksańce wtedy, gdy według nich najmniej się tego spodziewała. Dopiero kiedy poczuł się tak wyczerpany, że nie mógł już widzieć wyraźnie, ogłosił koniec.

Rozebrała się w milczeniu, tak zamknięta w sobie, że jej twarz i oczy były zupełnie puste. Czekał, aż się odezwie. Na próżno.

— Nie jest mi przykro — powiedział w końcu. — Wiem, że to nie twoja wina, iż rzuciłaś Szarości na pół wyszkolona, lecz nie zamierzam przeproszać za to, co robię. Jeśli nie nauczysz się tego w twardej szkole, nie będziesz nigdy robić tego właściwie.

— Wiem — odparła, spojrzawszy na niego ostro — i nie gniewam się na

ciebie, a przynajmniej nie teraz. Jestem ogromnie zmęczona i, bogowie, głowa boli mnie tak, że ledwie mogę zebrać myśli.

Uspokoił się i sięgnął po stojące na kominku puzdro z korą brzozową, by podać jej go ze smutnym uśmiechem. — W takim razie zakładam, że bezpiecznie mogę położyć się spać?

— I tak bym cię tam nie ukatrupiła — odparła, a w jej głosie pobrzmiwała nutka humoru, której nie było słychać od tak dawna. — Koce stałyby się zbyt lepkie.

Roześmiał się i spoczął na legowisku, obserwując ją, jak przygotowuje sobie kubek ziołowego naparu na bolącą głowę. Aż do dzisiaj nie był pewny, lecz teraz ośmielał się przypuszczać, że ona poskromiła swój nieokiełznany Dar. Już niedługo odszukiwanie stabilnego środka stanie się nawykiem i odruchem. Odbudowa tego, co utraciła, była jedynie kwestią czasu.

— Krisie? Czy wciąż jeszcze nie śpisz?

— Mniej więcej — odparł sennie, zmorzony ciepłem i zmęczeniem.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że jestem wdzięczna; a przynajmniej jestem ci wdzięczna wtedy, gdy nie zasypujesz mnie kuksańcami.

Zaśmiał się, lecz nic na to nie powiedział.

— Krisie, jesteś mi potrzebny — dokończyła cichutko. — Nie zapomnę tego nigdy, nawet kiedy będę najbardziej zła na ciebie. Naprawdę potrzebuję ciebie.

Minęła dłuższa chwila, zanim znaczenie tego, co powiedziała, dotarło do niego, a wtedy wstrząs wypędził z niego sen. Gdyby nie był tak znużony. . .

Poczucie winy szło za nim trop w trop, póki sen ponownie nie skleił mu powiek. Ona go potrzebowała! Miłościwi bogowie, a jeśli było w tym coś więcej niż tylko potrzeba?

Talia zaczekała, aż głęboki i równy oddech Krisa powiedział jej, iż w końcu mocno zasnął, i ostrożnie wysunęła się spod kocy, nie budząc go. Zawsze myślała jej się lepiej, gdy miała czymś zajęte ręce — nawyk z dzieciństwa; a więc z kubkiem naparu z kory brzozowej w ręku usiadła, by wyczyścić do połysku błyszczące, metalowe części rzędu Rolana. Opończa, którą się okryła, chroniła jej plecy przed chłodem, a płonący ogień ogarniał ją przyjemnym ciepłem. W ten sposób usadowiona zaczęła rozmyślać nad dręczącymi ją kłopotami, których miała co niemiara.

Ogień trzeszczał, buzując radośnie; chciałyby, by i ją było stać na taką pogodę. O Panie i Pani, w jakich okropnych tarapatach się znalazła! Jedna burza śnieżna wystarczyłaby aż nadto; każdy z kłopotów, z którym się zmagала, wystarczyłby sam w sobie. Borykać się z nimi wszystkimi na raz. . .

Przynajmniej zrobiła pierwszy krok, stanęła jakby na początku drogi wiodącej do właściwego wyszkolenia. Po zakończeniu popołudniowej nauki Kris wydawał

się szczęśliwszy. Nie mylił się — Talia poznała uczucie „bycia skupionym” i teraz już nigdy nie utraci zdolności szukania oparcia w tej mocnej podstawie. Minionego popołudnia niejedną raz nachodziła ją ochota go zabić, lecz ten sposób nauki wzmacniał ją. Teraz, mogąc się nad tym zastanowić spokojniej, potrafiła to docenić.

Potrzebowała go bardziej niż kogokolwiek w swym dotychczasowym życiu.

Ale — o Panie i Pani! — co będzie, jeśli jest w tym coś bardziej zawilego od zwykłej potrzeby, a nawet od uczuć, jakie żywiła do Skifa?

Kris był przystojny jak młody bóg. I pomimo pewnej dozy próżności był człowiekiem, którego z dumą przedstawiałaby jako swego przyjaciela. Wystarczyło spojrzeć na to, w jaki sposób brał życie w swe ręce — dosłownie — po to, by ona mogła ponownie zapanować nad sobą i obłaskawić swój Dar. Był dobry, uprzejmy, delikatny i biorąc pod uwagę to, jakie psikusy wyczyniał ostatnio jej umysł, istniała poważna możliwość, że wykorzystywała swój Dar, by zmienić jego sposób myślenia o niej; do tego stopnia nawet, że pchnęło go to do kochania się z nią... Nie była pięknoscią — Pani świadkiem — lecz jeśli wpłynęła na niego w ten sposób, to równie dobrze mogła wydać się jemu tym bardziej pociągająca.

Rozbolały ją kurczowo zaciśnięte na kubku dłonie. Tego nie życzyłyby sobie za nic na świecie! Przynajmniej na początku nie — ale teraz?

Bardzo lubiła Krisa. Bardzo, lecz nie aż tak bardzo. Pociągał ją Dirk — nie było co do tego wątpliwości — i to mocniej niż ktokolwiek w jej życiu do tej pory. Niemal tak, jakby Dirk był do tej pory nierozpoznaną, brakującą jej własną połową i wydawało się jej, że od chwili napotkania go, nie będzie mogła żyć w całkowitej harmonii z samą sobą, o ile...

O ile co...?

Heroldowie rzadko wstępowali w długotrwałe związki, zadowolając się bliskimi przyjaźniami w Kręgu, przelotnymi kontaktami, ściśle ograniczonymi do sfery fizycznej, i więziami ze swymi Towarzyszami. Szczerze mówiąc, znała niewielu Heroldów, którzy byliby niezadowoleni ze swego życia. Patrząc trzeźwo, ich praca była zbyt niebezpieczna, by związki na całe życie były możliwe lub pożądane. Wystarczyło spojrzeć na to, co przeżyła Keren po śmierci Ylsy. Gdyby Sherrill nie mogła ofiarować jej dokładnie tego, czego ona potrzebowała, i nie byłoby jej akurat na miejscu, pogrążona w żałobie Keren mogłaby umrzeć na własne życzenie.

I widziała się z Dirkiem tylko kilka razy.

Jednak Heroldom czasami wystarczyło spotkać się tylko raz.

Jej błędzące myśli przeniosły ją wiele lat wstecz.

Pewnego razu, późno w nocy wszyscy zebrali się w izbie Keren, przy kubku grzanego wina z korzeniami, gawędząc, czasami nawet i o sprośnościach. Stop-

niowo opowieści przestały się obracać wokół pikantnych żarcików i zaczęły dotyczyć prawdy, która kryła się w legendach i bajaniach snuty przez innych ludzi na temat Heroldów. Niektórym z najbardziej przesadzonych towarzyszyły głośne wybuchy śmiechu.

— Weźmy na przykład tę bzdurę o miłości od pierwszego wejrzenia — chichotała Talia. — Doprawdy ktoś po winien posadzić nad tym jakiegoś Barda. Jak można, spotkawszy się tylko jeden raz, powiedzieć, że osoba, którą się widziało, będzie partnerem na całe życie?

— To może wydać się dziwne, lecz nie jest to przesada — odparła Sherrill. — W przypadku Heroldów tak to mniej więcej się odbywa; jakby istniało coś głębszego nawet niż instynkt, co rozpoznaje pokrewną duszę. — Wzruszyła ramionami. — Brzmi to bardzo ckliwie, ale to prawda.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że to właśnie przytrafiło się wam? — zapytała Talia z niedowierzaniem.

— Prawdę powiedziawszy, gdy po raz pierwszy zobaczyłam Keren — dodała Sherrill. — Pomijając fakt, że wtedy miałam czternaście lat.

Keren kiwnęła potakująco głową.

— Wiedziałyśmy to, kiedy spotkałyśmy się z Ylsą w połowie trzeciego roku w Kolegium. Aż do tej pory ledwie machałyśmy sobie ręką z jednego końca sali na drugi, ponieważ nasze rozkłady zajęć tak bardzo się między sobą różniły. Jednakowoż ze stałym związkiem czekałyśmy, póki obie nie przekonałyśmy się, że to jest uczucie trwałe a nie ulotne, i póki nie zakończyłyśmy okresu czeladniczego.

— A ja nie chciałam zakłócać więzi.

— Powitałybyśmy cię serdecznie. Mówiąc prawdę, czasem myślałyśmy sobie...

— Lecz ja tego wtedy nie wiedziałam, prawda? — Sherrill wybuchnęła śmiechem. — Szczerze, Talio, rozmawiając z kimkolwiek, kto znał złączoną więzią na całe życie parę, zawsze słyszałam to samo. Tak było na przykład w przypadku rodziców Selenay — ona albo zaczyna się od pierwszego spotkania, albo nigdy.

— I przelotnego związku nie można zamienić w więź na całe życie, bez względu na to, jak bardzo chciałabyś go utrwalić — ciągnęła Keren. — Przekonał się o tym mój brat bliźniak.

Choć nie zdradziła tego ani słówkiem, Talia widocznie okazała po sobie wielkie zaciekawienie, ponieważ Keren, przerwawszy na chwilę, ciągnęła dalej:

— Pamiętasz, napomknęłam ci raz czy dwa razy o tym, że mam siostrzenicę i siostrzeńca niemal w twoim wieku? Ha, to są dzieci Terena. My nie tylko nie zostaliśmy Wybrani w tym samym czasie, lecz jego Towarzysz przyszedł do niego dopiero w siedem lat po mnie. Wtedy byłam Heroldem służącym w polu, a on był żonaty i pracował na łodzi poławiaczy gąbek. Wtedy to się wydarzyło: został Wybrany i okazało się, że żona, z której był bardzo zadowolony, znaczy dla niego mniej, niż się tego spodziewał. Chciał ją kochać z całego serca, naprawdę starał

się — na próżno. Musiał uporać się z ogromnym poczuciem winy, zgłębianiem własnej duszy, by stwierdzić, że uczuć, których tam nie ma, po prostu się nie obudzi, a prawdziwe życie czeka na niego w Kręgu u boku Towarzysza. Prawdę powiedziawszy, jego żona — teraz już była żona — nie zrobiła nic, by okazać, że jej na nim zależy. Działwa została przyjęta do naszej rodziny, a ona odwróciła się i znalazła sobie innego męża, a ja nie dostrzegłam żadnego znaku, który by świadczył, że zrobiła to z żalem. Widzisz więc — dokończyła — Herold wstępuje w nawiązany od pierwszego wejrzenia związek na całe życie, albo musi żyć, nie nawiązawszy żadnego.

Talia westchnęła.

Jeśli zamierzała być wobec siebie uczciwa, musiała przyznać, że właśnie to się jej przydarzyło. Czy mogła się jakoś przekonać, że nie jest to jedynie wytwór jej fantazji? Miała jednak wrażenie, że nie jest to tylko wyobraźnia. Najbardziej przypominało to ból zęba, czy też może to, w jaki sposób Jadus czuł się po utracie nogi. Powiadał, iż często wydawało mu się, że jest ona na swoim miejscu i boli.

Ha, w Talii tkwiło coś bolesnego.

Doskonale. Co z Krisem zatem?

Uczucie do Krisa nie było... tak głębokie. Potrzebowała go — o tak! Potrzebowała jego pomocy, jego wiedzy, wsparcia. Jednak „potrzeba” nie była synonimem „miłości”, czy też raczej, żywione do niego uczucie było innego rodzaju miłością — w rzeczywistości bardziej było podobne do więzi, która złączyła ją z Rolanem, Skifem, czy nawet Keren, niż do czegokolwiek innego.

Lecz jeśli Kris zadurzył się w niej? O bogowie, sama myśl o tym wydawała się niemal nieznośna.

Trzeba przyznać, że bezspornie swym zachowaniem nie przypominał kochanka. Zaś wcześniej wydawał się niemal wpychać Dirka w jej objęcia. Poza łóżem obchodził się z nią niemal jak Alberich z jednym ze swych uczniów, z którego należy wypłenić wpojone w przeszłości złe nawyki. Wyjątkiem był czas spędzany na przekopywaniu śnieżnych zasp, wtedy traktował ją jak równego sobie, ani nie rozpieszczał, ani nie zezwalał, by brała na siebie więcej, niż to wynikało z podziału pracy.

Zakładając, że jej umysł nie oszukiwał ich obojga, co przecież wcale nie było wykluczone.

— Do kroćset — westchnęła.

Dobrze chociaż, że zdołała określić niektóre ze swych uczuć. Nic więcej nie mogła zrobić, przynajmniej do czasu, gdy całkowicie okiełzna swój zbuntowany Dar i będzie mogła oddzielić, co jest prawdą, a co nie. Wypiła ostatni, zimny jak lód łyk naparu i odłożyła na bok rząd Rolana, by wśliznąć się z powrotem pod koce. Teraz musiała jedynie zmusić się do snu, który — o czym wiedziała

— był jej tak bardzo potrzebny. Najlepiej rozwiązywać po jednym problemie na dzień. Tymczasem w tym momencie miała na głowie więcej naglących spraw. O ile nie zdoła poskromić swego Daru, wszystko inne stało pod wielkim znakiem zapytania. . .

Doskonale wiedziała, jak blisko już raz doprowadziła Krisa i siebie nad krawędź przepaści. To mogło się powtórzyć, zwłaszcza gdyby swoim postępowaniem porządnie ją wystraszył, lecz jeśliby coś takiego się wydarzyło. . .

Jeśliby się wydarzyło, to łatwo mogłoby się zakończyć śmiercią jego lub jej. Albo też obojga.

DZIESIĄTY

Talia wiedziała o tym, że istniał sposób na to, by nie stracić panowania nad sobą: trzeba było pracować aż do całkowitej utraty sił. Tak więc zrywała się skoro świt, niemal przed wschodem słońca i zmuszała się do krańcowego wysiłku. Znużenie zacierało granice pomiędzy poszczególnymi dniami. Trudno było rozróżnić, jaki jest dzień, a nawet, jak długo już pozostają w tym miejscu.

Talia zwykle zrywała się pierwsza, o brzasku, i potrząsając Krisem, wyrywała go ze snu. Następnie któreś z nich przygotowywało nie tylko śniadanie, ale i prząśny placek z dodatkiem zupy lub duszonego mięsa; coś, co można było zostawić bez obawy o przypalenie. Oboje wiedzieli, że kiedy powrócą, ledwie starczy im sił, by coś przegryźć, jako tako umyć się i upaść na legowisko.

Po obfitej porcji owoców i owsianki na śniadanie Talia owijała nogi Towarzyszom dla ochrony przed ostrymi krawędziami lodowej skorupy, a Kris zakładał uprząż na chirra, po czym cała szóstka wybiegała truchtem na mróz do pracy, która miała trwać cały dzień.

Rolan z Tantristem otwierali pochód i stając dęba, kruszyli lodową skorupę oraz leżący pod nią zbity śnieg przednimi nogami, a czasami z całej siły kopiąc zadnimi. Uporawszy się z tym, mieli chwilę odpoczynku i cofali się, by w tym czasie Talia z Krisem mogli odrzucić lodowy gruz na boki wycinanej ścieżki, a chirra swymi mocnymi przednimi łapami wygrzebać to, co pozostało, póki nie natrafiły na śnieg zbyt ubity lub też zbyt śliski, by wbić w niego pazury. Poluźnione przez nich bryły były usuwane przez Heroldów i do dzieła ponownie przystępowali Towarzysze.

Pracowali bez wytchnienia aż słońce stawało w zenicie i dopiero wtedy niechętnie robili przerwę na drugi w ciągu dnia, zjedzony naprędce, posiłek. Wróciwszy do pracy, trudzili się aż do zapadnięcia ciemności. Z każdym dniem wydłużała się droga do Stanicy, którą musieli chodzić tam i z powrotem. Czasami jedynie dzięki temu Talia nie porzucała pracy, bo niekiedy posuwali się zaledwie kilka stóp w ciągu jednego, pełnego znojów, od których trzeszczało w krzyżu, dnia; wiedziała przecież, że Stanicę od drogi dzieli kilka staj. Największa pokusa poddania się i rzucenia wszystkiego nachodziła ich wówczas, gdy okazywało się, iż ich postępy można liczyć w pojedynczych krokach.

Po zapadnięciu ciemności Kris zwykle opiekował się Towarzyszami, a Talia zgrzebłem cesała chirra, sprawdzając przy tym troskliwie, czy aby nie są pokaleczone lub przemęczone pracą. Nie można było im ufać tak jak Rolanowi i Tantriosowi, którzy natychmiast powiadomiliby swych Wybranych o wszelkich zadrapaniach, a gdyby choć jednej chirra stało się coś złego i nie mogłaby im pomagać, posuwaliby się o połowę wolniej.

Na koniec, upewniwszy się — zazwyczaj robiła to Talia — że zwierzętom nie brakuje paszy i wody, oraz że koce dobrze chronią je przed chłodem nocy, z wilczym apetytem pożerali przygotowaną wcześniej kolację i udawali się na spoczynek.

To była najcięższa praca, z jaką kiedykolwiek się zetknęli. Zimno nieustannie przenikało ich aż do szpiku kości, mięśnie nie przestawały boleć ani na chwilę. Ściśle racjonowali zapasy i dlatego jedli zbyt mało, by w pełni odzyskać coraz bardziej nadwątlone siły. Ich ciała zaczęły chudnąć, lecz stawały się coraz twardsze. Talia ledwie mogła zauważyć te zmiany, jednak czasami myślała sobie, że zaskoczenie jej przyjaciół musiałyby graniczyć ze wstrząsem, gdyby teraz ją ujrzeli.

Przez cały pierwszy tydzień przedzierania się przez śniegi Kris nie omieszkął pastwić się nad nią, póki skupienie i uziemienie rzeczywiście nie weszło jej w nawyk. Doprowadziwszy do tego, zostawił ją w spokoju, jedynie od czasu do czasu naprzykrzał się z jakąś radą. Talia to odzyskiwała, to traciła panowanie nad swymi uczuciami w najbardziej nieoczekiwanych chwilach, lecz wydawało się, że Kris nigdy nie zauważył, iż jej myśli mimowolnie ulatują. Gdyby nie to, z pewnością spadłby na nią jak jaki drapieżca. Teraz, gdy już mogła je na czymś oprzeć, ochronne osłony powoli zasnuwały jej myśli, choć tak cieniutkie jak muslin i ledwie było wiadomo, iż w ogóle istnieją. Starła się okiełznać własne zmysły z takim uporem, z jakim pracowała przy odrzucaniu śniegu.

Zrobili zaledwie dwie przerwy w tym codziennym kieracie, gdy zabrakło im czystego odzienia. Przez te dwa dni zajmowali się wyłącznie praniem i bohaterскими próbami wiania sobie nawzajem otuchy do nadwątlonego ducha. Śmiertelnie znużona Talia łatwo ulegała przygnębieniu. Kris nie poddawał się takim uczuciom, lecz czasami to Talia zmuszona była wyciągać go z dna rozpacz. Nie ustający mróz wcale nie ułatwiał sytuacji, poza tym musieli teraz ścinać drzewa, by mieć co dołożyć do ognia. Świeżo ścięte drzewo, nawet po wymieszaniu z wysuszonym, dawało znacznie mniej ciepła. Talii wydawało się, że już nigdy się nie zgrzeje.

Jednakże pewnego popołudnia, niemal w miesiąc od chwili, kiedy stanęli na progu Stanicy, podniósłszy oczy, stwierdziła ze zdumieniem, że dotarli do drogi.

Szlak był jednak tak pokryty zaspami jak ścieżka, którą właśnie odkopali.

— Co teraz? — zapytała posępna Talia.

— O, bogowie! — Kris, bez zwykłej gracji, usiadł na grudzie śniegu. To nie przyszło mu nigdy do głowy. Przez cały czas zakładał, że z chwilą kiedy się przedrą przez zasy, główna droga będzie oczyszczona ze śniegu i przejezdna. Próbując zebrać myśli, patrzył na lodowe, rozciągające się jak okiem sięgnąć, dzikie pola.

Był wstrząśnięty i całkowicie zaskoczony, po raz pierwszy zupełnie zagubiony, nie wiedział, co ma czynić. Po prostu gapił się nieruchomym spojrzeniem na nieskażony śnieżny kobierzec, nie mogąc nawet jasno myśleć.

Talia starała się otrząsnąć, zachować spokój, lecz uszy jej świdrowała niesamowita cisza. Nagle ponownie ogarnęło ją uczucie, że czyjeś oczy wpatrują się w jej plecy.

Spojrzała bojaźliwie na Krisa, ciekawa, czy i on odniósł to samo wrażenie, i w chwilę później nabrała pewności, że to jedynie wytwór jej umysłu.

Wrażenie było silniejsze niż za pierwszym razem i jeszcze bardziej złowieszcze. Przypominało ten mdlący niepokój, jaki ją ogarniał, gdy pracowała pod okiem Keldar, która starała się doszukać najmniejszego uchybienia w wykonywanej robocie. Coś kryło się tutaj, coś, co jej nie ufało i czekało, aż się jej powinie noga. A wtedy... Panika, która ją opanowała, zdusiła słowa, które zamierzała powiedzieć.

Kris jak zauroczony wpatrywał się uporczywie w nieskazitelną lodową skorupę. Nie był w stanie wykrzesać z siebie tyle siły, by cokolwiek powiedzieć. Jednakże i on stopniowo zaczął odczuwać niepokój. Miał wrażenie, że jakiś nieznamy badawczo się mu przygląda, ukryty w krzewach. Starał się to zlekceważyć, lecz wrażenie narastało i stało się tak dotkliwe, że tylko sile woli zawdzięczał, iż nie rzucił się, by na oślepie smagać wokoło, szukając tego, kto wpijał się wzrokiem w jego kark...

Nie był to wzrok nieprzyjazny... lecz czujny. Jakby to, co się przed nimi kryło, nie miało całkowitej pewności.

Próbował otoczyć umysł osłoną, uwolnić myśli od tego niesamowitego doznania. Gdy tylko jednak wywołał osłonę, wrażenie przybrało na sile. Nagle opadły go omamy wzrokowe i zaczął słyszeć różne dźwięki — jakieś ulotne postaci, które można było doścignąć kątem oka, lecz nieuchwytnie i niewidoczne, gdy starał się spojrzeć na nie wprost; ledwie słyszalny, świszczący szept wypełnił mu uszy...

Wszystko to mogło brać swój początek z jednego źródła. Talia już raz mu opowiedziała o dręczących ją omamach, a więc może to ona wciągała go w swój stworzony przez siebie, irracjonalny, koszmarny świat.

— Talio! — warknął gniewnie, zdjęty ogromnym przerażeniem. — Ucisz swe myśli!

I gwałtownie obrócił się na pięcie, by zgromić ją rozwścieczonym spojrzeniem, gotowy uderzyć ją za utratę panowania nad własnymi zmysłami.

Talia zapomniała o dziwnym obserwatorze; zapomniała o całym świecie, istniał dla niej jedynie gniew Krisa... i niesłuszne oskarżenie. Oblała się rumieńcem, zbladła i odparowała atak.

— To nie ja! — odfuknęła. A potem, gdy nie przestawał patrzeć na nią wzrokiem pełnym całkowitej niewiary, uczucia, którym rozpaczliwie starała się narzucić wędzidło umysłu, uwolniły się z pęt i wyrwały na wolność.

Tym razem przynajmniej Towarzysze były na coś takiego przygotowane i szybko osłoniły jak tarczą swe myśli. Krisowi jednakże przypadła w udziale lwia część nawałnicy jej strachu, wywołanego położeniem, i złości. Mimowolnie wspiął się na palce, chwiejąc się zrobił pięć czy sześć kroków do tyłu, potknął się i uderzył mocno plecami o zmrożony, twardy śnieg, z twarzą tak samo pobladłą jak jej, zasłaniając się ręką w próżnym geście obronnym, jedynym, na jaki mógł się w tej chwili zdobyć.

Niewidoczny obserwator drgnął...

Talia zamarła. Miała wrażenie, że jakaś nieznana potęga ocknęła się i nabiera mocy rozważając, czyby jej nie zmiażdżyć. Poczuli się tak przygnieciona tą siłą, że nie mogła nawet odetchnąć. Udało się jej zdusić burzę uczuć i w tej samej chwili, gdy okiełznała swe zmysły, Rolan wolnym truchtem przesunął się do przodu i stanął u jej boku. Zwrócił się nie w jej stronę, lecz wpatrzył się w las; z jego postawy biło milczące wyzwanie.

Talia odebrała mgliste uczucie zdziwienia. Wrażenie, że są obserwowani zniknęło.

Talia, która odzyskała zdolność ruchu, chciała umrzeć ze wstydu za wyrządzoną Krisowi krzywdę. Kiedy on wracał do siebie, mrugając z zaskoczenia oczami, ona odwróciła się do niego plecami i płakała, zasłoniwszy rękami twarz i oparłszy się o pień drzewa.

Kris chwiejnie stanął na nogach i przygarnął ją do siebie obiema rękami.

— Talio, ptaszyno, nie płacz, proszę... — przemawiał łagodnie. — Przepraszam, nie chciałem tego... straciłem panowanie nad sobą. Wszystko będzie dobrze. Musi tak być... przepraszam. Przepraszam...

Lecz właśnie teraz dały znać o sobie posępne dni wypełnione pracą do utraty tchu i zbyt krótkie noce nie przynoszące dostatecznego wytchnienia. Dopiero gdy uzmysłowili sobie, że ciekące łzy zamarzają im na policzkach, zdołali stłumić

rozpaczliwy szloch.

— To... to coś... obserwuje...

Wstrząsnął nią dreszcz, którego nie wywołało wyłącznie zimno.

— Ja... nie chcę o tym rozmawiać — powiedziała, spoglądając niespokojnie przez ramię. — Nie tutaj... nie teraz.

— To nie byłeś ty...

— Nie. Przysięgam na moje życie.

Uwierzył jej.

— Dobrze, zatem uporajmy się z tym, co przed nami. Burza okazała się gorsza, niż myśleliśmy — powiedział, biorąc się w garść. — To miejsce jest najdalej na północ wysuniętym końcem gościńca. Ludzie muszą znajdować się nie dalej jak kilka dni drogi, a nam jeszcze nie kończą się zapasy. Wszystko będzie dobrze, zwłaszcza jeśli zaczniemy racjonować żywność.

— Odpoczywając, nie będziemy musieli aż tyle jeść — powiedziała Talia, ocierając oczy cienką tkaniną, którą chroniła oczy przed słonecznym blaskiem.

— Możemy umieścić znak, by Strażnicy Dróg dowiedzieli się, że tu jesteśmy. Lodowa skorupa jest tak twarda, że mogę po niej przejść dość dużą odległość, a ty jesteś lżejsza ode mnie. Mniej więcej godzinny spacer wystarczy. Zaczekaj tutaj.

Wskoczył Tantrisowi na grzbiet i obaj zniknęli jej z oczu, posuwając się niewielkim, wąskim wąwozem, który udało im się wykopać w śniegu. Talia czekała na ich powrót, od czasu do czasu oglądając się czujnie przez ramię. O włos, a nieznaną moc zadałaby jej cios. Nie wiedziała, dlaczego była tego tak pewna, lecz nie mogła uwolnić się od tej myśli. Nie wiedziała, co ją pohamowało, lecz nie miała zamiaru dać się zaskoczyć zniecka. Przytuliła się do szyi Rolana i czekała, ze wszystkich sił starając się zapanować nad sobą, ponieważ wydawało się jej, że nieznamy obudził się do działania dopiero wtedy, gdy pozornie zaatakowała Krisa. Jeśliby to była prawda, nie chciała absolutnie przywołać tego ponownie.

Upłynęło co najmniej tyle czasu, ile płonęłaby oznakowana część świecy — o wiele za długo, biorąc pod uwagę spokój jej umysłu — kiedy zobaczyła powracającego kłusem Krisa na Tantrisie. Herold miał przy sobie cztery białe strzały, dwie długie gałęzie i nieco jasnoniebieskich gałganów.

— To będzie dobrze widoczne z daleka. Trzymaj i umieść na tym znaki, dobrze? — Zeskoczył na ziemię i podał jej dwie strzały, zabierając się do pracy nad pozostałymi dwoma. — Przywiążemy strzały do patyka i wbijemy go pośrodku drogi. Gdy drużyny odnajdą je, będą wiedzieć, że żyjemy. Dowiedzą się nawet dokładnie, kim jesteśmy, o ile przez przypadek wśród nich znajdzie się jakiś Herold — do tej pory wszyscy już z pewnością otrzymali nasze wzory.

— Dlaczego to robimy?

— Jeśli nie, mogliby nie oczyszczać gościńca aż dotąd. To jest leżąca najdalej

na północy pętla i jadąc z Rozdroży do Jagodowego Zakątka, nie trzeba zapuszczać się aż tutaj. Tędy jest dalej niż skrótem przez Żale, choć w zimie niewielu wyrusza w podróż, z wyjątkiem Heroldów oczywiście. Tymczasem nikt nie wie dokładnie, gdzie zaginęliśmy.

Podał jej jedną ze swych strzał, a wziął jedną z jej. Oboje przywiązali po dwie do gałęzi i oznaczyli wyraźnie furkoczącymi na wietrze gałgankami.

— Ty udaj się w stronę Rozdroży, ja pójdę w stronę Jagodowego Zakątka — powiedział Kris, przygotowując się do wejścia na lodową skorupę. — Wbij gałąź na pierwszych napotkanych rozstajach. Ja zrobię to samo. Mam nadzieję, że drużyny na gościńcu odnajdą jedną z nich, zanim zaniechają dalszej pracy.

— Kris, co stanie się, jeśli ponownie zacznie śnieżyć?

— Talia, na miłość bogini, nawet o tym nie myśl. Idź tak daleko, jak będziesz mogła, lecz wróć przed zmierzchem.

Talia nigdy nie czuła się tak bardzo samotna. Z ośnieżonych lasów z rzadka tylko dobiegał jakiś dźwięk. Z oddali słyszała skrzypienie śnieżnej skorupy pod stopami Krisa, który ostrożnie posuwał się przez zaspy, tak by nie zapaść się w nich głęboko. Pomimo to przynajmniej raz rozległ się trzask świadczący, iż mu się to nie udało. O przygnębieniu mogłoby świadczyć choćby to, że zabrakło jej nawet ducha, by zakląć.

Posuwała się, omijając wysokie kopy śniegu, na które nie miała odwagi się wspinać. Oczy bolały ją od łez i blasku bijącego od śniegu, w życiu nie była tak bardzo znużona. Cieszyła się, że waży mniej od Krisa, dzięki czemu lodowa skorupa nie załamuje się pod nią.

Zalegała niesamowita cisza, od której ciarki chodziły po plecach. W osobliwy sposób przejmowało ją to takim samym strachem, jak przeraźliwe wycie wiatru. Na długo przed dotarciem na rozstaje Talia trzęsła się i to nie tylko z zimna. Nie zaśpiewał żaden ptak, żadne zwierzę nie wywołało szmeru. Wydawało się, jakby wokoło nie było ani jednej żywej, poruszającej się istoty oprócz niej. To okropne wrażenie, że coś nieznanego ją obserwowało, opuściło ją, lecz mimo wszystko w Lesie Żalów było coś niesamowitego, co przeszywało śmiertelnym chłodem, lodowatą rozpaczą. Jeśli jakaś moc sprawowała rządy w tym miejscu, to ocknęła się ze snu i trwała pogrążona w zadumie. Talia nie miała ani cienia wątpliwości co do tego czując, że dociera do niej zaledwie najlżejsze jej tchnienie, i wcale nie miała ochoty zaufać noszonej przez siebie Bieli i samotnie zapuszczać się zbyt daleko. Na widok na poły zasypanego przez śnieg znaku na rozstajach wielki kamień spadł jej z serca. Mogła już umieścić swój kolorowy, krzykliwy znak na samym wierzchołku zaspy i wrócić po własnych śladach.

Nigdy z taką radością nie przywitała widoku innego człowieka jak wtedy, gdy

ujrzała Krisa, brnącego przez śniegi, jej na spotkanie.

Wróciwszy do Stanicy, Talia sprawdziła stan zapasów.

— Lepiej by było, żeby wkrótce przyszli — powiedziała, próbując ukryć nutę zwątpienia w głosie. — Nawet jeśli będziemy oszczędni, nie zostanie nam wiele. Może wystarczy nam na nieco ponad tydzień.

— Jeśli są tak zaniepokojeni, jak myślę, będą pracować bez wytchnienia, nawet przy świetle pochodni — odezwał się Kris. Ze zmęczenia jego głos brzmiał głucho i matowo. — Muszą być już niedaleko.

— Wcale mogą nas nie wziąć za Heroldów — starała się zażartować. — Wątpię, by kiedykolwiek widzieli choć jednego w takich łachmanach. Moje białe odzienie musiałam trzeć, aż porobiły się w nim dziury, by je jako tako wyprać. Naszym wyglądem raczej nie przysporzymy chwały Kręgowi.

Wykrzywiła twarz, starając się naśladować grymas na twarzy jakiegoś starca i zaskrzeczała:

— Heroldowie? Waszeci nie są Heroldami a obwiesiami! Wagabundami! Nicponiami! A gdzieżecie pochowali wasze białe podjezdki, hę? Hę?

Kris wlepił w nią oczy na długą chwilę, a później wybuchnął śmiechem, nie mogąc mu się oprzeć tak jak poprzednio łzom. Być może to z powodu wyczerpania tak samo łatwo śmiali się, jak zalewali łzami. Nawet Talia najpierw zaczęła chichotać, a potem ryczeć ze śmiechu. Przewrócili się na swoje legowisko, straciwszy władzę w osłabionych nogach, i przez długie chwile ledwie przerywali swój rechot, by zaczerpnąć oddechu. Gdy któreś odzyskiwało panowanie nad sobą, spojrzawszy na swego kompana, natychmiast zaczynało na nowo się śmiać.

— Dość... proszę... — wydyszał Kris w końcu.

— To nie gap się na mnie — odparła Talia, wpijając się wzrokiem w poplamione buty, póki nie udało się jej odzyskać tchu.

— W Jagodowym Zakątku jest Stanica Zaopatrzeniowa — rzekł Kris, starając się nie odbiegać od poważnych tematów. — Moglibyśmy tam znaleźć nowe mundury dla siebie, a nasze skóry wybielić i odświeżyć. Ostrzegam cię jednakże: nie będziesz wyglądać jak spod igły.

— Byleby tylko Biel była biała a nie szara, i byleby nie było w niej dziur.

— Nie sądzę, byś znała się tak na cerowaniu, żeby wpłynąć na stan, w jakim się znajdujemy? — smutno zapytał Kris. Talia mogła wyczytać z jego twarzy, że jego wybredna natura jest zaniepokojona tym, iż w niedopasowanym mundurze mógłby wyglądać znacznie mniej nienagannie.

Talia uniosła znacząco brew.

— Mój drogi Heroldzie, powiadam ci, iż w trzecim roku mojego pobytu w Kolegium osobiście szyłam białe mundury. Niewykluczone, że nosisz na sobie jeden skrojony przeze mnie.

— Dziwne — Kris powoli zzuwał buty — to... to nie ty igrałaś z moimi myślami?

— Nie — skwitowała. — Dopiero, gdy krzyknąłeś na mnie.

— Bogowie... wydaje mi się, że pogrążam się w szaleństwie.

Talia rozcierała zbiele, zziębnięte stopy, próbując ponownie przywrócić w nich krążenie krwi.

— Nie rób tego... proszę... to przez to odosobnienie, obawy, niedostatek pożywienia, brak odpoczynku... — odparła, czując jak strach przygniata jej pierś.

— Czy to właśnie mam moje oczy? Czy ty coś widzisz?

— Nie — przyznała. — Lecz... wydaje się mi się, że las na nas patrzy. Niemal przez cały czas.

Kris aż podskoczył przestraszony. Talia zobaczyła to, lecz zagryzła wargi i nic nie dała po sobie znać.

— To nic — uspokoił ją. — Tylko... Tantris przyznaje ci rację, powiada, że las się nam przygląda. Do kroćset... myślałem, że to ty robisz ze mną różne rzeczy. Wybacz.

— Kris... ja to utraciłam... ponownie. — Łzy zapiekły ją w oczy.

— Hej, nie było tak źle, jak ostatnim razem, i samodzielnie okiełznałaś własne zmysły, prawda?

— Mniej więcej. Gdy zwróciłam się przeciw tobie, nagle poczułam, że to, co nie spuszczało z nas oka, zamierza zająć się mną, gdybym cię tylko dotknęła. Wtedy ze strachu odzyskałam zdrowy rozsądek.

— I okiełznałaś swe myśli. Tak czy siak, odzyskałaś panowanie nad sobą. Nie zawieź mnie, ptaszyno, a ja nie zawiodę ciebie.

— Postaram się — powiedziała lekko drżącym głosem. — Postaram.

Zawisło między nimi milczenie ciężkie jak ołów, które dopiero Kris postanowił przerwać.

— Jadasz pozostawił ci twoją harfę, więc chyba umiesz się z nią obchodzić, a ja ani razu nie słyszałam, jak grasz. Czy zrobisz to teraz dla mnie?

— Nie jestem ani w części tak dobra jak ty — zaprotestowała.

— Zagraj dla mnie — upierał się.

— No dobrze, ale możesz tego żałować. — Skuliła się pod kocami, próbując ogrzać nieco nogi oraz plecy, i wzięła od niego harfę.

Po raz pierwszy w życiu miała zagrać przed kimś innym, a nie przed Jadusem. Blask ognia, odbijający się od złocistych słoń, przywołał wspomnienie tych dni. Poczowała ostre ukłucie smutku i zanim zaczęła grać pierwszą melodię, jaka przysła jej na myśl, przez chwilę jej palce spoczywały nieruchomo na strunach.

* * *

Rozbrzmiała ballada „Słońce i Cień”. Od pierwszej nuty Kris wiedział, że Talia gra ją zupełnie inaczej. Tam gdzie on z Dirkiem starali się uwydatnić tony zapowiadające nadejście pokrzepiającego ducha, szczęśliwego zakończenia prób, przez które przejść musieli kochankowie, i nadawali muzyce brzmienie niemal radosne — wbrew podniosłej atmosferze całego utworu — Talia wynajdywała frazy mówiące o osamotnieniu, zdając się podkreślać, iż przekleństwa ciężące na obojgu na wieki skazą ich na samotne życie zaledwie o rzut kamieniem od siebie. Miała rację, upierając się, że nie jest tak zręcznym muzykiem jak Kris, lecz w grę wkładała tyle samo uczucia, co w swój śpiew; uczucia, które przykuwa uwagę słuchaczy. W jej wykonaniu „Słońce i Cień” było pieśnią rozdzierającą serce.

Zanim Kris zdołał wykrztusić pierwsze słowo, ostatnie akordy długo brzmiały w powietrzu.

— Wciąż ci powtarzam — wydobył z siebie w końcu — że siebie nie doceniasz.

— Jesteś niestęchanie pobłażliwym słuchaczem — odparła. — Czy chcesz już ją odebrać z mych rąk, czy wolisz, bym mordowała kolejną pieśń?

— Chciałbym, byś zagrała coś jeszcze.

Wzruszyła ramionami, lecz w skrytości ducha była raczej uradowana, że nie odebrał jej Mojej Pani. Ogarnęła ją melancholia, a zapamiętując się w grze można było szukać samotności. Przymknęła oczy i spod palców popłynęły melodie, jakie właśnie przychodziły jej do głowy; czasami nawet śpiewała. Kris słuchał w milczeniu. Kiedy kilka razy obrzuciła go spojrzeniem, z jego zachmurzonej twarzy nic nie mogła wyczytać. W końcu zagrała wszystko, na co jej nastrój pozwalał i palce bezwładnie ześliznęły się ze strun.

— To wszystko, co umiem — powiedziała w ciszy, która zapadła, gdy zamilkł instrument.

— Zatem — dodał Kris, wyjmując z jej dłoni harfę — jak na jedną noc wystarczy. Myślę, że najwyższy czas udać się na spoczynek.

Wątpiła, czy zdoła zapaść w sen, lecz gdy tylko się odprężyła, natychmiast twardo zasnęła.

Trzy dni później odnieśli wrażenie, że izba Stanicy zmniejszyła się do rozmiarów celi. Czuli się jak zamknięci w lochach. Dotyczyło to zwłaszcza Talii, która zawsze nieco obawiała się zamkniętych pomieszczeń. Była tak przygnębiona, jakby duch opuścił ją zupełnie... Bała się tego; bardzo się bała.

— Kris... — powiedziała, gdy nie mogła już znieść jego krążenia tam i z powrotem po izbie. — Czy nie mógłbyś wyjść? Proszę, czy nie mógłbyś pójść sobie

dokądkolwiek?

Zamarł w pół kroku i obrócił na nią zamyślane spojrzenie.

— Wyprowadzam cię z równowagi?

— To coś więcej. To...

— Uczucie, że jest się pod obserwacją. Czy znów cię dręczy?

Odetchnęła z ulgą.

— Ty też to czujesz?

— Teraz nie, ale przed chwilą.

— Czy... ja doprowadzam nas oboje do szaleństwa? — Zaciśnęła tak kurczowo pięści, że paznokcie zostawiły ślady na dłoniach.

Usiadł na podłodze obok niej, wziął ją za ręce i pomógł jej się odprężyć.

— Nie sądzę. O ile sobie przypominasz, Tantris powiedział mi, że to las ma nas na oku.

— Co to jest?

— Mogę jedynie zgadywać: to Przekleństwo Vanyela. Ono nadało puszczy jakiś rodzaj świadomości.

— Nie sądzę, by czuło do mnie sympatię — rzekła i zagryzła wargi.

Twarz Krisa przybrała wyraz zaszuchania, jak wtedy gdy rozmawiał myślą z Tantristem.

— Tantris uważa, że „to” jest zaniepokojone z twojego powodu. Jesteś Heroldem, a jednak zagrażasz mnie, drugiemu Heroldowi. To nie jest pewne, jak wobec ciebie postąpić.

— Póki nie stracę panowania, zostawi mnie w spokoju...

— Przypuszczam, że tak. — Wstał. — I by do tego nie doszło, wychodzę.

* * *

Kris, brodząc w śniegu, przebył tam i z powrotem odcinek drogi w kierunku Rozdroży, mając nadzieję napotkać drużynę kopaczy. Kiedy powrócił do Stanicy, całkowicie nieoczekiwany aromat uderzył go w nozdrza.

— Czy ja mam przywidzenia — odezwał się, na poły przestraszony, że tak rzeczywiście jest. — Czuję zapach świeżego, gotowanego mięsa.

— Zatem jest to niezwykle realne przywidzenie, ponieważ zjesz je na kolację — z powagą powiedziała Talia. A potem, nie mogąc już dłużej wytrzymać, odskoczyła od paleniska i zarzuciła mu radośnie ręce na szyję. — Krisie, dwie wieiórki i królik! Złapałam je wszystkie! I będzie ich jeszcze więcej, przychodzą tutaj znęcone paszą! Nie zmarnowałam, ani nie złamałam nawet jednej strzały!

— Jasne Niebiosa... — westchnął, siadając ociężale, z ledwością mogąc w coś takiego uwierzyć.

Jednak Talia już podawała mu duszone mięso i bulion. Zjedli wszystko do ostatniego kawałka — swoje pierwsze od kilku tygodni świeże pożywienie — dokładnie wysysając malutkie kosteczki, rozkoszując się smakiem. Po raz pierwszy od wielu dni zasnęli z sercem wolnym od trosk.

Następnego dnia ocknęli się bardzo wczesnie rano. Chirra poruszały się niespokojnie, a Towarzysze wydawały się nasłuchiwać czegoś bardzo uważnie.

Rolan tryskał radością, czując wyraźną ulgę. Talia postanowiła dowiedzieć się z jakiego powodu.

— Tantris mówi... — zaczął Kris.

— Nadchodzą ludzie! — dokończyła za niego podekscytowana Talia. — Kriesie, to drużyna kopaczy!

— Jest wśród nich także Herold. Tantris sądzi, że dotrą do nas po południu.

— Czy odnaleźli któryś z naszych znaków?

— Tak. Herold, znalazłszy je, polecił swemu Towarzyszowi wysłać myślną wiadomość do Rolana i Tantrisa. Spotkałbym się z nimi jeszcze wczoraj, gdyby nie to, że, głupi, obrałem niewłaściwy kierunek.

— A skąd mogłeś wiedzieć, który jest właściwy? Ilu ich jest?

— Dziesięciu, nie licząc Herolda.

— Czy nie powinniśmy wyjść im na spotkanie i posunąć naprzód prace przy wykopie?

— Nie — powiedział stanowczo Kris. — Tyle, ile jesteśmy w stanie zrobić, nie pomoże im wiele, a ja wciąż jeszcze czuję w kościach zmęczenie. Spakujemy się, zrobimy porządek i wyjdziemy im na spotkanie, gdzie ścieżka wybiega na drogę.

Izba Stanicy opróżniona z ich rzeczy przedstawiała dziwny dla obojga widok. O tym, że spędzili tutaj miniony miesiąc, świadczyły jedynie puste naczynia po zapasach. Talia nie spodziewała się, że na pakowaniu strawią aż tyle czasu, ale udało im się zamknąć za sobą drzwi dopiero tuż przed południem.

Kiedy dotarli do drogi, w oddali było już widać zbliżających się przybyszów. Machali rękami i nawoływali głośno, i wkrótce, sądząc po podnieconych ruchach członków drużyny, zostali zauważeni. Kopacze zdwoili wysiłki i nie minęło dużo czasu — choć Talii i Krisowi dłużył się on okropnie — a drogi spotkały się ze sobą.

— Heroldowie Talia i Kris?

Postać w Bieli, która pierwsza przecisnęła się przez przesmyk nie była im zna-

na, choć jej nienaganne odzienie boleśnie uświadomiło im opłakany stan, w jakim się znajdowali.

— Tak, Heroldzie — odparł Kris w ich imieniu.

— Pani niech będą dzięki! Kiedy Strażnicy dowiedzieli się, iż nie zatrzymaliście się w Wymeet i nie dotarliście do Jagodowego Zakątka, oraz że wyruszyliście w drogę tuż przed zawieruchą, obawialiśmy się najgorszego. Gdybyście utknęli w śnieżnej burzy, wątpię, czy byście przetrwali noc. To był najgorszy huragan w tej części kraju od rozpoczęcia historycznych zapisków. Och, na imię mam Tedric. Jak, u licha, wyszliście z tego obronną ręką?

— W samą porę ostrzegły nas nasze chirra i zdołaliśmy dotrzeć do Stanicy, lecz mam wątpliwości, czy bylibyśmy was w stanie powitać, gdyby jakiś nieznajomy nie wyręczył drużyny Zaopatrzeniowej — odparł Kris. — Kimkolwiek był, wydawał się kierować jakimś niesamowitym przeczuciem oceniając, ile i jakich zapasów będziemy potrzebować.

— To robota Pogodowej Wiedźmy — rzucił krzepko wyglądający rolnik spośród drużyny kopaczy. — Gdy nadeszła jesień, tak długo się nam naprzykrzała, aż zaopatrzyliśmy Stanicę we wszystko, co chciała. Zmusiła nas nawet, byśmy zaglądnęli tu po pierwszych śniegach i przynieśli do spiżarni trochę niezwykłych rzeczy: miód, oliwę, solone mięso i ryby. Było ci tego u nas pod dostatkiem, Kernosowi niech będą dzięki. Jej nos nigdy jeszcze nie zawiódł, to i my poszliśmy za nim. Szczęśliwie się złożyło.

— Istotnie, Kernosowi niech będą dzięki! Widzę, że zabraliście już swoje rzeczy. Chodźcie za mną, a ja ogrzeję was, wysuszę i nakarmię do syta, zanim noc zapadnie. Stacjonuję w Stanicy Zaopatrzeniowej blisko Jagodowego Zakątka. Znajdzie się tam mnóstwo miejsca dla was, jeśli nie macie nic przeciw wspólnemu łóżu.

— Nic a nic — zapewnił go Kris czując, że Talia z wysiłkiem radzi sobie z podtrzymaniem kruchych osłon, pod naciskiem piętnastu umysłów. — Spalimy do tej pory na podłodze wyściełanej słomą, tuż obok ciepłego kominka. W tej chwili obozowa prycza będzie dla mnie królewskim łóżem, nawet jeśli bym miał dzielić ją z Tantristem!

— Dobrze. Cudownie! — wykrzyknął Tedric. — Poprowadzę was zatem, ci poczciwcy wiedzą, co robią. Teraz nie jestem im już tak potrzebny, skoro udało nam się was odnaleźć.

W drużynie kopaczy rozległ się uprzejmy szmer, lecz najwyraźniej zgadzali się z nim.

— A prawda wygląda tak, Heroldzie — szepnął Krisowi na ucho gospodarz o czerwonych policzkach — że stary Tedric to poczciwina, ale tutaj nie jest jego miejsce. Jest za stary i wielce miękkiego serca. Posada w Stanicy miała mu zapewnić zajęcie w jesieni życia, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Nie z tych on, co usiedzą bezczynnie, choć niedostatek zdrowia nie pozwala mu wyruszyć na

patrol. Naszym zadaniem jest mieć go na oku, by za bardzo nie przeszarżował, by miał co do roboty i czuł się potrzebny, lecz żeby się nie przemęczał. Strażnicy mają wszystko za niego podnosić i przenosić. Tyle że przez tę burzę Strażnicy mają pełne ręce roboty przy przecieraniu dróg, niesieniu pomocy i kiedy dowiedzieliśmy się, że zaginęliście oboje, nijak go nie można było powstrzymać. Dwakroć nas wystraszył — zasłabł i zsiniał. To wtedy, kiedyśmy już myśleli, że odgrzebiemy ze dwa martwe ciała. Dobrze się stało, żeście okazali się żywi, bośmy już myśleli, że to z trzema nieboszczykami na rękach przyjdzie nam wracać.

Słowa nieznajomego przedstawiły Tedrika w zupełnie odmiennym świetle. Kris poczuł nagły przyływ szacunku do z pozoru gadatliwego i niedołęznego Herolda. Przyjrząwszy mu się uważniej, zobaczył, że Tedric jest dużo starszy niż na pierwszy rzut oka. Mylące wrażenie powstawało być może dlatego, że Herold był łysy jak kolano i miał pulchną, dziecięcą twarz, z rodzaju tych, których wraz z wiekiem nie znaczą zmarszczki. Jego Towarzysz zachowywał się wobec niego pieszczotliwie, jednak stanowczo odmówił puszczania się drogą galopem na złamanie karku, tak by jego Herold mógł przybyć do swej Stancji zawczasu i przygotować ją na przyjęcie gości.

Talia i Kris na zmianę opowiedzieli swojemu przewodnikowi wydarzenia od chwili, gdy odkryli zarzę w Rozdrożach.

— A więc to ty jesteś Osobistym Królowej o Darze Uzdrawiania Umysłu? — zapytał Tedric Talię, przyglądając się jej z bliska wzrokiem krótkowidza.

Docierało do niej, pomimo że Rolan otaczał ją ochroną, iż Tedric czuje się w jej obecności nieco nieswojo i aż skurczyła się w sobie. — Ciekawy jestem, czy mogłabyś pomóc Pogodowej Wiedźmie.

— Zważywszy, że bezspornie zawdzięczamy jej życie, na pewno się postaram — odparła Talia, próbując nie okazać niepokoju i przygnębienia z powodu tego, że będzie zmuszona wykorzystać nieposkromiony Dar. — Kim ona właściwie jest, i dlaczego nazywacie ją Pogodową Wiedźmą?

— Och, to smutna opowieść — westchnął. — Jakieś kilka lat przed tym, jak wyznaczono mnie na tę posadę, żyła w Jagodowym Zakątku kobieta imieniem Maeven, której przytrafiło się jarmarczne dziecko — to znaczy, że nikt nie chciał się do niego przyznać i nawet matka nie ma pojęcia, kim mógłby być ojciec. Ludzie są, jacy są — psykali i wytykali palcami tak długo, aż biedactwo pożałowało ciężko, iż dziecina została poczęta, a co dopiero, że się narodziła. To tylko pogorszyło sprawę, jak się przekonacie. Znacie przecież powiedzenie: „ostrożnie stawiaj żądania, bo mogą się spełnić”. Jestem pewny, że żałowała nieraz, iż ma to dziecko, i kiedy wydarzył się nieszczęśliwy wypadek, siebie obarczyła winą. Pracowała w młynie i zostawiała dziecinę samą na dłużej, niż powinna. Kruszynie, która co dopiero zaczęła raczkować, udało się wykaraskać z koszyka, w którym

leżała. Poradzkowała prosto do kanału wodnego młyna, wpadła do wody i utonęła. To matka odnalazła ciało i od tego całkiem pomieszało się jej w głowie.

— Ale dlaczego Pogodowa Wiedźma? — zapytał Kris.

— Ona musi mieć Dar, a to, że utraciła zmysły, tylko pozwoliło niezwykłemu darowi uwolnić się, bo zaczęła przepowiadać pogodę. Zazwyczaj tuli do siebie gałgankową lalkę — która zastępuje jej dziecko — i nagle, ni stąd ni zowąd, spojrzy przez ciebie na wylot i powiada, byś zajrzał do fasoli, bo w nocy spadnie grad. I tak istotnie się dzieje. Mieszkańcy z Jagodowego Zakątka i z okolicy nabrali zwyczaju odwiedzania jej za każdym razem, gdy pogoda jest kapryśna. Zaczęła przepowiadać pogodę, która miała dopiero nadejść za kilka dni, tygodni a nawet miesięcy. To dlatego wieśniacy uwierzyli jej, gdy powiedziała im, by dobrze zaopatrzyli spiżarnię Stanicy. Szkoda, że mnie nic nie powiedzieli, osobiście dodałbym jeszcze mnóstwo od siebie.

— Zatoszczyłeś się o nią należycie, nie mamy ci nic do zarzucenia — uspokajał go Kris. — Obawiam się, że przekonasz się, że wyjedliśmy tam wszystko do ostatniej okruszki.

— To żaden kłopot — radośnie zakrzyknął Tedric. — Z przyjemnością znajdę dla siebie jakieś zajęcie. W lecie jestem dość zapracowany, jednak w zimie chwile mi się nieco dłużą. Patrząc na was, wydaje mi się, iż przydadzą się wam zapasy.

— Obawiam się, że tak — powiedziała Talia, gdy Tedric potrząsał smętnie głową nad ich uniformami. — Sądzę, że nasze rzeczy nadają się już tylko na gałgany.

— Moja Stanica jest obficie zaopatrzona, a sam nieźle sobie radzę z igłą — odparł Tedric. — Myślę, że mogę wam sprawić nowe odzienie, byście nie wyglądali jak para strachów na wróble. Mam wszystko, co potrzeba do wybielenia i odnowienia waszych skór, a więc nie będziecie ich musieli wymieniać, zaś wasze opończe wciąż jeszcze są w niezłym stanie, a przynajmniej będą, kiedy je wypierzemy. Jeśli nie zależy wam na pośpiechu, mogę odmienić wasz wygląd tak, że będziecie wyglądali niemal jak w chwili, gdy wyruszaliście, by objąć ten obwód.

— To cudownie! — zawołał Kris pełen wdzięczności.

— Mogę wam pomóc, panie — dodała Talia.

Stary Herold mrugnął do niej.

— Jednak kto wtedy będzie krawcem krawca? Z pewnością nie odmówisz staremu człowiekowi przyjemności ubrania młodej, pięknej pani, prawda?

Talia zaczerwieniła się i, by to ukryć, zmieniła ułożenie Mojej Pani na swych kolanach. Nie mając pudła, które by instrument ochraniało, postanowiła ponieść go osobiście.

— Co to? — zapytał Tedric i rozpromienił się, usłyszawszy, że harfa.

— Kto z was jest muzykiem? — nie omieszkał skwapliwie zapytać.

— Oboje, panie — odparł Kris.

— On gra o niebo lepiej ode mnie — dodała Talia. — Heroldzie Tedriku, byłibyśmy ogromnie wdzięczni, gdybyście mogli znaleźć kogoś, kto wykonałby dla niej nową skrzynię podróżną. Starą musieliśmy zniszczyć, by zrobić z niej łopaty do śniegu.

— Stolarz z dumą się tego podejmie — odrzekł Tedric. — Prawdę powiedziawszy, może ma już jaką, która się nada. Za kilka tygodni w stolicy obwodu odbędzie się Jarmark Śródzimowy i on przygotowuje już na niego kilka pudeł na instrumenty, małe, rzeźbione puzderka i tym podobne błahostki. Widzicie, zdobył sobie imię za wyrób drobiazgów i mebli. Odtąd rozkaże zostawiać w naszych Stanicach także i łopaty. Nie każdy Herold nosi przy sobie futerał na harfę, który może poświęcić.

Minęli Jagodowy Zakątek tuż przed zachodem słońca — Talia wdzięczna Rolanowi za troskliwe otoczenie jej osłoną — i dotarli do Stancji Zaopatrzeniowej z nadejściem ciemności. Okazało się, że jest tutaj znacznie więcej miejsca, niż to sobie Talia wyobrażała.

— Jasne Niebiosa! — wykrzyknęła. — Moglibyście pomieścić z połowę Kolegium.

— Och, większość miejsca nie zajmują izby mieszkalne, ale stodoła na siano, skład i spichlerz. Mam jednak trzy dodatkowe izby, na wypadek gdyby jakaś potrzeba sprowadziła większą liczbę Heroldów aż tak daleko na, północ. Jednak tylko w jednej izbie stoi łożo dla dwóch przybyszów, gdyby było ich więcej, musieliby zadowolić się prowizorycznym pościeleniem na podłodze. Ale wróćmy do tego, co najważniejsze. Spodziewam się, że z radością wzięlibyście gorącą kąpiel. Sprawi wam obojgu przyjemność wieść, że mam prawdziwą izbę łaźniową, taką samą jak w Pałacu lub Kolegium, Wykąpcie się, a ja w tym czasie poszukam wam jakiegoś przyodziewku, który będziecie nosić, póki nie obstalujemy wam nowego odzienia i nie wyczyścimy waszych skór. Gdy będziecie gotowi, pojawi się kolacja. Jak wam się to podoba?

— To brzmi cudownie, zwłaszcza słowa o gorącej kąpeli! — wykrzyknęła Talia radośnie, wjeżdżając do stajni i zeskakując z siodła.

— Zatem wejdźcie, proszę, drzwiami, które są, o tam, ja zajmę się waszymi zwierzętami i przyjaciółmi. Wejdźcie po schodach na górę i zaraz skróćcie na prawo. Już rozpalono pod płytą; robię tak od dawna w nadziei, że was znajdziemy. Do waszej izby dojdziecie, skracając w lewo.

Zabrali ze sobą po niewielkim zawiniątku, Talia dodatkowo niosła jeszcze harfę, i udali się wskazaną im drogą. Słowa Tedrika nie były czczymi przechwałkami, izba łaźniowa — choć posiadała zaledwie jedną kąpielową balię — była kropka w kropkę jak łaźnie pałacowe.

— Kto z nas będzie pierwszy? — zapytała Talia, ogarnięta tęsknotą za czysty-

mi włosami i długim moczeniem się w balii.

— Ty. Wyglądasz jakbyś gotowa była umrzeć — stwierdził Kris.

— Czuje lekkie zmęczenie — przyznała.

— Zatem wykąp się. Ja poczekam.

Kiedy jej znużone mięśnie w końcu się rozluźniły, a nagromadzony brud został bezlitośnie wyszorowany, owinęła się ręcznikami i poszła na poszukiwanie przydzielonej im izby. Stwierdziła, że Tedric zdążył już tu być przed nimi, bo na łożu czekały rozłożone płócienne bryczesy i tuniki mniej więcej w ich rozmiarach — mniej niż więcej. Jeśli tak wyglądały rzeczy zebrane w magazynie, czekało ich mnóstwo pracy.

Położyła się na łożu, zamierzając rozprostować kości jedynie na chwilę... i natychmiast twardo zasnęła.

Kris zszedł na dół, by porozmawiać z Tedrikiem na osobności. Uwagi Kri-sa nie uszedł początkowy strach starca, gdy znalazł się on w pobliżu Talii. Nie umknęło mu także i to, że Herold wiedział, iż Talia jest Osobistym Królowej oraz słyszał o jej Darze. Tożsamość jego czeladnika nie miała być powszechnie znana, a o Darze Osobistego Królowej nie rozprawiano publicznie nawet na forum Kręgu. Kris doszedł do wniosku, że jest nieco zbyt znużony, by bawić się w dyplomację, i wprost zapytał starca, skąd doszły do niego wieści o Talii.

— To... po większej części pogłoski — odparł zdumiony Tedric. — Choć nawet połowie nie dają wiary. W głowie nie mogłoby mi się pomieścić, że Herold nadużywa swojego Daru i nie wierzę, by Kolegium pozwoliło sobie na wypuszczenie kogoś kiepsko wyszkolonego. I tak powiedziałem. Jednak muszę cię ostrzec, że krąży tu mnóstwo domysłów i nie brak jest oczu, które z radością powitałyby, gdyby Heroldowi powinęła się noga.

Wymieniwszy dla niepoznaki grzeczności, Kris wspinał się po stopniach schodów z obawą w sercu. W izbie odnalazł śpiącą głęboko Talię, a więc nie budząc jej, zabrał swoje ręczniki i poszedł wziąć kąpiel.

Gdy tymczasem w balii jego ciało odprężyło się w gorącej wodzie, umysł nie mógł odpocząć. Gdyby ktokolwiek odkrył to, w jakim Talia znajdowała się stanie, byłaby to zmaza nie tylko na jej reputacji, ale i wszystkich Heroldów, i mogłoby to zaszkodzić nawet Kolegium — zostałyby poważnie zachwiane zaufanie, jakim cieszyło się wśród samych Heroldów, gdyby dowiedzieli się, jak kiepsko Talią pokierowano. Z tego właśnie powodu nie ośmielili się przerwać patrolu i wrócić. W oczach pewnej grupy krytyków byłoby to przyznaniem się do porażki, na co od dawna czekali. Kris nie mógł także pozwolić, by którykolwiek spośród starszyzny Heroldów dowiedział się, jak słaba jest władza Talii nad własnymi zmysłami, gdyż doprowadziłoby to do ogromnych tarć w łonie samych Heroldów, a skutki tego wszystkiego musiałyby ponieść Selenay i Elspeth, nie mówiąc już o innych,

towarzyszących temu kłopotach. To Kris i Talia, bez niczyjej pomocy, musieli wyprowadzić z tego stanu jej zmysły, by mogła ponownie zacząć działać tak, jak to było, zanim nadeszły owe kłopoty.

I z tym trzeźwym postanowieniem dokończył kąpieli, ubrał się i opuścił łaźnię, by zbudzić swego czeladnika.

Talia obudziła się z drzemki w dość dobrym nastroju, podśmiechując się z cicha z tego, jak wyglądała w zbyt obszernym przyodziewku dostarczonym przez Tedrika.

— Wszystko dlatego, że dwie trzecie Heroldów to mężczyźni, ptaszyno — wyjaśnił Kris. — Stanice Zaopatrzeniowe otrzymują te same sorty, a więc większość odzienia, jakie w nich znajdziesz, przewidziano dla chłopów na schwał. Spodziewam się, że jeśli zostawić mu nieco czasu, Tedric doszuka się czegoś, co będzie zbliżone do twojego rozmiaru. Jeśli myślisz, że wyglądasz komicznie, spójrz na mnie!

Bryczesy, które naciągnął na siebie, były lepiej dopasowane w pasie, za to ich nogawki były olbrzymie, workowate i przydługie, a rękawy tuniki sięgały daleko poza koniuszki palców.

— Spodziewam się, że posiada wszystko tylko w dwóch rozmiarach: ogromny i „namiot”. Jakkolwiek by było, lepiej jest jakąś rzecz obciąć, niż łątać przykrótką tkaninę.

Zeszli po schodach, by spotkać się z gospodarzem — Kris bosonogi, a Talia w swych bamboszach ze skóry jagnięcia, ponieważ ich buty tak zeszywniały od przesiąkania wodą i suszenia na przemian, że włożenie ich kosztowałoby zbyt dużo wysiłku. Jednak siedziba była doskonale ogrzewana i Krisowi wcale nie było niewygodnie z powodu bosych stóp.

Odnaleźli starego Herolda krzątającego się gorączkowo w izbie, która zdawała się połączeniem kuchni i bawialni. Zachichotał ujrawszy, że wyglądają jak para dzieci, która przywdziała rzeczy po swoich rodzicach.

— Wziąłem, co było pod ręką — przeprosił ich. — Mam nadzieję, że nie macie mi tego za złe.

— Są czyste, suche i ciepłe. — Kris uśmiechnął się. — A teraz na tym jedynie nam zależy. Muszę przyznać, że ten zapach zwabiłby mnie tutaj, nawet gdybym miał zarzucić na grzbiet zwykły wór po ziarnie.

Było to dla Tedrika miłym pochlebstwem, najwyraźniej w niepamięć już puścił przesłuchanie, jakie Kris urządził wcześniej.

— Kiedy się żyje samotnie, trzeba mieć jakiegoś konika. Moim jest gotowanie. Mam nadzieję, że moja kuchnia nie okaże się mniej smaczna od tej, do której przywykliście.

Talia roześmiała się.

— Panie, my przywykliśmy do owsianki, duszonego mięsa z zeszlými ziołami, przypalonych placków i jeszcze raz owsianki. A więc ani chybi smak

waszych znakomitości dorówna cudownemu uczuciu, jakie opanowało nas, gdyśmy moczyli się w balii!

Dziczyzna przyprawiona ziołami i grzybami smakowała o niebo lepiej od posiłków, które sobie dotąd przyrządzali. Sięgnąwszy myślą do Rolana, Tantrisa i chirra, Talia przekonała się, że i z nimi Tedric obszedł się tak samo szcudrobliwie. Stojące w ciepłej stajni Towarzysze, najadłszy się do syta, powoli zapadały w drzemkę.

Po zaspokojeniu głodu, Kris pomógł Tedrikowi posprzątać kuchnię, a Talia pobiegła do izby po Moją Panią.

— Wydawałeś się, panie, tak zainteresowany tym, kto z nas jest muzykiem, iż postanowiłem odwdziżyć się za gościnność — powiedział Kris i zaczął stroić harfę.

— Muzyka nie rozbrzmiewa tutaj zbyt często — odparł Tedric z nieskrywaną radością w oczach. — Myślę, że to jedyny niedostatek tej posady. Gdy patrolowałem obwody, zawsze udało mi się napotkać jakiegoś Barda.

Stary Herold siedział zasluchany, z obliczem spokojnym i szczęśliwym. Widać było wyraźnie, że bardzo jest mu brak towarzystwa innych Heroldów, i że tutaj, nad samą Granicą, bardzo doskwiera mu brak muzyki. Niewykluczone, że wędrowni Bardowie nie zauważali jego Stanicy niewidocznej z drogi, na poły ukrytej i leżącej w pewnej odległości od Jagodowego Zakątka. Możliwe, że nawet w lecie — jedynej porze, kiedy czeladnicy Bardowie mogli tutaj trafić — zapracowany Tedric nie miał wolnej chwili, by udać się do wioski, w czasie kiedy przejeżdżali tamtędy Bardowie. Kris postanowił po powrocie powiadomić o tym kogo trzeba, przy wysyłaniu następnego raportu. Stary Tedric nie będzie musiał obywać się bez ulubionych pieśni, jeśli będzie mógł na to zaradzić.

Kiedy w końcu przyznali, że są znużeni, Tedric natychmiast wstał i zaczął nalegać, by udali się na spoczynek.

— Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Tak długo was zatrzymywałem — przepraszał. — Przecież nie wypuszczę was stąd, dopóki nie uda mi się was na nowo odziać. Może nawet na tydzień lub dwa ukryję wszystkie igły pod korcem!

Kiedy wstali następnego dnia — z jakimś ociąganiem, ponieważ z puchowym, ciepłym i miękkim pościeleniem ciężko było się żegnać — stwierdzili, że Tedric już umieścił ich skóry i buty w kadziach z płynem wybielającym i rozmiękczającym. Talia pomogła mu rozpruć niektóre ze zniszczonych części przyodziewku, by mogły posłużyć za wzór i razem przystąpili do dopasowywania ubrań, które znajdowały się w składach. Tedric posługiwał się igłą i nitką tak zręcznie, jak twierdził, i do końca dnia byli już bardzo zaawansowani w uzupełnianiu nadszarp-

niętego zapasu odzienia, a nie można by przy tym odróżnić nowego przyodziewku od tego, który uszyto w Kolegium. Ze swym zadaniem uporali się do końca tygodnia, sprawiając sobie całkowicie nowy ekwipunek.

A potem niezwłocznie przystąpili do wypełniania swych obowiązków wobec mieszkańców Jagodowego Zakątka.

Okazało się, że odpoczynek i spokój pomogły Talii umocnić odzyskaną nad swym Darem władzę. Potrafiła już nawet samodzielnie przetrwać najgorszy nawał natarczywych myśli z zewnątrz; to niewiele, lecz lepsze niż nic. Wydawało jej się, że jest nawet w stanie powściągnąć własne zmysły przed wpływaniem na nastroje otaczających ją ludzi, dopóki nie zostanie zaskoczona, wystraszona lub zaatakowana, lecz nie była całkowicie pewna, co zrobiłaby, gdyby ją coś takiego spotkało. Jednak dręczenie się takimi obawami nie prowadziło do niczego.

Przy wkraczaniu do wioski niemal straciła swe kruche bastiony. Wiedziała, że plotki sięgnęły aż tak daleko na północ, bo Kris ją przed tym ostrzegął, lecz nie na wiele się to zdało. Kiedy stanęli w wioskowej kancelarii, pochwyciła nie mało rzucanych jej kątem oka, czujnych spojrzeń. Jednak najgorsze było to, że pierwsza, wnosząca prośbę osoba stanęła przed nią nosząc talizmany przepędzające moce czarnej magii. Próbowała ukryć swe uczucia pod maską uprzejmości i spokoju, lecz podejrzliwość wieśniaków a nawet strach zabębniły jak grad o jej kruche osłony, i ze zmartwienia miała ochotę wybuchnąć płaczem. W końcu stało się to nie do zniesienia.

— Krisie... ja muszę się przejść — wyszeptwała.

Prześliznął się zaledwie wzrokiem po bruzdach wrytych przez ból pod jej oczami i przyzwalająco skinął głową. Co prawda nie był empatą, lecz nawet i bez tego Daru z łatwością można było czytać w umysłach ludzi, którzy poobwieszali się w obecności Herolda talizmanami chroniącymi przed złym okiem.

— Idź... wracaj, gdy będziesz gotowa, nie wcześniej.

Razem z Rolanem wykroczyli poza rubież osady. Znalazłszy się z dala od ludzi, zaczęła przeklinać, wylewać łzy, tupać ze złością w ośnieżone stoki pagórków, póki nie rozboleły jej posiniaczone stopy i nie oziębiał z wyczerpania skołatany umysł. Wtedy dopiero powróciła do wypełniania przerwanych obowiązków.

Na drugi dzień niepokój mniej jej dokuczał, a na trzeci zniknęły talizmany chroniące przed złym okiem.

Jednak wciąż głowiła się, co powiedzą wieśniacy, gdy czwartego dnia przyjdzie im odszukać Pogodową Wiedźmę.

Panujący dookoła zaniedbanego domku Pogodowej Wiedźmy smutek był tak wyraźny, że Talia niemal mogła poczuć jego smak na języku. Poruszanie się

w nim przypominało przedzieranie się po omacku przez ciemną chmurę. Pogodowa Wiedźma siedziała w ciemnym, zimnym, brukowanym kocimi łbami kącie, zawodząc coś do siebie i kołysząc lalkę z wystrzępionych gałganów. Nie raczyła rzucić nawet okiem na trójkę, która stanęła przed nią. Tedric szeptem wyjaśnił Talii i Krisowi, że wieśniacy przynoszą jej pożywienie i troszczą się o domek, lecz że świadomości starcza jej tylko na tyle, by wiedzieć, kiedy stawiają przed nią posiłek. Ogarnięty współczuciem Kris potrząsnął głową z niedowierzaniem, przekonany, że jego czeladnik niewiele — o ile w ogóle — może biedaczce pomóc.

Zacieniony umysł na poły przyciągał, na poły odtrącał Talię od siebie. Gdyby to spotkanie odbyło się przed rokiem, nie powątpiewałaby, że może cokolwiek osiągnąć, lecz teraz? Jednak przybywszy już tutaj, osobiście zetknąwszy się z takim cierpieniem, nie mogła już zawrócić. Ni to przyklęknęła, ni to opadła na czworaki na brudną podłogę o wyciągnięcie ręki od nieszczęśliwej kobiety. Odśloniła swe myśli, wzdrygnęła się zaniepokojona i pozwoliła się wciągnąć.

Kris poważnie niepokoił się o Talię — nie wiedział, jak działa jej Dar, i bał się, że z łatwością wpadnie w pułapkę zastawioną przez szalony umysł tej kobiety. A wtedy, cóż mógłby począć? Talia trwała w na poły klęczącej pozycji tak długo, że Krisa solidarnie rozboleły kolana. Po chwili zaczęła oddychać w zwyczajnym rytmie i powoli uniosła powieki. Kiedy uniosła głowę, Kris wyciągnął do niej rękę i pomógł jej wstać.

— No i? — zapytał z nadzieją Tedric.

— Wędrowna rodzina zmarła na zimową chorobę dwa miesiące temu. . . wspomniana w raporcie z Domesday, czy została po nich sierota? — odparła z lekko szklanymi oczyma.

— Tak, chłopczyk — odezwał się Kris, a Tedric kiwnął potakująco głową.

— Kto go przygarnął?

— Ifor Ślusarski Mistrz. Nie był zbyt uradowany, ale ktoś musiał się biedactwem zająć — powiedział Tedric.

— Czy możecie go tutaj sprowadzić? Czy Ifor zaoponuje, jeśli dla tego chłopca znajdziecie inny dom?

— On nie zrobiłby tego, lecz tutaj? Wybacz, lecz to zakrawa na lekkie szaleństwo.

— To jest lekkie szaleństwo — zgodziła się Talia, zwieszając głowę ze zmęczenia, tak że Kris nie mógł nic wyczytać z jej tonącej w cieniu twarzy — lecz być może ono okaże się zbawiennym lekarstwem na jej obłąd. Proszę, sprowadźcie go tutaj. Zobaczmy, czy nie zawodzi mnie moje przeczucie.

Tedric wyraźnie targany wątpliwościami odjechał, by przed upływem marki na świecy powrócić z opatulonym podrośniętym dziecięciem, kwilącym i popłakującym z cicha.

— A teraz wywołajcie ją z chaty, nie dbam o to jak — powiedziała Talia zmęczonym głosem do Tedrika, biorąc z jego rąk dziecię i uciszając je. — Jednak

niech nie zabiera ze sobą lalki.

Tedric zwabił Pogodową Wiedźmę łakociami, przekonując ją, by podążyła za nim, a wcześniej namawiając do ułożenia „niemowlaka” w kołysce obok dymiącego ognia. Talia wśliznęła się do izby, gdy kobieta stała odwrócona do niej plecami. Niemal natychmiast przez ścianę chaty przeniknęło dziecięce zawodzenie. Szalona podskoczyła tak, jakby ją ktoś biczem smagnął.

Kris w życiu nie był świadkiem tak niezwyklej przemiany: oczy straciły na pół szalone, dzikie wejrzenie, błysnęła w nich inteligencja i zdrowy rozsądek. W mgnieniu oka stała się istotą ludzką.

— J... Jethry? — zająknęła się.

Płacz dziecka rozległ się ponownie, tym razem głośniejsz.

— Jethry! — wykrzyknęła i pobiegła do drzwi.

W kołysce leżało dziecko przywiezione przez Tedrika, miało być może niespełna rok, i rzewnie płakało. Wzięła je na ręce i przycisnęła do piersi, tuląc, jakby własną, zwróconą jej duszę, to śmiejąc się, to płacząc. Ledwie dziecina poczuła dotyk jej dłoni, a nastąpiło jeszcze jedno wydarzenie, być może najdziwniejsze — płacz ustał jak nożem uciął, a dziecina zaczęła gaworzyć do kobiety.

Talia nawet na nich nie patrzyła, przycupnęła zgarbiona na progu i rozcierała palcami skronie. Towarzyszący jej dwaj Heroldowie śledzili zachodzące przemiany, nie mogąc oderwać wzroku.

W końcu kobieta przeniosła uwagę z dziecka na Talię. Zbliżyła się do niej z wahaniem i zatrzymała o kilka stóp przed nią.

— Heroldzie — powiedziała pewnym tonem — ty to zwróciłaś mi moje dziecko. On był nieżywy, lecz ty odnalazłaś go dla mnie!

Talia podniosła oczy i potrząsnęła przecząco głową.

— Nie ja, moja pani. Zawdzięczamy to tylko tobie, i to ty wskazałaś mi, gdzie go odnaleźć.

Kobieta wyciągnęła rękę, by pogłaskać Talię po policzku. Kris zrobił gest, jakby chciał w tym przeszkodzić, jednak Talia dała mu znak, że nic jej nie grozi.

— Odzyskasz to, co do ciebie należało — powiedziała Pogodowa Wiedźma matowym głosem, wpatrując się nieobecny wzrokiem w coś, czego żadne z nich nie mogłoby zobaczyć — i nigdy już nikt nie odbierze ci tego. Odnajdziesz to, do czego tęskni twe serce, lecz nie wcześniej, nim ujrzysz Niebiosa. Niebiosa wezwą cię do siebie, lecz drogę zastąpią ci miłość i obowiązek. Miłość rzuci śmierci wyzwanie do walki o ciebie. Do największych radości dojdiesz przez najgłębszy smutek, a twemu największemu spełnieniu nie będzie towarzyszył cień żalu.

— Nie ma radości, której nie poprzedza gorycz żalu — zacytowała Talia szepem, jakby tylko do siebie, tak cicho, że Kris ledwie dosłyszał te słowa.

Oczy kobiety ponownie patrzyły przytomnie.

— Czy ja coś mówiłam? Czy coś widziałam? — zapytała, najwyraźniej zmieszana. — Czy to była odpowiedź, której szukałaś?

— Tak, to była odpowiedź — odparła Talia z uśmiechem. — Jednak, czy nie masz ważniejszych spraw na głowie?

— Mój Jethry, mój malutki! — wykrzyknęła, tuląc dziecko mocno do piersi, jej oczy rozjaśniły się od łez. — Tyle muszę zrobić, by się odwdziżyć. Och, Heroldzie, jakże mam ci dziękować?

— Opiekując się Jethry i kochając go tak głęboko jak teraz oraz nie zwracając sobie głowy paplaniną innych — powiedziała Talia, dając pozostałym dwóm znak, by wyszli, i szparkim krokiem oddalając się ich śladem.

— O Jasne Niebiosa! — wykrzyknął nieco zaniepokojony Tedric, gdy oddalili się poza zasięg głosu. — Toż to było jak z opowieści o gusłach i zdejmowaniu kłatw! Cóżes ty za dziwnej magii tam użyła?

— Mówiąc prawdę, sama nie jestem pewna — przyznała się Talia, grzbietem dłoni pocierając zmęczone oczy. — Gdy ją dzisiejszego ranka dotknęłam myślą, ujrzałam jakby... linę, więź... Była tym do czegoś przywiązana. Wydawało mi się, że widzę stronę z raportu, na której wspomniano o wędrowcach. Wiem, że przybysze nie są zbyt mile widziani w tych stronach, a więc zaryzykowałam domysł, że ocalałe dziecię niełatwo znajdzie nowy dom dla siebie. Tu potwierdziłeś moje domysły, Tedriku. Miałam wrażenie, że jej potrzebna jest jeszcze tylko jedna próba zrobienia wszystkiego jak należy. Czy to, co mówię, brzmi rozsądnie?

— Bardziej niż się tego mogłem spodziewać. To przecież niemożliwe, by on mógł być... jej? Prawda? — wtrącił z wahaniem Kris.

— Krisie, nie jestem kapłanem! Skąd, u licha, mogłabym znać odpowiedź? Mogę ci jedynie opowiadać o tym, co czułam i co widziałam. Małeństwo jest mniej więcej w tym samym wieku, bezspornie wydają się siebie rozpoznawać, choć może raczej jako dwie osierocone dusze potrzebujące uczucia. Nie odważę się na żadne dalsze domysły.

— Okropnie grubiańsko jest o to pytać, wiem — odezwał się Tedric, zdając się nieco mniej zaniepokojony, gdy magiczne zjawisko zostało wyjaśnione w oparciu o zdrowy rozsądek — lecz... moc nie opuści jej teraz, gdy już wróciły do niej zmysły, prawda?

— Pozbądź się obaw. Myślę, że i ty, i mieszkańcy Jagodowego Zakątka możecie mimo wszystko liczyć na jej pogodowe gusła — odparła Talia. — Opierając się na zdobytym doświadczeniu, powiem ci, że tego rodzaju Dar, gdy raz się zbudzi, rzadko ulega ponownemu uśpieniu. Przypomnij sobie, co ona mnie powiedziała!

— „Miłość rzuci śmierci wyzwanie do walki o ciebie” — powtórzył Kris. — Dziwne... i raczej mgliste Jak mi się wydaje.

— Jak to w zwyczaju mają przepowiednie — rzekł Tedric z przekąsem. — Jakie to szczęście, że jej ostrzeżenia pogodowe są ściślejsze. Idziemy, i ty, i Rolan jesteście znużeni i głodni. Zasłużyłaś na godziwy posiłek i solidny wypoczynek w nocy, zanim ponownie staniecie na gościńcu.

— I wbrew przepowiedniom w tej chwili moje serce tęskni do pasztetu z dzi-

czyzny twojej roboty i do tego, by po spędzeniu wieczoru na spokojnej biesiadzie, zasnąć twardym snem w twym miękkim, puchowym łożu. Nie przyszłoby mi na myśl przedtem odwiedzać Niebios! — roześmiała się zmęczona Talia, biorąc Krisa i Tedrika za ręce, zostawiając za sobą, idącego za nią trop w trop Rolana.

No cóż, z tej próby wyszła zwycięsko. Musiała jedynie dalej jakoś unikać katastrofy.

JEDENASTY

— Ha, ptaszyno — leniwie odezwał się Kris. — Patrzeć tylko, a nastanie Noc Świętojańska. Masz za sobą połowę praktyki. Ocena, proszę.

Talia bezmyślnie skubała trawę obok siebie.

— Mówisz poważnie, czy żarty sobie stroisz?

— Całkowicie poważnie.

Słońce wspięło się do zenitu. Białe-złote promienie, znalazłszy lukę w listowiu nad ich głowami, rozszczepiły się i zlały ciepłem na prawą łopatkę Talii. W wysokiej trawie brzęczały owady, od czasu do czasu sennie zaśpiewał ptak. Znajdowali się w Stanicy na południu swojego Obwodu, tam gdzie minionej jesieni po raz pierwszy przekroczyli jego granicę. Dziś lub jutro miał się z nimi tu spotkać Herold-kurier, by przekazać najświeższe wieści i nowe prawa. Teraz jednak mieli czas wolny. Poświęcili go na odpoczynek, do czego tak bardzo nie nawykli.

Talia długo i głęboko myślała, a w tym czasie Kris żuł źdźbło trawy, ułożywszy się na plecach w cieniu, mrużąc powieki tak, że zamieniły się w szparki.

— To było straszne — powiedziała w końcu, kładąc się z głową na ramieniu. — Chciałabym, by minionych dziewięciu miesięcy w ogóle nie było. To było okropne, gdy po raz pierwszy wjechaliśmy do miasta, a tam już dotarły plotki o mnie, ale...

— Hmm? — przynaglił ją, gdy cisza zbyt długo zaczęła się przedłużać.

— Ale... gdyby to... gdyby mój Dar zaczął płać mi psikusy... na Dworze? Wtedy mogłoby być jeszcze gorzej.

— Otoczono by cię tam opieką — zwrócił jej uwagę — lepszą niż mnie było stać.

— Ale dopiero po tym, jak obróciłabym coś w perzynę. O bogowie, boję się o tym nawet myśleć... Gdyby tak moje zmysły rozpetęły burzę na Dworze wypełnionym ludźmi... — zadrżała. — Przynajmniej teraz uczucia, które próbują mi się wymknąć, ulegają mej świadomości a nie intuicji, nawet jeśli moje osłony nie są jeszcze tak mocne i szczelne jak dawniej.

— Wciąż sprawiają ci kłopoty?

— Wiesz, że tak, widzisz mnie w otoczeniu tłumu. Czasami nienawidzę cię

za to, że przez ciebie muszę tutaj być, lecz natychmiast uświadamiam sobie, że nie mogę wrócić, póki szczelnie nie osłonę mego umysłu. Nie możemy przed nikim się z tym zdradzić, póki się z tym nie uporam — nawet przed Heroldami.

— Widzę, że rozumiałaś problem.

— Nie potrzeba wiele, by ludzie, stwierdziwszy, że w plotkach tkwi ziarenko prawdy, uwierzyli w nie całkowicie. Obserwowałam ciebie, jak ochraniałeś mnie za każdym razem, gdy spotykaliśmy się z jakimś Heroldem. Jest jeszcze coś innego. Nie mogę wrócić, póki się jeszcze czegoś nie dowiem.

— Czego?

— Nie tylko tego, jak działa mój Dar, ale dlaczego i kiedy. Te pytania nie dają mi spokoju, ponieważ plotki, że obchodzę się z ludźmi jak z marionetkami tak bliskie stały się prawdy. Używałam mego Daru do oceny zasiadających w Radzie i w oparciu o to działałam. Kiedy coś takiego staje się manipulacją?

— Nie wiem. . .

— Teraz boję się korzystać z Daru.

— A, niech to! — przetoczył się z pleców na bok, aż włosy zasłoniły mu oczy. — To właśnie jest dla mnie udręką. Na ognie piekielne! Nie doszłoby do czegoś takiego, gdybym po prostu trzymał język za zębami.

— I stałoby się to, kiedy chwila byłaby jeszcze mniej odpowiednia.

— Lub wcale — niebieskie oczy przewierciły ją na wylot. — Za to, że coś się złego wydarzyło, ja jestem odpowiedzialny w takiej samej mierze.

Na to nie udało się jej znaleźć odpowiedzi.

— Hm, wydarzenia rzeczywiście nabrały złego biegu, lecz mam wrażenie, że robimy wszystko, by zawrócić — odezwał się w końcu.

— Mam nadzieję. Tak myślę.

— Ha, z wszystkim innym radzisz sobie doskonale.

W jego głosie pojawiła się nuta niepokoju; była wyczulona na tyle, by wiedzieć, że to ma związek z jej osobą, a nie z tym, że jest Heroldem.

O, bogowie! Za wszelką cenę starała się ukryć rozczarowanie. Uczyniła wszystko, co w jej mocy, by ich znajomość nie rozwinęła się w nic poza związek przyjaciół-kochanków, i nie dopuścić, by przez ten jej Dar zadurzył się w niej, albo jeszcze co gorszego. Przeważnie miała wrażenie, że się jej to udaje, lecz potem przytrafiały się takie jak ta chwila, kiedy to spoglądał na nią z chmurną twarzą. Wiedziała już, że nie oczekuje od niego nic więcej, ponieważ im mniej go potrzebowała, tym bardziej jej uczucia do niego zaczęły przypominać te, które dzieliła ze Skifem. Jednak czy w jego przypadku było tak samo?

— Ciekawy jestem, co u Dirka — rzekł Kris ni z tego, ni z owego. — Teraz i on patroluje obwód.

— Jeśli ma odrobinę oleju w głowie, cieszy się, że nie jest zdany na twoją kuchnię. — Obrzuciła go garścią zerwanej trawy, a on uśmiechnął się do niej szeroko. — Powiedz mi, dlaczego wciąż nazywasz mnie ptaszyną.

— Dobre pytanie. To nadane ci przez Dirka imię. Przypominałaś mu leśnego skowronka.

— Co to jest leśny skowronek? — zapytała zaciekawiona. — Nigdy żadnego nie widziałam.

— Nie widuje się go zazwyczaj, tylko słyszy. Skowronki leśne są bardzo płochliwe, trzeba wiedzieć dokładnie, gdzie patrzeć, kiedy chce się go zobaczyć. Są małe, ich piórka są brązowe i niemal doskonale stapiają się z tłem krzewów. Choć się nie wyróżniają, na swój sposób są niezwykle piękne. Lecz on nie myślał o tym, gdy nadawał ci to imię; leśne skowronki mają najpiękniejsze głosy spośród ptaków zamieszkujących puszcze.

— Och! — wykrzyknęła, zaskoczona miłymi słowami nie bardzo wiedząc, jak na nie odpowiedzieć.

— Mogę ci nawet powiedzieć, od kiedy zaczął tak cię nazywać. To było tuż po twoim omdleniu, kiedy podniósł cię z podłogi, by odnieść do twojej izby. „Jasne Niebioso, powiedział, waży tyle co ptaszyna”. A potem w noc po uroczystych obchodach, kiedy śpiewaliśmy razem, przyłapałem go, jak patrzy na ciebie — obserwującą tancerzy — i mruczy pod nosem: „Leśny skowronek. Ona jest płochliwym, leśnym skowronkiem!” Nagle zobaczył, że się mu przyglądam, i rzekł: „Ha, tak jest!” Nie chciałem, by mi podbił oko, i przyznałem mu rację. I tak bym się z nim zgodził; zawsze to robię, gdy się nie myli.

— Wy dwaj — westchnęła — jesteście szaleni.

— Nie, moja pani, jesteśmy Heroldami. To nas zbliża, lecz nie prowadzi do szaleństwa.

— Zatem i ja jestem szalona.

— Ty to powiedziałaś — roześmiał się — nie ja.

Zanim cokolwiek przyszło jej do głowy, usłyszeli tętent na ścieżce, która wiodła do ich Stancy, i pośpiesznie zerwali się na równe nogi. To był oczekiwany kurier. . . i tym kurierem okazał się Skif.

— Co za dzień! — wykrzyknął, zeskakując w pobliżu nich w biegu. — Oboje bezspornie wyglądacie na całych i zdrowych! Jak pączki w maśle, jeśli pomyśleć, że oto jest para, która zajrzała w oczy śmierci podczas owej zimowej wichury. Dirk był nielicho zaniepokojony, gdy z nim rozmawiałem.

— Jeśli zamierzasz się z nim wkrótce zobaczyć, albo znaleźć wędrownego Barda, który by przesłał wieść, możesz mu przekazać, że cieszymy się dobrym zdrowiem, a najgorsze, co nas spotkało, to że Talia musiała poświęcić futerał na harfę — odparł wesoło Kris.

— Powiadasz: jeśli. Jasne Niebioso, przecież ja nie mam wyboru! Pod groźbą bliżej nie określonych tortur otrzymałem surowy rozkaz, by go odszukać po odprawie z wami. Z jego zachowania wynikało, że oboje nie macie ni łąta oleju w głowie i nie potraficie uchronić się nawet od deszczu, o zimowej wichurze nie wspominając.

Kris po raz kolejny popatrzył na Talię kątem oka.

— Najlepiej będzie, jeśli zaprowadzisz swego Towarzysza do Stancicy. Zabierzemy tam także wszystko, co masz dla nas — zawyrokowała Talia. — Przekazywanie wieści potrwa dobrą chwilę, nic nie może nam umknąć.

— Dobrą chwilę! Z ciebie wcielenie skromności, Talio! Nie mam obaw, że przy tobie strawimy wiele czasu — rzekł Skif i uśmiechnął się od ucha do ucha. — Wiem przecież, że zapamiętujesz szybciej ode mnie, a Kris był moim nauczycielem Dalekowidzenia i ma równie doskonałą pamięć. Rozkulbaczę tylko Cymry, żeby mogła sobie pobrykać — muły mogą osobiście poprowadzić, idąc pieszo.

— Pomożemy ci z rzędem — zaproponował Kris. — Trudno, byśmy szli z pustymi rękami, a ty dźwigał wszystkie ciężary.

Skif przystał na to z ochotą i wolnym krokiem udali się ścieżką do Stancicy. Kris niósł zarzucone przez ramię siodło i czaprak, Talia pozostałe części rzędu, a Skif torby podróżne.

— Przywozłem wam nie lada ładunek — powiedział Skif, gdy znajdowali się o krok od Stancicy — mnóstwo rzeczy i wieści; jesteście na to przygotowani, mam nadzieję.

— Czekamy niecierpliwie — odparła Talia. — Zaczęła nam już dokuczać nuda przy powtarzaniu w kółko tych samych, zwietrzałych wieści.

— Czyż ja tego nie wiem! Ha, nowości jest bez liku, i to dotyczących spraw prywatnych jak i publicznych; więcej niż moglibyście się spodziewać. Co mam zrobić najpierw — opowiadać, czy wręczyć wam pakunki dla was?

— I jedno, i drugie — odpowiedział Kris z czarującym uśmiechem dziecka. — Możesz snuć opowieść, podczas gdy my będziemy się zachwycać dobrami.

— Dlaczegoż by nie? — zaśmiał się Skif. — Rozpocznę od Kolegium, a potem będę zataczał coraz szersze kręgi.

Najpierw opowiedział im, jak to Gaytha i Mero sprawili niespodziankę niemal wszystkim, znieacka ogłaszając o swoim ślubie. Zrękowiny odbyły się tuż przed podróżą Skifa, a wesele zaplanowano na jesień.

Kris aż otworzył usta ze zdumienia, lecz Talia — przypomniawszy sobie to, co widziała podczas wakacji, gdy jeszcze była uczniem — niezbyt tym zaskoczona, tylko kiwnęła głową.

Podczas minionej zimy Keren tak nieszczęśliwie pośliznęła się i upadła, próbując ratować żrebaka spod złamanego drzewa, że złamała sobie kość biodrową. Żrebak przypłacił to wszystkim okropnym strachem, lecz wyszedł z opresji bez szwanku, czego niestety nie można było powiedzieć o Keren. Obowiązki instruktora jazdy konnej przejęła Sherrill, która jednak nie zrezygnowała z nauczania we własnych klasach. Kiedy pozrastały się kości Keren, doszła do wniosku, że i tak trzeba wyszkolić następcę, i odtąd prowadzą zajęcia wspólnie.

Alberich w końcu zaniechał uczenia, z wyjątkiem uczniów najbardziej zaawansowanych, a jego następczynią została — co nikogo nie zaskoczyło — Jeri.

Tej wiosny Towarzysze Wybrały dwudziestu młodzików — jak dotąd najwięcej. Po raz pierwszy od lat Kolegium miało pełną obsadę. Nikt nie wie, czy cieszyć się, czy martwić tak raptownym napływem Wybranych — po raz ostatni Kolegium zostało zapełnione do ostatniego miejsca za czasów panowania ojca Selenay, kiedy na Wschodniej Granicy toczono wojny Tedrela z Karsem i uczniowie byli niezwykle potrzebni po ich zakończeniu, by zająć miejsce Heroldów, którzy wyruszyli na ostatni patrol.

Elspeth spisywała się nadspodziewanie dobrze, i ta wieść uradowała Talię niezwykle. Elcarth zajął się jej napiętym przydziałem obowiązków i odchudził go znacznie, a Elspeth zaczęła się zapamiętale uczyć na tych zajęciach, które jej pozostawił, jakby chcąc udowodnić, że nie zamierza się od nich uchylać i jest wdzięczna za ulgę.

Z Dworu nowych wieści było niewiele i na dodatek nie były one pomyślne. Żarna we młynie rozsiewającym plotki nieustannie mełły pogłoski dotyczące Elspeth i nieobecnej Talii. Znali już mniej więcej połowę, pozostałe dotyczyły Elspeth i tego, jakoby nie nadawała się, by włożyć koronę, bo jest zbyt uległa, rozpieszczona, nie dość bystra i nazbyt zależna od Heroldów w ogólności, a od Talii szczególnie, by podejmować samodzielne decyzje.

Kris ani słówkiem nie pisał, ujrawszy cień bólu na twarzy Talii.

— Ale powiedziałem wszystkim, którzy fatygowali się poruszaniem tego tematu, iż temu, kto owe plotki rozsiewa, brak jest piątej klepki. Elspeth jest taką samą trzpiotką jak Jeri, której kandydaturę z ochotą wzięliby pod uwagę, rozpatrując sprawę sukcesji! I dodałem, że nikomu, kto ciebie poznał, nie przysłoby nawet do głowy, iż mogłabyś niecznie nadużyć Daru! Na tym koniec; kolej na was — rozkazał Skif. — Musicie opowiedzieć mi wszystko o huraganie. Połowa zasiadających w Kręgu surowo zastrzegła, iż mam powrócić ze szczegółową opowieścią, jeśli pominiecie jakiś drobiazg, nie ręczę za własną głowę!

Większość opowiedział Kris — poczynając od plagi w Rozdrożach, a na przybyciu Tedrika kończąc — przemilczawszy jednak utratę panowania nad sobą Talii.

— To brzmi ponuro — powiedział Skif, kiedy skończyli. — Dziwię się, że nie poderznięliście sobie gardeł, z nudów, jeśli nie z innego powodu. Oczywiście, byliście zbyt zajęci odgarnianiem śniegu, by się nudzić.

Kris zachłysnął się winem, niemal śmiertelnie się zakrztusił, próbując stłumić śmiech.

Talia ukryła zarumienione policzki, grzmocąc go po plecach, a potem podjęła przerwana rozmowę, rzucając mu surowe spojrzenie, od którego nieomalże znów dostał spazmów.

— Na szczęście mieliśmy ze sobą harfę — powiedziała, z wysiłkiem opowiadając chęć złapania go obydwoma rękami za gardło i uduszenia. — Muzyka

podtrzymywała nas na duchu i, Skifie, odkryliśmy coś naprawdę dziwnego. Czy wiedziałeś o tym, że opowieści o śpiewających chirra, którymi karmili nas ludzie z Północy, są prawdziwe?

— Już za długo patrolujecie wasz obwód — odparł z uśmiechem pełnym niedowierzania.

— Ona mówi prawdę, Skifie — zapewnił go Kris. — Chirra rzeczywiście śpiewają, hm, lepiej jest powiedzieć: nucą. Robią to jednakże celowo i słyszałem już gorsze dźwięki, dobywające się z ludzkich gardeł.

— Możecie to udowodnić? W innym przypadku, trudno mi będzie przekonać kogokolwiek, nie mówiąc o sobie samym.

— Zamierzasz spędzić z nami noc?

— Jeśli tylko wam nie zawadzam.

— Możesz zostać, jeśli posprzątasz po kolacji — przekomarzała się Talia. — Upichcimy coś dla ciebie, lecz ty musisz spełnić swój obowiązek.

— Wszystko będzie lepsze od własnego wikt! — przystał Skif, wzdychając serdecznie. — Kiedy byłem czeladnikiem, Dirk zakazał mi kategorycznie gotować cokolwiek po tym, jak zepsułem dwa pierwsze posiłki. Nie mam mu tego za złe. Jestem jedyną znaną mi osobą, której gotowane przez godzinę jajko jest w połowie surowe, a w połowie spalone.

— Zatem po kolacji usłyszysz występ.

Zakończywszy wieczorny posiłek, Talia wezwała pasące się nad jeziorem chirra do Stanicy i urządziła występ, którego żądał Skif. Po pierwszych dźwiękach, które wydały ze swych długich gardeł juczne zwierzęta, oczy Skifa szeroko rozszerzyło niedowierzanie. Szybki rzut oka wokoło upewnił go, że nie padł ofiarą podstęp. Jednak już po dwóch piosenkach uspokoił się i przyznał, że niesamowite głosy brzmią nawet przyjemnie dla ucha, choć na początku mogą wywołać dreszcz.

Gdy znużyło ich śpiewanie, zaczęli wymieniać się opowieściami z drogi. Skif posiadał w zanadrzu wprost przytłaczający zapas komicznych historyjek, ponieważ — przydzielony do służby kurierskiej — miał okazję zmierzyć się z najróżniejszymi sytuacjami. Musiał, na przykład, razu pewnego ratować pewną osobę — z którą umówił się na spotkanie — przed rozmiłowaną i nadmiernie rozochoconą krową. Jednak gdy doszedł do połowy jednej ze swych najbardziej zabawnych opowiastek, Talia raptownie wstała, sumitując się, i dość żwawo oddaliła się w mrok.

— Czy ja powiedziałem coś złego? — zdumiał się Skif, ponieważ aż do tej chwili wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że Talia jest niezwykle ubawiona. — Co się jej stało?

— Nie mam bladego pojęcia, tak jak i ty... — zaczął Kris i nagle przyszło

mu coś na myśl.

— Poczekaj no chwilkę — przymknął oczy i wezwał myślą Tantrisa, Odpowiedź wywołała na jego ustach półuśmiech, choć zachował okrucieństwo współczucia dla Talii.

— Niedługo wróci — powiadomił zaintrygowanego Skifa. — Kiedy poczuje się mniej... powiedzmy... nieswojo.

To poirytowało Skifa.

— A cóż właściwie ma to oznaczać?

— Skifie, twoja Cymry jest kłaczą.

— To ogólnie wiadome.

— Rolan jest ogierem, który od kilku miesięcy nie znajdował się poblizu żadnej klaczy. Darem Talii, gwoli przypomnienia, jest Empatia i odmiennie niż to było w naszym przypadku — jak powiada — Rolan jest zawsze z nią. „Na dzień umysłu”, jak to określa.

— Co? — wykrzyknął zdumiony Skif i nagle doznał olśnienia. — Ho, ho. Zapomniałem o pewnym naszym eksperymencie; nie można odgradzić się od Towarzysza, jeśli łączy was tak ścisła więź, prawda?

— Właśnie. Na tym poziomie, nie można. Dodając do tego rodzaj Daru, który posiada, to jeszcze bardziej... przytłaczające. O ile sobie przypominam, ledwie potrafisz posługiwać się myślmową, prawda? Zatem to chroni cię przed igraszkami Cymry. Nie odnosi się to jednak do Talii.

Chichot Skifa był nieco wyzuty ze współczucia.

— Szkoda, że twój Tantris nie jest kłaczą.

— To samo przyszło mi już na myśl raz, czy dwa razy — przyznał Kris, także wybuchając śmiechem. Skif raptownie się uspokoił.

— Posłuchaj, Krisie, wiem, że wtykam nos w nie swoje sprawy, lecz czy ty i Talia... no wiesz...?

— Do licha, istotnie wtykasz nos w nie swoje sprawy — powiedział spokojnie Kris. Spodziewał się tego pytania i zakładał, że Skif czeka tylko na okazję, kiedy zostaną sam na sam. — A więc, dlaczego pytasz?

— Krisie, mój zawód opiera się na spostrzegawczości. Zauważyłem, że choć nie gruchacie do siebie jak para zalotnych gołębi, to jednak nigdy nie widziałem, byście zachowywali się w obecności kogokolwiek tak swobodnie, jak wobec siebie... — Skif przerwał i zamilkł.

— Zamierzasz jeszcze coś dodać, to jasne, widzę to po tobie. A więc śmiało.

— Jestem to winny Dirkowi. Zawdzięczam mu życie; powinien był zostawić nas, gdy wraz z Cymry zsunęliśmy się do wąwozu podczas mojej praktyki. Nie mógł stwierdzić, czy jeszcze żyjemy. Stał i czekał i z każdą chwilą ścieżkę coraz bardziej wymywało spod jego stóp. A jednak nie odszedł. Tak długo szukał w strumieniach lejącej się z nieba wody, aż nas odnalazł — gdyby nie on, nie byłoby nas tutaj. Jeśli ktoś napomknie o Talii, zachowuje się dziwnie. Zaczęło

się to z chwilą waszego wyjazdu i jest coraz gorzej. Stary, kochany, „obojętny-na-niewiasty” Dirk o mało nie wyrwał mi własnoręcznie serca z piersi i mnie nim nie nakarmił, gdy nie mogłem powiedzieć mu o Talii nic poza pogłoskami. Nie postawiłbym w zakładzie mej nadziei na przyszłość w Niebiesiech, że chodziło mu o twoje bezpieczeństwo. A więc, jeśli jesteście dla siebie czymś więcej niż tylko przyjaciółmi, chcę wiedzieć. Może uda mi się obwieścić mu to delikatnie.

— O, bogowie — Kris powiedział słabym głosem. — O, bogowie. Nie wiem, Skifie. . . To znaczy, wiem, co ja czuję — jestem z niej całkiem zadowolony, to wszystko. Jednak nie wiem, co ona czuje. Boję się to sprawdzać.

— Podejrzewam, że nie powiedziałeś mi wszystkiego — odparł Skif. — Chcesz wypowiedać się ze wszystkiego?

— Bogowie. . . lepiej sięgnę kilka lat wstecz. . . Zrozum: Dirk dlatego udaje, że niewiasty są mu obojętne, bo tak bardzo został skrzywdzony, że o włos, a by się sam zabił. Wszystko przez tę ladacznicę, lady Narił. Stało się to, gdy po raz pierwszy zostaliśmy przydzieleni do Dworu. Chciała podbić mnie, ja nie miałem na to ochoty, a więc wykorzystwała Dirka, by do mnie dotrzeć.

— Nawet mi nie mów. Udawała słodkie niewiniątko przed nim. I ze mną próbowała tego samego, lecz ostrzeżono mnie zawczasu.

— Żałuję, że Dirka nikt nie ostrzegł. Zanim połapałem się, co się dzieje, już było za późno. Był jak ryba złowiona na wędkę. Wykorzystała go, by się ze mną spotkać, i postawiła mi ultimatum: albo będę jej pieskiem pokojowym, albo uczyni z życia Dirka piekło. Niestety, nie wzięła pod uwagę tego, że Dirk był zazdrosny, nie tylko oddany. Trzymał się w zasięgu głosu i słyszał wszystko.

— Dobrzy bogowie! — zawołał Skif i na nic więcej nie mógł się zdobyć.

— Istotnie! — Kris przymknął oczy, próbując wypędzić z pamięci obraz Dirka, kiedy stanął przed nimi. Wyglądał upiornie, nawet jego oczy były martwe. Jednak to, co potem nastąpiło, okazało się jeszcze gorsze. Kris pośpiesznie ich opuścił, a kiedy się oddalił, Narił zniszczyła Dirka. Gdyby coś takiego podejrzewał, nigdy nie zostawiłby ich sam na sam. . .

— Jednak. . .

— Był wstrząśnięty, dogłębnie wstrząśnięty. Myślę, że to dzięki Ahrodi nie rzucił się do rzeki jeszcze tej samej nocy. A teraz ty powiadasz, że zachowuje się jak. . .

— Jak mężczyzna związany na całe życie, jeśli chcesz znać prawdę, o krok od obsesji.

— Talia sprawiała podobne wrażenie, lecz teraz. . . po prostu nie wiem, Skifie. Zaczęliśmy. . . sypiać razem podczas wichury. Sprawy zaczęły się komplikować jeszcze bardziej — nie mogę się w to zagłębiać — i teraz nie wiem, co ona czuje. Jestem jednakże śmiertelnie przerażony, że zakochała się we mnie.

Był najlepszym przyjacielem Dirka, o bogowie, historia powtarzała się. . .

— Co zamierzasz z tym zrobić? — zapytał Skif.

— Zamierzam to przerwać, ot co, zanim będzie za późno. Jeśli to więź na całe życie, to gdy zadurzenie zostanie zduszone w zarodku, zwróci się znów do Dirka jak kurek na wietrze. Na miły bóg, nie pozwól jednak, by Dirk się o wszystkim dowiedział. — Kris potarł czoło, wyrzuty sumienia wpędzały go niemal w chorobę.

— Nie ma obawy... — Skif nie dokończył i skinął znacząco głową w stronę drzwi za plecami Krisa.

Talia weszła do izby i zajęła opuszczone przez siebie miejsce. Wyglądała na znacznie spokojniejszą, i opanowaną.

— Lepiej? — zapytał Kris ze współczuciem w głosie.

— O wiele — westchnęła, a potem zwróciła się do Skifa. — A co do ciebie, psotniku, mam nadzieję, że jesteś przygotowany na to, by za kilka miesięcy opiekować się Towarzyszem w ciąży!

— Ależ Talio — prychnął kpiąco — Cymry zabawiała się ze wszystkimi ogierami, których napotykałem i nic takiego jak dotąd się jej nie przytrafiło.

— Żaden z nich nie był Rolanem — odparła z kwaśną miną. — Dobrze ci tak za to, że mnie nie ostrzegłeś, przemądrzały okrutniku. Czyżbyś zapomniał już o opowiadanych przez siebie historiach i niezwyklej płodności ogierów z Gaju, zwłaszcza Towarzyszy Osobistych Królowej?

— Na dzidę Kernosa! Ani mi to przez myśl nie przeszło!

Kris i Talia wybuchnęli śmiechem na widok wyrazu twarzy Skifa.

— Założę się o bukłak z winem, że i Cymry też nie — dorzucił Kris.

— Wygrałeś — rzekł krótko Skif, sięgając za siebie do sterty własnych rzeczy i rzucając skórzane naczynie drugiemu Heroldowi. — No cóż, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Koniec z podróżami, ale i koniec z pichceniem dla siebie jedzenia. Lepiej pomyśleć, jak mogę przydać się na Dworze i w Kolegium. Mam nadzieję, że Terenowi spodoba się posada kuriera. Jedynie on jest w tej chwili wolny, bo już wszystkie dzieciaki ukończyły zajęcia z orientacji.

Rozsiadł się na swym legowisku z ogromnym rozbawieniem na twarzy.

Cały następny dzień zszedł im na zapamiętywanie wszystkiego, co Skif miał do przekazania. Kiedy już oboje potrafili powtórzyć wszystko co do słowa, wczesnym popołudniem Skif zwinął kilka drobiazgów, które były jego własnością, załadował zapasy i ruszył z powrotem drogą, którą przybył.

— Jak wiele mu powiedziałeś? — zapytała Talia, patrząc w ślad za oddalającym się Skifem.

— Tylko tyle, że musieliśmy uporać się z pewnymi trudnościami, o których nie mogę się rozwodzić; musiałem to powiedzieć, nie uszło jego uwagi, że wyglądasz mizernie. To wszystko — zmierzył ją ponownie jednym z tych swoich, rzuconych kątem oka, spojrzeń.

— O panie, biedna Elspeth, sam na sam z tymi przeklętymi plotkami! O bogowie, muszę tam być i nie mogę tam wrócić. . .

— To prawda. Nie możesz. Powrót nie zdałby się na wiele, a mógłby zaszkodzić.

— Wiem, mimo to nie zdławi to we mnie chęci powrotu. . .

— Spójrz na to z innej strony, może gdy już pojawią się nieuchronne plotki o tobie i o mnie, te wcześniejsze pójdą w niepamięć.

— O bogowie. . . — zawołała i zarumieniła się. — Czy ja nie mam prawa do prywatności?

— Jako Herold — nie!

Wracali wolnym krokiem do Stanicy, Kris nad czymś głęboko zamyślony. Talia odgadła to, widząc skupioną twarz i wyczuwając kryjące się pod warstwą jego myśli zmartwienie oraz niepokój.

Niepokój stał się ich wspólnym udziałem. Nie mogłaby powiedzieć dokładnie, co go dręczy, a jedynie, iż wiązało się to w jakiś sposób z nią i z Dirkiem. Głowiła się, czy nie oznaczało to spełnienia jej najgorszych obaw — że zaangażował się bardziej, niż zamierzał.

Nie chciała urazić jego miłości własnej, lecz — do kroćset — on nie był osobą, którą chciała! Gdybyż przynajmniej z nią porozmawiał. . .

W milczeniu przeczytali swe pakieciki z listami; Talia otrzymała przeważnie zwięzłe notki i nie było ich zbyt wiele. Ostatni list jednakże bardzo ją zaintrygował. Był ogromny — sądząc po grubości koperty — a przy tym nie mogła rozpoznać charakteru pisma, którym go zaadresowano. Zmarszczyła czoło, wzięwszy go do ręki, przypomniawszy sobie złe dni, kiedy to codziennie otrzymywała jadowite, nie podpisane niczym imieniem listy. Wzięła się w garść i złamała pieczęć, doszedłszy do wniosku, że nic nie stoi na przeszkodzie, by wrzucić go do ognia, gdyby okazał się podobny do tamtych.

Ku swemu zdumieniu, stwierdziła z zachwytem, że napisał go Dirk.

Właściwy list nie był przydługi, skreślone słowa brzmiały niezwykle urzędowo i bombastycznie, a jednak już samo to, że napisał, wywołało w niej rozkoszny dreszczyk. Treść była bardzo prosta: wyrażał nadzieję, iż bliski związek z jego przyjacielem doprowadzi do zacieśnienia przyjaźni pomiędzy całą trójką, gdyż wszystkich łączyła miłość do muzyki. To z powodu ich wspólnego zainteresowania zdobył się na odwagę — tak to określił — by napisać. Został przydzielony do obwodu, w którym znajdowała się większość papierni Królestwa i drukarni, i gdzie znajdowała się główna siedziba Gildii Drukarzy. Tutaj zatem księgi i nuty były — w przeciwieństwie do innych regionów — dość powszechnie spotykane. A więc, zaopatrzywszy się w mnóstwo nut z nowymi pieśniami, pomyślał, że Kris i Talia także powinny mieć ich kopie.

Talię przeszedł dreszcz zaniepokojenia i podniecenia na myśl o tym, czego nie napisał. List był tak uprzejmy, że mógł oznaczać obojętność, albo był próbą

ukrycia tych samych uczuć, które i ją opanowały.

Zdecydowanie osobliwym było, iż to właśnie Talii przesłał manuskrypty z nutami, a nie Krisowi.

Kris kaszlnął niespokojnie. Talia podniosła teraz wzrok, by spojrzeć mu w oczy.

— Czy coś się stało? — zapytała.

— List od Dirka — odparł. — Zazwyczaj mam szczęście, jeśli uda mi się dostać stroniczkę, może dwie, tymczasem to, co trzymam w ręku, zaczyna rozrastać się do epickich rozmiarów.

— To dziwne.

— Skromnie powiedziane. Papla o wszystkim i o niczym, jak babcia plotkarka na jarmarku. Jednak najbardziej interesujące jest to, o czym nie wspomina; tańczy, wywijając słowne piruety wokół tego, jak to stara się ze wszystkich sił uniknąć rozmowy o moim czeladniku. Nie jest to łatwe w tak obszernym liście! Nie wspomina o tobie aż do samego końca i nawet tam nadmienia mimochodem, że przesłał ci trochę nut z muzyką, którą — jeśli się nam spodoba — być może zagramy kiedyś razem. Tak, jakby bał się napisać twoje imię, by nie wyjawić czegoś.

Talia przełknęła grudę, która nagle urosła jej w gardle.

— Oto nuty, które przysłał — odparła, podając mu plik.

— Na Jasne Niebios! Musiał na to wydać fortunę! — Kris zaczął rozdzielać nuty na dwie kupki, po jednej dla każdego, gdy nagle coś wysunęło się spomiędzy manuskryptów i upadło na podłogę.

— Hm? A to co? — Podniósł coś, co wyglądało na cienką książkę w oprawie z brązowej skóry. Przewertował ją. — To przeznaczone jest dla ciebie i nie ma co do tego cienia wątpliwości — powiedział, wręczając jej tomik.

Był to zbiór ballad, wśród których znajdowała się pełna wersja „Słońca i Cienia”.

— Skąd wiesz, że nie kupił jej dla siebie? — zaczęła powątpiewać. — Albo dla ciebie?

— Bo tak się składa, że wiem, iż jest on właścicielem dwóch egzemplarzy — obu oprawionych na niebiesko, w jego ulubiony kolor — jeden zawsze leży na półce w izbie, a drugi wyrusza z nim na każdą wyprawę. Poza tym doskonale się orientuje, że jest ona i w moim posiadaniu, gdyż właśnie to ja mu ją pokazałem. Nie, to nie przez przypadek tomik znalazł się pośród manuskryptów, to dlatego przesłał je tobie, a nie mnie.

— Ale...

— Talio, muszę z tobą porozmawiać. Poważnie.

Bogowie... oto nadeszła pora.

— Ja... — zaczął z takim wyrazem na twarzy, jakby znalazł się na torturach. — Zrozum, lubię cię bardzo. Myślę, że jesteś jedną z najśodszych dam, które

przywdziewają Biel. Najpewniej nie powinienem był dopuszczać, byś angażowała się w związek ze mną.

— Co? — wykrzyknęła, przez chwilę nie mogła zrozumieć, co też on próbuje powiedzieć.

— Dirk wart jest dwudziestu takich jak ja — ciągnął pokrętnie — i jeśli przestaniesz o tym myśleć, uświadomisz sobie, że mam rację. Dostrzegasz w naszym związku więcej niż jest w nim w istocie, niż mogłoby być. Mogę ci ofiarować tylko swą przyjaźń, nic więcej, Talio. Nie mogę narażać życia twego i Dirka na szkodę, pozwalając ci myśleć. . .

— Zaczekajże chwilę — wpadła mu w słowo. — Wydaje ci się, że się w tobie zadurzyłam?

Na twarzy Krisa pojawiło się zaskoczenie.

— Oczywiście! — Jego rzeczowy ton był wręcz obraźliwy.

Wzbierające w niej od dawna napięcie znalazło swe ujście. Znosiła, bez słowa skargi, jego od czasu do czasu otaczanie się aurą wyższości, protekcyjny ton za każdym razem, gdy zbierali dowody, iż to jego decyzje, przeciw którym opowiadała, okazywały się słuszne. Tlił się w niej żal za jego postawę, która zdawała się wyrażać bez słów to, iż całkowite okiełznanie przez nią Daru jest w tej chwili wyłącznie sprawą „woli”, a nie powolnego odbudowywania ze szczątków czegoś, co, zburzone, trudno byłoby nawet rozpoznać.

To właśnie owo „oczywiście” było iskrą, od której stos bucha ogniem. Stała przed nim, nieświadomie zaciskając z gniewu pięści.

— Oczywiście? Tylko dlatego, że każda napotkana przez ciebie niewiasta omdlewa z miłości u twych stóp? Myślisz, że nie mam własnego rozumu?

— No cóż — odparł, niemile zaskoczony, bezspornie starając się powiedzieć coś, co by ją udobruchało.

— Ty. . . ty. . . — zupełnie zabrakło jej słów. Tyle czasu zmarnowała, martwiąc się o niego, o to, że rani jego uczucia. Tymczasem on radośnie sobie założył, iż skoro ona z nim sypia, musi zatem być w nim zadurzona. Wciąż jeszcze był oszołomiony; z jego doskonałych rysów przebijało równie doskonałe zdumienie.

Wzięła ręką szeroki zamach i wyprowadziła mistrzowski prawy prosty, umiejscawiając go dokładnie na samym koniuszku jego doskonałego podbródka.

Kris ocknął się i stwierdził, że leży na ziemi przed progiem Stanicy, czując jakby miał wybitą ze stawu szczękę, i gapi się na Talię.

— Ty zadufany w sobie pawiu! Masz mnie udobruchać! Przynajmniej — warknęła — nie możesz mnie tym razem oskarżyć, iż niecznie posłużyłam się swym Darem!

Lekko oszołomiony, podniósł rękę i obmacał sobie szczękę.

— Nie, to była napaść, jak się patrzy. . .

Zanim zdążył odpowiedzieć, odwróciła się na pięcie i z godnością oddaliła się w stronę malutkiego jeziora, ginąc w ciemności. Kiedy już udało mu się zebrać myśli i ruszyć za nią, nigdzie nie było jej widać, a jedyne, co po niej zostało, to niewielka sterta odzienia na brzegu, obok koca, który rozłożyli tam w ciągu dnia.

Teraz i jego zaczynała ogarniać złość — przecież nie miał zamiaru jej obrazić — oraz lekka obawa. Zaczął ściągać z siebie ubranie, by wskoczyć za nią do wody. Zanim połapał się w jej zamierzeniach, poderwała go za nogi i wciągnęła pod wodę. Krztusząc się, z pluskiem wyrwał się na powierzchnię i zobaczył jej głowę tuż poza zasięgiem ręki.

Śmiała się z niego.

— Ladacznica! — wrzasnął i wściekle rzucił się nurkiem w jej kierunku. Kiedy dotarł do miejsca, gdzie ją zobaczył, jej już tam nie było; woda jeziora była gładka i niezmacona. Wytężał wzrok, rozglądając się wokoło w słabym świetle, próbując ją odszukać, kiedy chwyt dłoni za kostki ostrzegł go na tyle, iż tym razem zdążył wstrzymać oddech. Ponownie znalazł się pod wodą i znów uciekła tak zwinnie, że nie tknął jej nawet palcem.

Gdy dysząc ciężko wypłynął na powierzchnię i natychmiast nie rzucił się w pościg za nią, krzyknęła kpiąco:

— To cię nie uratuje! — I zniknęła mu z oczu pod wodą.

Czekał, aż wypłynie, przygotowany złapać ją, zanim dotrze do miejsca, gdzie się znajdował. Kiedy tego nie zrobiła, zaczął rozglądać się za wirami wody, które by powiedziały mu, że pływa pod wodą, gdzieś blisko niego.

Nic się nie działo i to go lekko zaniepokoiło. Pozostawała pod wodą niesłychanie długo. Zaczął brodzić w wodzie do miejsca, gdzie zobaczył ją po raz ostatni.

Ledwie zrobił pierwszy krok, a wyprysnęła spod wody tuż za jego plecami i naciskając na jego barki, wepchnęła go pod wodę. Uwolnił się i wypłynął, mówiąc rozpaczliwie rękami, a ona pływała o włos poza zasięgiem ramienia.

— Rozmówiona idiotka, co? Głupia, prawda? Zatem dlaczego nie potrafisz mnie schwycić?

Ruszył za nią w pościg, wściekle mieląc wodę rękami i nogami. Wydawało się, że ona nie wysiła się nawet w połowie tak bardzo jak on, a jednak z łatwością przecina wodę, nie pozwalając mu się zbliżyć. Robiła to jakby od niechcenia i aż poczuł od tego gorycz żółci w ustach. Od czasu do czasu całkowicie zniknęła mu z oczu. Za każdym razem był to dla niego znak, że lepiej jest nabrać pełne płuca powietrza, bo kończyło się to wciągnięciem lub wepchnięciem pod wodę.

I jego największym wysiłkiem na przekór nawet wtedy nie udawało mu się jej złapać.

W końcu poszukał ucieczki na płyciźnie i tam na nią zaczekał. Teraz targęła nim wściekłość; był poniżony i zły, gotowy rozszarpać ją gołymi rękami.

Stała przy brzegu, ociekając wodą, trzymając się z dala od niego. Zgromił ją wzrokiem. . . I nagle przyszło mu na myśl, iż sam postawił się w jeszcze gorszej

pozycji. Był całkiem nagi; niewykluczone, że mógłby wbić ją w ziemię jak kołek od namiotu, gdyby udało mu się tknąć ją choćby palcem, lecz jeśli by znalazła dość oparcia, by wbić kolano w...

Och, mogłaby go skrzywdzić.

Walczyły w nim złość, przygnębienie i dotkliwe zakłopotanie; aż zadygotał od nadmiaru tak sprzecznych uczuć, a tymczasem ona także stała, gromiąc go spojrzeniem, ogarnięta nie mniejszą wściekłością, póki targające nim uczucia nie ujawniły się nieco lepiej. Opadła bezradnie na kolana, zanosząc się śmiechem.

Fala złości odpłynęła jak woda.

Teraz, gdy wściekłość nie dodawała mu już sił, poczuł się do cna wyczerpany. Odwrócił się do niej plecami, wylazł z płycizny i powłócząc nogami zbliżył się do koca, nawet nie sięgnąwszy ręką po ręcznik albo odzienie.

Gdy leżał z twarzą do ziemi, zdyszany, usłyszał za sobą odgłos kroków.

— Dość, proszę! — jęknął. — Wygrałaś, poddaję się. Jestem durniem. I gburrem. Pokój!

— Zbyt łatwo się poddajesz — serdeczny śmiech Talii przypominał nieco mruczenie kota. — Zasłużyłeś na to, co cię spotkało. Keren ma rację: za każdym razem, gdy wydaje ci się, że wszystko musi być tak, jak tego chcesz, zasługujesz na nauczkę.

Usiadła obok niego. Kiedy obrócił nieco głowę, ujrzał, że włożyła na siebie kusą koszulę i zwałymi ruchami wyciera włosy ręcznikiem.

— Gdzie nauczyłaś się tak pływać?

— To zasługa Sherrill. Och, utrzymywałam się na wodzie od urodzenia, lecz próby pływania bardzo przypominały twoje: wiele młócenia i nic. Kiedy wrzuciono mnie do rzeki, Alberich oddelegował Sherrill, by nauczyła mnie, jak należy pływać i jak uchronić się w większości przypadków od utonięcia. Po upływie roku, w zimie, poddała mnie końcowemu egzaminowi, spychając z mostu do wody w zimowych szatach. Jak widać nie oblałam, choć para moich butów pewnie dalej jeszcze leży na dnie rzeki. Nic złego się nie stało, prawie z nich wyrosłam.

— Przypomnij mi, bym nigdy nie wprawiał was w złość w czasie pływania.

— Wlicz w to i Keren; ona jest tak samo dobra. Biedny, pokrzywdzony Kris. Czy czujesz się na poły utopiony?

Kris widział niemal chochliki w jej oczach.

— W trzech czwartych oraz do cna wyzuty z sił — odparł.

— Wybacz, lecz w to nie uwierzę. — Delikatnie przesunęła palcem wzdłuż jego kręgosłupa.

Zazgrzytał zębami i nie poruszył się, próbując nie zwracać uwagi na przyjemny dreszczyk, który tym wywołała. Kiedy nic nie udało się jej osiągnąć, poza gęsią skórka na jego ciele, roześmiała się ponownie i zaczęła delikatny masaż od szyi po kolana.

Powziął mocne postanowienie nie ulegać i wzięwszy się w karby, leżał tak spokojnie, jak to było możliwe.

— Uparciuch, hmm? — zachichotała.

Zanim połapał się w jej zamiarach, zaczęła pieścić go tak, iż wszystko, co planował, wzięło w łeb i rozpierzchło się w cztery strony świata.

— Wiedźma! — powiedział mściwie i obrócił się tak szybko, że udało mu się przygwoździć ją do ziemi.

— Wydawało mi się, że jesteś do cna wyczerpany!

— Już ja ci pokażę, jak bardzo — mruknął i teraz on zaczął się nad nią znęcać dla odmiany, drażniąc każdy kawałeczek jej ciała, który miał w swym zasięgu. Zaśmiała się serdecznie i odpłaciła pięknym za nadobne. Zdzierzył, ile mu sił starczyło, lecz wyrok przesadzony był z góry. Kiedy skończyli, ociekali od potu, wyczerpani, lecz i nasyceni.

— Panie Światła — wyszeptał, gdy mógł już coś z siebie wykrztusić. — Jeśli to miał być przykład tego, co Rolan dla ciebie robi, cieszę się, że Tantris nie jest klaczą! Przed końcem tego patrolu zostańby ze mnie cień Herolda.

W odpowiedzi usłyszał tylko westchnienie i Talia, podniósłszy się z ziemi, stanęła na brzegu stawu, by z wdziękiem ponownie pogрузić się w jego głębi.

Wróciwszy, czysta i ociekająca wodą, sprawiała wrażenie, że jest w nieco staceczniejszym nastroju. Także Kris zanurzył się na krótko. Kiedy wrócił na brzeg, Talia już wytarła się do sucha i włożyła swą pozbawioną rękawów tunikę dla ochrony przed wiejącym od wody chłodnym wietrzykiem. Osuszywszy ciało, podał jej bukłaczek, który im Skif pozostawił. Pociągnęła długi łyk i oddała mu.

— A więc to ma być Noc Świętojańska, he? Nigdy nie obchodziliśmy jej w Grodzie — powiedziała. — A po Wyborze każde wakacje spędzałam w Kolegium.

— Nie obchodziliście Nocy Świętojańskiej? Dlaczego? — zapytał zaskoczony.

— Ponieważ zgodnie ze stanowiskiem starszyny nie jest to obrzęd o znaczeniu religijnym, lecz „przykrywka obyczajów frywolnych, lubieżnych i rozwiązłych”, że zacytuje. Co zazwyczaj robią ludzie w Noc Świętojańską?

— Wasza starszyna ma ze swej strony nieco racji. — Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. — W Noc Świętojańską ludzie spotykają się gremialnie w lasach. Na początku zgromadzenia są liczne, lecz im dalej w noc, tym więcej tworzy się par. Usprawiedliwieniem spędzenia nocy na dworze jest potrzeba zerwania najświeższego kwiatu o wschodzie. Wierzaj lub nie, lecz ludziom zazwyczaj udaje się zerwać kwiaty o brzasku.

Pociągnęła długi łyk z bukłaka.

— Dla swych kochanek? — Nie zamierzała najpewniej, by brzmiało to cynicznie, lecz tak się właśnie stało. Kris był zbyt zmęczony, by wziąć to za obrazę.

— Nie, dla wszystkich niewiast. Girland kwiecica lub bukietów nie zabraknie dla żadnej niewiasty, bez względu na wiek. Jeśli jakaś kobieta nie ma bliskich, otrzyma kwiaty nawet od dalekiego znajomego, bez względu na to czy młoda, czy w podeszłym wieku. Jeśli któraś jest lub będzie matką, dostaje koszyk z owocami. W tym dniu całe rodziny wyruszają do lasu, by godnie uczcić ten wieczór — słuchając opowieści i muzyki. Bardowie go uwielbiają, wiedzą, że gdy dobiegnie końca, ojadą z kieszeniami wypełnionymi grosiwem, z kwiecikiem wplecionym we włosy, pod rękę z młodymi damami i panami. To bardzo przypomina obchody Urodzin, tyle że na większą skalę.

— Lud Grodów nigdy nie świętuje Dnia Urodzin, jeśli nie liczyć wykładu o obowiązkach — powiedziała bezbarwnym tonem.

— Kiedy jest twój Dzień Urodzin? — zapytał zaciekawiony.

— W Noc Świętojańską. Dzisiaj. To bez wątplenia dlatego jestem dzieckiem-demonem, skoro dopuściłam, by urodzono mnie w tak rozwiątlą noc.

— A więc to stąd twój zły humor! — Kris uchwycił się pretekstu, by wpłynąć na poprawę jej nastroju. — Powinnaś mi była to powiedzieć!

— Jestem nieco dokuczliwą wiedźmą, prawda? Wybacz. Najpierw wściekam się i ogłuszam cię ciosem w szczękę, potem robię z ciebie durnia, wiedząc doskonale, że w wodzie mogłabym zataczać dookoła ciebie kółka, topię cię i na koniec psuję resztę wieczoru moim kwaśnym humorem. Kiepsko się czuję, przepraszam.

— Dość długo znosiłaś moje kaprysy. Masz prawo i sobie dać czasami upust.

— Hmm, wydaje mi się, że nadrobiłam na jakieś sto lat naprzód.

— Wybacz, że dotąd nie rozmawiałem z tobą o... o nas — powiedział, podczas gdy bukłaczek krążył z rąk do rąk.

— Żałuję, że nie zrobiłeś tego. Denerwowałam się, ponieważ obawiałam się, że rozmiłowałeś się we mnie, gdyż ja cię do tego zmusiłam. Nie mogłam sobie wyobrazić, byś kochał się ze mną z własnej woli, a nie dlatego, że mój Dar cię do tego nakłaniał. Trudno mnie nazwać boskim podarunkiem zsyłanym mężczyznom. Podczas naszego patrolu przeważnie byłam dla ciebie ciężarem,

— O bogowie... — Długo nie mógł znaleźć słów. W końcu podał jej bukłaczek i złapał ją za rękę, którą wyciągnęła po niego. — Talio, jesteś miłą i śliczną niewiastą. Zależy mi na tobie, bo na to zasługujesz, a nie z powodu sztuczek wyprawianych przez twój Dar. Możliwe, że złączy was z Dirkiem więź na całe życie. Jeśli do tego dojdzie, nie znajdziesz szczęśliwszego ode mnie. Spełniłoby się jedno z mych najgorętszych życzeń: oboje znaleźlibyście dla siebie drugą osobę, co uczyniłoby ze mnie najszczęśliwszego człowieka w Królestwie.

— Ja... — zaczęła z wahaniem — nie całkiem wiem, co na to powiedzieć.

— Byłeś mnie znowu nie zbiła, wolałbym, by twój niedostatek słów znowu nie zmanifestował się w ten sposób. Co jeszcze cię trapi?

— Jestem zmęczona. Zmęczona walką o to, co innym pozornie przychodzi z taką łatwością. Znużona odpowiedzialnością za calutkie Królestwo, która przy-

tlacza mój grzbiet. Dość mam samotnego stawiania wszystkiemu czoła.

— No...

— Zrozum, wiem, że to tak musi być, ale nie muszę chyba uśmiechać się mówiąc, że to lubię! I na koniec dodam, że czuję się okropnie, bo nikt mi nigdy nie wręczył po Nocy Świętojańskiej girland kwiecica, ani nawet urodzinowego upominku.

— To brzmi sensownie.

W bukłaczku zostało mniej niż połowa napitku. Dzielili się nim sprawiedliwie i wszystko zaczęło się Krisowi objawiać w przyjemnym oparze.

— Jak to sensownie? — spytała poirytowana.

— Bo gdybyś miała to, czego chcesz, nie byłabyś przygnębiona, lecz skoro nie masz, to jesteś. — Według Krisa była to bardzo zręczna dedukcja i zachwycony powtórzył swój wywód.

Talia potrząsnęła głową, próbując to obalić.

— To nie brzmi zbyt dobrze — poskarżyła się.

— Napij się, a zabrzmi lepiej — podał jej bukłaczek. Wraz z ostatnią kroplą opuścił ją zły humor.

— C... cieszę się... bardzo... że mamy tutaj na czym szpać... spać — ostrożnie powiedział Kris. — Psi... przyjemnie jest widzieć gwiazdy nad głową. I tak nie mogę chodzić.

— Przyjemnie jest patrzeć w gwiazdy — zgodziła się. — Nigdzie nie chodzić, jeszcze przyjemniej.

— Widzisz Wóz?

— Wóz... gwiazdy, t... tuż nad wysokimi sosnami. O tam! Pięć, z których ułożona jest fura, i oś, dwie na koła i trzy na dyszel.

— Chwileczkę. — Wpatrzyła się w gwiazdy, próbując je ułożyć w prawidłowym porządku. Ucieszyła się, gdy jej się to w końcu udało. — A reszta?

— Tuż obok Wozu jest Myśliwy. Dwie małe gwiazdki wprawione są w jego pas, dwie inne tworzą ramiona, a cztery... nogi...

Jej głęboki, równy oddech uświadomił mu, że Talia zapadła w sen. Sięgnął po drugi pled i przykrył nim siebie i Talię, starając się zaledwie nie niepokoić rozkołysanej głowy; Położył się na wznak, zamierzając zastanowić się odrobinę, co mu się powiodło, gdyż zasnął wkrótce po tym, jak udało mu się zebrać myśli.

Rano zbudził się przed Talią i przypomniał sobie, o czym w nocy rozmawiali. Wstał bardzo ostrożnie, mając nadzieję, że jej nie obudzi. Kiedy mu się to udało, ruszył na poszukiwania do lasu.

Talia obudziła się owiana delikatnym obłokiem subtelnego zapachu. Otworzyła zaspane oczy, by zobaczyć, skąd on pochodzi, i stwierdziła, że ktoś położył jej bukiet obok głowy.

— Co? — powiedziała, jeszcze owładnięta snem, próbując się domyślić, z jakiegoż to powodu miałyby znajdować obok siebie kwiaty. — Kto?

— Oby Noc Świętojańska przyniosła ci radość, Heroldzie Talio, i obyś na dodatek miała cudowny Dzień Urodzin — rozległ się głos Krisa za jej plecami. — Szkoda, że inni twoi przyjaciele nie mogą ci wręczyć jakiś drobiazgów, jednak musisz przyznać, że znaleźliśmy się nieco za daleko od większości z nich. Ufam, że przyjmiesz to jako znak mojej ogromnej skruchy za obrażenie ciebie minionej nocy. Nie miałem takiego zamiaru.

— Krisie! — wykrzyknęła. Usiadła i zebrała z ziemi kwiaty, by napawać się ich przepięknym zapachem. — Nie musiałeś tego robić. . .

— Aha, ale zrobiłem. To nie byłaby Noc Świętojańska, gdybym nie zebrał przynajmniej jednego bukietu. Nie mówiąc o tym, że wdychany przez ciebie zapach jest rzekomo cudownym środkiem na bolącą od wina głowę.

— Naprawdę? — roześmiała się.

— Nie mam pojęcia — przyznał. — Po winie, na następny dzień, zawsze leje mi się z nosa. Przyjrzyj się łodygom!

Bukiet kwiatów spięty był srebrnym pierścieniem, którego wzór stanowiły dwie złączone dłonie. Heroldowie obdarowywali nim tylko swoich najlepszych przyjaciół.

— Krisie. . . nie wiem, co powiedzieć. . .

— Zatem powiedz: „Dziękuję Krisie i przyjmuję dowody twojej skruchy”.

— Dziękuję, kochany, i przyjmę twe przeprosiny, jeśli ty przyjmiesz moje.

— Z największą radością — przystał, uśmiechając się szeroko. — Serduszko, nosiłem się z zamiarem podarowania ci pierścienia na Śródzimie, lecz skoro dowiedziałem się, że nigdy nie dostałaś podarunku na Dzień Urodzin, okazji takiej nie można było przepuścić. I, niech mnie лихо, niełatwo było wziąć miarę, nie uwierzyłybyś jak trudno jest dopasować komuś pierścień bez jego wiedzy! Nakładła się go na palec prawej ręki, ptaszyno, lewa jest zastrzeżona do innych celów.

Talia wsunęła pierścień, przyrzekając sobie, że dowie się, kiedy jest Dzień Urodzin Krisa, by odwdzińczyć się za ten gest i to z nawiązką.

— Leży doskonale — powiedziała, gdy siedał obok niej z bardzo zadowoloną miną.

Uścisnęła go serdecznie, szczęśliwa po raz pierwszy od wielu miesięcy, uchylając osłonę myśli tylko na tyle, by mógł się dowiedzieć tego, czego nie umiała powiedzieć słowami.

— Ho, ho. To uderza do głowy tak, jak zeszej nocy napitek, ptaszyno!

Zrozumiała aluzję i zatrzasnęła osłonę, lecz nie uniknęło jej uwadze, że ten dreszczyk emocji sprawił mu przyjemność.

— Co to za kwiaty? W życiu nie wahałam niczego tak cudownego! Wydaje mi się, że mogłabym się obejść jedynie tym zapachem.

— To są drobne kwiaty z głębi północnych lasów, które rozkwitają tylko o tej porze roku. Nazywają je „dziewczęcą nadzieją”, pomyślałem, że mogłyby ci się spodobać.

— Uwielbiam je — wdychała głęboko kwiatowy aromat, przysłoniwszy oczy w połowie powiekami.

Krisowi przysłała do głowy zabawna myśl, że Talia bardzo teraz przypomina kota, który po raz pierwszy natknął się na miętę.

— Nie mogę tego wyjaśnić... — mówiła dalej. — Jest w nich zapach brzasku cudownego wiosennego dnia i tego, do czego tęskni serce... — uśmiechnęła się do niego i zwinnie, miękko stanęła na nogach. — Na mnie kolej, a więc, jak sądzę, lepiej odwdziczę ci się za to, że byłeś wobec mnie tak nieprzyzwoicie miły i to po tym, jak ostatniej nocy nastawałam na twoje życie.

— Ponieważ tak rozmiłowałaś się w tych kwiatkach, dopilnuję, by znalazły się w twojej ślubnej girlandzie, nawet jeśli będę musiał osobiście pielęgnować je w cieplarni.

— Wydawało mi się, że masz dwie lewe ręce. — Wybrała kremowobiały kwiat, by wpiąć go sobie za uchem.

— Dla ciebie, ptaszyno, staną się dwoma prawymi. Nigdy nie łamię danego słowa, jeśli to zależy ode mnie, a tego bezwzględnie zamierzam dotrzymać.

— Zatem lepiej będzie, jeśli dotrzymam danej obietnicy i upichcę śniadanie. Kto mi ofiaruje kwiaty, jeśli pozwolę ci zmarnieć z głodu?

Pozbierali swe porzucane rzeczy i ramię w ramię wrócili do Stacji.

DWUNASTY

Nad głowami rozlegał się krzyk dzikich gęsi. Nastął jeden z owych niezwykłych, rzadkich, dni złotej jesieni, który był zbyt piękny, by można go było spędzić siedząc w zamknięciu, więc Talia i Kris słuchali składających skarg, usadowiwszy się przed progiem frontowych drzwi oberży. Na samym końcu stanął przed nimi niewielki chłopiec — z ogromnym koniem, po którym widać było, że bywał zaprzęgany do pług — i wręczył im list.

Talia przebiegła wzrokiem pismo i bez słowa przekazała je Krisowi. Przeczytał w milczeniu, a w tym czasie pacholę, które im go przyniosło, szeleściło złotymi liśćmi, szurając niespokojnie stopą w stosie leżącym na ziemi.

Kris zwrócił jej wiadomość. Oparła łokieć o szorstki blat stołu na kobyłkach i podparła dłonią podbródek.

— Jak dawno się to stało? — zapytała chłopca.

— Coś dwa dzionki temu — odpowiedział, przyczesując palcami opadający na oczy kosmyk włosów. — Dyć wadzą się już od lat. Zaś i teraz źle by nie było, jeno ta trująca woda ze studni. No i dziadek mnie wysłał. Chciunby to od zaraz załagodzić, zanim ktoś życie złoży.

Talia sprawdziła pozycję słońca na niebie i dokonała w pamięci obliczeń.

— Wyruszyłabym natychmiast — powiedziała w końcu. — A ty?

Kris strzepnął liście, które opadły na blat stołu, i rzucił okiem za siebie na oberżę.

— Nie ma już nikogo, kogo byśmy musieli wysłuchać, lecz jazda w tak odludne miejsce zajmie nam całe popołudnie. Będziemy musieli poświęcić połowę nocy, by nadrobić stracony czas, a nie mamy żadnych widoków na uzupełnienie zapasów, zanim nie staniemy na Rozdrożu Knowlów.

Dokładnie w tej chwili zawiodły Talię osłony myśli i przejmujące uczucie obawy, bijące od chłopca, wywołało w niej mdłości, kiedy starała się zmusić je, by wróciły na miejsce. Udało jej się to zaledwie w połowie i wciąż zdenerwowanie dziecka docierało do niej wyraźnie, podczas gdy oni zbierali się do odejścia.

— Rozumiem z tego, że powinniśmy uzupełnić nasze zapasy teraz i poczekać do jutra rana.

— Mniej więcej.

— Ha, nie zgadzam się; zamknijmy wszystko tutaj i ruszajmy.

Wyraźnie wyczuwała jego dezaprobatę, gdy posuwali się śladem chłopca, przycupniętego jak kukiełka na grzbiecie olbrzymiego, grubokościstego konia, który przywykł raczej do pługów niż do jazdy pod wierzchem.

— Pozwoliłaś chłopcu sobą powodować — odezwał się w końcu, gdy zostawiali za sobą ślad wzbitych w powietrze przez chirra i Towarzyszy liści.

— To nieprawda. Zatruta studnia w tych stronach to poważna sprawa. Wskazuje, że sprawy wymknęły się spod kontroli. Chciałbyś wziąć na swoje sumienie zabitych z powodu tego, że zmarudziliśmy jeden dzień, kupując zapasy? — Jej szepc zabrzmiął gniewnie.

Wzruszył ramionami.

— Moja opinia nie ma znaczenia. Ty wydajesz rozkazy.

Zawrzał w niej gniew. Ostatnimi czasy spierali się często, czasami przemieniało się to w coś więcej niż spór. Kris niekiedy wydawał się oponować, kierując się wyłącznie uporem.

— Ty łotrze! — wyrzuciła z siebie, gdy uświadomiła sobie powody jego zachowania. Chłopiec obejrzał się za siebie z przestachem. Zniżyła głos. — Sprzeciwiasz mi się, by się przekonać, czy mną można powodować, prawda?

Uśmiechnął się smętnie.

— Wybacz, kochana. Takie między innymi otrzymałem rozkazy; włącznie z fabrykowaniem uczuć, ponieważ mogą je odbierać twe zmysły. Musisz sobie to uświadomić, że kto jak kto, ale twój mentor mógłby najłatwiej zniekształcać twoje decyzje. Jednak teraz wiesz już. . .

— Czy mógłbyś zaprzestać przyprawiać mnie o ból głowy — ucięła cierpko. — Teraz musimy zająć się naszymi obowiązkami.

— Mogłaś wykorzystać tam swój Dar — powiedział, gdy już udało im się położyć na swym pośłaniu.

Mieli za sobą długą, trudną jazdę w bezkieszcówkę, mroźną noc, zanim dotarli do Stacji po załagodzeniu waśni. Mnóstwo czasu strawili na dyplomatycznych zabiegach.

— Wciąż. . . wciąż jeszcze nie udało mi się rozwiązać problemów etycznych — odparła, cedząc słowa powoli. — Posiadanie Daru i lawina ludzkich uczuć, walących się na moją głowę, już wystarczy. Naprawdę wciąż jeszcze nie wiem, w jakiej sytuacji usprawiedliwione jest użycie Daru.

— Do licha. A gdyby tylko w ten sposób można było uporać się z tą waśnią? Jak postąpiłabyś wtedy? — Kris był zaniepokojony. Bał się, że jeśli w nagłym wypadku jedynym wyjściem było użycie jej Daru, mogłaby nie zrobić nic. Rozważając zaś ofensywne jego wykorzystanie, możliwość tego, że palcem nie kiwnie, była jeszcze większa.

— Nie mam pojęcia. — Oparła głowę na jego ramieniu i długo milczała. — Jedyńi ludzie, o których wiem, że są uczuleni na Empatię, to Uzdrowiciele, a oni nigdy nie są stawiani w sytuacjach, z jakimi ja się muszę mierzyć. Gdzie leży granica?

Westchnął i przytulił ją do siebie. Jedyńie w ten sposób mógł dodać jej otuchy.
— Ja też nie wiem, ptaszyno. Po prostu nie wiem.

Kris przytulił obolałą głowę do zimnego, kamiennego okapu nad kominkiem w Stanicy. Miniony dzień nie należał do udanych. Pogłoski o Talii rozprzestrzeniły się już wszędzie. Choć nie po raz pierwszy odwiedzili Pole Langenów, mieszkańcy osady odnieśli się do niej nieufnie, z lekką obawą, nierzadko zakładając talizmany strzegące przed złym okiem. Najwyraźniej nie dowierzali jej wyrokom i zdolnościom.

Talia nic nie dała po sobie poznać: była pewna siebie, inteligentna, sprawiała wrażenie, że można jej ufać bez zastrzeżeń, pomimo tego — o czym Kris wiedział — że aż trzęsa się w środku od chwili, gdy przekroczyli bramy miejsciny.

Takim sytuacjom musiała stawić czoło raz po raz, za każdym razem, gdy wjeżdżali do kolejnej osady.

Poczuł na swym ramieniu dłoń Talii.

— To mnie powinna rozboleć od tego głowa — powiedziała cicho — a nie ciebie.

— Do kroćset, chciałbym, byś mi pozwoliła coś z tym zrobić. . .

— Co? Co możesz na to poradzić? Zrobić im wykład? Muszę zdobyć ich zaufanie, muszę podbić ich serca tak, by ich nieufność ośmieszyła ich we własnych oczach.

— Mógłbym postarać się, by wyglądało na to, iż to ja przewodzę.

— Och, co za znakomity pomysł. A wtedy zaczną się natychmiast głowić, czy ja nie powoduję tobą jak kukielką — odparła z goryczą w głosie.

— Wtedy mógłbym stanąć w twojej obronie, do kroćset! — odpowiedział równie gniewnie. Wlepili w siebie rozgniewane oczy jak dwa rozłoszczone koty. Spuściwszy wzrok, Talia rozładowała napięcie. Kris poszedł za jej spojrzeniem i ujrzał, jak kurczowo zaciska dłoń w pięści.

— Do licha. Zamierzałam cię tylko pokrzepić — powiedziała zmartwiona. — O bogowie, przez to, że moje osłony są takie kapryśne, i wciąż muszę sobie radzić z tą samą sytuacją, jestem jak zbyt wysoko nastrojona struna harfy.

Kris z wysiłkiem rozluźnił napięte mięśnie i własne, zwinięte w pięści dłońe.

— Nie powinienem cię prowokować. Musisz stawić temu czoło i wygrać bez niczyjej pomocy. Lecz, wzięwszy pod uwagę nasze uczucia, obojgu nam daje się to we znaki, i trudno mi jest poskromić chęć przyjscia z pomocą.

— To dlatego cię kocham, pawiu — powiedziała, ujmując jego twarz w obie

ręce i całując go. — I, na Niebiosa! Czekajże no... to był taki zły dzień. Zupełnie wyleciało mi z głowy!

Wlepił w nią zaintrygowany wzrok, gdy wybiegła ze Stancji, by za chwilę wrócić, strzepując z ramienia śnieg.

— Schowałam to do sakwy przy siodle, by nie zapomnieć, i masz ci los, zapomniałam! — Wcisnęła mu w dłoń małe zawiniątko. — Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Urodzin.

— Jak się tego... — Był zaskoczony. — Ja...

— Rozpakuj, głuptasie! — Wydawała się niezwykle z siebie zadowolona.

Była to obrączka, dokładnie taka sama jak ta, którą sprezentował jej przed kilku miesiącami.

— Ja... — Wzruszenie ścisnęło go za gardło. — Nie zasłużyłem na to.

— A juści! Zasłużyłeś na tuzin takich i więcej, pomimo ponawiania przez ciebie raz na tydzień prób zmuszenia mnie, bym ciebie ubiła...

— Tylko raz na tydzień? — rzekł i zdobył się na uśmiech.

— Poprawiasz się, albo ja. Nie zapomniałam o świeżej parze przepiórek, placuku miodowym i butelce wybornego wina. — Objęła go, stanęła na palcach i pocałowała w sam koniuszek nosa. — Zatem urządzimy prawdziwe obchody Dnia Urodzin, czy nie?

Zbliżała się miejscina, która napawała ją największym lękiem — Struga Hevena.

W ciągu całej podróży nie przydarzył się im tak piękny, zimowy dzień. Mroźne powietrze było krystalicznie przejrzyste, a światło słońca tak czyste, że wydawało się białe. Bezchmurne, intensywnie błękitne niebo stanowiło piękne tło dla pozbawionych liści białych gałęzi zagajnika brzoźowego, przez który jechali. Leżący na ziemi śnieg iskrzył się. Czyste, szczypiące powietrze smakowało niemal jak oziębione wino. Talia poczuła się pokrzepiona tak pogodnym dniem, nie miała powodu myśleć, że mieszkańcy Strugi Hevena okażą się gorsi od innych, z którymi miała dotąd do czynienia. Nie wiadomo było nawet, czy ktokolwiek poza starym skąpcem i jego żoną przypomni sobie ją albo to, że dopuściła, by przeżywane trudności osobiste odciągnęły jej uwagę od czegoś, co mogło się rozwinąć w poważną sytuację.

Znajdowali się o kilka mil od Strugi Hevena, kiedy Talia zderzyła się nagle z prawdziwą ścianą strachu, bólu i wściekłości. Zakołysała się w siodle i aż poszarzała na twarzy, gdy Kris rzucił się, by podtrzymać ją w siodle. Kiedy przysła do siebie, czuła się jak po uderzeniu młotem bojowym.

Kris podtrzymywał ją w dalszym ciągu, nie dopuszczając, by zleciała z siodła.

— Krisie — wydyszała. — Sięgnij Wzrokiem do Strugi Hevena...

Teraz ona musiała go podtrzymywać, podczas gdy wprowadzał się w głęboki

trans. W jej głowie wciąż jeszcze rozbrzmiewało echo straszliwego żalu i gwałtownych uczuć, z którymi się zderzyła, by je uciszyć oddychała głęboko, wciągając długie hausty mroźnego powietrza. Zatrzasnęła osłony myśli, które po raz pierwszy zamknęły się z pełną siłą.

Wydawało się, że Kris ledwo pograżył się w transie, a już wydobywał się z niego w wielkim pośpiechu, mrugając zdeorientowany powiekami.

— Północni najeźdźcy. . . — powiedział z wysiłkiem, a jego myśli wciąż jeszcze tonęły w wywołanej transem mgłę — . . . w jaki sposób przedarli się przez Żale. . .

— Do licha! A najbliższa pomoc oddalona jest o dwa dni jazdy. Ilu?

— Piętnastu, może dwudziestu.

— Niezbyt wielu jak dla nas. Nie wydaje mi się. . .

— Miałem nadzieję, że nie będziesz musiała oglądać walki podczas całej praktyki — powiedział z wahaniem.

Zeskoczyła z grzbietu Rolana i po skrzypiącym śniegu podeszła do chirra.

— Nie mamy wyboru. Musimy się tym zająć.

— Talio, ja jestem zwykłym Heroldem, lecz ty jesteś jedynym Osobistym Królowej, jakiego mamy. . .

— A także lepszym łucznikiem od ciebie — powiedziała krótko i, wyciągnawszy spośród jego bagaży miecz i sztylet, podała mu je ponad kudłatym grzbietem chirra. — Jeśli to ma poprawić twoje samopoczucie, obiecuję nie dopuścić do walki wręcz, chyba że nie będę miała innego wyjścia. Jednak przekazałeś mi dowództwo i o ile nie zmienisz zdania — idę. Dziesięciu czy piętnastu to niezbyt wiele dla nas obojga, lecz dla jednego mogłoby okazać się, że jest ich zbyt dużo.

— Dobrze. — Kris przypasał swą broń, a Talia odprowadziła chirra na poboczne drogi. Przy wtórze skrzypiącego śniegu ukryła je w wiecznie zielonej gęstwinie, poza zasięgiem wzroku z drogi, i tam spętała je mocno; uderzył ją w nozdrza zapach zgniecionego igliwia. Wróciła tą samą drogą, rozbijając śnieżne grudy na puch i zacierając ślady stóp gałęzią.

Położyła dłoń w rękawicy na szyi Rolana, który stał owiany parą własnego oddechu w zimnym powietrzu.

— Powiedz im, by poczekały tam do wieczora, kochany — wymamrotała.

— Jeśli nie wrócimy, mogą się zerwać i wrócić do wioski, którą odwiedziliśmy ostatnio.

Rolan parsknął, kłęby pary buchnęły i zawisły przed jego nozdrzami, po czym wpatrzył się nieruchomym wzrokiem w zieloną gęstwinę.

— Gotowy?

Podrzucił łbem.

— A ty? — Spojrzała na Krisa, który czekał z pobladłą twarzą i posępnym wyrazem na mocno zaciśniętych ustach.

— Lepiej pośpieszmy się. Niewiele im brakowało do przełamania bramy.

Zdjęła dzwoneczki z obu uździenic i susem usadowiła się w siodle, przy wtórze skrzypiącej skóry.

— Zatem do dzieła.

Nie wysilali się, by zachowywać się cicho podczas jazdy, po prostu pozwolili Towarzyszom pędzić galopem, starając się jakoś utrzymać w siodle. Białe wzgórza i czarne drzewa migały im przed oczami. Towarzysze dwa razy przesadziły powalone drzewa, których mieszkańcy wioski nie zdążyli usunąć z drogi. Gdy wjechali na ostatnie wzgórze, ujrzeli w świetle słońca, w jakich tarapatach znalazła się wioska. Na tle zdeptanego śniegu odcinały się ostre plamy: czarnego popiołu, pomarańczowych płomieni i czerwonej krwi.

Gdy nadciągnęli galopem, najeźdźcy właśnie wyłamali bramę w palisadzie. Wzniesione wysoko wielkie, żelazne siekiery spadały na skrzydła bramy, łupiąc w nie z tępyim odgłosem. Hałas wywołany przez najeźdźców zagłuszył nadejście dwóch Heroldów. Słysząc było jedynie uderzenia siekier o drewno i okrzyki wojenne rabusiów. Trzy czy cztery ciała leżały u stóp palisady, ich krew wsiąkała w śnieg, na który padli. Brama ustąpiła dokładnie w chwili, gdy Heroldowie znaleźli się w zasięgu skutecznego strzału z łuku. Większość najeźdźców wbiegła do środka wioski i na zewnątrz została ich tylko garstka. Talia z ulgą stwierdziła, że są uzbrojeni tylko w ręczną broń i nie mają ani jednego łuku.

Rolan zarył się kopytami — jadąc na nich jak na saniach — w ziemię, wzbijając kurzawę śniegu. Talia, nie patrząc, wyciągnęła z wiszącego przy siodle kołczanu strzałę i nasadziła na cięciwę. Wycelowwała wzdłuż brzechwy. Ze zdziwieniem stwierdziła, jak spokojne i pewne są jej ręce. Krzyknęła. Jej wysoki, młody głos przebił się ponad niskim pomrukiem najeźdźców. Odwrócili się. Odnalazła cel niemal instynktownie, błądy punkcik skóry ponad postrzępionym, ciemny futrem i zwolniła cięciwę.

Strzała wbiła się jednemu z napastników prosto w gardło. Złapał ją i karmazynowa krew wypłynęła mu spomiędzy palców, plamiąc śnieg u jego stóp. A potem upadł, lecz Talia szukała już następnego celu; nie miała czasu na zebranie myśli, zdając się na wytrenowane odruchy.

Dwie następne strzały Talii odbiły się, nie wyrządzając szkody, od skórzanego napierśnika i połupanej, drewnianej tarczy. Kris, nie zatrzymując się, przegalopował na Tantrisie obok niej, szarżując prosto w wyłom, gdzie przedtem znajdowała się brama, podczas gdy rabusie musieli chronić się przed strzałami Talii. Bezspornie postanowili zająć się Heroldem, który został na zewnątrz palisady, i natarli na Talię.

Udał jej się kolejny strzał, tym razem trafiła napastnika w prawe oko. Gdy upadał, Rolan ostrzegł ją, że musi ruszyć się z miejsca. Mocno objęła jego tułów nogami i Towarzysz obrócił się na zadnich kopytach i ruszył galopem po wymieszonym z błotem śniegu dookoła palisady. Oddaliwszy się nieco, zawrócił ponownie, aż mu się nieco zadnie nogi rozjechały, a grzywa smagnęła Talię w pierś.

Miała już przygotowaną, nasadzoną na cięciwę, strzałę, wycelowała i powaliła trzeciego mocnym uderzeniem w pierś, w miejsce, gdzie nie uzupełnił utraconej płytki zbroi.

Podmuch wiatru przeniósł nad palisadą obłoczek gryzącego dymu. Talia zakrzuszyła się i oczy zaszyły jej łzami, gdy chwyciła kolejną strzałę. Pozostało jeszcze trzech mężów. Nacierali z wyciem, ich brody ociekały śliną, na ustach mieli pianę. Jej palce natrafiły na jeszcze jedną brzechwę w szybko opróżnianym kołczanie.

Okutany w obtłuszczonej niedźwiedzią skórę, najbliższy niej napastnik zatrzymał się i zamierzył się do rzutu siekierą. To wystarczyło Talii do wycelowania i zwolnienia cięciwy. Strzała zmioła go, godząc w gardziel. Zamachnęła się dziko siekierą, trafiając w palisadę, i osunął na ziemię. Wtedy Rolan ruszył do szarży na pozostałą przy życiu parę.

Talia trzymała się go kurczowo obolałymi nogami i ręką, w której ścisnęła łuk, gdy wspiał się na zadnie kopyta, by przednimi uderzyć w głowę pierwszego rabusia, który stanął mu na drodze. Rozległ się okropny dźwięk, przypominający pęknięcie melona. Przy uderzeniu Talia poczuła wstrząs i usłyszała jęk zaskoczenia. Zapach krwi, stęchłego potu i łoju, zapach strachu uderzył w jej nozdrza. Ostatni z napastników znajdował się zbyt blisko, by strzelać do niego z łuku. Talia sięgnęła do pasa, wydobyla sztylet i cisnęła go z bliskiej odległości. Ten napastnik nie miał na sobie napierśnika. Stanął jak wryty z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia, miecz wypadł mu ze zmartwiałej dłoni, wolną ręką sięgnął do piersi. Spuścił wzrok i patrzył ogłupiały na sterzący mu spomiędzy żeber sztylet, a potem oczy zaszyły mu bielmem i upadł.

Rolan pognął galopem w kierunku bramy. Talia obejrzała się przez ramię, czy zobaczy tam wrogów, i ujrzała, że zostawiają na śniegu krwawy trop końskich kopyt.

W obrębie palisady przywitał ją chaos: płonęły chaty, mieszkańcy krzyczeli rozpaczliwie. Wbiegli, tętniąc kopytami, i zatrzymali się na chwilę zdezorientowani dymem i panującym wokoło przerażeniem. Talia instynktownie wyczuła raczej niż zobaczyła oszalałego ze strachu wołu, który biegł na oślep jedyną ulicą, kątem oka dostrzegła uciekające dziecko, biegnące wprost na niego. Rolan odpowiedział na jej znak, zawrócił z gwałtownością, od której trzeszczały stawy, i skoczył w przód. Talia pochyliła się w siodle, przywierając do łęku, i poderwała dziecko z ziemi, a Rolan barkiem odepchnął szarżujące zwierzę i skoczył ponownie, co pozwoliło Talii postawić dziecko na schodkach do chaty. Krisa nigdzie nie było widać, ale i po najeźdźcach żaden ślad nie pozostał.

Talia zeskoczyła z siodła na ziemię i zaczęła zaganiać oszalałych ze strachu mieszkańców, równocześnie uspokajając ich za pomocą swego Daru i organizując w drużynę strażacką. Przez cały czas musiała trzymać się w ryzach, by nie uciec w poszukiwaniu jakiejś spokojnej, ciemnej nory, w której ulżyłaby swym rozedr-

ganym nerwom. Wciąż widziała przed sobą rozszerzone zdziwieniem oczy, czuła strach i ból, ale na zewnątrz osłon, które chroniły jej myśli.

Nie miała czasu do namysłu, musiała działać i modlić się, by nie zawiodły ją jej osłony, nie miała bowiem pojęcia, co by zrobiła przygnieciona takim brzemieniem.

Gdy przygasaly już pierwsze pożary, pojawił się Kris, z twarzą osmoloną dymem, w splamionym obficie krwią białym odzieniu. Z jego oczu wyczierała apatia. Obok niego szedł Tantris, potykając się. Talia opuściła drużynę strażacką, która sama mogła uporać się z tym, co jeszcze się tliło, w tej samej chwili, w której śladem Krisa nadeszli wiwatujący mieszkańcy, wymachujący oblepionymi od posoki sierpami i oskardami. Talia podeszła do niego, kulejąc. Dopiero teraz stwierdziła, że naciągnęła ścięgna w lewej kostce i prawym ramieniu. Musiało się to stać, kiedy złapała dziecko. Kris podniósł oczy i ujrzała w nich odbicie tego samego smutku, który dręczył jej serce.

Wyjęła mu okrwawiony miecz z bezwładnej ręki, walcząc z ogarniającym ją obrzydzeniem, i dotknęła jego dłoni, mając nadzieję, że przyniesie mu ulgę, której sama jeszcze nie mogła poczuć.

Westchnął i, zatoczywszy się, wsparł się na swym Towarzyszu. Tantris był tak samo zbryzgany krwią jak Rolan, a do tego odniósł płytką ranę wzdłuż jednej łopatki.

— Nie chcieli się poddać, nie chcieli uciec — powiedział Kris głosem ochrypłym od dymu i zdartym od krzyku.

— Nie wiem dlaczego. Uzdrowiciel nie żyje, tak samo ta biedna, oszalała dziewczka. Oprócz nich jest jeszcze około dziesięciu zabitych i dwa razy tylu rannych. Bogom niech będą dzięki za to, że nie ma wśród nich dzieci. Nasze znajome małżeństwo spłonęło żywcem, próbując ratować swe kury. Na przeciwnym krańcu osady z dymem poszły trzy chaty. . . — Patrzył nieruchomym wzrokiem na wiwatujących i rozradowanych mieszkańców, tańczących niezdarnie w skrwawionym, wymieszanym z błotem śniegu. — Im się wydaje, że to koniec walki. O bogini, to dopiero początek. Spiżarnie są zniszczone, chaty spalone, a surowa zima za pasem. . .

— To. . . to nie tak jak w balladach, prawda?

— Nie — westchnął, brudną dłonią przecierając powieki. — Nigdy nie jest tak jak w balladach. . . jest przed nami zadanie do wykonania.

— Zatem wracajmy po chirra i do dzieła.

Ich drugi pobyt w Rozdrożach wprowadził ich dla odmiany nieomalże w zakłopotanie. Krisa witano jak bohatera za to, że został w wiosce, by opiekować się

rannymi, podczas gdy Talia udała się po pomoc. Trzeba było przypomnieć mieszkańcom o prawach rządzących zachowaniem się Heroldów na patrolu, gdyż inaczej podejmowano by ich uczta we wszystkich gospodarstwach po kolei, spaliby w najwygodniejszych wioskowych łóżach, a podarunków chirra nie byłyby w stanie unieść na grzbiecie.

Ten pobyt podziałał na nich pokrzepiająco. W Rozdrożach ani razu nie założono ostentacyjnie talizmanów chroniących przed urokami i Talia przestała spotykać się na każdym kroku z dziwnymi, rzucanymi spod oka spojrzzeniami. Na dodatek osłony myśli przestały kapryścić i nie zawiodły jej ani razu. . .

Zatrzymali się w Jagodowym Zakątku u Tedrika, który na ich widok wprost nie posiadał się z radości. Dwa spędzone w gościnie u niego dni — i możliwość wyżalenia się na ramieniu kogoś, kto rozumiał ich ból — pozwoliły im całkowicie wydobrzeć.

Gdy znów mogli oddać się zwyczajnej rozmowie, Tedric radośnie napomknął — jak dziecko ucieszone z podarowanej zabawki — że od czasu ich pierwszej wizyty wędrujący Bardowie zatrzymują się u niego na noc, i że zazwyczaj nawet miesiąc nie zdąży upłynąć, by któryś nie omieszkał zawitać w jego proggi.

Kris przypomniał sobie o swoim raporcie i uśmiechnął się pod wąsem.

Maeven Pogodowa Wiedźma i jej adoptowane dziecko mieli się jak najlepiej. Jej przepowiednie stały się jeszcze trafniejsze. Wdzięczni mieszkańcy Jagodowego Zakątku oddawali jej część własnych zbiorów po żniwach z obawy, by głód lub też jaki wypadek przy pracy w polu nie naraził jej Daru na szwank. Co więcej, tutejsza kapłanka Astery postanowiła uczynić z niej swą następczynię i przyjęła na naukę.

A osłony myśli Talii były mocne i szczelne.

Zatrzymując się na ostatnich przystankach w patrolowanym przez siebie obwodzie, jechali otoczeni wiosennymi liśćmi, które dopiero co wykluły się z pękających pąków. Wielkimi krokami zbliżał się Dzień Wiosennego Zrównania Dnia z Nocą, za niewiele ponad miesiąc mieli przekazać swoje chirra innemu Heroldowi, przydzielonemu do tego obwodu, i wyruszą w powrotną podróż do Kolegium.

To był koniec, niemalże koniec. Talia czuła, że odzyskała panowanie nad sobą i jest tak pewna siebie jak nigdy przedtem. Osłony szczelnie chroniły jej myśli i były mocniejsze. O gdybyż tylko mogła. . .

Gdybyż mogła zmniejszyć dręczące ją wątpliwości, które wciąż mąciły jej myśli. . . Co jest prawe, a co nie?

To pytanie bez odpowiedzi spędzało jej sen z powiek, zmuszało do wpatrywania się w ciemność długo po tym, jak u jej boku Kris zapadał w sen; bo — jeśliby

samodzielnie nie znalazła rozwiązania — czy ośmieli się kiedykolwiek korzystać ze swego wrodzonego Daru, nie tylko w skrajnych przypadkach.

Przybyłe niedawno z południa ptaki świergotały w krzewach okrytych pączkami liści; wydawało się, że drzewa spowija mgiełka zieleni. Talia nie spodziewała się żadnych kłopotów, a więc gdy Kris poprosił ją, by rozmyślnie uchyliła swych strzegących myśli zasłon i wybiegła zmysłami aż po Zachodnie Rogatki to, co tam zastała, zaskoczyło ją zupełnie; zachwiała się jak od potężnego ciosu w głowę, pchnięta w przód napotkanymi tam emocjami. Kris spał Tantrisa i skoczył do jej boku, by uchronić przed upadkiem z siodła, gdy ona starała się wydobyć się z oszołomienia i zmusić do jasnego myślenia, potrząsając głową.

— Co to? — zapytał zaniepokojony. — To nie może być...

— Tym razem to nie są najeźdźcy, ale jest źle. Śmierć, i przyjdzie jeszcze raz, jeśli nie przybędziemy na czas — odparła. — Poprowadź chirra, ja pojedę przodem.

Poderwała Rolana do najszybszego galopu, zostawiając za plecami Krisa ze zwierzętami jucznymi na postronku. Pędzili, biel ich strojów migotowała pomiędzy drzewami, jakby zaborczy duch zimy nagle postanowił najechać wiosnę. Zmrużyła powieki, czując na twarzy podmuch zielonego wiatru i smaganie grzywy Rolana, starając się jakoś poukładać odbierane obrazy. Jej myśl otarła się o straszliwą, bezmyślną brutalność tłuszczy i strach biorący się z dwóch źródeł: lęku ściganego i przerażenia osoby, która zaniechała już wszelkiej nadziei; a wszystko podszyte nikczemnym, majaczącym złowieszczo, rozkoszującym się złem.

Poprzez tętent kopyt Rolana usłyszała wrzask tłumu, gdy zbliżyła się do ciemnoczerwonego muru otaczające Zachodnie Rogatki — mocnego, pięknego przykładu rzemieślniczej zręczności murarzy, wychylającego się spoza bladezielonej mgiełki otwierających się liści. Usłyszała jeżący włosy na karku pomnik, zanim ujrzała zgromadzony ludzki motłoch, z którego gardeł pochodził. Nie musiała wprowadzić się w trans, by odczuć wzburzone emocje. Na szczęście miłościwa Pani przeszkodziła im dotąd dopaść ofiary; Talia niemal na języku wyczuwała jej strach, jednak nie była to panika istoty, która wpadła już myśliwym w łapy.

Gdy pojawiła się przed tłuszcza, pojedyncza postać wyprysnęła spod osłony bram miejskich i śmignęła w wyścigu o życie wprost na nią, wzbijając stopami żółte obłoczki kurzu z ulicy. Na ten widok tłum zawył i w pościgu wylał się przez otwarte wrota.

Wydawało się, że uciekający gotowy jest rzucić się Rolanowi pod kopyta, byleby tylko zbliżyć się do Talii. Dzięki zręczności, którą wpoila im Keren, niemal tak dokładnie, jakby wypalała im ją rozpalonym żelazem, Talia ominęła go i zawróciła Rolana, zataczając dookoła uciekającego ciasne koło, tak by Towarzysz

swym ciałem mógł odgradzić go przed ścigającymi.

Nieznajomy uchwycił się gałki przy siodle tak kurczowo, że zbieleły mu kostki u placów i wydyszał:

— Sprawiedliwości. . .

Talia pozostała w siodle, pewna, że gdyby zawiodły wszelkie zabiegi, zdoła wciągnąć go za plecy i unieść ze sobą, zanim ktokolwiek z motłochu zdąży kiwnąć palcem. Jednak na widok Towarzysza i jej uniformu, którego nie można było pomylić z żadnym innym, tłum zwolnił kroku, a zbici z tropu ludzie zaczęli coś do siebie pomrukiwać. W końcu stanęli w odległości kilkunastu stóp, zaś kiedy Talia zwróciła się do nich, zamilkli zupełnie.

— Dlaczego rzuciliście się za tym człowiekiem w śmiertelny pościg? — odezwała się rozkazująco, podnosząc głos tak, by stał się wyraźny jak dźwięk kornetu.

W zebranej przed nią gromadzie ludzi nastąpiło niespokojne poruszenie. W końcu przed wszystkich wystąpił jakiś mężczyzna — sądząc po odzieniu z przedniej wełny, w ciemnobrązowym kolorze, i lnianych koszul żył w dobrobycie i nie był rolnikiem.

— Ten kupiec jest mordercą, Heroldzie — rzekł — przybyłym z obcego kraju i mordercą. Myślimy dać mu to, na co zasłużył.

— Nie. . . — Uczepiony jej siodła nieszczęśnik z trudem chwycił powietrze, oliwkowa skóra na twarzy stała się bladożółta, duże ciemne oczy rozszerzył strach. — Kupcem, tak. . . i przybyszem z obcej krainy, ale nie mordercą. Na to przysięgam.

Na te słowa z tłumy wzbił się gniewny pomruk.

— Stać! — rozkazała Talia gromkim głosem, uniemożliwiając gromadzie ponowne stopienie się w motłoch. — Fakt, że jest się przybyszem z za granicy, nie jest przestępstwem, a Królewskie prawo gwarantuje sprawiedliwość Heroldów każdemu na ziemiach tego królestwa, kto zwróci się o nią. Ten oto człek zażądał tego ode mnie i ja sprawię, że sprawiedliwości stanie się zadość. Nazywasz go mordercą, czy ktokolwiek z zebranych tu widział go, jak zabija?

— Trup leżał na jego wozie i jeszcze był ciepły! — zaprotestował rzecznik tłumy, niespokojnie podkręcając wąża.

— I co z tego? Czy wóz był tak zabezpieczony, by nikt oprócz tego kupca nie mógł wspiąć się na niego? Nie? Zatem skąd bierze się w was pewność, że ciało nie zostało tam podrzucone, by zwrócić podejrzenie na niego — obcego przybysza, co już i tak budziło waszą nieufność?

Rozczarowanie, którego nie omieszkała zauważyć, było wskazówką, że nic takiego nie przyszło im do głowy. Nie byli to źli ludzie — owa nić skrytego zła, na którą natknęły się jej zmysły, nie biegła do żadnego członka stojącej przed nią gromady — po prostu postępowali bezmyślnie, łatwo dawali powodować sobą, uniesieni owczą mentalnością motłochu. W obliczu kogoś, kto skłonił ich do myślenia, opuściła ich żądza zaspokojenia pragnienia krwi.

— Wszystko odbędzie się zgodnie z prawem, albo wcale — powiedziała stanowczo. — Niech każdy mąż, każda niewiasta i dziecko — wszyscy, którzy nie są przywiązani do łoża — zbiorą się na miejscowym placu. Od tej chwili nikt z was nie stoi poza podejrzeniem. I tamże niech przyniosą do mnie ciało.

Kurczowo wczepiony w łęk jej siodła mężczyzna powoli odzyskiwał oddech, wracała mu odwaga.

— Doszły mych uszu wieści o was, pani Heroldzie — powiedział, najwyraźniej zdenerwowany, gdyż kropelki potu zaczęły teraz występować na jego szerokie czoło; jednak równie widocznym było, że stara się jej zaufać. — Przysięgam ci, że nie popełniłem tak nikczemnego występku. Gotowem na tortury, jeśli taka twa wola.

— Nie będzie żadnych tortur. I jeśli jesteś niewinny, nie masz się czego obawiać — cicho odezwała się Talia. — Nie wiem, cóżes ty o nas słyszał, lecz składam solenną obietnicę, że spotka cię to, o co prosisz: sprawiedliwość.

Kupiec szedł obok niej, gdy przekroczyła na Rolanie bramę miejsciny. Potem minęła okazałe, masywne domy z cegły i wjechała na brukowany kocimi łbami rynek. Tak jak rozkazała, wszyscy zdolni do pracy mieszkańcy stawili się jak jeden mąż, zostawiwszy dla niej puste miejsce w samym środku. Tam też złożono długi tobołek zawinięty w ciemną tkaninę — ofiarę zbrodni.

Talia wybrała tuzin krzepkich z wyglądu obywateli w ochronnych okularach kamieniarzy i upewniła się, wykorzystując swój Dar, że nie mogliby mieć nic do czynienia ze zbrodnią, gdyż wszyscy zajęci byli przy poszerzaniu murów obronnych. Rozstawiła ich, uzbrojonych w pałki, jak strażników przy wylotach z ryneczku, nie mając ochoty zezwolić, by zabójca, zorientowawszy się, iż chwila jego zdemaskowania nieuchronnie się zbliża, podjął udaną próbę ucieczki.

A potem odsłoniła tkaninę. Ujrzała okrutnie pobitą młodą kobietę, właściwie jeszcze dziewczynę, której ktoś przetrącił kark. Była piękna, miała na sobie przyzwoite odzienie, jeszcze nie znoszone, które jednakże rozerwane, wisiało w strzępach w wielu miejscach. Ktoś dopuścił się tego gwałtu i brutalności, lecz zmysły Talii nie wyczuwały w kupcu z obcej krainy nic, co wskazywałoby, iż to jego mózg popchnął go do zatłuczenia dziewczyny na śmierć; Natomiast zbrodnię tę łączyła nić ze złem, które Talia odkryła, zanim stanęła na drodze ludzkiej tłuszczu.

— Czyim ona była dzieckiem? — zapytała, zostawiwszy sobie czas na uspokojenie nerwów.

— To moja pasierbica. — Spomiędzy zebranych wysunął się brodaty mężczyzna o kanciastej szczęce, surowej twarzy i nieprzeniknionych, niebieskich oczach. Talia zwróciła uwagę, że nie użył honorowego tytułu „Herolda”. Mogło to mieć wielkie znaczenie lub zgoła żadnego.

— Kto ją odnalazł i kiedy?

— Jakąś godzinę temu, Heroldzie — odezwała się szczuplutka, siwiejąca kobiecina w ubrudzonym mąką fartuchu. — To mój chłopak ją odnalazł. Posłałam go

do kupca z grosiwem, by zapłacił za to, co na moją prośbę kupiec dla mnie odłożył. — Wypchnęła teraz przed siebie kościste piętnastoletnie mniej więcej pacholę o jasnych włosach, którego pozieleniała twarz świadczyła, iż walczy z nudnościami.

— Powiedz mi, co zobaczyłeś. Opowiedz tak dokładnie, jak tylko pamiętasz — rozkazała Talia. Powodowana litością przesunęła się, by zasłonić mu widok leżącego ciała.

— Ma... — Przełknął głośno ślinę, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. — Mama posłała mnie po sprawunki, tak jak to powiedziała: z grosiwem za jakieś fatałaszkę, które kupiec miał dla niej zatrzymać. Kiedym stanął przy wozie, kupca na nim nie było, lecz przecie powiadał już dotąd tyle razy, byśmy, kiedy go nie ma, wchodzili do wozu i czekali na niego, to żem tak zrobił. W środku było cośkolwiek ciemno i potknąłem się o coś. Otworzyłem drzwi szeroko, coby widzieć, o co się przewracam. To była Karli... — Głośno przełknął i zieleń na jego twarzy nabrała głębszego odcienia. — Myślałem, może zaniemogła, a może upiła się, i nią potrząsnąłem, lecz jeno jej głowa jakoś tak dziwnie się przekreśliła... — Otarł dłoń o tunikę, w nieświadomym geście oczyszczenia ze zmazy, która, jak myślał, plamiła go od momentu dotknięcia nieboszczki.

— Wystarczy — łagodnie przerwała mu Talia. Biedny dzieciak nigdy dotąd nie był świadkiem gwałtownej śmierci, nie mówiąc o fizycznym z nią kontakcie. Przypomniała sobie, co czuła po potyczce w Strudze Hevena i próbowała wzrokiem wyrazić swoje współczucie. — Czy ktokolwiek z was widział już kiedy dziewczynę razem z tym kupcem?

Okazało się, że kilkoro z zebranych było świadkiem jej skrytych, szeptem prowadzonych rozmów z kupcem, które przerywali natychmiast, gdy zbliżano się do nich.

Stopy niecierpliwie zaczęły szurać po bruku, w miarę jak przedłużało się przesłuchanie prowadzone przez nią tak cierpliwie i drobiazgowo, jak tylko mogła. Z obrzeży zgromadzonego tłumu dochodziły do niej jakieś szepty. Żałowała, że są one niezrozumiałe, gdyż mogło okazać się, że mają ważkie znaczenie dla sprawy.

Mężczyzna, który — jak twierdził — był ojczymem dziewczyny, splunął gniewnie i przerwał jej.

— Marnujemy czas! Każdy, kto ma uszy i oczy, widzi, że ten włóczęga ją zabił! Ani chybi, chciał ją pojąć, a potem zabił, gdy nie chciała mu być powolna; a jeśli uległa mu, to z lęku, że zmusi go do małżeństwa.

Oczy Talii zwięziły się. Nie zabrzmiało to jak lament ogarniętego żałobą rodzica.

— Ja jestem narzędziem królewskiej sprawiedliwości i to ja, nikt inny, decyduję o tym, czy marnujemy czas — odparła zimno. — Jak dotąd nie usłyszałam nic, co mogłoby obciążyć tego człeka, poza tym, że rozmawiał z dziewczyną. Je-

stem pewna, że zamieniła słowo z niejednym. Czyż nawet z tobą nie rozmawiała codziennie? Czy tylko z tego powodu masz być osobą podejrzaną?

Czy to był wytwór jej wyobraźni, czy też zbladł on odrobinę?

— A co ty powiesz, kupcze?

— Czy mogę mówić całą prawdę? — odezwał się zapytany.

Taki sposób odpowiedzi był nieoczekiwany.

— Dlaczego pytasz?

— Bo nie chciałem oczerniać nieboszczki w obecności jej krewnych, a to, co mam do powiedzenia, mogłoby się nie spotkać z przychylnością zebranych tutaj.

— Zaczekajże no chwilę, kupcze — odparła i przymknęła oczy. Chwilę trwało, zanim wprowadziła się w trans i rzuciła Zakłęcie Prawdy.

Zakłęcie składało się z dwóch części. Wszyscy Heroldowie — nawet ci, których Dar musnął zaledwie — byli zdolni rzucić pierwszą część zaklęcia, co powodowało, że głowę i ramiona pytanego spowijało lśnienie, niewidoczne dla niego, lecz dość wyraźne dla każdej innej osoby. Druga część zaklęcia — która wymagała już od rzucającego posiadania nie zwyczajnego Daru, lecz potężnego Daru „przekazu” — mogła, przywołana, zmusić pytanego do mówienia jedynie prawdy, bez względu na własne intencje. Talia mogła korzystać z Zaklęcia w obu formach i zrobiła to właśnie teraz. Kiedy niebieskawa poświata otoczyła głowę kupca, posłyszała odgłos nagle wciąganego do płuc powietrza, a potem westchnienia ulgi. Możliwe, że zebrani mieszkańcy nigdy w życiu nie mieli być świadkami rzucania Zaklęcia Prawdy, jednak słyszeli o nim na pewno; ufali jego mocy i temu, kto się nim posługiwał.

— Nie obawiaj się powiedzieć mi całej prawdy. Dziewczyna jest już w Niebiosach i nie możesz jej skrzywdzić, a przecież występujesz w obronie swojego życia.

— Tak, przyszła do mnie kilka razy — odezwał się. — Chciała, bym wziął ją ze sobą, kiedy stąd wyjadę.

— Dlaczego? — zapytała Talia.

— Bo chciała stąd uciec; od czego lub dlaczego, tego nie chciała wyjawić. Powiadała, że nikt nie uwierzyłby jej słowu. Najpierw ofiarowała mi pieniądze, jednak nie chciałem narażać na szwank mego interesu, gdyby ci ludzie wpadli w gniew; mimo wszystko — nalegała. W końcu przystałem na to, że „zniknie” na dzień przed moim odjazdem, by ludzie nie myśleli, iż mam z tym coś wspólnego. Jako zapłatę ofiarowała siebie — westchnął. — To był błąd, to prawda, lecz jam z krwi i kości, a ona była gładka. Nie wydawało mi się to złem, że zażyje przyjemności w zamian za udzielenie jej pomocy w ucieczce, czego pragnęła tak bardzo. Miałem spotkać się z nią na drodze, poza rogatkami osady jutro o zmierzchu. Ostatni raz zamieniliśmy słowo rankiem, od tamtej pory nie widziałem jej żywej.

Przez cały czas poświęta świeciła pełnym blaskiem, ani Talia nie poczuła upływu sił, co oznaczałoby, iż kupiec zmuszany jest do wyjawiania prawdy. Ludzie z natężeniem wpatrujący się w niebieską poświętę powtórnie westchnęli. Wszyscy pojęli, że kupiec nie mógł być winny, lecz jeśli nie on, to kto?

— Kłamstwo! To wszystko kłamstwo! — Ojczym wyswobodził się spomiędzy stojących obok niego sąsiadów i rzucił się z nie skrywanym zamiarem uduszenia kupca gołymi rękami. Rolan przysiadł na zadzie, stulił uszy i kłapnięciem zębami utrzymał go z dala, Talia tymczasem dobyła zza pasa sztyletu; wyciągana z pochwy stał zasyczała złowróźnie. Nagle fala jego gniewu i — o tak! — strachu wywołała przed oczyma Talii scenę, która pomogła jej zrozumieć całą prawdę.

— Zatrzymajcie go! — rozkazała, a kilku osiłków rzuciło się do przodu; mocne ręce przyszpiliły mężczyźnie ramiona do boków, pomimo że się opierał.

Nie mogła oskarżyć go jedynie na podstawie tego, co ujrzała. Jednak opierając się na okrucinach tego, co do niej docierało, przypuszczała, że nie będzie musiała tego robić.

— Siostra Karli, gdzie ona jest? — zapytała Talia, a wiele rąk wypchnęło bladziutką, skuloną dziewczynkę przed front zebranych. Miała około czternastu lat, słodką, nieśmiałą twarzą, ciemne oczy i włosy.

— Nie chcę przymuszać cię do mówienia prawdy — powiedziała Talia miękkim głosem, którego nikt poza nimi dwiema nie mógł usłyszeć — jednak zrobię to, jeśli mnie do tego sprowokujesz. Czy powiesz prawdę o tym człeku, który mieni się waszym ojcem, i odejdziesz w pokoju?

Dziewczynka — kuląca się, gdy wypchnięto ją z tłumu zebranych — na dźwięk uprzejmego głosu, którym Talia starała się dodać jej otuchy, wyraźnie ożywiła się, zaś ostatnie słowa „i odejdziesz w pokoju”, zdały się natchnąć ją odwagą. Wyprostowała się nieco i spojrzała z nienawiścią na swego ojczyma.

— Tak! O tak! — Jej głos zdrzął, słyhać w nim było bunt. — Powiem całą prawdę. To był on, to od niego, naszego tak zwanego ojca, Karli starała się uciec! A dlaczego? Bo od śmierci matki zmuszał nas, byśmy się z nim kładły — co noc!

Oskarżycielskie słowa rozbrzmiały w ciszy, która nagle zapadła. Oszołomieni mieszkańcy osady patrzyli na dziewczynkę i jej ojczyma w zdumieniu.

— Kłamliwa ladacznica! — Wrzask mężczyzny, zmagającego się z krępującymi jego ruchy dłońmi, zakłócił milczenie, które zapieczętowało usta zebranych.

— Mówię prawdę i tylko prawdę! — odrzyknęła do niego. Z jej szeroko rozwartych oczu wзираł strach, gniew z domieszką wstydu.

— Kiedy płakałyśmy, opierałyśmy się, bił nas, a potem nas gwałcił. Karli poprzysięgła, że ucieknie, lecz on się o tym dowiedział. Rzekł, że dostanie nauczkę za chodzenie własnymi ścieżkami.

— Ona łże!

— Czyżby? Zatem zamknijcie go na sześć miesięcy i zaczekajcie — zaśmiała się dziko. — Wszyscy wiecie, iż od ostatniej zimy nie dopuścił, by jakkolwiek

osobnik płci męskiej, który skończył pięć lat zbliżył się do mnie. Uciekłabym razem z Karli, lecz czy zarobiłabym choćby miedziaka z brzuchem rozdętym dzieckiem? Jego dzieckiem, jego bękartem! — Załamała się i wybuchnęła histerycznym płaczem. Jakaś kobieta nie namyślając się, skoczyła do przodu i otuliła ją szalem w obronnym, matczynym geście, za tym przykładem poszli inni, tworząc dookoła nieszczęsnej dziewczynki okrag, zasłaniając ją przed wzrokiem sprawcy jej nieszczęść, gromiąc go pełnymi nienawiści i wstrętu spojrzzeniami.

Talia stanęła z nim twarzą w twarz, drżąc z wściekłości i oburzenia, jednak w jakiś sposób opanowując ogarniające ją mdłości.

— Ruszyłeś na poszukiwanie tego dziecka i ujrzałeś ją w towarzystwie kupca. Postanowiłeś dać jej nauczkę. Wpadłeś w złość, gdy okazała się nieposłuszna, myśląc iż w publicznym miejscu nic jej nie grozi. Zabiłeś ją, uprzednio bestialsko pobiwszy, a potem ukryłeś ciało w wozie kupca wiedząc, że to na niego spadnie wina, a jeśli zginie przed moim przybyciem, nikt dalej sprawy nie będzie roztrząsał w poszukiwaniu prawdziwego mordercy.

Przeniosła na niego Zakłęcie Prawdy, nie przerywając oskarżycielskiej mowy; zmuszała go do wypowiedzenia skrywanych, prawdziwych myśli, gdy tylko otworzył usta.

Okazało się to skuteczniejsze, niż śmiała przypuszczać.

— Tak, a dlaczegoż by nie? Czyż nie karmiłem ich, nie odziewałem? Czyż nie jestem ich właścicielem? One należą do mnie, tak jak ta ladacznica ich matka! Umarła, zanim odwdzięczyła się za moje pieniądze, zatem, o bogowie, czyż one nie powinny zająć jej miejsca?!

Umysł, który radził takie myśli, spowodował, że Talia poczuła nudności. Żadna kara nie wydawała się odpowiednia za to, czego on się dopuścił. Jakiś odległy zakątek jej mózgu pozostał obojętny — na zimno rozważała wszystko, czego się dowiedziała, i próbowała podjąć decyzję.

Gniew i wstręt narastał w niej w stopniu, którego nie mogła już dłużej znieść, gdy nagle znalazła wyjście. Zmusiła mężczyznę do przyjęcia swych uczuć — nie było to łagodne dzielenie się, które łączyło ją z Krisem, lecz brutalny gwałt popełniany na zmysłach i umyśle. W najśmielszych marzeniach nie przypuszczała, że jest do czegoś takiego zdolna. A potem, w nagłym zwrocie, wciągnęła do tego związku jego pasierbicę i wtoczyła mu pod czaszkę i jej wspomnienia, zmuszając go, by wszystkie bólem wypełnione doświadczenia dziewczynki stały się i jego udziałem.

Zawył raz jeden, coś zagulgotało mu w gardle, zeszywniał, a potem upadł na kolana. Przerażeni strażnicy wypuścili go z rąk, lecz on nie był w stanie wykorzystać nadarzającej się okazji. Gdy poderwali go z ziemi, stanął, tocząc pianę z bezwładnie rozdziawionych ust; w jego oczach próżno byłoby doszukiwać się oznak zdrowego rozsądku. Talia zamknęła go w pętli: odtąd miał w nieskończoność przeżywać wszystkie te chwile, w których pasierbica padała jego ofiarą.

Mieszkańcy wioski odruchowo cofnęli się od Talii o krok.

Oto pokazała im, do czego zdolny jest jej Dar.

— Heroldzie? — nieśmiało odezwał się jeden z mężczyzn, spozierając na nią z szacunkiem zmieszonym ze strachem. Wiedzieli, że własnoręcznie wymierzyła mu karę, choć nie mieli pojęcia jak. — Co mamy z nim począć?

— Według waszego uważania — odparła znużona — i zgodnie z waszymi obyczajami. Czy będzie żył, czy umrze, spotkała go zasłużona kara.

Kiedy go odprowadzili, uwagę Talii zwróciła na siebie jedna z kobiet.

— Heroldzie, doszły nas słuchy, że opanowałaś magię umysłu. Czy nie mogłabyś zrobić czegoś dla tego dziecka? I... ja jestem Średnią Żoną. Czy miałabyś nam za złe, gdyby ona „utraciła” to dziecko? Choć nie należę do Obdarzonych, nauczyłam się mego rzemiosła pośród Uzdrowicieli. Można by to zrobić, nie wyrażając biedactwu krzywdy.

„A teraz jagnię” — pomyślała Talia i skinęła głową.

Ludzie powoli rozchodzili się milcząc, zbyt wstrząśnięci i zatrwożeni, by wymieniać choćby szept. Zmęczona Talia, powłócząc nogami zbliżyła się do słoczonych ciasno obok siebie kobiet i uklękła obok roztrzęsionej, łkającej dziewczynki. Rozluźniła się i zapadła w trans, po czym zaczęła ją badać tak, jak ją tego nauczyła Kerithwyn. Potrafiła „czytać”, jednak nie wiedziała, co począć w oparciu o zdobytą wiedzę. Było tak, jak podejrzewała: dziewczynka była zbyt młoda a ciało jeszcze nie narodzonego zniekształcone. Zwróciła swą uwagę na mózg dziewczęcia i poczęła kłaść podwaliny uzdrowienia, które czas i odwaga dopełnią już bez dalszej pomocy z jej strony — ze wszystkich sił starając się narzucić zmysłom dziewczynki to, że nic z tego, co się wydarzyło, nie było jej winą. Na koniec wprowadziła dziecko w półtrans, w którym miała pozostawać przez kilka dni potrzebnych na to, by przynajmniej rany zadane jej ciału mogły się zagoić.

Wstała i przeniknięta zmęczeniem do szpiku kości zwróciła się do Średniej Żony.

— I tak doszłoby w końcu do tego, co proponowałaś. Jej ciało łatwiej zniesie to, jeśli stanie się to teraz. Nienawidzi swego brzemia tak samo jak swego ojczyma. Oczyszczenie ciała przyniesie ulgę jej sercu. I powiedz jej, by nigdy siebie nie obwinała za to, co ją spotkało. Mów jej tak długo, aż uwierzy.

Kobieta skinęła głową bez słowa i wraz z innymi odprowadziła pół przytomną dziewczynkę do swego domu.

Pozostał samotny kupiec. Patrzył na nią oczami, które wypełniała wdzięczność i łzy; bliskość jego czystego, normalnego umysłu podziałała na Talię niezwykle kojąco. W porównaniu z otwartym ściekiem, jakim okazały się zmysły ojczyma, jego mózg wydawał się źródłem czystej, roziskrzanej wody.

— Pani Heroldzie... — wyjąkał w końcu — ... me życie należy do ciebie.

— Zatem zabieraj je i zrób coś dobrego, kupcze — odparła, wtulając twarz w szyję Rolana, czując jak łagodne muśnięcia myśli Towarzysza powoli oczysz-

czają jej skalany mózg.

Odgłos kroków kupca ucichł w oddali.

Za to rozległ się tupot kopyt trzech zbliżających się koni. Nie można było się pomylić i wziąć tego za coś innego — to dzwoniły po bruku podkowy Towarzyszy, a wtórowały im z cicha kołyszące się delikatnie dzwoneczki przy uździe.

„O Bogini, pomóż! — pomyślała. — Dość już tego, więcej znieść nie jestem w stanie”.

Lecz odgłos kopyt nie ucichł. Posłyszała kroki i poczuła na ramionach dotyk rąk. Podniosła oczy. To był Kris.

— Widziałem zakończenie, resztę opowiedziała mi Średnia Żona — powiedział cicho. — Ale...

— Ale... byłaś sędzią i katem, Heroldzie — rozległ się obcy, kobiecy głos, który wiek zaostrzył, jednak nie osłabił.

Talia sięgnęła wzrokiem Krisowi przez ramię, by ujrzeć dwie nieznajome twarze: kobiety mniej więcej w wieku Keren, tyle że kanciastej i mocnej budowy, oraz młodego mężczyzny starszego o rok, może dwa od Krisa o jasnobrązowej czuprynie. Oboje mieli wyszyte na rękawach uniformów srebrne strzały Posłanników Specjalnych Poruczeń.

Byli to kurierzy, widocznie zmysły ich Towarzyszy ostrzegły ich o kłopotach i przybywali na pomoc.

I oboje byli starszymi Heroldami.

— Wykorzystałaś swój Dar, karząc tego człowieka, nieprawdaż? — zapytał młodzieniec z powagą malującą się na jego twarzy.

— Tak — odparła Talia, odważnie patrząc mu w oczy. — Zrobiłam to. I postąpię podobnie, jeśli okoliczności będą tego wymagały.

— Czy sądzisz, że takie użycie twego Daru było etyczne?

— Czy zabijanie jeźdźców z łuku jest etycznym użyciem mych rąk? — zareplikowała. — To jest część mojej osoby, nie ma nade mną władzy. Podjęłam opartą na rozsądnych przesłankach, przemyślaną decyzję: jeśli człek ten kiedykolwiek uzna swą winę, a swe uczynki za występki, uwolni się z pęt, którymi go skrepowalam. Póki to się nie stanie, doświadczy na własnej skórze cierpienie, jakie zadawał swym ofiarom. Wydaje mi się, że jest to o niebo lepsze zadośćuczynienie za to, co robił, niż zamknięcie go w lochu lub stracenie. A więc wydałam wyrok i wymierzyłam odpowiednią do niego karę; teraz bronię mego postępowania i jeśli trzeba będzie, zrobię to ponownie.

Zmierzyła oboje wzrokiem, w którym kryła się lekka przekora, by ku własnemu zaskoczeniu ujrzeć, że oboje kiwnęli potakująco głowami, jakby z pewnym zadowoleniem.

— Zatem, jak mi się wydaje, jesteśmy tutaj zbędni — skwitowała kobieta. — Szerokiej drogi, bracie... siostrze...

Zawrócili Towarzyszy i wyjechali przez bramę, ani razu nie obejrzawszy się za siebie.

Pozostał jedynie Kris.

— Dałaś sobie doskonale radę, Heroldzie Talio — powiedział łagodnie.

Stała wtulona w jego mocne ramiona, dźwięk jego głosu przypomniał jej o obowiązku. Nie mogła się przyznać, jak bardzo pragnęła, by to jego nim obarczyć, lecz wiedziała, że Kris weźmie na siebie wszystko, o co go poprosi. A składając swój obowiązek na czyjekolwiek barki dowiedzie, że nie dorosła do swego powołania. Gdyby samotnie patrolowała obwód, nie byłoby Krisa, który teraz wspierał ją swym ramieniem — zbyt znużoną, przepełnioną wstrętem, wyczerpaną do cna i, o tak, zbyt przestraszona, by stanąć twarzą w twarz z ludźmi i udowodnić im, że nie obdarzyli zaufaniem niewłaściwej osoby, i że Herold może uzdrawiać, nie tylko karać. Musi ich przekonać, iż mocy Heroldów, której występni powinni się bać, sprawiedliwi nigdy nie poczują na sobie.

Musi z otwartą przyłbicą zmierzyć się ze strachem kryjącym się w ich twarzach i sprawić, by znów wyparło go stamtąd zaufanie. Kris nie mógł jej w tym zastąpić, a gdyby go tutaj nie było, nie mogłaby nawet rozkoszować się przelotnym wyobrażeniem, że mógłby to zrobić.

Westchnęła. Kris niemal żałował, iż nie poprosiła go o pomoc, tyle było w tym westchnieniu znużenia i bólu. Współczuł jej z całego serca, lecz była to ogniowa próba, jakiej każdy Herold prędzej czy później musiał się poddać. Bez względu na to, jaki jest osobisty koszt tego, spełnienie obowiązku było zawsze sprawą najważniejszą. Udowodniła, że zdołała okiełznać swój Dar; udowodniła, że nie zaniedbuje moralnej i etycznej odpowiedzialności, jakie na nią nakładał. Teraz musiała jedynie dowieść, że ani jej zmysły, ani umysł nie cierpią na niedostatek sił, by podjąć się każdego zadania i wypełnić je do końca.

Talia nie miała wyboru, i nie miał go Kris. Zgodzili się wziąć na swoje barki brzemień odpowiedzialności wraz ze wszystkim, co wiąże się z byciem Heroldem, lecz pomimo to Kris bolał nad Talią.

Podniosła wzrok i odczytała z jego oczu myśli.

— Lepiej odszukam Radę Miejską, Mera i Skrybę — odezwała się, prostując się i przyoblekając twarz w maskę spokoju. — Czeka mnie praca.

Wzrok Krisa pobiegł jej śladem. Zobaczył, że idzie wysoko unosząc głowę, pewna siebie, nie pozwalając, by udarczenie jej duszy odbiło się na zewnętrznym wyglądzie, i poczuł, że promienieje dumą.

Talia stała się prawdziwym Heroldem.

* * *

Kris pierwszy dotarł do najbliższej Stancji Przydrożnej i przygotował ją na przyjęcie wyczerpanej Talii, która aż ugiwała się w siodle od zmęczenia. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić, nie łamiąc zasad, które nimi rządziły. Udała się na spoczynek na długo przed nim, i kiedy on zdecydował się zrobić to samo, miał wrażenie, że mocno śpi, jednak leżąc w ciemności, poczuł, że dziewczyna drży od ronionych w milczeniu łez, i przygarnął ją do siebie. Wypłakała się w jego ramionach i przytulona zasnęła.

Na drugi dzień zebrała spisy i wieści, po czym zaczęła rozstrzygać waśnie. Kris był wstrząśnięty widząc, jak lekliwie lud miejscowy zwracał się do niej, jakby była jakąś istotą z legend — mocarną, lecz niekoniecznie godną pełnego zaufania. Szczęśliwie się złożyło, że była to tak spora miejscina, bo po tym, co pokazała w pierwszym dniu, zabrakłoby chętnych, którzy skłonni byliby przedkładać jej swe prośby do osądzenia. Jednak nie było wyboru: każdy szukający zadośćuczynienia musiał doznaną krzywdę opisać i swe zeznanie umieścić w urzędowym rejestrze — nie znalazł się nikt odważny, by zaprzeczyć się woli dochodzenia swych wcześniej zgłoszonych roszczeń.

Talii przysługiwało prawo — z którego zazwyczaj nie korzystała — do ustalenia porządku rozpatrywanych spraw. Tym razem jednak postąpiła inaczej i kierując się mądrością, postanowiła najpierw uporać się z przypadkami, które wymagały okazania taktu, zrozumienia i łagodności. Stopniowo mieszkańcy zaczęli się uspokajać i przestawali się jej bać, a na trzeci dzień salwami śmiechu nagradzali zgryźliwe żarty, które wtrącała, ogłaszając swe wyroki. Pod koniec owego dnia strach poszedł w zapomnienie, a na czwarty, ostatni dzień, odbierając z ich rąk zezwolenia na wyjazd, Talii całkowicie udało się odbudować ich zaufanie do Heroldów. Kris aż promieniał z dumy, gdy wyruszyli w drogę do miejsciny, gdzie mieli się zatrzymać po raz ostatni.

Widać bogowie musieli się z nim zgadzać, gdyż tam przynajmniej okazali Talii swą łaskawość. Aż do końca patrolu nie stanęli w obliczu żadnego kryzysu.

— Nie mogę uwierzyć, że to koniec.

— Lepiej uwierz — roześmiał się Kris — bo przed nami leży miejsce spotkania. I o ile mnie oczy nie mylą. . .

— Nie mylą cię, to jest pasący się Towarzysz, i wydaje mi się, że widzę dwa muły.

— A więc będzie to ostatnia noc spędzona w Stancji. Nie jest ci przykro?

— Że nie będę raczyć się potrawami pichconymi przez ciebie lub siebie samą, ani spać na sianie? Bądźże poważny!

Kris zachichotał i zmrużył powieki w promieniach zachodzącego słońca.

— Czuj duch! — melodramatycznie zaintonował. — Widzi mi się, iż uszy naszego zmiennika złowiły już srebrzyste tony wybijane kopytem naszych Towarzyszy.

— Albo bębnienie garsteczki myśli o twój próżny czerep... — Talia ścisnęła Rolana kolanami i galopem wysforowali się do przodu. — To Gryffon!

I rzeczywiście był to kolega Talii z Kolegium, który przywdział Biel w tym samym czasie co ona, jednakże najwyraźniej praktykę czeladniczą ukończył wcześniej. Zsunęła się z siodła na ziemię, gdy Rolan zarył się kopytami obok niego, przy wtórze dzwonek wiszących u szyi, i uściskawszy, ucałowała go serdecznie, na co spąsował jak róża. Z widoczną ulgą przywitał się z Krisem. Na widok tak ogromnej nieśmiałości, Talia i Kris niemal dusili się ze śmiechu.

— Niedaleko stąd znajdziecie gospodę — powiedział, lekko się jękając. — Czekają tam na was. Pomyślałem, że wolelibyście spędzić noc w miękkim łożu, a więc, gdy Farist odebrał pierwsze sygnały od Rolana, udałem się tam, by ich zawczasu zawiadomić.

— Dzięki ci, to wspaniale! — Kris podziękował w imieniu ich obojga, wzruszony tak nie oczekiwaną uprzejmością. — Mam wrażenie, że minęły wieki od czasu, gdyśmy po raz ostatni leżeli w prawdziwym łożu!

— Nieprawda! — Talia wpadła mu w słowo. — Mieliliśmy to szczęście nie dalej jak przed czterema miesiącami, u Tedrika.

— Istotnie, ale to wydaje się zamierzchłą przeszłością. Wpadła mi pewna myśl do głowy! Oto moja pierwsza rada dla ciebie: zawsze staraj się zaplanować swój postój w najbardziej na północ wysuniętej Stanicy Zaopatrzeniowej, opodal Jagodowego Zakątka. Tedric to gospodarz co się zowie, a jakim jest kucharzem...! — Kris wywrócił oczy ku niebu w wyrazie komicznej ekstazy.

— A oto moja pierwsza rada: zważaj na innego rodzaju niespodzianki, jakie może zgotować ci północ... — rzekła Talia i pokrótce opisała Gryffonowi objawy plagi i to, jak przetrzebiła ludność w Rozdrożach.

Na zmianę przedstawiali mu niebezpieczeństwa i pułapki, na jakie mógł natknąć się, patrolując ten obwód, a potem przekazali mu chirra i resztki zapasów, a Gryffon pomógł objuczyć muły ich rzeczami i o zmierzchu, kiedy on rozgościł się na dobre w Stanicy, Kris z Talią byli gotowi wyruszyć w dalszą drogę.

Gdy w ciemności przed nimi ukazały się światelka gospody, Kris wyczuł, że Talia mimowolnie zadrżała.

— Wiem — pocieszył ją łagodnie. — To już koniec, lecz dopiero teraz zacnie być naprawdę ciężko. Jednakże jesteś przygotowana. Zaufaj mi, ptaszyno, jesteś przygotowana.

— Jesteś tego pewny? — odparła cichutkim, pełnym wątpliwości głosem.

— Tak pewny jak wszystkiego w moim życiu. Jest tak już od Zachodnich Rogatek. Skoro potrafiłaś uporać się z tym, co tam napotkałaś, poradzisz sobie ze

wszystkim: z drażliwymi dygnitarzami, urazami dorastających Dziedziców Tronu, Heroldami o złamanym sercach. . .

— Głuptasami złączonymi więziami na całe życie? — dodała z odrobiną sarkazmu.

— Nawet z takimi; zwłaszcza z takimi. Dotąd nie pozwoliłaś, by ci to w czymkolwiek przeszkodziło, i teraz nie dopuścisz do tego. Jesteś przygotowana, moja droga. A jeśli ośmielisz się zrobić ze mnie kłamcę. . .

— Co wtedy zrobisz?

— Ja. . . ja wynajmę Barda, by cię opisał w jakimś jadowitym utworze.

— Wielka Bogini! — Talia zachwiała się w siodle, łapiąc się za pierś, jakby dźgnięta sztyletem w serce. Wrócił jej dobry humor. — Śmierć gorsza od Losu!

— Bądź więc posłuszna — odparł i uśmiechnął się. — A teraz, ruszajmy! Czeka tam na nas wieczerza i miękkie puchowe łoża, a potem. . .

— Tak — westchnęła, wpatrując się w drogę wiodącą na południe. — W końcu wróciliśmy do domu.